

Po prawej stronie znajduje się Biblioteka Grenville i dział rękopisów - powiedział Jonas Pratt, asystent dyrektora British Museum, machnąwszy ręką w tym kierunku, po czym zdecydowanie odwrócił się, by iść dalej w lewo.

Abigail Merchant zatrzymała się na moment na wypolerowanej marmurowej posadzce korytarza, którym pędzili, i spojrzała podejrzliwie w stronę sklepionego przejścia, które minęli. Przyciskając jeszcze mocniej do piersi listy referencyjne, szybko dogoniła swojego przewodnika.

- Tutaj znajdują się nasze słynne galerie - kontynuował. — Rzymska, a za tamtymi drzwiami grecko-rzymska z marmurowymi posągami z Priene, wśród których są oczywiście Wenus z Ostii, Dyskobol, Apollo Giustinianiego, Clytie i inne. A po tamtej stronie znajdują się galerie asyryjskie. - Poprowadził ją szybko do następnego długiego korytarza z bardzo wysokim sufitem. - Kamienne tablice z Niniwy, ogromny skrzydlaty byk z pałacu Saragona II oraz skrzydlaty lew z pałacu Ashurnasirpala II w Nimrud. A także asyryjskie tabliczki z pismem klinowym, które są...

- Niepowtarzalne, bezcenne dla biblioteki - dokończyła Abigail, wpatrując się w szklaną gablotę i czując przyspieszone bicie serca. Wszystko wokół niej, zaklęte w kamieniu, brązie i glinie, było jak przebłyski i szepty historii całej ludzkości. Nic dziwnego, że w muzeum panowała pełna szacunku cisza i spokój, bo przebywanie tu było jak zaproszenie do wspomnień samego Boga.

Potrząsnęła głową i spróbowała naprowadzić Pratta z powrotem na temat swego zatrudnienia.

- Moje listy referencyjne potwierdzają, że jestem, wykwalifikowaną i doświadczoną bibliotekarką. Dwa lata spędziłam przy konserwacji i katalogowaniu archiwów stanowych w Nowym Jorku. Gdyby zechciał pan rzucić okiem na...

Pratt spojrział na nią ponad oprawkami okrągłych okularów.

- To nie będzie konieczne. Znamy pani kwalifikację. Proszę za mną.

Kwalifikację? Skąd ta liczba pojedyncza? Mógł mieć na myśli tylko jedną rzecz. Była córką słynnego znawcy antyku, sir Henry'ego Merchanta. Przed opuszczeniem Bostonu napisała do ojca, z którym właściwie nic jej nie łączyło, prosząc o wysłanie listu polecającego do biblioteki w British Museum. Najwyraźniej spełnił jej prośbę.

Niski i sztywny, jakby go ktoś wykrochmalił razem z koszulą, asystent prowadził ją przez kolejne galerie, mijając bezcenne eksponaty. *Znaleźli* się na tyłach muzeum i zaczęli schodzić wąskimi metalowymi schodami wprost w egipskie ciemności.

- Proszę mi wybaczyć, panie Pratt, ale... - Abigail zatrzymała się na drugim schodku - wydaje mi się to dość nietypowym sposobem prowadzenia rozmowy kwalifikacyjnej.

- Ależ ja nie przeprowadzam z panią rozmowy kwalifikacyjnej, panno Merchant - wyjaśnił. - Moim zadaniem jest tylko poinformować panią, że została zatrudniona z pensją stu dwudziestu funtów rocznie.

Zanim dotarł do niej sens tego oświadczenia, wygłoszonego w ciemnościach na schodach prowadzących prawdopodobnie do piwnicy, pan Pratt sięgnął do kontaktu i zapalił światło, które wyłoniło z mroków przypominające jaskinię pomieszczenie, wypełnione po sam sufit skrzyniami, kuframi i pudłami.

- To będzie pani miejsce pracy - powiedział, wykonując zapraszający gest. - Każdy wydawca w Królestwie ma obowiązek przysłać do muzeum kopię każdej książki, pamiętnika, gazety i broszury, którą opublikował. Pani zadaniem będzie

otwieranie przesyłek, analizowanie ich i katalogowanie tych „bezcennych nabytków”.

Z wrażenia omal nie zleciała ze schodów.

- Zaszło jakieś nieporozumienie. Mam doświadczenie w identyfikacji i konserwacji rękopisów, a nie w gromadzeniu i katalogowaniu. - Pospiesznie zbiegła ze schodów. - Gdyby zechciał pan poświęcić chwilę na przestudiowanie moich referencji...

Nadal nie chciał wziąć od niej dokumentów.

- Wszyscy asystenci w muzeum zaczynają od katalogowania, panno Merchant. - Jego ciemne jak u łasicy oczy zabłyśły protekcjonalnie. - Oczywiście dla niektórych asystentów praca tutaj jest zbyt wyczerpująca i wolą poszukać sobie zatrudnienia gdzie indziej. - Zmierzył wzrokiem jej praktyczny strój, po czym spojrzął w twarz. — Przenoszenie ciężkich skrzyń i pudeł, układanie książek wysoko na regałach jest bardzo uciążliwe nawet dla silnego mężczyzny.

To spojrzenie. Ta ledwie skrywana pogarda. Nagle odkryła prawdziwy powód jego niechęci. Nie chodziło o to, że ktoś wpływowy się za nią wstawił, ani o to, że większość życia spędziła w Bostonie, chociaż skrzywił się, słysząc, jak mówi, co świadczyło, że uznał jej amerykański akcent za okropny. To, co go naprawdę od niej odstręczało to fakt, że była kobietą.

Dziwne, że nie przewidziała takiej sytuacji, pomyślała ze złością. Jej ukochana matka wystarczająco często powtarzała jej, że w Ameryce kobiety mogły sobie być arystokracją wśród bibliotekoznawców, ale w Wielkiej Brytanii nadal traktowano je jak naukowców gorszego gatunku, których nie dopuszcza się do zbiorów. Tym bardziej do królewskiego księgozbioru Imperium Brytyjskiego, jakim jest British Museum.

To zakrawa na żart. Może powinni wydać o sobie książkę „Angielscy szowinistyczni idioci”? I zakatalogować ją pod numerem 300, czyli w Naukach Społecznych.

Energicznym ruchem obciągnęła poły dopasowanego wełnianego żakietu.

- Jestem wytrzymała i zdecydowana, panie Pratt. Nie odstrasza mnie uczciwa praca.

- Wspaniale - wycedził przez zęby. - W takim razie sugeruję, żeby od razu się do niej zabrać. - Machnął ręką w kierunku niekończących się stosów skrzyń i pudeł, i odwrócił się do wyjścia.

- Panie Pratt - Abigail ledwie udało się pohamować złość - będę potrzebowała dostępu do katalogu muzeum, podobnie jak pewnych akcesoriów do pracy.

- Katalog, jak wszyscy wiedzą, znajduje się w czytelnii.

- Zatrzymał się na najniższym stopniu schodów, ale się nie odwrócił. - Będzie pani musiała złożyć podanie do kierownika o pozwolenie na korzystanie z niego.

- Podanie? Muszę składać podanie, żeby móc korzystać z katalogu w czytelnii?

Jonas Pratt spojrział na nią z wyższością przez ramię.

- Kierownik ma obowiązek przestrzegać reguł korzystania z czytelnii. Do niego należy decyzja czy takie prawo przyzna.

- Świetnie. - Uniosła butnie podbródek. - Gdyby jeszcze zechciał mnie pan poinformować, gdzie znajduje się toaleta dla żeńskiej części pracowników...

- Nie mamy takich udogodnień dla żeńskich pracowników.

- Jeszcze bardziej zesztyniał, jakby wypowiedzenie słów „żeński pracownik” było afrontem dla brytyjskiego poczucia męskości. - Będzie pani musiała korzystać z damskich toalet dla odwiedzających. - Wszedł po schodach i usłyszała już tylko odgłos zamykających się za nim drzwi.

Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w miejsce, które przed chwilą opuścił.

Mniejsza o to. Nieważne, że asystent głównego bibliotekarza jest aroganckim, ograniczonym dupkiem. Nieważne, że będzie musiała składać podanie o pozwolenie korzystania ze świętych katalogów w czytelnii. Nieważne, że nie ma toalet dla zatrudnionych tu kobiet... i bardzo prawdopodobne, że nie ma tu też

żadnej innej pracującej kobiety, z którą mogłaby dzielić tę niewygodę. Właśnie dostała intratną posadę w British Museum z pensją stu dwudziestu funtów rocznie. Znalazła się tam, gdzie już od lat chciała pracować, a skoro tu jest, zamierza pokazać wszystkim zawziętość i odwagę absolwentki szkoły bibliotekarskiej w Nowym Jorku.

Zobaczycie, ja wam jeszcze pokażę...

Miesiąc później siedziała w słabo oświetlonej piwnicy przypominającej jaskinię, wpatrując się w egzemplarz „Filozoficznych wędrowek Lepidoptera* w Sussex” i zastanawiając się, czy skatalogować to pod numerem 100, w dziale Filozofii, czy pod numerem 500, w Naukach Przyrodniczych, czy może pod 900, w Geografii i Historii. Tkwiła w tej posępnej norze dzień po dniu, bez dostępu do cennego katalogu muzeum. Musiała jednak pracować w tych ciemnościach przynajmniej z jednego powodu.

Żeby udowodnić swoją zawziętość? A może żeby walczyć o pozycję kobiet? Nie. Siedziała w tym miejscu, żeby udowodnić swoją obecność. Co kilka dni słyszała, jak drzwi na szczycie schodów otwierają się i kiedy wstawała sprawdzić kto to, jej oczom ukazywały się rozdziawione gęby półgłówków przyglądających się jej ze zgrozą.

- Widzisz? - powiedział jeden z nich do reszty niewątpliwie wstrząśniętych ciekawskich. - Mówiłem wam... na dole jest kobieta.

Przepełnęła ponad trzy tysiące mil morskich, żeby zostać piwnicznym duchem. Ładna mi zuchwała i wspaniała przygoda, której spodziewała się, kiedy wyruszała z Bostonu, żeby pracować na swoje nazwisko i pozycję w brytyjskim środowisku naukowym. Spodziewała się, że zdobędzie pracę odpowia-

Lepidoptera ~ (łac.) rząd gromady insektów, do którego zaliczają się motyle i ćmy (przyp. tłum.).

dającą jej kwalifikacjom, odpowiedzialną i szanowaną. A tymczasem sortowała rozpadające się, zakurzone egzemplarze typu „Przewodnik estety po mchach zachodniej Konwalii”, „Podstawy antycznych technik sanitarnych starożytnego Rzymu” i „Podróże starej panny po Francji”. Spojrzała na stertę książek *leżącą* u jej stóp. Kto, u licha, zechce czytać takie rzeczy?

Ktoś, przypomniała sobie dawne nauki. Takie było powołanie bibliotekarza i jego obowiązek: porządkowanie, zabezpieczanie i udostępnianie czytelnikom wszystkich wytworów ludzkich dociekań, bez wydawania na ich temat sądów.

A smutna prawda była taka, że ignorancję jednego wieku naprawiano dopiero w następnym, który wykorzystywał odkrycia niezauważone w poprzednim stuleciu. Bezwzględne osądzanie mogło więc doprowadzić do przerwania różnych badań lub powstrzymania rozwoju wiedzy. Historia pełna jest straszliwych przykładów upadku myśli i dążenia do rozwoju, jak na przykład w epokach, które nastąpiły po zniszczeniu antycznej cywilizacji. Tak wiele zdobyczy ludzkiego umysłu zostało zaprzepaszczonych, choćby podczas zniszczenia Wielkiej Biblioteki w Aleksandrii, że ludzkość potrzebowała całego tysiąclecia, by odtworzyć tamtą spuściznę.

Borykając się z przepełniającym ją uczuciem rozczarowania, zmusiła się wreszcie, by spojrzeć na swoje słabo oświetlone miejsce pracy z większym optymizmem i nadzieją. Gdzieś w tych skrzyniach może znajdować się jakaś praca, która kiedyś zmieni życie, albo ludzkość, na lepsze. Powinna pomyśleć o sobie jak o odkrywcy, stawiającym czoło nieznanemu, jak o archeologu słowa drukowanego.

Parę dni później, gdy trzepaczką do dywanów, przyniesioną z domu, tłukła w jedną ze skrzyń, żeby dać trochę czasu na ucieczkę robactwu, które z pewnością się w niej zalęgło, usłyszała jakiś niepokojący odgłos wśród kufków, po czym runęła na nią sterta kartonów i pudeł.

Kiedy otrząsnęła się na tyle, by rozpocząć śledztwo mające

wyjaśnić, co wywołało ten incydent, zauważyła, że jeden z pojemników, który o mały włos rozbiłby się na jej głowie, nie był zwykłą drewnianą skrzynią ani kartonem, tylko walizką ze skórzaną rączką na górnym wieku, rodzajem kufra z zamkiem, do którego przywiązany był klucz.

Z boku widoczna była etykieta przewozowa z napisem: NADAWCA: PROFESOR THADDEUS CHILTON, DOK. FILOZ., ADRESAT: BIBLIOTEKA BRITISH MUSEUM, GREAT RUSSEL STREET, LONDON.

Profesor T. Thaddeus Chilton? Raczej nie był wybitny w swojej dziedzinie, inaczej muzeum nie porzuciłoby jego spuścizny w piwnicy, na pastwę szczurów. Lekceważące potraktowanie przez muzeum jego pracy wywołało w Abigail poczucie pokrewieństwa dusz z dawnym uczonym.

Obróciła kufer i postawiła go pionowo, odwiązała klucz i włożyła do zamka. Z obawy, że reszta pudeł i skrzyń z książkami w końcu na nią runie, zamknęła z powrotem kufer i pospiesznie wciągnęła go na wózek biblioteczny, żeby przyjrzeć się jego zawartości przy biurku.

Jak się okazało, były trzy skrzynie z rzeczami Thaddeusa Chiltona: kufer z notatkami z wykładów, mapami, korespondencją i dziennikami; skrzynka wypełniona książkami, do których się odwoływał w swoich pracach na temat starożytności; oraz karton z pamiątkami: wyblakłymi frędzlami od zasłon, jedwabnym kordonkiem, zużytym bukłakiem, parą brokatowych perskich kapci i pożółkłymi fotografiami namiotów, wielbłądów i pustynnych wydm.

- Profesorze, co pan studiował? - mruknęła pod nosem, otwierając skórzaną teczkę z dziennikami i kartkując ten, który leżał na samym wierzchu. Zamarła. Dziennik pisany był greką, i to klasyczną. Wewnątrz okładki znalazła wyblakły napis: Dzienniki Thaddeusa Chiltona, dok.filoz., docenta wydziału klasycznego na Uniwersytecie w Oxfordzie..., poszukiwania rozpoczęte w roku 1849".

Poszukiwania? Minęło już prawie pięćdziesiąt lat od momentu rozpoczęcia tych poszukiwań. Czyżby ten członek towarzystwa naukowego był tylko raz na wyprawie w całej swojej karierze?

Na kilku pierwszych stronach dziennika znalazła odpowiedź i poczuła przyływ ciepłych uczuć wobec starego Thaddeusa. Był taki jak ona. Wszystko wskazywało na to, że całe swoje życie spędził na poszukiwaniu biblioteki.

Choroba morska - napisała podróżniczka Maude Cummings w swojej popularnej książce „Kobieta poszukująca przygód za granicą” - jest w dużej mierze stanem umysłu.

Abigail chwyciła się krawędzi wąskiej koi na pokładzie targanej przez burzę morską Gwiazdy Persji, i zwalczyła pokusę ponownego rzucenia się przez całą kabinę w kierunku wiaderka. Najwyraźniej Maud Cummings nie wiedziała, o czym mówi. Abigail nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w swoim życiu czuła się tak fatalnie jak teraz. Żołądek podchodził jej do gardła, bez względu na to, czy stała, siedziała czy leżała. Czuła się, jakby całe jej ciało wywróciło się na lewą stronę.

Gwiazda Persji była statkiem towarowym z dwoma komi- nami i ogromną ładownią, przykrytą niemal hektarowym po- kładem mokrych desek. Jej przeznaczeniem było szybkie i spr- awne transportowanie towarów i materiałów, nie pasażerów. Mimo to Gwiazda przewoziła też ludzi i miała na tę okoliczność sześć kabin, które mogły zająć osoby potrzebujące jakiegoś środka transportu. Ponieważ słynna Maud zapewniała gorliwie i z wielkim przekonaniem, że najlepszą formą podróżowania po morzu jest płynięcie statkiem towarowym, a Abigail dyspono- wała zaledwie skromnym spadkiem po matce, bez najmniej- szych wątpliwości zarezerwowała kabinę na Gwieździe Persji.

Wielkie dzięki, Maude. A żeby cię porwała gwałtowna burza piaskowa, gdy będziesz podróżować po pustyni na grzbiecie wielbłąda!

Ale żeby zachować obiektywizm, należało dodać, że Maud Cummings swoje twierdzenie opierała na fakcie, że statki towa-

rowe pływały do miejsc, do których zwykle liniowce oceaniczne i statki pasażerskie nie docierały, czyli do odległych portów, które były wielką gratką dla żądnych przygód podróżników. Tylko że Abigail niezupełnie kwalifikowała się do tej kategorii.

Jej wcześniejsza przeprawa przez Atlantyk, z Bostonu do Bristolu pięć miesięcy temu, odbyła się właśnie na liniowcu oceanicznym pełnym eleganckich kajut, salonów i z zaskakująco dobrze zaopatrzoną biblioteką. Tamta podróż była cudowna, żadnych burz i niespodziewanych incydentów. Z tego, że inne damy na statku spędzały całe dnie w swoich kabinach dręczone „niedyspozycją”, wywnioskowała, że musi mieć naturę żeglarza.

Teraz jednak była zmuszona zweryfikować to przekonanie.

Strumienie deszczu uderzyły w okrągły świetlik, który był jedynym źródłem światła w jej kabinie, i statek przechylił się, szarpnął z impetem i rzucił nią na drugą stronę koi, aż rąbnęła głową w metalowe zbrojenie kabiny. Oszołomiona i zdezorientowana, leżała przez chwilę, a obrazy wydarzeń z ostatnich paru miesięcy przesuwały się przed jej oczami jak w kalejdoskopie.

Statek z Bostonu... „Podróż”, numer katalogowy 900, Geografia i Historia..., British Museum..., muzea, to pod numerem 000, w kategorii Ogólne..., rozmowa kwalifikacyjna z irytującym Jonasem Pratem... „Rozwój osobowości nienormalnej”, katalog 100, Psychologia..., tygodnie spędzone w ciemnej piwnicy muzeum przy sortowaniu i katalogowaniu książek, których nikt nigdy nie przeczytał... „Emancypacja niewolników”, 320, Nauki Społeczne...

Statek zapadł się dziobem w morze, zrzucając ją z koi i posyłając przez całą kabinę, aż do drzwi. Niestety nie była jedyną rzeczą, która turlała się w tym momencie po podłodze kabiny. Tuż za nią i prosto na nią, nabierając prędkości, sunął otwarty kufer.

Kiedy już sztywna przygotowała się na przyjęcie ciosu, wszystkie przesuwane przedmioty w kabinie nagle się zatrzymały. Statek zawisł, jakby wstrzymując oddech, by po

chwili runąć w dół z wielkiej wysokości i uderzyć w spienione morze. Kufer przewrócił się na bok i jeden z rzemieni trzymających jego zawartość pękł, uwalniając książki i dokumenty, które malowniczo rozsypały się po całej podłodze. Wtem Gwiazda na nowo odzyskała poziom, co sprawiło, że kufer wrócił na swoje miejsce, prześlizgując się po rozsypanej zawartości. Dzbanek, który oczywiście też się przewrócił, teraz przeturlał się do krawędzi stolika i z jego wnętrza wylała się resztką wody.

- Aaa! - Abigail rzuciła się przez dywan dokumentów w samą porę, by uchronić kilka z nich przed zalaniem. Czołgając się na kolanach i łokciach, usiłując nakłonić żołądek do powrotu na swoje miejsce, straciła równowagę i rozpląszczyła się w środku świeżo powstałej kałuży.

Chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że cenne mapy i dzienniki nie są już zagrożone, gdyż jej koszula nocna wchłonęła prawie całą wodę. Westchnęła żałośnie, a po chwili emaliowany dzbanek ześlizgnął się ze stolika i z metalicznym brzękiem upadł na podłogę.

- Abigail Merchant, co ty u diabła wyprawiasz? - mruknęła, podnosząc się z wysiłkiem i odwróciła się plecami do drzwi, żeby utrzymać pion na wypadek kolejnego przechyłu. - Jesteś na swojej prywatnej wyprawie... - miała sucho w ustach i ciężko było jej mówić - ryzykujesz życie i zdrowie... i wydajesz pieniądze, za które powinnaś była sobie kupić mały domek i ustatkować się, podejmując rozsądną pracę w rozsądnej profesji...

Rozsądek. Przypomniała jej się matka, powtarzająca często te słowa: „Masz przed sobą jeszcze tyle życia, że zdążysz być rozsądną, Abigail.”

Powędrowała wzrokiem do ogromnego, zniszczonego kufra i woluminów w skórzanych oprawach, rozsypanych po podłodze kabiny - podarunek losu, który wpadł jej w ręce, albo dokładniej mówiąc, omal nie zleciał jej na głowę. Klucz do przygody życia.

— Mama miała rację. Jeszcze zdążę być rozsądna — mówiła niewyraźnie z powodu suchości w ustach. - Profesor rozpoczął te poszukiwania, ale teraz ja będę je kontynuować. Matka chciałaby, żeby właśnie tak wydała jej spadek. „Jedź i odkrywaj, Abigail” powiedziałaaby. „Zrób coś odważnego i zapierającego dech w piersiach”. - Kolejny przechył statku znowu wywołał skurcz żołądka i musiała zacisnąć zęby, żeby zwalczyć falę mdłości. — A poza tym, to kto nadaje się lepiej do ukończenia poszukiwań największej biblioteki, jaką kiedykolwiek zgromadzono, niż bibliotekarka z klasycznym wykształceniem?

Nikt. A przynajmniej nikt potrafiący utrzymać pion na tym rozkołysanym statku, pomyślała i usiadła na podłodze zziębnięta z powodu mokrej koszuli, tuląc do piersi dzienniki i inne uratowane dokumenty i rozpaczliwie starając się zignorować podłogę kabiny zbliżającą się do niej z różnych stron. Drżała z zimna, a jednocześnie czuła strużkę potu spływającą ze skroni.

Usiłowała przynajmniej zebrać myśli, skoro ciało jej nie chciało słuchać. To arogancja, duma i wiara we własny intelekt i słuszność poglądów pchnęły ją w tę kłęskę żywiołową. „Skrucha”, numer katalogowy 200, dział Religia. Tak i do tego jeszcze lekkomyślna pogoń za sławą, i chęć dokonania zemsty naukowej...

O mój Boże, tylko nie to...

Oparła głowę o drzwi, zacisnęła mocno powieki i walczyła ze skurczem żołądka, który przyprawiał ją o gęsią skórkę. Dostrzegła w pobliżu dzbanek, przesunęła na bok dzienniki na suchy kawałek podłogi i sięgnęła po naczynie. Po paru chwilach najprawdziwszych męczarni opadła z sił i poddała się kołysaniu statku.

Dzięki Bogu wszystko wokół niej zaczęło powoli robić się ciemniejsze, cieplejsze i prostsze...

Pukanie w drewniane drzwi kajuty obudziło i rozdrażniło Apolla Smitha, więc zakopał się głębiej w pościeli na koi, by nie

słyszeć hałasu. Po pakiiminutach uświadomił sobie, że to Haffe, steward ze statku, wali w jego drzwi i woła go, nie dając za wygraną.

- Cholerny statek, lepiej by zatonął - mruknął Apollo, spuszczać nogi z koi i rzucając słabo widzącym okiem na świetlik, za którym widoczne były promienie słońca, a nie, jak ostatnio, tylko woda. Usilnie starając się utrzymać otwarte oczy, które piekły go, jakby miał w nich piach, ruszył do drzwi chwiejnym krokiem po nachylonej pod pewnym kątem podłodze.

- Co u diabła...

Kiedy wyrzwał na wąski korytarz, Marokańczyk o dzikim spojrzeniu wytrajkotał coś w mieszance berberyjsko-francusko-angielskiej. Znaczenie słów stewarda dotarło do niego jednocześnie z odorem wymiocin.

- Dobry Boże. - Zasłonił ręką nos i usta: - Ktoś umarł?

- Angijeliski pana... pomocz!

- Anglik? My, Anglicy, nie jesteśmy wszyscy ze sobą spokrewnieni, wiesz o tym?

Haffe jak nawiedzony pociągnął go za sobą do otwartych drzwi sąsiedniej kabiny i wskazał na postać w mokrej bawełnianej koszuli nocnej, leżącą na podłodze między otwartym kufrem a metalowym dzbankiem. Dokumenty i książki zaśmiecały podłogę kajuty, a damskie ubrania zwisały z walizki.

- Pomocz! Angi-je-liski pana. Pomocz... szybko, szybko!

- Och. Nie angijeliski pana, tylko angielska dama.

Niski Berber wskazując nieprzytomną kobietę, wciągnął Apolla za ramię przez otwarte drzwi do kajuty. Początkowo Apollo nie stawiał oporu, rozdarty pomiędzy chęć zbadania, jaka katastrofa nastąpiła w tej kabinie a wstręt wobec tego, co docierało do jego oczu i nosa. Nagle żądanie stewarda dotarło do jego świadomości.

- O nie!

Haffe przemknął obok niego- zatarasował wyjście plecami,

a nogami zaparł się o przeciwległą ścianę wpychając go ze wszystkich sił do środka kajuty. Apollo złapał się oburącz framugi drzwi i walczył o cenne życie.

- Współczuję, stary - wysapał. - Niezły tu bałagan. Ale to twój bałagan. - Potem spojrział na kobietę leżącą na podłodze i przypomniał sobie jeszcze lepszy powód, dla którego nie powinien się w nic angażować. - To ona waliła w ścianę przez całą pierwszą noc. Ledwie dało się usłyszeć licytację. Przez nią straciłem sporą sumkę.

Odwrócił się, popychając Haffego tak, że ten upadł jak długi na całą szerokość przejścia. Ale steward szybko się otrząsnął, wstał i popędził za Apollem, by stanąć mu na drodze do koi, która przywoływała go śpiewnym rozkołysanym głosem. Wysilając swój umysł najmocniej, jak mógł, wydusił z siebie słowa: „angielski”, „dama” i „niewierność”.

I nagle wszystko stało się jasne. Jako wzorowy steward, Haffe czuł się odpowiedzialny za opiekę nad kobietą. Ale jako wzorowy muzułmanin i jeszcze lepszy Berber, nie mógł pozwolić sobie na taszczenie niewiernej kobiety, nawet jeśli była chora.

- Pomocz, Smith. - Haffe zbladł z desperacji. - Prosi.

Apollo zacisnął powieki i walczył z narastającymi nudnościami. Spokojnie.

- Gdzie jest jej mąż? Jego poproś o pomoc.

Z ust stewarda popłynęła kolejna mieszanka lingwistyczna, z której zdołał zrozumieć jedynie jedno stwierdzenie: „mąż nie ma”.

- Racja. Kto by chciał poślubić taką furiatkę, która wali w ściany podczas gry w pokera?

Odwrócił się z powrotem w kierunku kajuty kobiety i stał przez chwilę w drzwiach oceniając sytuację. Mieli jeszcze przed sobą ponad pół tygodnia drogi do Casablanki, a ona wyraźnie nie czuła się najlepiej. Pozostawiona bez opieki, mogłaby umrzeć, zanim dopłyną do portu. Może i sam nie był

wart funta kłaków, ale nie był też typem, który pozwoliłby umrzeć kobiecie, nie kiwnąwszy palcem, żeby jej pomóc. Mrużąc pod nosem przekleństwa, wziął głęboki wdech i zanurkował do środka.

- Daj mi parę koców - polecił Haffemu i przyklęknął, żeby podnieść Abigail z podłogi.

- Dziękuję, Smith! - Haffe zaczął zdejmować koce z koi kobiety. - Oby wszystkie twoi żony byli grubi!

Odległe głosy załogi dobiegające z ładowni obudziły Abigail. Powoli stawała się coraz bardziej świadoma otoczenia. Odgłosy sztormu, jęki i trzeszczenie targanego przez fale morskie statku osłabły, za to jaskrawe światło słoneczne raziło ją nawet przez zamknięte powieki. Zacisnęła je więc mocniej, ale coś krępowало jej ruchy i nie mogła odwrócić głowy.

Rozchyliła wreszcie powieki na tyle, by zorientować się, że siedzi w fotelu na pokładzie Gwiazdy, zawinięta w ograniczający ruchy kokon z koców.

Nie miała pojęcia, jak to się stało, że, zawinięta jak mumia, znajduje się na pokładzie.

Otworzyła szerzej oczy i rozpoznała stalową balustradę, mokre deski pokładu i zardzewiałe metalowe schodki obok, i uświadomiła sobie, że jest na dziobie na górnym pokładzie. Spoglądając w górę, zauważyła, że ma na głowie własny słomkowy kapelusz, sztywno przywiązany... dobry Boże... jej własnymi pończochami!

Wyężając wszystkie siły, udało jej się wysunąć jedną rękę spod koca i przysunąć ją do twarzy. Potarcie oczu okazało się kiepskim pomysłem, gdyż zaczęły ją piec, jakby nasypała do nich soli. Jęknęła głośno, a zza jej pleców dobiegł ją nagle głęboki męski głos.

- Radzę tego nie robić. Proszę otworzyć usta.

Patrzyła spod przymkniętych powiek na kształt przypominający ludzką sylwetkę, który pojawił się pomiędzy nią a rażącym słońcem. Zbliżał się do niej kubek z czymś ciemnym i śmierdzącym. Człowiek trzymający go nie dał jej wyboru, czy chce to wypić. Po prostu zaczął łać letni napój prosto między spierzchniętymi wargami do obolałego gardła. Łykła i bulgotała, aż wreszcie udało jej się nabrać tyle powietrza, by zaprotestować.

- Zadzławię się - wyksztusiła z trudem.

- To dla pani dobra - zabrzmiał męski głos z brytyjskim akcentem. - Potrzebuje pani płynów. - Westchnął z rezygnacją, kiedy odtrąciła kubek po raz drugi. - Przypuszczam, że nie jest pani jedną z tych kobiet, które dla kariery potrafią zapracowywać się do nieprzytomności.

Pochylił się nad nią i wreszcie mogła zobaczyć jego twarz, z czarną skórzaną opaską biegnącą w poprzek i zakrywającą jedno oko. Na ten widok drgnęła z przerażenia, a jej wysuszone podniebienie uniemożliwiło krzyk, więc ostatecznie wydała z siebie dźwięk przypominający rżenie. Skrzywił się, a ona przerażona zasłoniła ręką usta.

- Jeśli to są pani gierki, to radzę najbliższym statkiem udać się w podróż powrotną do domu. Nie jest pani szczególnie atrakcyjna jako niedoszłe zwłoki, a tam, dokąd płyniemy, niczego pani nie osiągnie tym „subtelnym słabnięciem”.

- To nie słabnięcie - oświadczyła mimo bólu gardła, jaki sprawiało jej mówienie. - Mam mdłości.

- Rzeczywiście. - Jej ciemniejszy uśmiechnął się lekko. - Pewnie gdzieś jest ktoś, kto z tego powodu czuje się niezmier-

nie szczęśliwy. Jednakże z pewnością to nie nasz przepracowany steward. Wydaje mu się, że gdyby ktoś wykorkował w jednej z podległych mu kajut, to byłaby jego wina. Jest teraz na dole i sprząta... szoruje, zdzierając politurę ze wszystkiego w pani kabinie.

- Co robi? - Zaczęła szamotać się, żeby usiąść i uwolnić nogi.

- Proszę zostać na miejscu! - Pchnął ją zdecydowanym ruchem z powrotem na fotel i sięgnął po coś z pokładu, co leżało za nim. To była łyżka. Czubata łyżka czegoś przypominającego brudną ciastopodobną masę. - Proszę otworzyć usta. Nie może mieć pani pustego żołądka. - Kiedy zacisnęła usta, patrząc spode łba, zaczął poruszać łyżką w tę i z powrotem, zbliżając do jej ust i oddalając. - Albo to, albo wleję w panią niezłą porcję whisky. Co pani woli?

- Znowu będzie mi niedobrze - szepnęła, wzdrygając się na myśl o tej drugiej możliwości. Ku jej zaskoczeniu, westchnął i opuścił łyżkę. Wtedy zauważyła, że jego opalona twarz ma wyraziste, gładko rzeźbione rysy, a włosy wyblakły od długiego przebywania na słońcu. Lecz jej spojrzenie nieuchronnie wracało do opaski na oku.

- Proszę posłuchać, to jest najlepszy i jedyny skuteczny sposób na wyleczenie się z choroby morskiej - oznajmił. — Zostaje pani na pokładzie, gdzie można obserwować ruch morza i gdzie jest świeże powietrze, a poza tym musi pani coś jeść, nie za dużo, tylko tyle, żeby sprawy się unormowały. Owsianka, owoce. Lekkie posiłki. Żadnego krwistego mięsa ani tłuszczu.

Na słowo „krwisty” żołądek poderwał się jej do góry i musiała walczyć, żeby znowu nie wymiotować.

- Proszę otworzyć usta.

Nie zostali sobie przedstawieni, ale po paru minutach Abigail już wiedziała, z kim ma do czynienia. Z Szatańskim Nasieniem w ludzkiej skórze, które stanowczo i z sardonicznym uśmiechem, bezlitośnie szprycowało ją jakimś świństwem. Łyżka za

łyżką, napełniał ją przypominającą w smaku gips owsianką, prawie nie dając jej czasu na przełykanie poszczególnych porcji. Ciepława papka z pewnością zakleiłaby jej usta na amen, gdyby nie przerywał co jakiś czas, żeby wlać w nią obrzydliwy napój, który udało jej się zidentyfikować jako herbatę rozcieńczoną jakimś cuchnącym naparem ziołowym.

Kiedy już uznał, że napełnił ją wystarczająco, przykazał, żeby patrzyła na horyzont, zebrał wszystkie swoje narzędzia tortur i zniknął pod pokładem.

Siedziała ze wzrokiem utkwionym w dal, nie dlatego, że on jej kazał, ale dlatego, że nie było nic innego, na czym można by zawiesić oko. Fale kołysały, a kiedy słońce uniosło się wyżej i jego oślepiający blask trochę osłabł, patrzenie przyniosło ukojenie. Jej żołądek, zajęty trawieniem, ignorował ją i była mu za to bardzo wdzięczna, gdyż mogła się odprężyć na tyle, by zapaść w drzemkę.

Cienie na statku zdążyły się już wydłużyć, kiedy wrócił jej ciemniejszy z kolejnym kubkiem wstrętnej herbaty i szklanką bursztynowego płynu, który okazał się przesłodzonym naparem mięty. Wysupłała jedną rękę spod koca, żeby się samej obsłużyć, ale on przytknął palec do dna kubka i w ten sposób ponaglał ją w picie. Kiedy podał jej szklankę naparu, wyprostowała plecy, wyciągnęła nogi w kokonie i opędziła się od jego asysty.

Przez chwilę stał, obserwując ją, a potem nachylił się, żeby rzucić okiem na jej twarz ukrytą pod szerokim rondem kapelusza.

- Lepiej? - Znowu ta opaska na oku przyciągnęła jej uwagę.

- Trochę - przyznała po chwili namysłu. Nie odczuwała już żadnych dolegliwości fizycznych oprócz paskudnego bólu mięśni i ogromnego pragnienia, spowodowanego miętową mikszturą.

- Cóż, najwyraźniej czuje się pani lepiej, niż wygląda - powiedział.

Wstrząśnięta, spojrziała w górę na zdeformowany kapelusz przykrywający pozlepiane włosy, a potem w dół, na poplamione rękawy nocnej koszuli. Skóra na twarzy i szyi dotkliwie piekła, prawdopodobnie podrażniona od długotrwałego leżenia na podłodze.

- Kim pan jest? - spytała, otulając się mocniej kocem i mając nadzieję, że sobie pójdzie.

- Pani sąsiadem. Kajuta obok.

A więc ten mężczyzna, wyglądający jak pirat, był tym, który urządzał hazardowe piekło za ścianą i nie dawał jej spać przez pierwsze cztery noce podróży. Szatańskie Nasienie. A mówią, że kobieca intuicja to wymysł...

- Nie ma pan nic lepszego do roboty, niż torturowanie mnie?

- W tej chwili nie. - Skrzyżował ręce na szerokiej piersi. Nie widziała jego spojrzenia, ale czuła je. - Wie pani co, nie mówi pani jak Angielka.

- Jestem Amerykanką. Z Bostonu.

- Jak się pani nazywa? Jedyne, co zdołałem wyciągnąć z Haffego, to coś o „kupcu”.

- Tak mam na nazwisko. Merchant*. Abigail Merchant.

- Jasne. - Przyjrzał jej się sprawnym okiem. - A co pani robi na statku towarowym zmierzającym do Maroka, panno Merchant? Nie wygląda mi pani na misjonarkę. Nie ma pani ze sobą Biblii ani modlitewników, jedynie książki i mapy.

- Skąd pan to wie... -W tej samej chwili przypomniała sobie jego słowa o tym, że steward szoruje jej kajutę, i poczuła niepokój. - Był pan w mojej kajucie? - Zaczęła się szamotać, chcąc wydostać się z kokona, ale gdy wstała, zakreśliło się jej w głowie i zatoczyła się. Zrobił krok w jej kierunku, żeby ją podtrzymać, ale powstrzymała go gestem dłoni i pochyliła się, żeby przywrócić krążenie krwi w mózgu. Kiedy wreszcie od-

Merchant - (ang.) kupiec, handlowiec (przyp. tłum.).

zyskała równowagę, wyprostowała-się powoli, naciągnęła mocniej na siebie koc i z godnością ruszyła w kierunku swojej kabiny.

- Mówiłem, że powinna pani zostać na pokładzie. — Szedł w pewnej odległości za nią, towarzysząc jej aż do kabiny.

Woda na podłodze już wyschła, koja była zaścielona, a na wierzchu leżały dwa stosy, jeden bielizny, a drugi dokumentów. Podeszła do sterty papierów i gorączkowo zaczęła sprawdzać ich stan.

Na niektórych kartkach widniały ślady wody, ale na ogół tekst uniknął katastrofy. Wraz z ustąpieniem niepokoju, opuściła ją też energia, więc opadła ciężko na kolę.

- Co takiego ważnego jest w tych papierach? - spytał mężczyzna, zaglądając do kabiny i ostrożnie podchodząc do sterty map. - Czy tu jest napisane „Timbaktu”?

Zabrała mapy z zasięgu jego wzroku, złożyła je, by schować.

- To są dokumenty historyczne, dotyczące mojej rodziny.

- Zastanowiła się przez moment, co odpowie, jeśli zada jej pytanie, dokąd podróżuje. - Nastąpiły pewne okoliczności i muszę zawieźć te dokumenty rodzinie... w Maroku.

- Dokąd w Maroku?

- Do Casa - ciemne plamy zaczęły pojawiać się jej przed oczami - blanki.

- A co oni tam robią? Ta pani rodzina?

Miała ochotę stawić czoło niedowierzaniu w jego głosie, ale jej wzrok zaczął się rozplýwać, a gardło i żołądek zaciskać w znajomy sposób.

- Handlują - powiedziała, słysząc swój własny głos jakby z oddali. - Daktyle... kupują i eksportują. Baaardzo... baaardzo duże... daktyle.

Gwałtownie wychyliła się z koi, rozpaczliwie szukając wzrokiem wiadra.

Chwilę później twarde jak skała ramię Szatańskiego Nasienia chwyciło ją w talii i porwało z kajuty. Częściowo włókl, a częś-

ciowo niósł ją z powrotem na pokład i bezceremonialnie przewiesił przez barierkę tak, żeby jej głowa zwisała za burtą.

- Ani mi się waży stracić owsiankę - przykazał. - Oddychaj głęboko i powoli, i myśl o czymś innym. O łyku dobrej szkockiej albo o grubym pachnącym cygarze. Albo o tańczących dziewczynach. Te z La Maison d'Hourri zawsze na mnie działają, zwłaszcza taka jedna z długimi nogami i tatuażem na brzuchu...

Nigdy aż do tej chwili nie czuła tak wielkiej ochoty, żeby wyrządzić komuś krzywdę.

Mimo to udało jej się utrzymać owsiankę.

Parę godzin później obudziła się na pokładzie w kompletnych ciemnościach, znowu okryta kocami, ale tym razem z nogami ułożonymi na drugim fotelu. Wiatr zapowiadał ochłodzenie, a w jej żołądku panował zaskakujący spokój. Po raz pierwszy od paru dni nie była w stanie zbliżonym do agonii. Zapadała w przyjemny trans, aż do chwili kiedy, dostrzegła w oddali ciemniejszy pasek, który wyłaniał się spomiędzy migoczącego nocnego morza i ciemnego aksamitnego nieba.

Ziemia. Z zaskakującą jasnością umysłu przypomniała sobie opis Emily Woodbine jej wyprawy z Anglii do Afryki, który zamieściła w książce „Anielka na safari”. Ten niewyraźny niebieskawy pasek na wschodnim horyzoncie oznaczał, że zbliżają się do północnej Afryki i przepłynęli już dwie trzecie drogi. A więc gdzieś tam, na wschodzie, jest port Tanger, z targiem z przyprawami i dywanami, daktylami, oliwkami i mosiężnymi naczyniami. I z kobietami z tatuażami na brzuchach, cokolwiek ten szatan miał na myśli...

- Obudziła się pani. To dobrze. - Jednooki ciemiężyciel pojawił się, i położył jej na kolanach miskę z jakąś papką. — Proszę to zjeść.

Kiedy zniknął w słabo oświetlonym korytarzu, poczuła ciepło bijące od tego czegoś, cokolwiek to było, przenikające przez koce i koszulę nocną. Zdziwiło ją, że rzeczywiście odczuwała głód. Uwolniła ręce spod koca i uniosła miskę i powąchała.

Pachniało inaczej. Po pierwszej łyżce stwierdziła, że owsianka stała się bardziej jadalna.

To miód, pomyślała, przeżuwając większy kawałek czegoś, co miała nadzieję, powinno znajdować się w owsiance. Przynajmniej się nie ruszało. Wtem eksplozja smaku zaskoczyła ją. Grudki w owsiance były suszonymi owocami - daktylami, morelami. „Eksport z Maroka”..., katalog 960, dział Geografia. Opróżniła miskę w rekordowym czasie. Teraz, gdyby tylko miała coś do picia...

Jakby w odpowiedzi pojawiła się dłoń z kubeczkiem. Przeniósła spojrzenie z kubeczka, wzdłuż ręki, aż na twarz trzymającego i z niewiadomych przyczyn poczuła wypieki na swojej.

- Jak się pan nazywa? - spytała, biorąc napój i spuszczać rzęsy pod uważnym spojrzeniem nieznanego. - Mam na myśli, że... - pomagał? nękał? - opiekował się pan mną w chorobie, a ja nawet nie wiem, jak panu na imię.

Nastała cisza, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Smith - odparł wreszcie.

Niezbyt pomysłowe.

- Tylko „Smith”? - Kiedy skinął głową, opuściła wzrok i przełknęła łyk herbaty. - Anglik, oczywiście. Co pan robi na statku płynącym do Maroka?

- Zajmuję się interesem rodzinnym, przewożąc... ważne dokumenty.

Omam nie zachłysnęła się herbatą.

- Zadałam zwykłe pytanie - powiedziała, prostując się.

- A ja zwyczajnie udzieliłem pani odpowiedzi. - Nachylił się, żeby uchwycić jej niechętnie spojrzenie. - Wracam do Maroka ze względu na pewne interesy rodzinne związane z ważnymi dokumentami.

Pomimo irytacji, nie mogła oderwać wzroku od jego oka. Piwnego. Pełnego żądzy i doświadczeń, o których nie chciała nic wiedzieć. Wiatr rozwiewał mu włosy i podnosił kołnierzyk

przy koszuli. Jego szyja, tak samo jak twarz, była opalona i mocna. Pełne, wyraźnie zarysowane usta uniosły się z jednej strony w krzywym uśmiešku. Czerwieniejąc, poprawiła się w fotelu i opuściła wzrok na kubek z herbatą.

- A więc czy ta pani rodzina mieszka w starej zakurzonej medynie? - spytał.

- Niezupełnie - nie była pewna, co miał na myśli, ale nie brzmiało to przyjemnie.

- Aha, zatem poza murami miasta - powiedział, starając się, żeby jego głos zabrzmiał tak, jakby wywarło to na nim spore wrażenie.

- Tak - zaczynała powoli tracić rezon. - Zaraz za murami.

- I kupują i eksportują daktyle? - spytał, opierając ręce na biodrach.

- Tak.

- Czyli muszą zbijać niezłą fortunę. W Maroku palm daktylowych jest pod dostatkiem. Szczególnie dużo tych ze Smyrny. Oczywiście miejscowi wolą daktyle z Kadoty. Ale nie ja. Jestem zwolennikiem gatunku Adriatyk. A pani?

- Dla mnie wszystkie rodzaje daktyli są jednakowe - powie działa, oddając mu pusty kubek, zła, że najwyraźniej sprawdzała ją i że nie miała pojęcia, czy zda ten egzamin, czy nie. - Teraz, jeśli pan pozwoli, jestem zmęczona...

I kłamiesz, pomyślał Apollo, niosąc pusty kubek pod pokład i ulegając pokusie poszperania w jej kajucie. Nikt nie mieszkał poza mediną, miastem otoczonym murami, oprócz kilku stad gęsi i paru biednych nomadów, którzy przyjeżdżali na handel. A Smyrna, Kadota i Adriatyk to gatunki fig, nie daktyli.

On za to powiedział prawdę.

Przez chwilę stał, przeglądając papiery, których stos leżał na jej koi. Broniła zawzięcie swoich rzeczy. Z kieszeni koszuli wyciągnął kopertę i spoglądał raz na nią, raz na papiery i książki ułożone na pościeli. Może bezpieczniej byłoby...

Pomyślał o jej irytującym usposobieniu i skłonności do ścia-

gania na siebie nieszczęść. Może ulotnić się minutę po tym, jak dobiją do brzegu i nigdy już jej nie odnajdzie. Albo bardziej prawdopodobne, potknie się, schodząc po trapie i wrzuci wszystkie swoje bagaże prosto do wody.

Schował kopertę z powrotem do kieszeni i wyszedł z kajuty, zamykając za sobą drzwi.

Niestety nie dało się zaprzeczyć, zdała sobie z tego sprawę, kiedy niebo pojaśniało następnego ranka, że zalecenia jej jednookiego pielęgniarza poskutkowały. Oznaczało to, że będzie musiała resztę podróży spędzić na pokładzie, jedząc, śpiąc, myjąc się i przebierając na świeżym powietrzu. Myśl o tym, że miałyby wykonywać wszystkie najbardziej intymne czynności, może oprócz samej śmierci, tu, na pokładzie, przejmowała ją zgrozą. Ale mimo spokojnego morza, statek i tak kołysał się wystarczająco mocno, żeby poczuła strach przed nawrotem choroby morskiej, która niechybnie nastąpi w chwili, gdy znowu zamknie się w kabinie.

To może być dobre przygotowanie do surowych warunków przyszłej ekspedycji, powiedziała sobie. Mycie się minimalną ilością wody, zachowanie godności podczas ubierania się i zabiegów pielęgnacyjnych na otwartym pokładzie, i utrzymywanie porządku w swoim dobytku w trudnych warunkach... te wszystkie ćwiczenia mogą okazać się później bardzo przydatne. W końcu Mabel Crawford w książce „Przez Algierię”, utrzymywała, że podróżująca samotnie Angielka musi być jednocześnie ostrożna, czujna, dbająca o swoją własność i pieniądze, przygotowana na wszystko, co obcy ład może postawić na jej drodze.

Nowy dzień postawił na jej drodze kapitana Gwiazdy, przyjaznego Greka o imieniu Demetrios, który zatrzymał się, by sprawdzić, jak się czuje. W uroczo niezdarnym angielskim poinformował ją, że pokład, na którym zamieszkała, jest teraz

cały do jej dyspozycji, a Haffe pozwoli sobie upewnić się, czy czegoś jej nie potrzeba teraz, gdy pogoda i żołądek się uspokoiły.

Podziękowała mu, a kiedy odchodząc, obejrzał się i pokręcił głową, zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie reagował na jej opłakany wygląd. Przyjrzała się swojej koszuli nocnej i skrzywiła się. Czas na szybki wypad do kabiny, żeby umyć się i zmienić bieliznę.

Kiedy znalazła się w kajucie, jej żołądek zaczął ostrzegawczo podrygiwać. Szybko umyła twarz, złapała jakieś ubrania i jeden z dzienników profesora i wybiegła na korytarz, gdzie wpadła prosto na swojego jednookiego wybawcę.

- Co pani robi pod pokładem? - spytał zachrypniętym głosem, przyglądając się, jak podnosi z podłogi dziennik, który upuściła, i jak cofa się pod naporem jego spojrzenia.

- Przyszłam po parę swoich rzeczy. - Była zakłopotana, że przyłapał ją w samej koszuli nocnej. - Skoro resztę podróży mam spędzić na pokładzie, zamierzam zrobić to w odpowiednim stroju.

Przekrzywił głowę, spoglądając na bieliznę, którą przyciskała do piersi.

- Z pewnością nie w tym.
- Przepraszam pana bardzo. - Ruszyła w kierunku schodów.
- Ten gorset. Nie może pani tego wkładać.
- Doprawdy. - Wcisnęła gorset pod pachę, uniosła dół koszuli nocnej i weszła na pokład. Poszedł za nią i pojawił się na pokładzie w chwili, gdy rzucała ubrania na fotel. - Czy muszę panu przypominać - stanęła między nim a fotelem - że kapitan oświadczył, że ta część pokładu jest tylko do mojej dyspozycji?
- Udusi się w tym pani.
- Od czwartego roku życia sama wybieram ubranie i jakoś żyję-
- Ale nie w Maroku. - Rozstawił szerzej nogi i skrzyżował ręce na piersi. - Powinna pani nosić luźną, przewiewną odzież.

Jeśli wciśnie się pani w jedną z tych rzeczy, po niespełna godzinie zostanie z pani mokra plama.

- Doceniam pańskie rady - powiedziała z irytacją, zdając sobie sprawę z tego, że to tylko utwierdziło ją w powziętej decyzji. - A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałabym się przebrać.

Nie drgnął i nadal się w nią wpatrywał, więc złapała swój bieliźniany pancierz i strzepnęła nim, aż wydał odgłos podobny do strzału. Nadal żadnej reakcji jednookiego.

- Dobrze. - Podciągnęła koszulę nocną. Skromność wzięła górę i odwróciła się plecami do niego, po czym uniosła koszulę do wysokości kolan. Nagle zdała sobie sprawę, że musiałaby zrobić z koszuli namiot, żeby zdołać nasunąć ramiączka koszulki. Mruczając pod nosem, wyciągnęła ręce z szerokich rękawów, by kontynuować te osobliwą ekwilibrystkę.

Apollo Smith stał na szeroko rozstawionych nogach, rękoma skrzyżowanymi na piersi. Wpatrywał się w płachtę białego muślinu i oświetlony słońcem zarys nagiej sylwetki prześwitujący przez materiał. Zmrużył oko, żeby mieć lepszy widok, ale nie mógł dojrzeć szczegółów: gra światła i cienia pobudziła jego wyobraźnię.

Okragłe piersi, wcięta talia, biodra... uniesiona noga... Zsunął skórzaną opaskę i zmrużył oczy. Światło słoneczne przenikało tkaninę i muskało nagie ciało, ukazując mu jej wdzięki.

Drżały mu ręce, gdy patrzył, jak sięga po części ubrania i mocuje się z nimi pod białą zasłoną, zamazującą jej kształty. Chrząknął częściowo w proteście, a częściowo w wyrazie usatysfakcjonowania. Nagle naciągnęła na siebie coś, co podkreśliło linię jej talii w obcy, a zarazem znajomy sposób. Przypomniawszy sobie Pink i jej fiszbinowy, haftowany gorset, zakończony tasiemkami i ozdobiony różyczkami ze wstążek.

Przez pięć długich lat nie miał styczności z żadną kobietą w europejskim stroju, aż do dnia przed dwoma miesiącami, gdy przybył do Londynu. Gorsety, sztywne halki, sznurowane majtki, jedwabne pończochy - symbole kobiecości, które wryły się w jego pamięć w ciągu lat dorastania w Anglii, a które były kompletnie obce szorstkiemu, brutalnemu światu górskich plemion berberyjskich, Arabów z pustyni i najemników z Legii Cudzoziemskiej. Kilka kobiet, z którymi miał do czynienia on i jego towarzysze broni, to były pensjonariuszki domów publicznych lub służące w tawernach, które chociaż stosowały się do europejskiej mody, nie mogły być w żadnym razie porów-

nywane, a tym bardziej pomyłone z jakąkolwiek angielską damą.

W ciągu wielu burzliwych lat służby w Legii zdążył już zapomnieć, jak tajemniczo szeleszcza halki, jaką pokusą jest bosko ściągnięty gorset i jak fascynujący głęboko wycięty dekolt. Potem, nieco ponad miesiąc temu, przybył do Londynu, wynajął pokój w hotelu West End i zanurzył się w świecie zapomnianych podniet. Przez miesiąc przemierzał ulice miasta w stanie nieustającego młodzieńczego podniecenia. Dlatego z wielką ulgą powitał wiadomość, że w St. James jest mały domek, w którym za przystępną cenę mógł rozładować swoje napięcie seksualne.

Teraz zaś wyglądało na to, że przedstawienie, którego był świadkiem, ożywiło stare wspomnienia. A irytująca, skryta pod muślinem główna bohaterka, do której ratowania został zmuszony, najwyraźniej zamierza wbić się we wszystkie części odzieży, jakie ze sobą zabrała.

Z powrotem zasłonił oko i już miał po cichu wycofać się pod pokład, gdy bezczelna kobieta niespodziewanie uniosła koszulę nocną i zdjęła ją przez głowę.

Zaczęła zapinać rękawy wykrochmalonej białej bluzki, a szara tweedowa spódnica zwisała z jednej strony odsłaniając biodro. Morska bryza rozwiewała jej długie kasztanowo brązowe włosy, które smagały ramiona i plecy.

Zaschło mu w ustach.

- Powiem Haffemu, żeby zajrzał do pani za godzinę - wyksztusił z trudem. — Zapewne do tego czasu już pani zgłodnieje.

- Ruszył w stronę drzwi prowadzących do korytarza z kajutami, czując, że robi mu się gorąco. - Aha, skoro wie pani, co dla niej najlepsze, to z pewnością pozbędzie się pani także tych jedwabnych halek. Zapewniam, że tam, dokąd pani zmierza, nie będzie pani chciała przyciągać uwagi do tego, co ma pani pod spódnicą.

- Jeśli pan nie wie, to jakość i ilość moich halek jest...

- Ruszyła za nim do szczytu schodów, po których schodził, zdecydowana mieć ostatnie słowo. - Prawdziwe damy noszą halki w całej Arabii i Afryce. Czytałam wiele relacji... Lillias Campbell Davison i Mary Kingsley o zachodniej Afryce, Amelia Edwards o tym pisała w „Tysiąc mil w górę Nilu”, Ella Sykes w „Przez Persję w damskim siodle”, Mabel Crawford w „Przez Algierię”. One wszystkie nosiły mnóstwo halk!

Drzwi kajuty właśnie się za nim zamknęły, gdy uzmysłowił sobie, że cytowała mu autorki i tytuły książek. Dobry Boże! Płynęła do Maroka uzbrojona w rady paru nawiedzonych warietek, które wyruszyły na włóczęgę po świecie w poszukiwaniu wrażeń i jakimś cudem udało im się przeżyć i spisać swoje przygody. Ubarwiając je, bez wątpienia i sprawiając tym samym, że brzmią jak opowieści o rozkosznym pobycie w rajach.

Bredząca naiwniaczka z wybujałym poczuciem dumy.

Zmierzająca prosto do katastrofy.

Jęknął i zdjął skórzaną opaskę, by podrapać się po bliznach wokół oka, które opaska przysłaniała. Chciał jakoś odpędzić od siebie wspomnienia nagich krągłości. Uparta baba... płynie do Casablanki, nie mając zielonego pojęcia o tym, co ją tam czeka... i do tego nie słucha głosu rozsądku i doświadczenia... zupełnie jak on sam wiele lat temu...

Ktoś powinien uratować ją przed nią samą. Ktoś, komu zależy na tym, by nie zadusiła się na śmierć gorsetami i halkami. Ktoś, komu nie przeszkadzałyby jej naiwne kłamstwa i władcza natura. Ktoś, kto ma więcej cierpliwości niż zdrowego rozsądku.

Ktoś... inny.

Miał dużo ważniejsze i pilniejsze sprawy do załatwienia. Jak na przykład odegranie swoich pieniędzy od załogi albo problem zejścia ze statku, kiedy dobiją do brzegu, w taki sposób, żeby go nikt nie zauważył, nie złapał i, co bardzo prawdopodobne, nie

Mieszkanie na pokładzie nie było takie złe, stwierdziła Abigail, oprócz tego, że miała skłonność do budzenia się przy najmniejszym hałasie, a statek miał szczególne upodobanie do wydawania z siebie przejmujących dźwięków w dzień i w nocy. Przez kilka kolejnych dni odzyskała siłę i była w stanie składać coraz dłuższe wizyty w swojej kajucie, żeby się wykapać, umyć głowę i przywrócić porządek w dobytku. Wielką ulgą był dla niej fakt, że żaden z dzienników i ani jedna mapa nie zaginęły, a tym bardziej że jej szkatułka z pieniędzmi stała nietknięta.

Haffe, okrągły niski steward z nieodłącznym turbanem na głowie i końskim uśmiechem na twarzy, był niestrudzony w staraniach o zaspokojenie jej potrzeb. Od niego dowiedziała się, że odgłosy wrzawy z kajuty Smitha oznaczały właśnie ukończoną partię gry, a załoga co noc składała się na wypadek, gdyby znowu dopisało mu „szczęście”.

To w jego stylu, pomyślała, wachlując się książką, którą właśnie czytała, spędzać czas na picciu, hazardzie i wykorzystywaniu biednej załogi. Dzięki Bogu ona nie będzie musiała mieć z nim więcej do czynienia. Żałowała jedynie, że nie będzie mógł zobaczyć, jak sobie świetnie radzi w gorsecie i we wszystkim, co na siebie włożyła. Powachlowała się energicznie.

Dwa dni później na horyzoncie pojawiła się linia brzegowa z plażami i klifami, za którymi można było dojrzeć kamienne wzgórza i żyzne równiny. Północna Afryka. Maroko, kolebka targów z przyprawami, minaretów i mężczyzn w turbanach... kraj piaskowych wydm i oaz... karawan wielbłądów sunących w kierunku Sahary.

Za intensywnie błękitną wodą i białą pianą fal piasek na plaży mienił się tysiącem odcieni czerwieni, szarości i żółci. Ciemne skały piętrzyły się nad nierówną linią brzegową, a w nich szeregi otworów zamieszkałych przez ptaki morskie. Gdziekolwiek, na szczytach klifów, stały zwrócone w stronę morza

czerwone skupiska domków. Poniżej wiosek widoczne były zacumowane łodzie rybackie z połatanymi żaglami łopoczącymi na wietrze lub rozciągniętymi na plaży wokół ognisk.

Gwiazda podpłynęła bliżej brzegu, gdzie morze było cieplejsze, a wiatr od lądu, przynosił ze sobą delikatny zapach piasku i przypraw korzennych. Opanowało ją kojące uczucie spełnienia obietnicy. Przetrwała podróż do Casablanki i nauczyła się też paru nowych rzeczy. Odżyła w niej wiara co do możliwości ukończenia poszukiwań wielkiej biblioteki, które zapoczątkował profesor Chilton.

Gdy na horyzoncie ukazały się mury miasta, pojawił się Haffe z filiżanką herbaty i lingwistyczną mieszanką, którą starał się przybliżyć jej topografię Casablanki. Wskazał minarety wielkiego meczetu, Bab el-Marsa, zwanego „morskimi wrotami”, a pod murami miasta dzielnicę prowizorycznych magazynów, tawern i knajp przeznaczonych dla wypłacalnych żeglarzy. Między tym terenem a statkami czekającymi na wyładunek rozciągał się pas kamiennego nabrzeża i drewnianych doków rojących się od pracowników. Na południu miasta znajdował się otoczony osobnym murem kompleks, który steward nazwał sqała, bastion wybudowany sto lat temu, a teraz zajęty przez trudnych sojuszników - wojska Maroka i regiment francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Podeksytowana, wróciła do kajuty i zaczęła pakować ubrania, książki i papiery.

Emily Lowe, w książce „Bezbronne kobiety w Norwegii”, kładła duży nacisk na to, że samotnie podróżująca kobieta nie powinna nigdy brać więcej bagażu niż jedną torbę podróżną, na wypadek gdyby musiała przejąć na siebie rolę bagażowego. Tak więc nabyła przedmioty zalecane w „Podróżniczkach na kontynencie”, ale przyznając rację Emily, że podróżowanie konno lub na grzbiecie wielbłąda może wymagać pewnej elastyczno-

ści, zredukowała bagaż do trzech pojemnych toreb podróŜnych, które kazała wzmocnić skórą i wyposaŝyć w wewnętrzne kieszenie. Jej kufer będzie mógł poczekać na nią w hotelu w Casablance, do czasu aż wróci z wyprawy.

Tak, była świetnie przygotowana, powiedziała sobie, kiedy przeniosła ostatnią ze swoich rzeczy z kufra do torby podróŜnej. Pozostawało jedynie poprosić kapitana o zamówienie powozu, który zawiezie ją do konsulatu brytyjskiego. Londyński urzędnik do spraw współpracy z zagranicą zapewnił ją, Ŝe w konsulacie będą wprost wniebowzięci, mogąc polecić jej wygodne zakwaterowanie i godnego zaufania przewodnika.

Woda w dokach była ciemna od szlamu, oleju do impregnowania kadłubów statków, odpadków rybnych i gnijących szczątków Bóg wie czego. Apollo Smith zmagał się z potrzebą oddychania i jednocześnie niemoŜnością wdychania tego smrodu, gdy wplaw przedostawał się do doku, holując przed sobą skórzaną walizkę. Nie było to wymarzone zwieńczenie długiej podróŜy, ale miał do wyboru albo to, albo ryzyko aresztowania przez oddział Legii, który niestety grasował po doku, w chwili gdy Gwiazda dobijała do brzegu.

Zresztą spodziewał się tego. Legia Cudzoziemska zawzięcie pilnowała swoich zwerbowanych Ŝołnierzy, szczególnie tych, których zaciągnięcie naleŝało do mniej dobrowolnych. A jego własne wstąpienie w szeregi Legii pić lat temu było jednym z tych mniej ochotniczych. Po nocy pijaństwa i ekscesów obudzil się w metalowej skrzyni na dziedzińcu więziennym, aresztowany za zabicie człowieka podczas bójki. Dostał do wyboru - albo pozostanie w dusznej skrzyni aż się upiecze, albo wstąpi do Legii.

Początkowo stawiał opór, Ŝądając widzenia z konsulem brytyjskim i procesu, a potem dopominał się juŝ tylko moŝliwości wysłania listu do wuja. Jedno i drugie wywoływało wielką

radość strażników. Po dwóch tygodniach spiekoty, głodu, niezadko bicia, w końcu się poddał i podpisał zgodę na oddanie swojego życia i ciała do dyspozycji francuskiej Legii Cudzoziemskiej na okres pięciu lat.

Może i był szalony, wracając tu znowu, ale przynajmniej nie był już tak głupi. Tym razem wiedział, czego może się spodziewać w Maroku. Dokładnie przyjrzał się dokom, kiedy statek się do nich zbliżał, i zauważył legionistów na nabrzeżu. Mieli na twarzach blizny po licznych bójkach, a brzuchy wylewały im się zza pasków z powodu nadmiernego spożywania piwa w portowych tawernach. Miał nadzieję, że tylko ten jeden oddział legionistów stał na jego drodze.

Zdjął koszulę i buty, wcisnął je do walizki i wyskoczył przez burtę do morza, by przepłynąć wpław do miejsca, gdzie rozładowywano inny statek, i gdzie mógł liczyć na osłonę, gdy będzie wychodził na brzeg. Kiedy już się tam znalazł, włożył ubranie i wspiął się na stertę drewnianych skrzyń, by obserwować legionistów.

Uniósł opaskę i mrużąc lewe oko oślepione jaskrawym słońcem, przyglądał się żołnierzom. Udało mu się rozpoznać jednego z nich, typka nazywanego Banan, krępego konusa o spłaszczonym nosie i nieprzyjemnym usposobieniu. Zaklął cicho na jego widok. Właśnie takich ludzi Legia wysyłała do najbrudniejszych i najbardziej odrażających zadań. Ohydny wieprz. Z całym szacunkiem dla wszystkich przedstawicieli tego gatunku ssaków na całym świecie.

Ze swojego punktu obserwacyjnego obrzucił badawczym spojrzeniem cały dok i zdał sobie sprawę, że na odcinku pięćdziesięciu jardów nie będzie miał żadnej osłony. Kląć pod nosem, położył się płasko na wierzchołku skrzyń i pogodził się z myślą, że będzie musiał poczekać, aż oddział legionistów opuści port, albo do czasu nastania zmroku.

I wtedy dostrzegł ją.

Abigail Merchant stała na szczycie trapu, wyklócając się z jednym z przedstawicieli służb *nabrzeża* o niespodziewany „podatek”, którego żądano od wszystkich osób wysiadających ze statków. To dla niej typowe, pomyślał, przebyć całą drogę do Maroka, a potem robić wielką sprawę z powodu paru drahm łąpówki.

Nagle jego uwagę przykuło poruszenie u stóp trapu. Kilku brudnych, obdartych nabrzeżnych rzezimieszków kradło trzy wielkie torby podróżne i ciągnęło je w ślepy zaułek.

Uważaj, kobieto, okradają cię za twoimi plecami! Niestety nie mógł tego wykrzyknąć, bo ujawniłby swoją kryjówkę.

- Moje bagaże! Kradną moje bagaże! - W końcu zauważyła, co się dzieje. - Zatrzymajcie ich! Niech ktoś ich zatrzyma! - Zbiegła po trapie, przepychając się między tragarzami wchodzącymi na statek po kolejną porcję ładunku, ale złodzieje zniknęli już w najbliższej uliczce.

- *Un voleur... arretez-vous* - krzyknął Haffe, wymachując gwałtownie rękami z pokładu statku. Ale jego okrzyk tylko wprowadził zamieszanie wśród załogi i pracowników doku, z których wielu nie zrozumiało zawołania i pomyślało, że raczej ich oskarża, a nie wzywa do pomocy. - Legionisty! - Haffe starał się zawołać żołnierzy walęsających się w pobliżu. - Dalej, dalej! Złodziej!

Najpierw legioniści wydali się zaskoczeni, a potem oburzeni faktem, że ktoś prosi ich, żeby angażowali się w tak przyziemną sprawę. Zaciskając dłonie na pałkach, ruszyli w przeciwnym kierunku.

Kapitan Demetrios zaalarmowany krzykami wybiegł z jednego z pomieszczeń ładunkowych i szybko polecił kilku swoim ludziom, by ruszyli w pogoń.

Gdy załoga Gwiazdy wdała się w spór na temat tego, którą uliczką pobiec, dokąd mogli uciec złodzieje i co wziąć ze sobą

Un voleur... arretez-vous! (fr.) - Złodziej... zatrzymać się (przyp. tłum.).

jako broń na tak bezczelnych łotrów, z dalszego nabrzeża przybiegła grupka mężczyzn, krzepkich pracowników doków uzbrojonych w pałki i żelazne rurki, a za nimi krępy, starannie ubrany mężczyzna w białym trzyczęściowym garniturze. Podszedł do ściągającej na siebie problemy panny Merchant i zdjął kapelusz. Apollo zamarł.

- *Mademoiselle*, proszę pozwolić bym był do pani usług - odezwał się płynną francuszczyzną, wbijając w chodnik laskę ze srebrną główką i opierając się na niej w nonszalanckiej pozie. Kiedy Abigail kiwnęła głową z przyzwoleniem, machnął białą panamą na swoich ludzi, wysyłając ich w pogoń za złodziejami.

- Dziękuję panu - odparła bez tchu. - Ale z pewnością będę musiała skontaktować się z władzami... z policją...

- Obawiam się, że tutejsze władze nie będą szczególnie pomocne - powiedział mężczyzna, smutno kiwając głową.

- W doku wciąż zdarzają się kradzieże. Szczęśliwie, moi pracownicy mają doskonałą orientację w okolicy. Jeśli tylko będzie to możliwe, *mademoiselle*, odzyskają pani bagaże. — Obdarzył ją uśmiechem pełnym samozachwytu. - Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się...

- Ferdineaux LaCroix - mruknął Apollo pod nosem, obserwując Francuzika, który składał pocałunek na dłoni Abigail. Na ten widok zachciało mu się splunąć. I to siarczyście.

- Abigail Merchant. Jestem bardzo wdzięczna, sir, za pomoc w odzyskaniu mojego bagażu. W torbach mam przedmioty dla mnie bezcenne.

W tym momencie LaCroix zauważył kapitana Demetriosa, stojącego w połowie trapu i przyglądającego się im.

- Kapitanie. - LaCroix zaszczycił go skinieniem głowy.

- *Monsieur* LaCroix.

Demetrios zamilkł na moment i wyglądało, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale nagle skinął zdawkowo głową i skie-

rował się z powrotem do ładowni. LaCroix uśmiechnął się i ponownie zwrócił się do Abigail Merchant.

- *Quel dommage**, *mademoiselle*, że dane nam było spotkać się w takich okolicznościach. Jeśli zechce mi pani podać adres swojego hotelu w Casablance, dopilnuję, żeby bagaże zostały pani dostarczone, jak tylko je odzyskamy.

- Nie mów mu - wycedził Apollo przez zęby.

- Miałam zamiar iść najpierw do konsulatu brytyjskiego - odparła Abigail z wahaniem. - Kapitan powiedział, że zamówi dla mnie powóz. Zasugerował hotel o nazwie Exeter.

- Exeter, stara dobra marka... - LaCroix potarł dłonią czoło. - Pożar. Niedawno był tam pożar, *mademoiselle*. Obawiam się, że Exeter nie jest jeszcze czynny. Ale jest inny hotel... Marrat. - Rozpromienił się i wskazał gestem w stronę eleganckiego czarnego powozu z modnymi żółtymi kołami. - Mogę tam panią zawieźć i oszczędzić trudów obojgu, pani i kapitanowi.

- Marrat? - jęknął Apollo. - Nie ma w nim drzwi, do których nie pasowałyby przynajmniej pięćdziesiąt kluczy.

Jakby na sygnał, dwóch muskularnych podwładnych LaCroix wyłoniło się zza rogu, niosąc dwie torby podróżne. Abigail prawie rozplynęła się w wyrazach wdzięczności.

- Och, dziękuję panie LaCroix! - Ucisnęła dłonie Francuza, a potem uklękła, by rozpiąć sprzączki przy torbach i otworzyła je. - Dzięki Bogu, nie ruszyli... ale zaraz... nie ma jeszcze jednej torby. Moje książki i papiery...

- Cholera. - Apollo zacisnął dłonie w pięści. - To pewnie o tę chodziło.

- Znajdziemy ją, *mademoiselle*. - LaCroix spoglądał, jak z powrotem zapinała torby, a potem pomógł jej wstać.

- Pańska uprzejmość mnie przytłacza - powiedziała, chwytając się na nogach.

Quel dommage - (fr.) jaka szkoda.

- Mnie też - warknął Apollo, przesuając się na skrzyniach, żeby mieć lepszy widok.
- Nawet nie wiem, jak mogłabym się panu odwdziaczyć
- ciągnęła.
- Już on wymyślił na to sposób - skomentował Apollo.
- Radość na pani pięknej twarzy jest dla mnie wystarczającą zapłatą, *mademoiselle* - powiedział LaCroix, patrząc na nią, łakomym wzrokiem. — I może jeszcze kolacja w pani towarzystwie dziś wieczorem w restauracji hotelu Marrat.
- Oczywiście ona się zgodzi - mruknął Apollo.
- Będę zaszczycona, *monsieur*.

Apollo przyglądał się zrezygnowany i wściekły, jak Francuz podaje jej ramię, prowadzi ją wzdłuż doku i pomaga wsiąść do swego powozu. Właściwie nie martwił się w tej chwili o uparcie wbijającą się w gorset pannę Merchant. Ale był powód, dla którego zależało mu na jej dobrym samopoczuciu. Jeszcze na statku, kiedy dostrzegł na brzegu legionistów, zszedł do jej kajuty i włożył swoje papiery do jej bagażu.

Zaczekał, żeby mieć pewność, że legionści nie wrócą i zszedł ze skrzyni. Nie chcąc ryzykować, prześlizgiwał się wzdłuż stert ładunku, nasłuchując i rozglądając się na wszystkie strony. Nabrzeże wydawało się puste, więc wyszedł na główny dok... wpadając wprost na patrzącego z niedowierzaniem Haffego.

- Pańskie oko, Smiiith... chwała niech będzie Allahowi!
- Był bliski padnięcia na kolana, kiedy Apollo zasłonił mu dłonią usta i wciągnął go za stertę skrzyń.
- Cicho. - Uwolnił stewarda i nałożył z powrotem opaskę na oko, co całkowicie dezorientowało Haffego. — To przebranie.
- Haffe nadal przyglądał mu się z zakłopotaniem. - Podróżuję incognito. Ukrywam się. *Cachant**. - Wreszcie coś zaświtało

Cachant - (fr.) ukrywający się (przyp. tłum.).

w głowie Berbera. - Widziałeś, jak odjeżdżała panna Merchant?
;- spytał Apollo.

- Miiz Merchant? Pojechać. - Wskazał w kierunku, gdzie
stał powóz. - Z jej tata.

- To nie jej ojciec, przyjacielu. - Apollo pokręcił głową.

- Nic z tych *rueci*.

Powóz Francuza pędził wąskimi, zacienionymi uliczkami Casablanki z taką prędkością, że przechodnie musieli w popłochu cofać się do najbliższych wnek drzwiowych i bram. Powietrze było gorące i przesycone zapachem kurzu, nawozu i farbowanej przędzy, której wielobarwne pasma zwisały nad ulicami. Gdy droga stała się szersza, poczuli powiew wiatru niosącego ze sobą zapachy schnącej juty, jedzenia przyrządzanego na piecykach koksowych i świeżo opalanej skóry.

Z domów, które mijali, dobiegały egzotyczne dźwięki: rytmiczny głuchy odgłos pedału maszyny do tkania dywanów, melodia instrumentów strunowych płynąca z kawiarni, okrzyki

sprzedawców na straganach. Turbany i brązowe od słońca twarze mężczyzn, brzęcząca biżuteria i zasłonięte twarze kobiet, stoiska uginające się od nagromadzonych tkanin, kapci i mosiężnych naczyń, drewniane wozy pełne oliwek, pomarańczy, daktyli i melonów - wszystko to wyglądało obco i wywoływało nieznane dotąd wrażenia. Szczególnie nieznanymi wrażeniami dostarczał upał.

Jej gorset, tak jak przewidział Smith, ścisnął ją niezdolnie i odbierał dech w piersiach. Wachlowała dłonią poczerwieniałą twarz i próbowała wyrzucić z pamięci to, jak mówił jej, że powinna zrezygnować z tego rodzaju części garderoby i nie dbać tak bardzo o bezsensowną w tym klimacie etykietę stroju zachodniego.

Arogancki typek. Nie prosiła go wcale o rady. Dzięki Bogu nie było go w doku i nie widział, jak skradziono jej bagaże, zanim jeszcze zdążyła postawić stopę na marokańskiej ziemi.

- Czy po drodze będziemy mijać konsulat brytyjski? - spytała swojego dobroczyńcę.

- Brytyjski konsul zamieszkuje w pobliżu Bab el-Marrakesz, ale większość czasu spędza w Rabacie — poinformował ją.

- Gdyby się pani z nim skontaktowała, to i tak na spotkanie musiałaby pani poczekać, *mademoiselle*. Czasami między jego wizytami w Casablance upływa nawet kilka tygodni.

- Ale dano mi do zrozumienia, że jest tutaj stały konsulat.

- Zacisnęła nerwowo dłonie i starała się opanować.

- Londyn - ciemne oczy LaCroix błysnęły z rozbawieniem - jest bardzo daleko od Casablanki, *ouil*

. Zmusiła się do czegoś na kształt słabego uśmiechu.

Była w Casablance nie dłużej niż godzinę, a już zdążyli ukraść jej bagaż i dowiedziała się, że tak precyzyjnie nakreślone przez nią plany były najwyraźniej oparte na wybujałej wyobraźni brytyjskiego urzędnika do spraw zagranicznych. Zdążyła też zaciągnąć dług wdzięczności u Francuza, który patrzył na nią, jakby była dobrze wypieczonym stekiem.

Jej morale podupadło jeszcze bardziej, kiedy zajechali przed hotel Marrat i zauważyła, że mieści się on w budynku z zakurzonymi stiukami, cegłami wystającymi spod pokruszonego tynku i wstawkami ceramicznymi błagającymi rozpaczliwie o remont, oraz z żelaznymi balustradami, które z mizernym skutkiem imitowały balkony pod oknami na piętrach. Dolna część drzwi wejściowych była odrapana, a jedno ze skrzydeł samoistnie otwierało się na ulicę. Wzięła głęboki oddech i modliła się, żeby zapachy skwaśniałego mleka i stęchłej skóry, które zaatakowały jej nozdrza, nie miały źródła w hotelu.

Właściciel Marrata, wychudzony, blady człowieczek w zmietym zachodnim garniturze i fezie, wybiegł do nich na powitanie w chwili, kiedy powóz zatrzymał się przed wejściem. Kłaniał się i uśmiechał przesadnie, ukazując braki w uzębieniu i wykrochmalony kołnierzyk, który już dawno przestał być biały. Kiedy *monsieur* LaCroix wprowadzał ją do holu hotelowego, jej

nos zarejestrował jednocześnie dobrą i złą wiadomość. Szczęśliwie zapach skwaśniałego mleka został za nimi na ulicy, ale stęchły odór skóry niewątpliwie pochodził z wnętrza hotelu Marrat.

Pan LaCroix - „Ferdinand”, jak nalegał, żeby Abigail się do niego zwracała, - poinstruował właściciela, żeby traktował ją, jakby była z rodziny królewskiej, potem pocałował jej dłoń i oświadczył, że będzie niecierpliwie odliczał minuty do ich następnego spotkania przy kolacji. Ona też będzie liczyła minuty, pomyślała, ale do momentu, gdy wreszcie będzie mogła wyruszyć w podróż do Marrakeszu.

Właściciel nalegał, by osobiście zaprowadzić ją do pokoju, który znajdował się na trzecim piętrze. W centralnej części hotelu był zarośnięty dziedziniec ze zniszczoną fontanną. Jej pokój znajdował się w najdalszym skrzydle piętra, daleko od wejścia i innych pokoi hotelowych, a także pozostałych gości.

Dekoracja była przypadkową mieszanką stylu europejskiego i północnoafrykańskiego: na ścianach stiuki i kolorowe płytki ceramiczne, a meble pochodzące raczej z krajów zachodnich. Łoże było z typu ogromnych i wysokich jak katafalk, ze sfatygowanym materacem z metalowymi sprężynami. W pokoju znajdowała się też toaleta, która wyglądała jakby ocalała z pożaru, fotel w stylu Chippendale z wyściółką sterzącą na wszystkie strony spod tapicerki. Popękana podłoga z płytek była przykryta kolorowymi wełnianymi dywanami, a pod sufitem umieszczono wiatrak ze skórzanymi skrzydłami, uruchamiany zwisającym paskiem, a napędzany czymś co znajdowało się na zewnątrz i wydawał monotony, niski, buczący dźwięk.

Kiedy drzwi zamknęły się za właścicielem i tragarzami, wypróbowała łóżko, siadając na nim ciężko i wznosząc przy tym chmurę kurzu. Otworzyła okiennice, wychyliła się, żeby przetestować małego balkonik i kilkakrotnie głęboko wciągnęła powietrze do płuc. To tylko na parę nocy, powiedziała sobie. Przetrwiała śmiertelny sztorm na statku, to i to przeżyje.

Oczywiście na morzu ktoś jej pomógł.

Twarz Smitha pojawiła się w jej umyśle nieproszona i Abigail poczuła wprawiający ją w zakłopotanie wyrzut sumienia i rozczarowanie, że nie zobaczyła się z nim przed zejściem ze statku, a to, że nie podziękowała mu należycie, traktowała jako osobistą porażkę, ciążyła jej świadomość niespłaconego długu.

Pomyślała o swoim nowym dobroczyńcy, i natychmiast starała się o nim zapomnieć.

Powinna odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Jutro pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie wyprawa do konsulatu brytyjskiego. Jeśli konsula rzeczywiście nie będzie, z pewnością ktoś - na przykład zaufany sekretarz - będzie mógł udzielić jej informacji. Zapyta i poprosi o pomoc.

Część restauracyjna hotelu Marrat, która znajdowała się parę kroków od głównego holu, przypominała bardziej hałaśliwą kawiarnię niż restaurację. Obsługa wykazała się wprost nadzwyczajną gorliwością wobec *monsieur* LaCroix i jego gościa. Ich stół był jedynym, na którym leżał obrus i stał świecznik, zamiast, tak jak pozostałe, straszyć gołymi deskami i niebezpieczną, mocno zużytą lampą perską. Nad stołami unosił się dym tureckiego tytoniu, którym raczyli się zarówno Europejczycy, jak i Marokańczycy, popijający zachodnie trunki i zapalczywie dyskutujący. Nie było tam ani jednej kobiety, co Abigail uświadomiła sobie, gdy zauważyła, że ona i *Monsieur* LaCroix stali się obiektem ciekawskich spojrzeń.

Monsieur złożył już dla nich zamówienie, ale całe szczęście, menu zawierało także pozycje, które była w stanie rozpoznać: kurczak, dynia, czosnek, groszek i melony. Dania, których wcześniej nie spotkała, były stosunkowo łagodne w smaku - gęste, zawiesiste mleko, które nazywali jogurtem, ryż z mięsem zawiniętym w liście winogron, i coś jakby mieszanka ryżu i pszenicy, zwana *couscous*. Konwersacja obracała się głównie

wokół jaskrawych opisów lokalnych bazarów z żywnością, sposobów przyrządzania potraw i marokańskiego stylu życia. Oczywiście to LaCroix mówił. Kiedy podano herbatę - ten sam wrzący napar mięty z cukrem, którego skosztowała na pokładzie statku - LaCroix wreszcie dotarł do sedna, czyli powodu zaproszenia jej na kolację.

- Co sprowadza panią do Casablanki, *Mademoiselle*. Śliczna młoda kobieta, podróżująca sama...

Pieszczota, z jaką wymówił słowo „sama”, sprawiła, że ucieszyła się, że nie przyjęła wina, które jej proponował.

- Przyjechałam tu z misją badawczą. - Jego ton stawał się coraz bardziej przytulny, więc przeciwstawiła mu swój stanowczy profesjonalizm. - Jestem bibliotekarką w British Museum. Zajmuję się studiowaniem rękopisów i przybyłam tu w poszukiwaniu pewnych tekstów historycznych.

- Tekstów? Ma pani na myśli książki? W niektórych meczetach są swego rodzaju biblioteki... zakurzone i zapomniane miejsca, którymi zajmują się wędnący staruszkowie. - Obrzucił ją lepkim spojrzeniem. - A ja nie dostrzegam w pani tego rodzaju symptomów uczonego, *mademoiselle*.

- W takim razie proszę się lepiej przyjrzeć, *monsieur* - zadawała brodę - ponieważ jestem właśnie takim naukowcem.

- Doprawdy? - Przyglądał się jej z rozbawieniem, stukając palcami o blat stołu. - Jest pani pewna, że nie przyjechała tu, by kopać w poszukiwaniu zaginionych grobowców wypełnionych cennymi dziełami sztuki?

Cennymi? Miała nadzieję, że nie zauważył, jak drgnęła na dźwięk tych słów. Bezcennymi.

- Oczywiście, że nie. Poszukuję książek, chociaż nie takich, jakie znamy... raczej zwojów lub papirusów, czegoś, co mogli spisać starożytni Egipcjanie.

- Egipcjanie? - Uśmiechnął się szeroko. - Radziłbym pani postudiować mapy tak samo dokładnie jak pani „teksty”, *mademoiselle*. Do Egiptu jest bardzo daleka droga z Maroka.

- Niemniej zamierzam pojechać do Marrakeszu. Jedyne czego potrzebuję, to przewodnik, koń i tragarz.

- A co daje pani pewność, że znajdzie pani coś cennego w Marrakeszu?

Nachylił się do niej i wyczuła oczekiwanie w jego łagodnym spojrzeniu. Następne słowa dobierała bardzo uważnie.

- Przystudiowałam wiele dokumentów zebranych przez świetnego naukowca antycznego, którego prace wpadły mi w ręce w British Museum. Profesor Thaddeus Chilton badał te teksty bardzo wnikliwie, a ja jestem pewna, że odkrył klucz do ich lokalizacji. Jego praca wyraźnie wskazuje na Marrakesz i na południe.

- Czyli jednak mapa skarbów? - wybuchnął śmiechem.

Hałas wokół nich ucichł w chwili, kiedy LaCroix wypowiedział te fatalne słowa. Wszystkie twarze nagle zwróciły się w ich stronę z żywym zainteresowaniem.

- Żadnych skarbów - powiedziała, podnosząc głos, w nadziei, że jej słowa dotrą do uszu wszystkich ciekawskich. - No chyba że ktoś uzna, że słowa starożytnych mogą być skarbnicą mądrości.

Nagle uwagę LaCroix przykuło dwóch mężczyzn, którzy w tym momencie weszli do holu. Jego spojrzenie pociemniało, kiedy przystanęli i skinęli głowami, przywołując go do siebie. Obaj mieli spocone twarze i byli ubrani w zabrudzone koszule. Niższy z nich miał rozcięty łuk brwiowy i krwawiącą wargę, a wyższy ciemniejącą opuchlizną na szczęce i zadrapania na przegubach rąk.

- *Pardon, mademoiselle.* - *Monsieur* podniósł się z uprzejmym skinieniem głowy i odszedł od stołu. Zbliżył się do dwóch mężczyzn i prowadził ich tuż za drzwi hotelowej jadalni. Wyglądało na to, że byli posłańcami, którzy przynieśli Francuzowi niedobre wieści. Jego twarz stężała, a sylwetka sztywniała w miarę, jak słuchał. W pewnej chwili jego wzrok napotkał spojrzenie Abigail, która przyglądała mu się uważnie. Uśmiech-

nał się z trudem i powoli odwrócił się, by nie mogła widzieć jego twarzy.

Parę minut później odprawił mężczyzn, którzy pospiesznie odeszli, i wrócił do stolika z poważną miną.

- Coś się stało? - spytała Abigail, mając nadzieję na wymówkę, która wcześniej zakończy ten wieczór. - Proszę, niech pan nie myśli, że musi mnie zabawiać, jeśli ma pan coś pilnego...

- Nie, nie. Nic ważnego - urwał i usiadł. - Może mi pani powiedzieć, czy było coś cennego w pani trzeciej torbie?

- Były tam *ruzycy* bardzo cenne, ale tylko dla mnie. Książki, dokumenty i parę drobiazgów osobistych. Dlaczego pan pyta? - powiedziała, czując niepokój z powodu jego badawczego spojrzenia.

- Wygląda na to, że moi ludzie znaleźli pani bagaż. I kiedy nieśli go tu, do hotelu, zostali niespodziewanie napadnięci przez kolejnego złodzieja, który ich pobił i zabrał torbę. - Jej okrzyk przerażenia spowodował, że LaCroix natychmiast zareagował uspokajającym gestem. - Nie, nie... widziała pani, nie odnieśli poważniejszych ran. No może trochę ich duma została ugodzona. - Uśmiechnął się smutno. - Czy jest pani pewna, *mademoiselle*, że nie było w tej torbie niczego cenniejszego?

- Zwykle mapy i pamiątniki profesora. - Ściszyła głos, gdy zauważyła, zaciekawione spojrzenia. - Wszystkie dzienniki spisane są antyczną greką. W języku Arystotelesa, Homera i Platona. Nie mają większej wartości dla nikogo, oprócz mnie. - Po krótkim namyśle skrzywiła się. - Albo dla jakiegoś innego znawcy starożytnych języków.

- Rzeczywiście potrafi pani czytać takie rzeczy, *mademoiselle* - Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Jestem w tym całkiem biegła, *monsieur*. Studiowałam języki antyczne całe życie.

- Zatem rzeczywiście jest pani uczoną, *mademoiselle*, a ja muszę zwrócić pani honor i prosić o wybaczenie, że nie potraktowałam poważnie pani pracy. - Położył dłoń na piersi. - Po

prostu błyskotliwość i osiągnięcia naukowe rzadko idą w parze z taką urodą.

Spuściła wzrok z fałszywą skromnością i cicho jęknęła.

- Musi pani pozwolić, bym naprawił swój błąd, mademoiselle Merchant - oświadczył podkreślając stanowczość swych słów uderzeniem dłonią w stół. Gdy podniosła wzrok, jego uśmiech był słodki jak ulepek. - Powiedziała pani, że potrzebuje transportu do Marrakeszu. No cóż, jestem właścicielem firmy eksportowej, która prowadzi interesy w Marrakeszu. Za dwa dni rusza tam moja karawana i byłbym zaszczycony, gdyby ze chciała pani do niej dołączyć. - Ożywił się jeszcze bardziej, kiedy przypomniał sobie o dodatkowych środkach. - Mogę nawet zapewnić pani przewodnika, który zna Marrakesz i okoliczne drogi.

- Jestem bardzo wdzięczna, *monsieur*, - Westchnęła, rozpaczliwie poszukując wymówki, ale nie przychodziła jej do głowy żadna, z wyjątkiem zażenowania, jakie odczuwała, za ciągnąc dług wdzięczności u mężczyzny, którego oczy przeczyły temu, co mówiły usta. - Ale nie mogę sprawić panu tylu kłopotów. Już był pan dla mnie wystarczająco uprzejmy.

- Nonsens - powiedział, wybuchając śmiechem, który jednak nie znalazł odbicia w jego ciemnych oczach. - To żaden problem, Zapewniam panią. Wyświadczy mi pani uprzejmość, pozwalając okazać hojność mojej natury. - Zachichotał i uniósł kieliszek z winem w toaście. - Za tych, którzy uważają, że może mi się przydać takie ćwiczenie się w dobrych uczynkach.

Abigail musiała jeszcze znieść dwa dodatkowe toasty za swą urodę i inteligencję, nim udało jej się powstrzymać jego dalszą wylewną adorację i udać się wreszcie do pokoju. Nawet wtedy *monsieur* był tak uczynny, że obawiała się, że zechce odprowadzić ją pod same drzwi. Ubiegła jednak taki przebieg wydarzeń, zatrzymując się przy recepcji, by zapytać o wiadomości dla niej - chociaż nie spodziewała się żadnych. Ale dzięki temu wciągnęła

w rozmowę recepcjonistę, co pozwoliło jej uwolnić się od Francuza, i samotnie ruszyła po schodach do swojego pokoju.

Bolały ją plecy i trzęsły się pod nią nogi, kiedy wyciągnęła klucz i otworzyła drzwi. Wsunęła się do środka, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Dzięki Bogu, miała to już za sobą. Przeszła ostrożnie przez ciemny pokój i odnalazła drogę wzdłuż łóżka do lampy stojącej na nocnej szafce. Łagodne światło rozlało się wokół niej.

- No nareszcie - rozległ się męski głos, co sprawiło, że ugięły się pod nią nogi. - Już prawie straciłem nadzieję.

Przerażona potknęła się i ze zdławionym okrzykiem padła na łóżko.

Na podłodze obok jednej z jej toreb podróżnych siedział przykucnięty amator pijaństwa i hazardu, jej jednooki pielęgniarz ze statku. Kiedy wstawał i prostował się, przy jego boku mignęło coś metalowego. Nóż, zdała sobie sprawę, kiedy schował go do cholewy wysokiego do kolan buta.

Obrzuciła wzrokiem jego spodnie koloru khaki i koszulę, która też miała trochę militarny wygląd, i zatrzymała spojrzenie na skórzanych szelkach z ukośnym paskiem biegnącym w poprzek piersi. Na lewym policzku miał świeży siniec.

- Co pan tu robi? - spytała surowo, a jej wzrok powędrował do cholewy z nożem i do torby stojącej obok niego. - Grzebie pan w moim bagażu?

- Zwracam pani własność. - Szturchnął nogą torbę. Chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że to była ta torba, którą jej skradziono.

- Gdzie pan ją... Jak pan ją... - Uklękła obok bagażu i wyciągnęła kluczyk, żeby otworzyć zamek. - Pan LaCroix powiedział, że ktoś ukradł ją jego ludziom.

- Raczej odzyskał - poprawił ją z irytacją. - I to byłem ja. Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Ukradł ją pan po tym, jak oni odzyskali ją od złodziei? Zatknął kciuki za pasek i obrzucił ją urażonym spojrzeniem.

- Nie rozumie pani tego? To oni pierwsi ukradli pani bagaż.

- Proszę nie być śmiesznym. Widziałam tych nieszczęśników, którzy to zrobili. - Otworzyła torbę i zaczęła wyjmować z niej rzeczy, by upewnić się, że nic nie zginęło. - Oni byli

brudni i półnaczy. Marynarze nazywają takich szczurami porlowymi.

- To naganiacze - dodał. - Zapłacili im, żeby zabrali bagaże, tak by ludzie LaCroix mogli je „odzyskać”. To podstęp. - Zrobiła taką minę, że westchnął ciężko. - Mistryfikacja, oszustwo.
- Kiedy zmarszczyła brwi i pokręciła głową, spojrzął na nią spode łba. - Pani naprawdę jest jak dziecko we mgle. To taka intryga, w której pozorują kradzież, a potem sami ratują z opresji swoją ofiarę.
- A co w ten sposób mogą zyskać? - Znalazła dzienniki profesora i wyciągnęła je, by upewnić się, że są wszystkie.
- Pani zaufanie, tak by potem móc ukraść pani coś znacznie większego i cenniejszego.
- To śmieszne. Pan LaCroix nigdy nie pozwoliłby swoim ludziom zaangażować się w coś tak podstępnego.
- Nie ma pani pojęcia, kim on jest? - oświadczył, opierając dłonie na biodrach.
- Jest handlowcem. Importuje i eksportuje jakieś towary.
- To oszust, złodziej i łotr. Wystarczy, że się pani z nim raz zada, a potem ślad po pani zaginie, zanim jeszcze zdoła pani dotrzeć do Marrakeszu.
- Absurd - odparła, czując, jak ściska jej się gardło na myśl o tym, że jednak miała rację, wątpiąc w intencje Francuza.
- Nie większy absurd niż pani siedząca w restauracji na skraju Kasbahu* paplająca na prawo i lewo o antycznych księżkach i mapach skarbów. Dobry Boże, kobieto, równie dobrze mogłaby pani wspiać się na dach i wykrzyknąć stamtąd: „Przyjdźcie mnie okraść!”.
- Podstuchiwał pan moją rozmowę?
- Cały piekielny Kasbah ją słyszał. Przyszedłem zwrócić pani torbę, a znalazłem panią przy kolacji z sułtanem czarnego

Kasbah - forteca z pałacem otoczona murami; miasto lub jego centralna stara część, w przedkolonialnej Północnej Afryce (przyp. tłum.).

rynku Casablanki. - Przysunął się bliżej. - Do rana każdy kryminalista i morderca w mieście będzie wiedział o mapie skarbów Panny Boston-Ameryka. A połowa z nich zacznie realizować swoje plany uwolnienia pani od tej mapy.

- Nie mam żadnej mapy skarbów. Skoro pan słuchał, to musiał pan zauważyć, że powiedziałam to wyraźnie panu LaCroix.

- Jasne. Widziałem też, jak czytał między wierszami, a także w jaki sposób przyglądała się wam połowa restauracji - schylił się i trącił ręką stosik dzienników - zastanawiając się, co takiego cennego kryje się w pani bagażu.

Wspomnienie paru tuzinów ciekawskich oczu wlepionych w nią w restauracji wywołało u niej niemiłe przeczucie, że jednak miał rację. W końcu uległa potrzebie spojrzenia mu prosto w oczy i uniosła wzrok.

„Piraci z Wybrzeża Barbarzyńców”, katalog 300..., Historia.

- Musi pani uciekać z Casablanki, i to szybko. - Chwycił ją za rękę i pociągnął, by wstała. Znalazła się wystarczająco blisko niego, by poczuć lekki zapach alkoholu z jego ust, co natychmiast przywróciło jej sceptycyzm.

- Właśnie taki mam zamiar. Monsieur LaCroix zaoferował mi miejsce w swojej karawanie handlowej do Marrakeszu.

- Apollo jęknął i zaczął protestować, ale ona nie pozwoliła sobie przerwać. - Ale zamierzam załatwić sobie własny transport. Wybieram się do konsulatu z samego rana, by uzyskać pomoc w załatwieniu bezpiecznego transportu i przewodnika. Za dzień, najdalej dwa, będę już w drodze.

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby była kompletnie stuknięta.

- Nie ma pani nawet jednego dnia, Panno Boston, a tym bardziej dwóch.

Przyciągnął ją bliżej i przyjrzał się jej, a na jego twarzy malowały się sprzeczne uczucia. Z jednej strony rozdrażnienie i irytacja, z drugiej autentyczna troska. Ta nieoczekiwana kombinacja rozbroiła ją.

Przyjrzała mu się badawczo, wytrzymując jego wzrok. Mocne rysy twarzy, kwadratowa szczęka. Intrygujący. Jej wzrok zatrzymał się na ciemniejszym sińcu na policzku, który zawdzięczał ludziom LaCroix, z jej powodu. Odetchnęła głęboko, żeby rozluźnić skurcz w żołądku i poczuła od niego jakiś inny zapach, coś, co było raczej perfumami niż alkoholem. Głęboko wciągnęła powietrze. Czy to miód? Nagle wróciło do niej wspomnienie słodzonej miodem owsianki...

Zesztywniał i wyglądał, jakby się z czymś zmagał.

- A niech tam, do diabła! Zabiorę panią do Marrakeszu.

- Co? - Zachwiała się, kiedy ją puścił, potem zrobiła dwa kroki do tyłu, by wesprzeć się o łóżko. - Nie proszę pana...

- Proszę nie wychodzić z tego pokoju, dopóki po panią nie wrócę. I proszę nikogo nie wpuszczać. Nawet właściciela. Szczególnie jego. On jest narzędziem w rękach LaCroix. Wróć, jak tylko zdobędę konie i żywność.

- Chyba muszę panu przypomnieć, że jestem w stanie doskonale...

- Dać się obrabować, wykorzystać i sprzedać do haremu na końcu świata.

- Zadać o swoje sprawy i zdecydować, kogo zatrudnię.

Przeszedł nad jej otwartą torbą podróżną i ruszył w kierunku okna, po czym zamknął na skobel od wewnątrz drewniane okiennice. Rzuciła dzienniki na łóżko i skrzyżowała ręce na piersi, obserwując, jak krążył po pokoju, podnosząc różne meble i oceniając ich przydatność do czegoś, czego nie była w stanie odgadnąć.

To szalenie, pomyślała. Albo raczej pijak. Nie miała zbyt wielkiego doświadczenia z pijanymi mężczyznami.

- To powinno wystarczyć - powiedział, przyciągając toaletkę pod drzwi, i przewracając do góry nogami ceramiczną misę.

- Proszę zamknąć drzwi, kiedy wyjdę i zastawić je tym. Proszę nie otwierać nikomu poza mną. Wróć jeszcze przed nastaniem dnia. - Przerwał, obrzucając spojrzeniem jej ubranie. -I proszę

się przebrać, najlepiej w coś do jazdy konnej. I błagam, żadnych przeklętych gorsetów.

Zanim zdołała powiedzieć, że nie zamierza pozwalać mu na dyktowanie, w co ma się ubierać i jaką trasę podróży wybrać, zaskoczył ją kolejnym bezpośrednim pytaniem.

- Ma pani broń? Coś do samoobrony?

Ogarnął ją niepokój, poczuła falę gorąca. Dotarło do niej to, co się wydarzyło, burząc tak skrzętnie wznoszony mur obronny. Wokół niej pełno było złodziei i łajdaków, a dwóch bardzo różniących się od siebie mężczyzn nalegało, by powierzyła im opiekę nad sobą. Nie miała pojęcia, któremu zaufać.

- Oczywiście. M-mam pistolet. W jednej z toreb. - Chyba... Miała nadzieję.

- Proszę go naładować i trzymać pod ręką - przykazał.

Nagle wydało jej się, że cała wyprawa stanęła w obliczu zagrożenia ze strony mężczyzn, czekających tylko, by mówić jej, co może, a czego nie wolno jej robić.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć, panie Smith, jeśli to rzeczywiście pańskie prawdziwe nazwisko... - Musiała odzyskać władzę nad własnym życiem. - Doceniam fakt, że zwrócił pan moją torbę i zaoferował pomoc, ale nie mam zamiaru podróżować z panem do Marrakeszu ani nigdzie indziej. Już panu powiedziałam, że pierwszą rzeczą, jaką jutro zrobię, będzie wizyta w konsulacie, gdzie o pomoc w zorganizowaniu transportu poproszę konsula lub jego pracowników...

- Konsulat pomoże pani jak przysłowiowy plaster na... -oświadczył z irytacją. -Proszę mi wierzyć. Jest pani tutaj zdana wyłącznie na siebie. I na mnie. A teraz proszę naładować swój piekielny pistolet i przygotować się do wyjazdu, kiedy wrócę.

Zanim zdołała zaprotestować, był już przy drzwiach i włożył do zamka własny klucz.

- Chwileczkę... jak pan... - Zaczęła szukać swojego klucza, przekonana, że go ukradł. Kiedy jednak znalazła go w kieszeni, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Taki jest Marrat. - Uniósł i pokazał klucz, identyczny jak jej. - Setki takich kluczy można dostać, wszystkie pasują do każdego zamka w tym hotelu.

Jej złość objawiła się zdławionym warknięciem. Zanim odzyskała równowagę, on już zniknął z pokoju. Podskoczyła do drzwi, żeby przekręcić klucz, który zostawił w zamku, i wstrzymała oddech, nasłuchując i czując, że on nadal stoi po drugiej stronie. Mimo że to przeczuwała, jego głos dochodzący za drzwiami przestraszył ją.

- Toaletka, panno Boston... Proszę nią zastawić drzwi.

Miała przecucie, że będzie tam tak stał i czekał, aż usłyszy chrobot przesuwanego mebla. Mrucząc pod nosem, zrobiła to, co polecił. Dodatkowo pchnęła umywalkę tak, żeby ją solidnie zaklinować i klepnęła ręką w drzwi na znak wykonanego polecenia.

- Tak jest o wiele lepiej. - W jego głosie usłyszała rozbawienie. — A teraz proszę naładować pistolet.

Pozornie kule były tak zrobione, żeby można je było włożyć do broni tylko w jednym kierunku. Wpatrywała się w SJMJM lśniących mosiężnych otworów w cylindrze rewolweru, który kupiła na podróż. Producent wyraźnie zaznaczył w dokumentacji, że jest to broń dla „niedoświadczonych”.

„Mechanika broni palnej”..., katalog 660, Nauki Stosowane,

Zamknęła komorę pistoletu i objęła dłonią jego rękojęść, spoglądając niepewnie wzdłuż lufy, jakby miała zamiar wystrzelić. Zimna stał nagrzewała się od ciepła jej dłoni. Z drżeniem odłożyła pistolet na nocną szafkę i wpatrywała w niego.

Nigdy w życiu nie strzelała z żadnej broni. Czy rzeczywiście teraz miała zamiar zacząć? Na miłość boską, była bibliotekarką! Strażnikiem wiedzy. Broń ucieleśnia ślepą i niemoralni!, .siłę, która zbyt często służy ignorancji i destrukcji. Czy rzeczywiście myślała, że będzie w stanie strzelić do kogokolwiek?

Nagle poczuła się głupio. Zebrała naboje rozrzucone im

pościeli i włożyła je z powrotem do pudełka. Potem zaniosiła broń i amunicję do jednej ze swoich toreb i wcisnęła je głęboko na dno.

Smith chciał ją nastraszyć opowieściami o kryminalistach, mordercach i zdradliwej naturze Francuza, żeby uznała, że potrzebuje jego pomocy. A on pewnie był tak samo zainteresowany jej „mapą skarbów” jak LaCroix i cała ta banda kryminalistów, która, jak twierdził, zaplanowała podstępłą kradzież jej bagażu.

Szatańskie Nasienie. Pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobił, było trafne.

Poszedł za nią do hotelu Marrat, podsłuchiwał, jak rozmawiała o poszukiwaniach czegoś antycznego i cennego, i postanowił wykorzystać formę zobowiązania, jakie zaciągnęła wobec niego podczas ich poprzedniego spotkania. Zaczaił się w jej pokoju, a potem zaczął jej wydawać polecenia, zakładając, że tak jak większość młodych panien szlachetnie urodzonych była przyzwyczajona do respektowania mężczyzn.

Cóż, chyba się mocno przeliczył. Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się prowokacyjnie. Córka Olivii Ridgeway Merchant nie da się zastraszyć i nie ulegnie perswazjom potomka Czarnobrodęgo - herszta piratów!

Rozpięła bluzkę, włożyła czystą koszulę nocną i wyszukała w jednej z toreb prześcieradło z delikatnej tkaniny, które rozłożyła na podejrzaną czystość pościeli hotelowej. Kiedy wsunęła się pod nie, dłuższy czas starała się rozluźnić napięte ciało i uciszyć chaotyczne myśli.

Wirujący wiatrak pod sufitem, widoczny jedynie chwilami, gdy sączące się przez okiennice nocne światło połyskiwało na jego skrzydłach, i powolny rytmiczny stukot jakiegoś urządzenia, które go napędzało, zdominowały wszystkie jej zmysły. Zastanawiała się, co powie Smith, kiedy przybędzie i zastanie ją wygodnie i bezpiecznie leżącą w łóżku, w koszuli nocnej.

Żałosny typek napędzający jej strachu. W jej świadomości pojawiły się zupełnie nieproszone wspomnienia wrażeń, jakie odniosła: onieśmielający i brawurowy, potężny i męski, pachnący alkoholem zmieszany z miodem, z włosami rozwianymi wiatrem i z sińcem na policzku...

Zbudziło ją pukanie do drzwi.

- *Ouvrez la porte**! - usłyszała szorstki męski głos.

Minęło parę sekund, nim wreszcie uniosła się na łóżku i zamrugała zaspana powiekami. To nie mógł być Smith. On nie był na tyle cywilizowany, żeby pukać.

- *Ouvrez— sur l'autorite de le gouvernement de France*".

Ouvrez!

Czy on powiedział „rządu Francji”?

Usłyszała też inne głosy, wszystkie męskie, wszystkie głośnie i mówiące po francusku. Zamarła, obserwując ruchy światła w szczelinie pod drzwiami, a serce podeszło jej do gardła. Żądanie powtórzyło się, tym razem w kulejącym angielskim.

- Otwierać... tytych... drzwi!

Pukanie zamieniło się już w walenie i toaletka z umywalką zaczęły się trząść i pobrzękiwać. Stekowi francuskich przekleństw towarzyszyło potężne uderzenie w drzwi, które wstrząsnęło całą framugą. Wyskoczyła z łóżka i stanęła sparaliżowana strachem.

- Zabraniam... Informuję was, że jestem obywatelką amerykańską!

Jedyną odpowiedzią było wbicie siekiery w cienkie deski środkowej części drzwi. Poleciały drzazgi, a zaraz potem wybuchły wściekłe okrzyki atakujących, którzy, wrywając popękane deski, napotkali kolejną przeszkodę. Koncentrując wspólne

Ouvrez la porte! - (fr.) otwierać! (przyp. tłum.).

Ouvrez... sur l'autorite de le gouvernement de France - (fr.) Otwieraj!
Rozkazuję w imieniu rządu Francji (przyp. tłum.).

wysiłki i odliczając głośno, kolejno napierali na drzwi, by odepchnąć od nich toaletkę.

- Nie zbliżać się... Ostrzegam was! - Zaczęła w popłochu myśleć o swoich dziennikach i mapach, o cennej szkatułce z pieniędzmi..., o pistolecie!

W chwili, kiedy zanurkowała do jednej z toreb podróżnych, napastnicy wykonali ostatni, najsilniejszy atak na drzwi, w wyniku którego toaletka runęła na kafelkową podłogę, a drzwi stanęły otworem.

Ze słabo oświetlonej łodzi do pogrążonego w ciemnościach pokoju wpadła grupka mężczyzn. Jedni zatrzymali się na progu, rozglądając się za lokatorką, a inni rzucili się w głąb pomieszczenia z wyciągniętą bronią, demonstrując swoją władzę. Mimowolny krzyk Abigail sprawił tylko, że szybciej odnaleźli ją przykucniętą wśród toreb podróżnych i obejmującą swój dobytek: ubrania, metalowe naczynia, puszkę cukru, pudełko z chininą... Wyciągnęli ją na środek pokoju.

- *Ou est le deserteur!*! — zaczął krzyczeć jeden z mężczyzn. Ponieważ nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi, potrząsnął nią.

- *Ou est Smeeth**!*! - warknął.

W tym momencie dwóch krzepkich mężczyzn w mundurach wprowadziło do pokoju właściciela hotelu, niosącego lampę, która oświetliła zgromadzonych.

- Jak śmiecie wdzierać się do mojego pokoju w samym środku... - odezwała się Abigail, otrząsając się z oszołomienia.

- Gdzie on jest? - zwrócił się do niej właściciel hotelu, kiedy wciągnęli go do środka. Drżenie w jego głosie i nieprzytomne spojrzenie napawały ją jeszcze większym strachem. -*Mademoiselle*, proszę tylko powiedzieć sierżantowi, gdzie on jest, a puszczać panią wolno.

- Nie zrobiłam niczego złego i jestem... - Wywinęła się, uwalniając ręce z ich uścisku, lekko zaskoczona swoim zachowaniem. Skąd wziął się w niej ten szaleńczy impuls walki?

Ou est le deserteur? - (fr.) Gdzie jest zbieg? (przyp. tłum.). *

Ou est Smeeth? - Gdzie jest Smith? (przyp. tłum.).

Uspokoiła się na tyle, by zwrócić się do właściciela, a potem do człowieka, którego nazywał sierżantem. Był to krępy i muskularny mężczyzna o surowych rysach twarzy, z czarnymi oczami bez wyrazu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

- Chodzi nam o Smitha. - Sierżant splunął, zwracając do niej swe paskudne oblicze. - *Ou est Smeeth? Dites nous*'.

Myśleli, że Smith jest z nią tutaj? Zdała sobie sprawę z tego, że ci ludzie byli ubrani w mundury koloru khaki z dystynkcjami, białe cylindryczne czapki z materiałem osłaniającym szyję. Byli ubrani tak samo jak żołnierze w porcie, którzy poprzedniego dnia odmówili pogoni za złodziejami jej bagażu. Legioniści.

- Proszę im powiedzieć, że nie mam pojęcia, o czym mówią - zwróciła się do właściciela hotelu. — Jestem w swoim pokoju od czasu, jak skończyłam kolację z panem LaCroix. - Reakcją sierżanta na tłumaczenie było wściekłe warknięcie brzmiące jak przekleństwo, po czym grubiańskim gestem nakazał swoim ludziom, by przeszukali pokój.

Zaczęli wyciągać, oglądać i rzucać na podłogę wszystkie jej naczynia, halki, buty, szczotki, prześcieradła i dzienniki.

- Przestańcie! - Przecisnęła się między szalejącymi legionistami. - Proszę ich powstrzymać! Nie mam pojęcia, gdzie może być człowiek o nazwisku Smith! - Spojrzała na wściekłego sierżanta, który z niepokojącym zainteresowaniem mierzył ją od stóp do głów, i wtedy zdała sobie sprawę, że jest w samej koszuli. - Przysięgam, że nie wiem, gdzie on może być!

Sierżant spojrzał na mężczyzn stojących przy oknie, którzy odłoniли okiennice, by przeszukać małą balkon i zlustrować ulicę. Pokręcili głowami. Potem spojrzał na tych, którzy przekopywali się przez bagaże, a później na żołnierzy, którzy spraw-

I >11cs nous (IV.) Proszę nam powiedzieć (przyp. tłum.).

dzali, czy nikt nie schował się pod łóżkiem. Niczego nie znaleźli. Odwrócił się więc z powrotem do Abigail.

- Smith jest dezterter. Rozumie pani ten słowo? De-zer-ter?
- Dalej już mówił po francusku i tylko co chwila dawał znak właścicielowi, żeby ten tłumaczył.

- On mówi, że... Smith opuścił służbę... uciekł pod ostrzałem. Jego tchórzostwo kosztowało życie wielu ludzi. Nie spoczną, dopóki go nie znajdą i nie ukarzą.

Jej wzrok zatrzymał się na wielkiej dłoni sierżanta, zaciśniętej tak mocno, że brązowa od słońca skóra niemal zbielała. Spojrzała mu w twarz i złośliwość, którą w niej zobaczyła, zaparła jej dech.

- Sierżant mówi - wykrztusił właściciel hotelu, jakby słowa nie chciały przejść mu przez gardło — że tych, którzy pomogą Smithowi, spotka taki sam los jak jego, gdy zostanie schwytany.

Sierżant beczelnie zbliżył się do niej i najpierw przesunął szorstką dłonią po jej ramieniu, gładząc materiał koszuli nocnej, a potem boleśnie ścisnął jej rękę. Kiedy w ten sam sposób dotknął a potem ścisnął jej twarz jedną dłonią, cofnęła się gwałtownie i spojrzała na niego z furią godną rodu Ridgeway Merchant, nie troszcząc się o to, że taka reakcja może spowodować coś jeszcze gorszego.

- Jak pan śmie mnie dotykać? - Wyswobodziła rękę, obrzucając go gniewnym i pogardliwym spojrzeniem. - Wyoście się z mojego pokoju! - Wskazała palcem roztrzaskane drzwi i jakimś cudem ręka jej nie zadrżała. — I przygotujcie sobie dobre usprawiedliwienie. Zamierzam złożyć skargę do waszego zwierzchnika z samego rana!

Sierżant ocenił jej determinację i po dłuższej chwili zastanowienia odwrócił się w stronę drzwi, rozkazując żołnierzom, by wyszli.

- Radzę pamiętać, *mademoiselle* - zatrzymał się w drzwiach, by dokończyć ostrzeżenie po angielsku - że będziemy panią obserwować.

Jak mogła o tym zapomnieć? Jak nie pamiętać okrucieństwa w ich twarzach i zachowaniu, strachu, który sprawiał, że jej serce waliło jak młotem, uczucia przerażającej bezradności, gdy w środku nocy jacyś mężczyźni wtargnęli do jej pokoju, wyważając drzwi... I wszystko to z powodu Smitha. Jeśli dopuszczała do siebie myśl o tym, żeby pozwolić mu eskortować się do Marrakeszu - rozczarowanie, które teraz odczuwała, mówiło jej, że jednak ją dopuszczała - teraz odrzuciła ją stanowczo.

Skąd wiedzieli, że u niej był?

Ręce, nogi, i całe jej ciało drżało jak osika.

„...Będziemy panią obserwować”.

Ktoś musiał ją już obserwować. Rzuciła okiem na roztrzaskane drzwi. Nie zrobiła niczego złego, ale było jasne, że niewinność nie stanowi żadnej ochrony w tej dzikiej części świata. Tak jak powiedział Smith, jest zdana wyłącznie na siebie.

Starając się zapomnieć i czymś zająć, postanowiła obejrzeć zniszczone drzwi. Żołnierze zabrali ze sobą właściciela hotelu, a ona nie miała teraz najmniejszej ochoty wyruszać w ciemnościach przez hotelowe korytarze na poszukiwanie kogoś, kogo mogłaby poprosić o zmianę pokoju. Zatem będzie musiała jakoś je naprawić i do nastania poranka, kiedy światło dzienne przyniesie ze sobą poczucie większego bezpieczeństwa, być własnym ochroniarzem. I tak nie ma mowy, żeby zasnęła po tym, co się wydarzyło.

Toaletka nie zdała egzaminu jako bariera nawet wtedy, gdy drzwi były jeszcze całe, więc Abigail rozejrzała się po pokoju i ostatecznie zdecydowała się na przesunięcie drewnianego łóżka. Wysilek fizyczny pomógł jej pozbyć się napięcia. Wreszcie była w stanie uporać się z bałaganem, jaki zrobiły w jej pokoju te łotry.

Kiedy uklękła obok bagażu i na nowo układała w torbach cały swój ekwipunek, poczuła pieczenie w oczach, a powstrzymywane długo łzy zaczęły płynąć po policzkach. Zamrugła powiekami i pociągnęła nosem. Przestań! Żadna kobieta z rodziny

Ridgeway Merchant nie pozwoli się zastraszyć i nie będzie się rozklejać. Pomyślała o nieustraszonej Mary Kingsley zmagającej się z pijawkami i łowcami głów w zachodniej Afryce i o Harriet Martinea, stawiającej czoło krokodylom w Nilu.

Wtem jej dłoń natknęła się na coś zimnego na spodzie torby. Rozpoznała ten kształt i chłód metalu. Jej pistolet. Legioniści albo go przegapili, albo uznali, że tego rodzaju broń nie stanowi i Ilu nich żadnego zagrożenia. Wyciągnęła rewolwer i przysiadła na piętach, wpatrując się w niego. Godzinę temu nie byłby w jej rękach niczym groźnym dla nikogo. Ale teraz...

Mariana Starkę umieściła broń palną na swojej liście rzeczy koniecznych dla kobiety podróżniczki i Abigail myślała, że chodziło o ochronę przed dzikimi zwierzętami. Niestety obok czworonogów zagrożeniem mogły być równie dobrze istoty dwunożne, o czym właśnie się przekonała.

Rozpaczliwie starając się przezwyciężyć uczucie bezbronności, jakie wywołała w niej inwazja legionistów, postanowiła ubrać się tak, żeby odzyskać poczucie kontroli nad własnym życiem i sprawić, że czuje się pewniej. Wybrała szare spodnicospodnie, buty do jazdy konnej i prostą bawełnianą bluzkę z kołnierzykiem i z rękawami, które można było podwinąć. Rozważała pozostawienie w torbie różowego atłasowego gorsetu, ale w przypływie buntu włożyła go na siebie.

Wkrótce była ubrana, a rzeczy spakowane. Zamierzała opuścić hotel z samego rana i udać się prosto do konsulatu. Z pewnością ktoś stamtąd będzie mógł przekazać jej skargę do zwierzchnika lokalnego regimentu Legii Cudzoziemskiej. A potem wynajmie konie, znajdzie odpowiedniego przewodnika - albo przynajmniej solidną mapę - i jeszcze tego samego dnia wyruszy do Marrakeszu.

Kiedy już się całkiem przygotowała, zgasiła światło w pokoju i zasiadła w fotelu z rewolwerem na kolanach, obserwując drzwi i okno, i nasłuchując odgłosów marokańskiej nocy. Każde szczeknięcie psa, każdy głos z oddali, każde skrzypnięcie

koła, które dobiegało z ulicy, powodowało szybsze bicie jej serca. Po pewnym czasie usłyszała żałosne zawodzenie. Z ulgą uświadomiła sobie, że to nawoływanie muezina do modlitwy.

Godziny ciągnęły się w nieskończoność. Jej oczy przyzwyczały się do ciemności, tak że doskonale widziała każdy szczegół pokoju. Zaczęła nawet rozpoznawać, które dźwięki były zwyczajnymi nocnymi odgłosami miasta, a które nietypowymi. Wkrótce słyszała już tylko te zwykle dźwięki, a powolne rozluźnienie ogarnęło całe jej ciało. Mimo ogromnej chęci czuwania, powieki jej opadły, a głowa osunęła się na oparcie fotela.

Dlatego też, kiedy nastał świt, nie usłyszała szelestu tuż za okiennicami. Nie zauważyła błysku ostrza wsuwającego się między okiennice i otwierającego skobel, nie usłyszała też zgrzytu zawiasów ani głuchego odgłosu skórzanych podszew na kafelkowej podłodze. Oddychała powoli, spokojnie i głęboko, dopóki czyjaś dłoń nie zacisnęła się na jej ustach. Zbudziła się z krzykiem, wymachując rękoma.

- Cicho! - usłyszała chrypliwy szept. - To ja. - Twarz z opaską na oku zmaterializowała się przed nią, przedzierając się przez jeszcze obecne majaki senne.

- Legioniści - odezwał się cicho - są wszędzie.

- Nawet tutaj - odparła spanikowanym szeptem, pokazując wzrokiem roztrzaskane drzwi. - Przyszli pana szukać.

- Cholera. - Wyprostował się i machnął ręką z rozdrażnieniem. - Domyśliłem się, że LaCroix będzie... - przerwał, starając się uporządkować gonitwę myśli. - Zostawili ludzi na dziedzińcu. Będziemy więc musieli wyjść oknem.

- Ja nie! - zaprotestowała gwałtownie i podniosła się z fotela. Broń, która leżała na jej kolanach, spadła na podłogę z głuchym łoskotem podobnym do trzasku pioruna. Podniosła ją i niezręcznie złapała za rękojeść, nie wiedząc, w co wymierzyć.

Nigdzie nie pójde z poszukiwanym dezterem.

- Nie jestem... ^Przyglądał się jej przez chwilę, a potem westchnął. - Dobrzeć Kiedy wydostaniemy się stąd, pójdzie: pani swoją drogą.

- Nigdzie z panem nie pójde - powtórzyła.. – Z każdą minutą zwiększa się ryzyko, że pana tu znajdą, a mnie oskarżą o udzielanie pomocy zbiegowi.

- Nie jestem kryminalistą. A pani ma znacznie większe kłopoty niż martwienie się... - Chwyił ją za rękę i pociągnął do otwartego okna. - Widzi pani ten dach? - Wskazał szczyt pobliskiego budynku.

- Oczywiście, że go widzę. Co to ma do rzeczy z...

Coś, a właściwie ktoś, poruszyło się na szczycie dachu.

- I tam też. - Wskazał w inną stronę, gdzie zarysy dachów widoczne były na tle szarego nieba zapowiadającego rychłe nadejście świtu. Linia horyzontu pełna była wybruszeń, które poruszały się jak falujący wąż, zatrzymujący się i zlewający z linią dachu, a potem znowu rozpoczynający swój ruch. Coś w tym węzowym falowaniu i ukradkowości sprawiło, że pod kurczyła palce w butach. - I jeszcze tam. - Wskazał następny dach. — Legioniści są tylko częścią pani problemu, Panno Boston.

W tym kierunku, który teraz wskazał, ludzkie sylwetki były wyraźnie widoczne. Mogła rozpoznać głowy, w turbanach, ludzi zmierzających bezszelestnie w kierunku hotelu Marrat. A potem zauważyła, zaciętą twarz i błysk noża między zębami.

- K-kim oni są? — wykrztusiła z trudem, pokonując nagłą suchość w ustach.

- To miejscowi, którzy najprawdopodobniej postanowili osobiście zerknąć na pani cudowną „mapę skarbów”.

- Skąd oni wiedzą... Powiedziałam przecież, że nie mam mapy skarbów! - wypowiedziała to znacznie głośniejszym głosem, niż zamierzała. Zakryła dłońmi usta i spojrzała spłoszonym wzrokiem w stronę drzwi.

Po sekundzie od lodzi po dziedziniec centralny podniosły się alarmujące okrzyki.

- Cholera! - Wyjął jej z rąk rewolwer, odwrócił ją plecami do siebie i zatknął jej broń za pasek. Potem pchnął ją w kierunku łóżka. - Weź jedno z tych prześcieradeł! - Sam sięgnął po brudną narzutę i po chwili przywiązał jeden jej róg do prześcieradła. Odgłosy tupotania za drzwiami stawały się coraz głośniejsze. - Do diabła! A niech to!

Jeszcze tylko jeden węzeł na prześcieradłach, a legionieści już byli pod drzwiami i zaczęli w nie walić, napierać na nie i krzyczyć jeden przez drugiego.

- Bierzcie ich żywych!

Ich? Abigail zamarta na chwilę w niedowierzaniu. Smith pchnął ją w kierunku okna i kazał wyjść na maleńki balkon, gdzie przywiązał jeden koniec sznura z prześcieradeł do porzywionej barierki.

- Na drugą stronę! - rozkazał przez zaciśnięte zęby. - W uliczce czekają konie. Lepiej, żebyś umiała jeździć konno.

Gdy się zawahała, rozważając, czy ucieczka z nim była najlepszą, czy może najgorszą rzeczą, jaką mogła zrobić, wrzasnęła:

- No już!

Instynkt samozachowawczy wziął górę, więc podeszła do krawędzi balkonu i przełożyła nogę przez barierkę. W dole rzeczywiście zobaczyła czekające konie i jakąś postać.

- Moje dzienniki, moje mapy! - Próbowała cofnąć przełożoną już przez poręcz nogę, ale jej przeszkodził. - Muszę wziąć swoje bagaże!

- Schodź!

- Nie mogę bez nich wyjechać! - Znowu próbowała wrócić na balkon.

- Wezmę je! - Cofnął się do pokoju, chwycił pierwszą torbę i cisnął nią przez pokój, aż na balkon. Podniosła ją, przewiesiła sobie przez ramię i spojrzała w dół. Trzy piętra niżej widziała

ciemną postać przywołującą ją ruchem ręki. Uwolniła jedną dłoń, by złapać się balustrady i przełożyła drugą nogę przez poręcz.

Nic w jej uporządkowanym życiu na uczelni, w bibliotece czy w muzeum nie przygotowało jej do przechodzenia przez żelazną barierkę ani spuszczenia się na linie z pośpieszenie złączonych prześcieradeł, w ucieczce przed oddziałem mściwych żołnierzy.

Materiał zatrzeszczał, gdy chwyciłszy go, zawisła na nim całym ciężarem i zaczęła zsuwać się w dół. Gdy znalazła się przy mocno zaciśniętym węźle, musiała się zatrzymać i dalej chwycić materiał oburącz, więc zrezygnowała z asekurowania torby podróźnej. Bagaż wysunął się jej z ręki i plusnął na ziemię. Chwilę potem jej druga torba podróźna przemknęła obok niej i dołączyła do pierwszej.

- Co... - Spojrzała w górę i zobaczyła Smitha na balkonie z trzecią torbą. Zanim zdołała zawołać, żeby jej nie zrzucił, było za późno.

Z pokoju dobiegły odgłosy walenia i roztrzaskiwane drewna. Smith przeszedł szybko przez balustradę i zwiesił się na rękach z wąskiej krawędzi balkonu.

- Zjeżdżaj, do cholery! - ryknął do Abigail, Zdała sobie sprawę, że próbuje nogami złapać linę z prześcieradeł nad jej głową i że węzły nie wytrzymają ciężaru ich obojga.

- O mój Boże!- Zaciskając mocno powieki, rozluźniła uchwyt i zsunęła się po linie, która kończyła się dobre dwa metry nad ziemią. Ktoś złapał ją, gdy upadała, i kolejną rzeczą, jaką zarejestrowała, było to, że leży na ziemi, a dłonie palą ją żywym ogniem.

Dźwigając się z trudem i starając się rozeznac w sytuacji, zauważyła cztery konie i okrągłą małą postać w turbanie, która ciągnęła jej bagaże. Znajoma sylwetka.

- Haffe? - Jego widok tutaj był dla niej dużym zaskoczeniem.

- Pani Merchant. - Steward z Gwiazdy uśmiechnął się, po czym zręcznym ruchem przewiązał sznurkiem uchwyty dwóch toreb podróżnych przerzucił je przez coś, co okazało się być koniem jucznym.

Coś uderzyło o ziemię za jej plecami, ale zanim zdołała się odwrócić, pchnięto ją w kierunku najbliższego konia.

- Wsiadaj! Szybko!

Najwyraźniej nie reagowała z odpowiednią szybkością, bo ktoś chwycił ją za talie i wrzucił na twarde drewniane siodło. Kiedy się usadowiła, Haffe podał jej lejce, a Smith trzasnął konia po zadku. Kiedy ten ruszył z kopyta, rzuciło nią w tył i ostatkiem sił złapała się siodła.

- Moje torby! - zdążyła jeszcze zawołać przez ramię.

Smith nie odpowiedział, tylko przemknął obok niej na drugim koniu, schylił się, by złapać uzdę jej rumaka i pociągnął za sobą tak, by oba konie biegły tym samym tempem.

Legioniści wybiegli na balkon w samą porę, by zobaczyć, jak znikają w mroku, a nieznani łupieżcy na trzech dachach budynków wszczęli alarm, widząc swój niedoszły łup oddalający się w ucieczce.

Krzyki i strzały skłoniły Smitha i Abigail do przyspieszenia w wąskich, nadal ciemnych uliczkach. Kiedy zdołała unieść wzrok, zobaczyła pierwsze promienie porannego słońca, odbijające się w górnych oknach budynków. Z meczetów i minaretów w całym mieście dały się słyszeć, znane jej już, głosy nawoływania do modlitwy. Kopyta koni wzbijały tumany kurzu, ograniczające widoczność. Co pewien czas przecinali skrzyżowania, mijali w pędzie sklepikarzy i handlarzy rozproszonych tu i ówdzie w zacienionych miejscach, i sprzedawców ze straganami na kółkach i jeszcze nie rozpalonymi rożnami.

W jej głowie kołatała się myśl, że śmierć jest teraz tylko kwestią czasu. W oczach francuskiej Legii Cudzoziemskiej będzie jego współniczką, nawet jeśli jedyne, co zrobiła, to

pozwoliła wypchnąć się z balkonu i spuściła się po linie z przecieradeł wprost na koński grzbiet.

Jaki miała wybór? Obserwowali ją wszyscy: legioniści, złodzieje, poszukiwacze skarbów, kryminaliści.

Nagle tuż przed sobą zauważyła brytyjską flagę, wiszącą na metalowej kracie bramy. Wyprostowała się w siodle i ściągnęła lejce. Spojrzała za siebie. To musi być konsul! Chwilę zajęło jej zmuszenie konia, do zawrócenia. Wreszcie znalazła się przed bramą z flagą i zaczęła walić w nią i szarpać kratą.

- Halo! Otwórzcie! To bardzo pilne!

Człowiek w turbanie i długiej bawełnianej galabii podszedł do bramy.

- Czy to konsul? - zawołała. - Czy to konsul brytyjski?

- Kiedy kiwnął głową i powtórzył „konsul brytyjski”, omal nie zemdlą. - Jestem pracownicą British Museum. Proszę mnie wpuścić... szybko, proszę!

Gdy ciężkie drewniane wrota i żelazna krata otworzyły się, spięła konia i wjechała na mały dziedziniec rezydencji konsula. Mężczyzna zamknął za nią bramę, a potem podszedł, żeby pomóc jej zejść z konia.

- Muszę się natychmiast zobaczyć z konsulem. To bardzo ważne - powiedziała, oddając mu lejce. Odpowiedział jej mieszanką angielskiego i berberyjskiego, kłaniając się i gestykulując w kierunku drzwi.

- Do środka proszę pani, do środka.

Nie było żadnego odźwiernego przy głównym wejściu, nikt, kto mógłby ją powitać i przyjąć. Wielkie drewniane drzwi otworzyły się z łatwością, mimo swojej masywności. Znalazła się w wyłożonym kafelkami krużganku z kolumnami, otaczającym dziedziniec.

- Przyjechałam w ważnej sprawie! - zawołała. - Muszę natychmiast zobaczyć się z konsulem.

Nikt jej nie odpowiedział.

Wejście na zacieniony dziedziniec było niczym wkroczenie

do oazy. Soczystozielone drzewa i kwitnące krzewy otaczające kamienne ławki i całe dywany kwitnących kwiatów, obrośnięte jaśminem pergole wokół fontanny na skrzyżowaniu brukowanych ścieżek. Spływająca woda brzmiała niemal jak muzyka. Hałasy i niebezpieczeństwo ulicy zdawały się całe mile stąd.

Nierealne poczucie spokoju towarzyszyło jej, gdy przeszła do części, która najwyraźniej była głównym korytarzem. Szła, zerkając na boki między kamiennymi kolumnami i nawołując.

Cisza, początkowo tak uspokajająca, teraz zaczęła ją niepokoić. Zdecydowała wrócić na zewnętrzny dziedziniec, poszukać mężczyzny, który wziął od niej konia, kiedy na jej drodze stanął szczupły mężczyzna o arabskich rysach w tradycyjnym marokańskim stroju składającym się z długiej galabii i turbanu.

- W czym mogę pani pomóc? - spytał, kłaniając się oficjalnie ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła. - Już zaczynałam myśleć... Muszę natychmiast zobaczyć się z konsulem.

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe, proszę pani - odparł melodyjnym głosem. - Konsul Battingle jest w Rabacie i nie wróci przez następnych kilka tygodni. - Uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami. - Nazywam się Ravad Qatar, jestem zarządcą domu. Może ja będę mógł w czymś pomóc?

Jej stan ducha poprawił się błyskawicznie.

- Dziękuję, panie Qatar. Bardzo potrzebne mi są konie i dobry przewodnik do... - pomyślała w tym momencie o Haffem, o swoich bagażach i o kasetce z pieniędzmi, która właśnie gdzieś odjeżdżała razem z nim na końskim grzbiecie - ...do Marrakeszu. Przyjechałam tu na poszukiwanie pewnych ksiąg, które należały do starej biblioteki. Pracuję dla British Museum. - Jego oczy rozszerzyły się na dźwięk ostatnich słów.

- Naprawdę? Słyszałem o tym miejscu, tym wielkim budynku w Londynie, gdzie zgromadzono wiele cudów i skarbów. Jeśli mogę pomóc...

W tym momencie dobiegły ją krzyki ludzi i tętent koni zza na

wpół otwartych drzwi na zewnętrzny dziedziniec. Ogarnęło ją przerażenie. Zarządca skłonił się i przeprosił ją, by sprawdzić, co to za zakłócenia. Zanim doszedł do głównych drzwi, Abigail rozpoznała głos wykrzykujący rozkazy.

- *Ouvrez! Sur le nom de la Republique de France*! Ouvrez les portes**!*

Ten głos... Znaleźli ją! Powróciło do niej wspomnienie dłoni sierżanta ściskającej jej ramię i wyraz tępej przemocy w jego oczach. Nie mogli jej tutaj tknąć, prawda? W końcu to było terytorium brytyjskie..

- Nie, nie! Nie macie prawa tu wchodzić! - usłyszała niepewny głos Qatara.

Zgodnie z prawem lub nie, byli zdecydowani, zdawało się, wtargnąć i przeszukać konsulat.

Cofnęła się do krużganków i ruszyła na tyły dziedzińca, szukając wyjścia. Gdy zauważyła niepozorne drzwi, wśliznęła się do środka i podążyła do kolejnych drzwi i dalej korytarzem, który prowadził do pomieszczenia, które okazało się spiżarnią. Zatrzymała się na moment, nasłuchując i starając się uspokoić oddech, wdychając zapachy przypraw, mąki i suszonego czosnku.

Teraz tupot nóg i męskie głosy dobiegały już ze wszystkich stron. Przeszukiwali konsulat. Ile czasu zajmie im dotarcie do tak oczywistego miejsca na kryjówkę jak spiżarnia? Odsunęła zasłonę do sąsiadującej ze spiżarnią kuchni. Na przeciwległej ścianie zauważyła jeszcze jedne drzwi. Ich rozmiar i ciężki drewniany rygiel sugerowały, że mogły prowadzić na ulicę.

Jedyną jej myślą było uciec z konsulatu i *znaleźć* schronienie przed legionistami, a potem, gdy się uspokoi, wrócić tu po konia. Gdy nasłuchiwała zbliżającej się nagonki, przed oczami

Ouvrez! Sur le nom de la Republique de France! - Otwierać! W imieniu Republiki Francji (przyp. tłum.).

Ouvrez les portes - Otwierać drzwi! (przyp. tłum.).

stanął jej obraz Smitha mówiącego, że konsulat w niczym jej nie pomoże. Teraz byłaby już w drodze do Marrakeszu, gdyby nie przyszło jej do głowy poszukać schronienia, w którym nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Odgłos jakiegoś przewróconego przedmiotu w pomieszczeniu za nią zmobilizował ją, żeby wyskoczyć ze spiżarni i przebiec przez kuchnię do drzwi. Rygiel był ciężki i ciasno dopasowany do metalowego wspornika. Zaczęła walić od dołu dłońmi w drewnianą belkę, a głuchy łomot zwrócił uwagę legionisty. Kiedy stanął w drzwiach z wyciągniętym przed sobą karabinem, udało jej się poruszyć rygiel. W panice mocnym ciosem odryglowała drzwi. Mężczyzna krzyknął coś, co z pewnością było rozkazem, by się zatrzymała, więc odwróciła się do niego i oparła plecami o drzwi i wtedy poczuła coś twardego z tyłu za paskiem.

- Cofnij się! - zawołała, sięgając po pistolet, który jeszcze w pokoju hotelowym Smith zatknął jej za pasek, lekko zaskoczona, że do tej pory o nim nie pamiętała. - Ostrzegam, jestem uzbrojona...

Żołnierz zrobił krok w jej kierunku, więc doprowadzona do ostateczności, uniosła pistolet dzierżąc go oburącz w wyprostowanych rękach. Natychmiast się zatrzymał, oceniając ją i jej broń.

Była naładowana, ale Abigail próbowała sobie przypomnieć, co musiała jeszcze zrobić, żeby wystrzelić. Żołnierz wyczuł jej niepewność i znowu zaczął się zbliżać.

- Stój, powiedziałam! - Wymierzyła do niego z broni, żeby udowodnić, że zna się na rzeczy, więc mężczyzna znów się zatrzymał, spoglądając na nią groźnie.

To miało coś wspólnego z pociągnięciem tej małej dźwigni do tyłu... Kiedy żołnierz zdecydował, że jednak nie stanowi dla niego poważnego zagrożenia, Abigail obydwoema kciukami sięgnęła do kurka i zaciągnęła go. Kliknął raz, potem drugi i żołnierz zamarł. Z jego reakcji oraz z tego, że nie mogła już dalej

pociągnąć kurka, wywnioskowała, że broń jest już gotowa do strzału.

- Cofnij się! Ostrzegam...

Trzymając pistolet w prawej dłoni, lewą sięgnęła za plecami do rygla. Kiedy drewniana belka upadła na podłogę, spojrzała w dół... i wszystko wydarzyło się jednocześnie.

Żołnierz rzucił się na nią, jego towarzysze wpadli do kuchni, a jej palce sięgnęły do metalowej klamki. W jednej sekundzie szarpnęła drzwi, które otworzyły się na ulicę, napięła się i nacisnęła spust.

Strzał powalił żołnierza na podłogę, a jego towarzyszy skłonił do błyskawicznego odwrotu. Wstrząśnięta siłą wystrzału, odwróciła się i biegiem wydostała się na zewnątrz.

Za drzwiami była na tyle szeroka uliczka, że mógł nią przejechać człowiek na koniu albo mały powóz. Instynktownie skierowała się w stronę światła dobiegającego z lewego końca uliczki, przeczuwając, że będzie tam szersza ulica, która umożliwi ucieczkę, albo ukrycie się. Rzeczywiście była to ulica z tłumem ludzi, wozów ciągniętych przez osły i ze straganami porostawianymi na całej jej długości.

Za nią żołnierze pozbierali się na tyle, żeby ruszyć w pogoń i kiedy znaleźli się w wąskiej uliczce wybrali ten sam kierunek co ona. W chwili, kiedy pojawili się na drugiej ulicy, jeden z nich zaczął wykrzykiwać rozkazy, a reszta rozbiegła się na jej poszukiwanie. Chociaż serce waliło jej jak oszalałe i krew pulsowała w głowie, słyszała ich kroki za sobą i okrzyki ludzi schodzących im z drogi.

Wszystkie drzwi były pozamykane, a stragany zbyt odsłonięte i widoczne. Nie było gdzie się schować. Płuca paliły, nogi już nie chciały się szybciej ruszać...

Kątem oka zauważyła konia pędzącego w jej stronę i wyczuła, że zmierza prosto na nią. Próbowała zejść mu z drogi i przepchnąć się do straganu z chustami i kaftanami, które ciasno zwisając ze wszystkich stron, zagradzały jej dostęp do

wnętrza. Zanim zdołała się przez nie przedostać, koń zatrzymał przy niej, i jakaś ręka złapała ją za ramię i pociągnęła do góry.

- Wsiadaj, do cholery! - usłyszała głos przekrzykujący wrzawę targowiska. Spojrzała w górę na wściekłą twarz Smitha. — Wsiadaj... włóż stopę w strzemie! — Przerzucił ją sobie przez kolana w samą porę, bo zaświsnęły pierwsze kule. - Trzymaj się!

Leżąc w poprzek na jego udach, z drewnianym łękiem siodła uwierającym ją w żołądek, nie mogła ani oddychać, ani protestować. Spiął konia ostrogami i ruszył w dzikim pędzie ulicami. Przekrzywione obrazy przesuwały się w oszalałym tempie. Strzałów było więcej, ale kręte ulice sprawiły, że celowanie stało się niemożliwe i strzelanina wkrótce ucichła.

Kiedy skręcili w kolejną uliczkę, zauważyła sklepiony łuk, który zdawał się bramą prowadzącą poza mury miasta. Karawana z ciężko objuczonymi wielbłądami właśnie wkraczała do miasta i kupcy, handlarze i sprzedawcy żywności witali ją z szeroko otwartymi ramionami. Spowodowane tym zamieszanie było ich sprzymierzeńcem. Smith przyczaił się, zasłaniając ją i przywierając możliwie najciaśniej do konia. Instynktownie schowała głowę i kurczowo trzymała się siodła.

Kiedy minęli łukowatą bramę, okrzyki wartowników zmieszły się z odgłosami muezinów nawołujących do modlitwy. Odetchnęła głęboko, zacisnęła powieki i zaczęła w myślach odmawiać pacierz.

Ferdineaux LaCroix przeszedł ponad rumowiskiem, które kiedyś było drzwiami wejściowymi, i wkroczył do pusłego pokoju Abigail Merchant, ostrożnie, żeby nie zabrudzić białego garnituru. Zatrzymał się na chwilę, przyglądając się przewróconej toalecie, przesuniętemu łóżku, a potem płaskiej (warzy sierżanta, który stał przy otwartym oknie, nerwowo uderzając pięścią w rozłożoną dłoń.

- A więc pozwoliliście im uciec? - zauważył zimno, trącając krawędź materaca laską ze srebrną główką.

- Mieli pomocnika - powiedział sierżant, spoglądając ponuro na linę z prześcieradeł nadal przywiązaną do balustrady balkonu. - Czekają na nich konie.

- Był przygotowany. - LaCroix wyszedł na balkon, spojrzął w dół na zacienioną uliczkę, a potem odwrócił się z powrotem i wbił wzrok w sierżanta. - Sprytnie jak na nieboszczyka, nie sądzisz?

- Ścigamy go. - Sierżant poczerwieniał ze złości, blizny na jego twarzy pojaśniały. - Dostali się do konsulatu brytyjskiego. A poza tym mówiłeś, żeby złapać ich żywych. - Kiedy LaCroix nic nie odpowiedział, zniecierpliwił się. - Ale przecież wiemy, dokąd zmierzają, prawda? - Położył dłoń na pistolecie, który miał przytwierdzony do paska, i ruszył w kierunku drzwi. - Złapiemy ich w drodze do...

- Nie. - LaCroix zatrzymał sierżanta, zagradzając mu przejście laską. — Pozwolicie im dojechać do celu podróży, do Marrakeszu. Pozwolicie im znaleźć to, czego szuka ta Amerykanka. Czemu mielibyśmy pozbawiać ich przyjemności znalezienia jej „skarbu”? Zwłaszcza że zamierzamy pozbawić ich

przyjemności zachowania go dla siebie... - Spojrzał znowu na prześcieradła przywiązane do balustrady i w zamyśleniu zaczął obracać szeroki złoty sygnet, który nosił na małym tłustym palcu. - Prędzej czy później będą musieli wrócić do Casablanki, by znaleźć transport z powrotem do Londynu. — Wyprostował się. — Jedyne, co musisz zrobić, Gaston, to ruszyć ich tropem i dać mi znać, kiedy natrafiają na skarb. Wtedy zobaczysz, jak umiera Apollo Smith. Tym razem naprawdę i ostatecznie. A ja zobaczę, jak niezależna panna Merchant uczy się, gdzie jest miejsce kobiety na tym świecie.

Cienie wielkich murów i zarys miasta zostały daleko za nimi. Mijane zagajniki palm daktylowych i zielone pola uprawne przypominały patchwork. Gdy Abigail udało się wreszcie unieść głowę, zauważyła namioty, stragany i zagrody ciągnące się wzdłuż niemal pustej drogi. Nastął świt i widać było tylko nielicznych ludzi, którzy klęczeli na dywanikach, modląc się i bijąc pokłony w kierunku wschodu.

Gdy tylko minęli przedmieścia, Smith zboczył z głównej drogi i ruszył przez dzikie ostępy.

Jechali całą wieczność, zanim wreszcie znaleźli się przy osłoniętym nachyloną skałą schronieniu. Smith zatrzymał konia, po czym zdjął ją z siodła. Zachwiała się, czując zawrót głowy i musiała złapać się końskiej derki, żeby utrzymać się na nogach. Bolały ją wszystkie kości.

- Co ty tam robiłaś, na miłość boską?! - zawołał zsiadając z konia. Czuła, że tylko zmęczenie spowodowane jazdą po wstrzymywało go od rzucenia się na nią ze wściekłością. - Czego szukałaś?!

Spojrzała na niego, ale przed oczami miała tylko ciemne i jasne kropki, gdyż krew odpłynęła jej z niedotlenionego mózgu.

- Zauważyłam konsulat i pomyślałam, że może mi pomogą.

A potem przyszli tam legionieści i wtargnęli do środka. Wdarli się do misji dyplomatycznej, konsulatu... Jak śmieli?!

Sięgnął po jej prawą dłoń i przyciągnął do siebie. Chociaż jej nadgarstek zwisał bezwładnie, to w sposobie, w jaki nadal ścisnęła rewolwer, z którego postrzeliła żołnierza w kuchni, nie było cienia niepewności.

- Dobry Boże. - Apollo przeniósł wzrok z broni na jej zaczerwienioną twarz. - Strzelałaś z niego? - Skrzywiła się na widok broni, a on uniół rewolwer, żeby powąchać wylot lufy. - Strzelałaś do nich? Do diabła! To cud, że nie wymierzili w nas całej artylerii. - Uwolnił broń z jej odrętwiałej dłoni i zawiesił ją sobie na kciuku. - Legionieści nie lubią, jak się do nich strzela, Panno Boston i za punkt honoru stawiają sobie zrewanżowanie się ze zwielokrotnioną siłą.

- A co miałam zrobić? Pozwolić się aresztować i wsadzić do więzienia na resztę życia, tylko po to, żeby ich nie urazić? - Wycelowwała w niego palec. - To wszystko twoja wina. W środku nocy wyłamali drzwi do mojego pokoju i ostatecznie zmusili mnie do ucieczki z hotelu, konsulatu i Casablanki. A wszystko przez ciebie. To ty jesteś dezerterem...

Mięśnie jego twarzy drgnęły i spojrzał na nią oskarżycielsko.

- Cóż, przynajmniej nie zachowuję się jak lunatyk, wyruszający samotnie do Maroka, niemal umierający z powodu choroby morskiej, okradziony, zanim jeszcze postawił stopę na brzegu, a potem w pojedynkę stawiający opór całemu oddziałowi Legii Cudzoziemskiej. - Przysunął się do niej z zimnym wyrazem twarzy. - Nie, ty chyba jesteś nawet gorsza niż lunatyczka. Ty jesteś jak *zarażał* Na pewno ktoś przez ciebie zginie. Ale to nie będę ja!

Stali naprzeciw siebie, z rękami na biodrach, a w oczach mieli wściekłość i zranioną dumę. Jeszcze nigdy w życiu Abigail nie była tak wyczerpana ani nie odczuwała takiej furii. Miała nieodpartą chęć zrobić coś i była przerażona tym, co to miało

być. On był taki ogromny, kipiący wściekłością, a ona była o włos od tego, żeby rzucić się na niego i...

Zmęczenie i resztki dobrych manier powstrzymały ją przed uwolnieniem tej furii, i tego niespotykanego u niej impulsu. Nie miała zielonego pojęcia, co by mu zrobiła. Albo z nim... Wbrew woli jej wzrok zatrzymał się na jego ustach. Poczuli, że jej wargi robią się gorące.

- Wsiadaj na tego cholernego konia! - warknął i cofnął się, by schować rewolwer do torby pod siodło. Widząc, że nie reaguje, włożył stopę w strzemień. Kiedy wskoczył na konia usadowił się w siodle, obrzucił ją wściekłym wzrokiem i ocenił sytuację. Z miną mówiącą, że kosztuje go to bardzo wiele, wyciągnął do niej rękę.

- Jedziesz ze mną albo idziesz pieszo do najbliższej miejscowości. Co wybierasz?

Po chwili namysłu zmusiła się do podania mu dłoni i wsunęła stopę w strzemień, które dla niej zwolnił. Szamotała się trochę, zanim wreszcie znalazła się za jego szerokimi rozgrzаныmi plecami. Jedyłą rzeczą, jakiej mogła się trzymać, była tylna część siodła, ale nie przejechali nawet stu metrów, gdy dłonie jej zdrętwiały i zaczęła się zsuwać z końskiego zadu. Zatrzymał konia i sięgnął po jej rękę, kładąc je sobie wokół talii.

- Trzymaj się mnie - syknął przez zaciśnięte zęby. - Po prostu trzymaj rękę tu, gdzie je położyłem.

Podróżowała więc w przedpołudniowym prażącym słońcu, obejmując rękoma wrogię jej i rozsierzonego mężczyznę, a jej rozgrzane, obolałe ciało płonęło dziwnie w pewnych miejscach.

„Udar cieplny i przywidzenia jako jego efekty uboczne”.
Medycyna, katalog 600...

Jego plecy były szerokie jak Sahara i wyczuwała dłońmi twarde krawędzie żeber. Kołysanie w rytmie ruchów konia i zmiana pozycji jego ciała poruszały mięśniami biegnącymi wzdłuż kręgosłupa.

Po chwili uznała, że nawet monosylabiczna konwersacja będzie lepsza od zastanawiania się nad intymnymi szczegółami i nad tym, jak bardzo różni się jego muskularne ciało od jej własnego.

„Anatomia porównawcza”, Zoologia, Ssaki, katalog 599...

- Gdzie my, u licha jesteśmy? - spytała, rozglądając się po otaczającym ich krajobrazie, złożonym wyłącznie z kamieni. W tle, za czerwonymi i brunatnymi skałami, majaczyły ośnieżone szczyty gór Atlas. Gdzieś widać było kępy palm i połacie wysuszonej trawy, a niebo miało kolor wypolerowanego turkusa.

- Jedziemy awaryjną trasą.

- Dokąd? Na koniec świata?

- Do Marrakeszu.

Przez chwilę analizowała tę informację.

- A gdzie jest Haffe? On ma moje bagaże.

- Dogoni nas.

- Skąd będzie wiedział, gdzie jesteśmy?

Kiwnął w stronę otwartej przestrzeni.

- Jesteśmy tutaj jedynymi żywymi istotami.

Po jakimś czasie skierował się do jednego ze skupisk palm i kiedy zatrzymali się w skąpym cieniu, zdjął jej rękę ze swojej talii.

- Zejdź z konia i rozprostuj nogi.

Kiwnęła się w jedną, a potem w drugą stronę, nie mogąc się zdecydować, z której strony zejść z konia. W wyniku tej ekwilibrystyki niezgrabnie zsunęła się na dół i wylądowała płasko na twardym skalistym gruncie.

- Ooo... Och... A niech to! - Siedziała przez chwilę, zagrzyżając wargę i czekając, aż minie ból. Zbuntowane nogi nie chciały wykonać żadnego jej rozkazu. W końcu ułożyła je rękoma i przy drugiej próbie udało jej się osiągnąć pozycję klęczącą, wspierając się na rękach. Zeskoczył z konia i jednym szybkim ruchem postawił ją do pionu.

- Zachowujesz się, jakbyś nigdy nie jeździła konno.
- Jeździłam. — Zaczęła oklepywać uda, starając się zmusić je, by zechciały utrzymać ciężar jej ciała.

- Kiedy? - spytał. - W parku w niedzielę? - Najwyraźniej jej milczenie wziął za potwierdzenie. - Jak w takim razie zamierzałaś przejechać przez całe Maroko? Dorożką? Powozem? A może po prostu nie przyszło ci do głowy zaplanowanie takiej rzeczy jak transport?

- Zaplanowałam. Wiedziałam, że będę musiała wynająć konie albo wielbłądy. - Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę palm i oparła się o jedną z nich, starając się nie dać po sobie poznać, jak kiepsko się czuje. - Po prostu nie jestem przyzwyczajona do jazdy bez nakrycia głowy w takim słońcu i przez tak długi czas. Ale jeszcze bardziej nie przywykłam do tego, że w środku nocy żołnierze włamują się do mojego pokoju, straszą mnie bronią i przeszukują mój bagaż.

- Witamy w Maroku - powiedział oschle, prowadząc konia w cień i przywiązując go do drzewa. Potem rozłożył się na wyschniętej trawie na pagórku, ziewnął i zamknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, poszukał wzrokiem Abigail i przyjrzał się jej uważnie.

- Co tu robisz, Boston? Po co tak naprawdę przepłynęłaś tysiące mil morskich, walczyłaś z chorobą morską, złodziejami i legionistami? Czego szukasz?

Wyprostowała się i uniosła podbródek, wiedząc, jak to zabrzmie w jego uszach.

- Książek.

Ocecił przekorę w jej oczach i determinację rysującą się w sposobie, w jaki uniosła brodę.

- Książek... - Usiadł i oparł łokcie na kolanach. - Opuściłaś Londyn, gdzie na każdej ulicy jest po kilka stoisk z książkami, i jedziesz do Marrakeszu, gdzie nawet nie słyszeli o ruchomych czcionkach, i tam szukasz książek!

- Już to wyjaśniłam *monsieur* LaCroix - powiedziała z irytacją.
- Cóż, najwyraźniej przegapiłem tę część waszej konwersacji.
- Szukam bardzo starych książek, takich w formie zwojów, pergaminów lub papirusów. Czegoś, co spisywali starożytni Egipcjanie.
- Egipcjanie? Czyżby jakaś drobna pomyłka w twoich kalkulacjach? Egipt jest jakieś tysiąc kilometrów...
- Na wschód. Tak, wiem o tym. *Monsieur* LaCroix był na tyle uprzejmy, żeby także mi to wytknąć. I tobie powiem dokładnie to samo co jemu. Mam bardzo mocne dowody na to, że antyczne rękopisy i zwoje można *znaleźć* w pewnym miejscu —przerwała, wahając się, czy ujawnić całą prawdę - na południe od Marrakeszu.
- Zastanowił się chwilę i nagle coś sobie przypomniał.
- Tamte książki i papiery, mapy... Wybierasz się do Timbaktu?
- Nie było sensu zaprzeczać, w końcu i tak widział jej mapy jeszcze na pokładzie Gwiazdy.
- W okolice - przyznała, obawiając się jego reakcji.
- W okolicach Timbaktu nie ma niczego oprócz pustyni.
- Zauważył, że spuściła oczy, najwyraźniej unikając jego wzroku. - Co jest takiego specjalnego w tych zwojach, że jesteś skłonna przemierzyć tysiące mil i wytrwać tygodnie podróży po pustyni...
- Tygodnie? - Jej oczy rozszerzyły się.
- Apollo jęknął.
- Tak, tygodnie. Co takiego ważnego jest w tych zwojach, że jesteś gotowa nadstawić karku dla nich?
- Nie wiem...
- Przeciągnął desperacko dłonią po włosach w poczuciu kompletnej bezradności.
- To może coś wymyśl, do cholery!

- Może w nich być wszystko. To mogą być pisma religijne, historyczne, filozoficzne, traktaty rządowe lub epika, poezja czy sztuki teatralne...

- Przebyłaś całą tę drogę, by szukać pism, o których nic nie wiesz? - Przyglądał jej się z rosnącym niepokojem. - Ciebie trzeba chyba wysłać na leczenie!

Podniósł się i ruszył w stronę konia, zdecydowany wsiąść na niego i odjechać jak najdalej od niej. Ale kiedy wsunął stopę w strzemię, złapała go za ramię.

- Szukam biblioteki. - Kiedy się odwrócił, zobaczył ile kosztowało ją to wyznanie. - Zaginionej biblioteki.

Apollo opuścił stopę na ziemię i wbił pytające spojrzenie w jej zaczerwienioną od słońca twarz.

· Wielkiej antycznej biblioteki - dodała.

- Z Egiptu - uściślił, a ona przytaknęła. I wtedy go olśniło.

- Dobry Boże... - Do tej pory wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych uczuć, ale teraz malowały się na niej niedowierzenie i przerażenie. - Wielka Biblioteka Aleksandryjska? Tego szu kasz? Tu? W Maroku?

- Słyszałeś o niej?

- A kto nie słyszał? - Cofnął się, spoglądając gniewnie i uświadamiając sobie, dlaczego to ją tak zdziwiło. — Ach, tak, rozumiem... Taki prostak jak ja nie może wiedzieć niczego na temat cywilizacji antycznej, prawda? Tacy jak ja powinni wiedzieć, gdzie jest ich miejsce i zadowalać się tanim alkoholem i przelewaniem krwi za lepszych i mądrzejszych od siebie, którzy zajmują się tworzeniem imperium.

Pięć lat głęboko skrywanej urazy eksplodowało.

- Cóż, może więc lepiej usiądź i przytrzymaj szczękę, żeby ci nie opadła, Boston. - Nachylił się do niej tak, że musiała się cofnąć. - Niektórzy z nas, warcholów i łajdaków, mają wystarczające wykształcenie, by między jednym a drugim rozlewem krwi zgłębiać dziedzictwo ludzkości. Nie wszyscy jesteśmy ograniczonymi brutalami i kryminalistami.

Przysunął się do niej jeszcze bardziej, z satysfakcją zauważając, że się przed nim cofnęła. Nagle zapragnął zobaczyć ich wszystkich, jak się cofają, tych wszystkich władców świata, którzy siedzą na swoich tłustych tyłkach, zadowoleni z siebie,

podczas gdy biedni, niewykształceni i zwyczajnie nieszczęśliwi ludzie ryzykują życie i umierają dla nich.

- A niektórzy z nas studiowali na tyle, żeby wiedzieć, czy historia, którą słyszymy, to stek bzdur. Biblioteka Aleksandryjska została doszczętnie zniszczona w dwóch etapach, jed na jej część spłonęła w wielkim pożarze, który pochłonął port i doki Aleksandrii, a reszta została zburzona po podboju przez Arabów. Wszelkie pozostałości po niej to tylko legenda.

Sporo czasu zajęło jej dojście do siebie po tym monologu.

- Tak sądzono do tej pory... - Przeszła do ataku i zrobiła krok do przodu, stając z nim twarzą w twarz. - Profesor Thaddeus Chilton spędził całe życie na poszukiwaniach pozostałości biblioteki, które, wierzył, że zostały wyniesione i uratowane przez ludzi wierzących w misję przekazywania wiedzy. Zlokalizował je dzięki źródłom literackim, dowodom zawartym w hieroglifach i własnej pracy wykopaliskowej. Przyjechał do Maroka i był o krok od odnalezienia ich, kiedy zachorował i musiał wrócić do domu, gdzie zmarł.

- I gdzie wyjawiał ci swoją tajemnicę? Na łożu śmierci?

- Nie. Nigdy go nie spotkałam. Jego książki i notatki zostały przekazane do British Museum i tam trafiły w moje ręce.

- Co robiłaś w British Museum?

- Pracuję tam..

- Jako kto? - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jestem bibliotekarką.

- Bibliotekarką. - Chwilę zajęło, zanim to do niego dotarło. I wtedy wszystko nabrało sensu - jej dziwny wygląd i oderwana od życia postawa, wykształcenie, jej obsesja na punkcie książek i dokumentów - a potem nagle wszystko straciło sens. Zaśmiała się drwiąco. - Kochanie, spróbuj czegoś innego. Nie ma kobiet bibliotekarzy.

Poczerwieniała i na chwilę zaniemówiła z wściekłości.

- Może w Wielkiej Brytanii, gdzie ignorancja, upór i ślepe trzymanie się tradycji zdają się wiecznie w modzie. Ale w Ame-

ryce kobiety biorą czynny udział w rozwoju bibliotek i szkoleniu profesjonalnych, wykształconych bibliotekarzy. Ja osobiście skończyłam bibliotekoznawstwo na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork, a wcześniej Wellesley College.

Przez moment stał, czując, jakby palec, który w niego wmierzyła, przebił mu pierś.

- Studiowałaś na uniwersytecie? - powiedział z niedowierzaniem, w tej samej chwili rozpoznając jednak tego oznaki: precyzję jej wypowiedzi, erudycję, uporczywe przekonanie o swojej racji i zdumiewający brak zarówno kobiecej uległości, jak i szacunku dla męskiego punktu widzenia. Była uosobieniem wyzwolenia kobiet!

- Po ukończeniu college'u — poinformowała go. — Bardzo dobrego college'u dla kobiet.

- I zatrudnili cię w British Museum?

- Najwyraźniej tak - odburknęła.

Na chwilę odebrało mu mowę. Niezrozumiała złość i frustracja, narastały w nim. Nagle, jedyne, co wiedział, to , że musi się ruszyć, musi zwiększyć dystans między sobą a tym odczuciem, które właśnie wywołała, przekonaniem, że cały jego świat zmierza nieuchronnie ku zmianom i że za moment trudno go będzie rozpoznać. Zrobił duży krok do tyłu, potem kolejny, aż odwrócił się i podszedł do konia.

- Do tego zmierza to piekielne imperium...

- Jeden koń na dwóch jeźdźców. Będziemy jechać według zasad legionistów — oświadczył po paru minutach wahania, spierania się z samym sobą i po ostatecznym wyciągnięciu kapelusza spod siodła. - Kompanie konne mają zwykle jednego konia na dwóch żołnierzy. Legioniści więc na zmianę to idą pieszo, to jadą wierzchem. - Odwrócił się do Abigail. – Wybieraj pierwsza.

Była tak wściekła, że wołała iść, zostawiając mu komfort jazdy konnej.

Jazda za nią to nie był najlepszy pomysł, pomyślał, obserwując kołysanie jej bioder, kiedy wydłużyła krok, żeby pokonać kamienistą drogę. Miała na sobie białą wykrochmaloną bluzkę, dopasowane spódnicospodnie i dobrze uszyte buty do konnej jazdy. I ten cholerny gorset... Wyczuł jego obecność pod bluzką, kiedy wiozł ją przerzuconą przez swoje kolana. Odetchnął głęboko i przyrzekł sobie w duchu, że będzie ignorował tę jej piekielną bieliznę. A sposób, w jaki lśniły w słońcu jej kasztanowe włosy... I sposób, w jaki reagowało jego ciało, kiedy odwracała się, by na niego spojrzeć...

Ta kobieta miała magiczny wpływ na każdy czuły punkt jego ciała i potrafiła obudzić w nim wszystkie bolesne myśli. Jeśli okrutny los chciał zesłać mu kobietę tylko po to, żeby go zadreńczyć, to z pewnością była nią Abigail Merchant. Wykształcona, uparta, wzbudzająca szacunek i zbyt zajęta swoją misją, żeby zauważyć, jakie pożądanie w nim budzi.

Co gorsza, zaczynał czuć się winny, że wciągnął ją w swoje sprawy. Kiedy zobaczył, jak LaCroix wysyła ludzi, żeby odzyskali jej bagaże, i widział, jak wrócili tylko z dwiema torbami, zorientował się, co się święci. Udał się do biura LaCroix i zastał jego ludzi starających się otworzyć zamek trzeciej torby. Wiedział doskonale, że mogą go rozpoznać i donieść o jego obecności, a mimo to postanowił wkroczyć i powstrzymać ich przed włamaniem się do bagażu.

Wcześniej czy później Francuz i tak by się dowiedział, że żyje i wrócił do Maroka, pomyślał. A musiał odzyskać tę torbę 7 rąk LaCroix, gdyż nie tylko Abigail Merchant miała w niej swoje cenne rzeczy.

Ocknął się z tych rozmyślań i stwierdził, że wpatruje się bez przerwy w jej włosy. Spięła je, ale podczas tego szaleńczego pościgu po Casablance niektóre z pasm uwolniły się i kołysały się przy każdym jej kroku. Były gęste, wiedział to. Jedwabiste. Migotały w nich rudozłote refleksy. Prawdopodobnie nadal

pachniały delikatnym mydłem. Niemal czuł, jakby prześlizgiwały mu się pomiędzy palcami...

Och, nie. Tylko nie to. Nie ma mowy.

Abigail mrużyła boleśnie oczy i zdawało jej się, że za chwilę mózg jej się zagotuje, gdy poczuła, że coś spada jej na głowę, osłaniając przed palącym słońcem. Spojrzała w górę, by rozpoznać w tym czymś zbyt duży kapelusz o szerokim rondzie, który przyniósł jej upragnioną ulgę. Jego kapelusz. Wrodzone dobre maniery i przeczucie, że to mógł być gest pokojowy, zmusiły ją do reakcji.

- Dziękuję.

Najwyraźniej on nie odczuwał takiego przymusu. Nie usłyszała żadnego „Proszę bardzo” albo „Nie ma za co”.

Jej gniew osłabł i zmienił się w rozdrażnienie, gdy musiała skupić się na stawianiu kroków, która to czynność okazała się zaskakująco dużym wysiłkiem. Zachwaszczona czerwona ziemia pełna była ostrych kamieni i okruchów skalnych, które groziły skruceniem nogi w kostce lub przecięciem podeszwy.

Była w Maroku i zmierzała do Marrakeszu... jak na razie uważała to za sukces. Ale jednocześnie szła pieszo po trudnym terenie z człowiekiem, który był poszukiwany i ścigała go armia, a tego nie mogła uznać za plus. Rzuciła przez ramię okiem na konia i siedzącego na nim mężczyznę. Był arogancki i irytujący, i prawdopodobnie bardziej niebezpieczny, niż wyglądał. Ale nie miała w tej chwili żadnej innej możliwości prócz podróżowania w jego towarzystwie. Musiała dostać się do Marrakeszu, żeby rozpocząć poszukiwania.

- A zatem wiesz, dokąd zmierzamy? - przerwała wreszcie ciszę, wyobrażając sobie, że pewnie bez wahania wymieniliby jej cnotę na łyk zimnej wody.

„Utrata zdrowych zmysłów z powodu odwodnienia”, Medycyna Tropikalna, katalog 610.

Rozejrzał się po okolicy i wskazał punkt w oddali, gdzie góry i równiny spotykały się.

- Musimy unikać głównych dróg. Dzień jazdy na południe znajduje się mała wioska. Tam będzie jedzenie i woda, i prawdopodobnie uda nam się zdobyć drugiego konia.

- Dzień jazdy?! A ile czasu to zajmie na piechotę? Ja już umieram z pragnienia.

Sięgnął za siebie i podał jej wojskową manierkę. Spojrzała na niego przelotnie. Gdy się odwróciła, w jej wyobraźni pozostał jego obraz - barbarzyńcy dzikiego jak Sahara.

- Znasz dobrze ten kraj? - spytała, po czym przełknęła drugi łyk wody, i zakręciła manierkę.

- Całe życie można spędzić w Maroku i nadal nie znać tego kraju.

- A ile czasu ty tu spędziłeś?

- Powinnaś wiedzieć. Przypłynąłem tym samym statkiem co ty.

- Ale byłeś tu wcześniej w szeregach francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Jak długo?

- Odbyłem pełną służbę. Pięć przeklętych długich lat.

- Skoro odsłużyłeś wszystko, dlaczego mówią, że jesteś dezertorem?

- Najwyraźniej ktoś zdecydował, że opuściłem szeregi za wcześnie. - Rozejrzał się w zadumie dokoła, po czym jego wzrok ponownie spoczął na niej. - Za każdy dzień spędzony w celi więziennej każą ci odsłużyć dodatkowo dwa dni w wojsku.

- Aha, rozumiem, a ty spędziłeś całkiem sporo czasu w wojskowym więzieniu.

- Tak, moja wina.

- A za co?

- Pijaństwo i bijatyki, uderzenie sierżanta, uderzenie oficera. Zwyczajne rzeczy.

- To mają być zwyczajne rzeczy?

- Dla legionisty tak.

- To jest... gorszące.

Spoważniał.

- Nie. Prawdziwie gorszące jest oszczędzanie na jedzeniu dla ludzi, przez co na ich ciałach powstają rany, i niepłacenie im, przez co muszą sprzedawać swoje ubrania, żeby zdobyć chociaż marny łyk whisky. Zmuszanie niedożywionych ludzi do maszerowania trzydzieści mil dziennie w palącym słońcu Sahary... to jest gorszące. W takiej sytuacji pozostaje jedynie picie alkoholu, kiedy jest on dostępny, i używanie gołej pięści, żeby wymusić odrobinę szacunku swoich współtowarzyszy.

Przez chwilę milczała, rozważając jego słowa.

- Powiedzieli, że uciekłeś podczas bitwy, zostawiając współtowarzyszy pod ostrzałem.

- Skłamali.

- Dlaczego, skoro nie zrobiłeś nic złego?

- Dobre pytanie. - Odwrócił się i powoli omiół wzrokiem czerwoną, spieczoną słońcem ziemię, a kiedy z powrotem spojrział na Abigail, zdecydował się zsiąść z konia. Zbliżył się do niej, a jego badawcze spojrzenie przerodziło się w ironiczny uśmiešek, kiedy podawał jej lejce i zabierał kapelusz.

- Może nie potrafią sobie beze mnie poradzić?

Paskudny typek, pomyślała. Najwyraźniej bawiło go otaczanie się aurą tajemnicy. Wsiadła na konia i przez chwilę trwała w bezruchu, próbując uporządkować w głowie tę układankę.

Anglik. Wykształcony. Ładnie się wysławiający, chociaż czasem używający przekleństw. Wykazujący cywilizowane, nawet rycerskie odruchy. Służył pięć lat we francuskiej Legii Cudzoziemskiej, potem uciekł do Anglii, by znów wrócić do Maroka, gdzie jest poszukiwany. To nie ma sensu. Po co wracać do miejsca, w którym jest się obiektem polowania i prześladowania? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej chciała poznać prawdę.

- W Anglii czułeś się bezpiecznie - powiedziała, ruszając

z miejsca. - Dlaczego wróciłeś, wiedząc, że narazisz się na niebezpieczeństwo?

Szedł przed nią i zauważyła, że zeszywniał, co sugerowało, że reagował silniej, niż chciał okazać.

- Mówiłem ci. To sprawa rodzinna.

Przyspieszył kroku i pomyślała sobie, że będzie tak samo trudny do rozszyfrowania, jak dzienniki Thaddeusa Chiltona. Zaczęła też zdawać sobie sprawę z tego, że jedyną rzeczą stanowiącą jeszcze większą pokusę od nie rozszyfrowanych tekstów był dla niej ten zagadkowy mężczyzna. Ten jeden mężczyzna. Ale po co się rozpraszać i wnikać w jego sprawy rodzinne?

Jadąc konno tuż za nim, obserwowała jego szerokie ramiona. Potem przebiegła wzrokiem w dół po plecach i na dłużej zawiesiła spojrzenie na długich, umięśnionych nogach, które miały jakąś hipnotyczną moc. Zapatrzona, jakby w transie, myślała sobie, że Apollo to tajemniczy, uparty i doprowadzający ją do wściekłości mężczyzna, i miała ochotę chwycić go i... potrząsnąć nim, aż zacznie... aż ona zacznie...

Zdała sobie sprawę, że ma wzrok utkwiony w jego pośladkach, więc szybko odwróciła głowę.

Po prostu jedź, Abigail, powiedziała sobie w myślach. I módl się, żeby on rzeczywiście znał drogę do Marrakeszu.

Było już późne popołudnie, kiedy usłyszeli okrzyk: „halo-ooo”, a potem serię wibrujących i euforycznych pokrzykiwań. Rozejrzeli się po okolicy, aż wreszcie ich spojrzenia zbiegły się w jednym punkcie, który okazał się przysadzistym człowiekiem w turbanie, pędzącym konno w ich kierunku z północnego zachodu.

Haffe pomachał do nich, i ponownie wydał z siebie ten dziwny okrzyk.

- Smiiiiith! Pani! Znalazłem... Znalazłem was!

Za podnieconym stewardem biegł kłusem drugi koń objuczony pakunkami i trzema wielkimi torbami podróżnymi. Abigail zeskoczyła z siodła i wybiegła mu na powitanie.

- Haffe! Dzięki Bogu jesteś cały! - niski steward cofnął się przed jej dotykiem, więc przeniosła uwagę na swoje bagaże.

- Legioniści cię nie nękali?

- Oni chcieć Anglik - uśmiechnął się w sposób, który miał wyglądać na przebiegły, a wyszedł dość groteskowo, i poklepał zwinięty w rulon dywan przywiązany do siodła - a nie wierny pogrążony w modlitwie.

- Co, u diabła, jest w tych torbach? - spytał Smith, odwiązując i zdejmując jedną z nich, podczas gdy druga w tym czasie z hukiem spadła z drugiej strony konia.

- Och! Tam są rzeczy, które mogą się potłuc! - obiegnęła konia, by sprawdzić, co mogło ulec zniszczeniu.

- Co to jest? - Smith otworzył torbę leżącą u jego stóp i wyciągnął z niej ogromne kremowe prześcieradło i poduszkę.

- Bielizna pościelowa, która, na wypadek, gdybyś zapomniał, służy do spania cywilizowanym ludziom.

- Nie przyda ci się - oznajmił, ciskając obie rzeczy za siebie.
- Do diaska! Właśnie, że mi się przyda. - Rzuciła się za pościelą, podniosła ją i przycisnęła do piersi. - Już ją używałam. Warunki tutaj są zbyt prymitywne.

- A to co, u diabła, jest? - Wyciągnął zwój przezroczystej bawełnianej gazy.

- Nigdy nie widziałeś moskitiery? - Spróbowała mu ją wyrwać z ręki.

- Moski... - Schował ją za siebie, żeby nie mogła sięgnąć.

- Rozejrzyj się dokoła, Boston. - Gestem wskazał okolice wokół nich. - Jedziesz na pustynię. Na pustyni nie ma komarów.

- A kto wie, gdzie wyląduję w trakcie moich poszukiwań?
- spytała przekornie.

Wziął taki zamach, że moskitiera przeleciała parę metrów i kiedy Abigail ruszyła po nią, on zdążył już wyciągnąć kolejną z jej rzeczy.

- Ręczniki? - Wykrzywił usta z pogardą. - Zamierzasz się tu często kąpać, tak? A czy to jest to, o czym myślę? - Wyciągnął jedną z paru serwetek, które ze sobą wzięła w tę podróż, i rozłożył ją. - Zabrałaś też obrusy?

- Kobieta nigdy nie wie, kiedy będzie musiała przyjąć jakąś ważną lokalną osobistość, a nie będzie w jej otoczeniu odpowiednich nakryć stołu. - Miała już ręce pełne wszelkiego rodzaju tkanin, ale zrobiła jeszcze miejsce na kolejne. - Zostaw to!

- Masz bardzo ciekawe wyobrażenia na temat podróży przez pustynię, Boston. *Łóżku* z pościelą, komary, przyjęcia przy herbatce z berberyjskimi dostojnikami plemiennymi... - Trzy mając w ręku pęknięte drewniane pudełko z liśćmi herbaty i przykrywkę od ceramicznego czajniczka, zmierzył ją spojrzaniem wyrażającym niedowierzanie połączone z osłupieniem. - Co cię opętało, żeby brać takie rzeczy?

- Sięgnęłam do najbardziej miarodajnych źródeł. Mariana Starkę opublikowała listę przedmiotów, które są potrzebne podróżującej kobiecie...

- Opublikowała? - Skrzywił się. - W książce?
- „Podróżnicy na kontynencie” - Kiedy jęknął, poczuła się w obowiązku wytłumaczyć: - Nie mogłam porozmawiać osobiście z żadną doświadczoną podróżniczką, więc posłużyłam się możliwie najrzetelniejszym źródłem: książkami napisanymi przez podróżniczki.

Z zaciśniętymi ustami przeszedł na drugą stronę konia i odwiązał kolejną torbę od siodła. Wyciągnął z niej mały zestaw sztućców, pojemnik na cukier, grube ceramiczne kubki, lekko poobijany cynowy czajnik, kaliko introligatorskie*, impregnowany brezent, zestaw do szycia z nożyczkami, taśmę, samodiał, igły, apteczkę, zapalki, składany gumowy pojemnik do noszenia wody, szpulki kordonka i nici.

Każdą rzecz, którą za siebie rzucił, ona podnosiła i układała na rosnącym stosie, mając nadzieję na spakowanie ich później, kiedy już ten furia przestanie przetrząsać jej bagaż i demonstrować męską dominację. I wtedy wyciągnął brezentową połówkę i przyjrzał się jej z niedowierzaniem, a Abigail rzuciła się na niego, by wydrzeć mu ją z rąk. Próbował ją wyszarpnąć, ale wtedy wyciągnęła z jednej z toreb drewnianą nogę - element wyposażenia połówki - i zamierzyła się na niego.

- Zostaw to! To nie twoja sprawa! — krzyknęła.
- Jestem odmiennego zdania. To moja sprawa. Nie zamierzam ryzykować, żebyś ty mogła przewieźć przez pustynię połowę Anglii.
- To tylko trzy torby podróżne! A gdybym miała odpowiednie konia jucznego i tragarza albo dwóch, nikt by nie kwestionował przydatności moich rzeczy!

Przez chwilę przyglądał się jej i oceniał broń w jej ręku, a potem ruszył do trzeciej torby... tej z wbudowanym zamkiem.

*kaliko introligatorskie — płótno introligatorskie, używane do oprawy książek (przyp. tłum.).

- Nie dotykaj tego! - Podniosła się i popędziła, by wyrwać mu torbę. - Tu są moje rzeczy osobiste.

- Otwórz ją - zażądał, wyciągając nóż z cholewy buta.
- Albo ja to zrobię!

Zapanowało między nimi napięcie, zanim Abigail zdecydowała się wreszcie wyciągnąć kluczyk i otworzyć torbę. Pośród jej części garderoby i środków higieny osobistej leżały dzienniki Thaddeusa Chiltona i dwa zwoje map.

Wyciągnął jeden z dzienników, a potem kolejny i przekartkował każdy z nich, szukając w nich czegoś. W połowie czwartego dziennika natknął się na kopertę, którą wcisnął do kieszeni koszuli.

- Co ty wyprawiasz? Odlóż to z powrotem! - wpatrywała się w zarys koperty prześwitujący przez kieszeń jego koszuli. - Jak śmiesz? - Oburzona, chciała sięgnąć do jego kieszeni, ale złapał ją za nadgarstki.

- To moje - powiedział, starając się ją powstrzymać. - Włożyłem to do jednej z twoich książek, zanim opuściłem statek.

i. Przestała się z nim szarpać.

- Co to jest?

- To prywatna rzecz. Nic ci do tego.

Nagle przypomniała sobie, co jej powiedział na statku.

- Dokumenty rodzinne! - wybuchnęła z wściekłością.

- Właśnie.

Walczyła z nieodpartą chęcią, by chwycić go za ramiona i potrząsnąć nim, aż wreszcie się przed nią ugnie... Ale zaraz, chwileczkę... To dlatego starał się odzyskać jej skradziony bagaż, chciał odzyskać coś, co do niego włożył! Nagle przypomniała sobie, jak klęczał z nożem w ręku przy jej torbie podróżnej. Wtedy, w pokoju hotelowym, zaskoczyła go w chwili, gdy próbował otworzyć jej bagaż!

Dlatego też nalegał, żeby pojechała z nim do Marrakeszu. Po prostu chciał odzyskać swoją kopertę! Nie kierowały niż żadne rycerskie odruchy.

Złość i rozczarowanie walczyły o lepsze. Stała naprzeciwko niego, czując gorąco jego dłoni na nadgarstkach, a kolana ugięły się pod nią z powodu jego bliskości. Jednocześnie przepełniało ją upokarzające uczucie rozkoszy...

Uwolnił ją i zrobił duży krok do tyłu, a potem jeszcze jeden.

—Dobrze. Weź, co chcesz. - Uniósł obie dłonie do góry w geście oznaczającym, że nie zamierza jej dłużej przekonywać. - Ale brakuje nam jednego konia, a to oznacza, że albo twoje cenne moskitiery i obrusy jadą na koniu, albo ty. Zdecyduj. - Odszedł z uniesioną głową.

Odwróciła się, żeby ogarnąć wzrokiem bałagan, i poczuła podobny chaos w zwykle poukładanych myślach.

Albo ona, albo bagaże...

Zachował się jak ostatni łotr.

Z piekącymi oczami uklękła obok sterty wyrzuconych rzeczy i zaczęła je sortować i przepakowywać. Haffe przykucnął obok, by jej pomóc. Z trudem wydobyła z siebie głos.

- Szatańskie... Dlaczego od razu mi tego nie powiedział?

Tego wieczoru zatrzymali się na obozowisko w małym palmowym zagajniku. Nie było tam żadnego źródła ani studni, ale za to pełno bujnej zieleni, gęstej trawy dla koni i głęboki cień, chroniący przed żarem słońca. Abigail chłonęła zmęczonym wzrokiem każdy szczegół otoczenia. Prawdę mówiąc, nie byli jeszcze na pustyni, ale palmowy zagajnik wydawał się prawdziwą oazą.

Haffe zabrał się do zbierania rozpałki na ognisko, a Smith zdjął bagaże i rozsiodłał konie. Abigail zajęła się przenoszeniem zapasów w zacienione miejsce. Haffe zlitował się nad nią i zgodził się zabrać na swoim koniu niektóre z jej rzeczy spakowane w drugą torbę.

Przed zachodem słońca rozpałił ogień w kręgu z ułożonych kamieni i podtrzymał płomień, dorzucając do niego płaskie brązowe placki, które przypominały zgniecione łupiny orzechów kokosowych.

- Łajno wielbłądu - powiedział z promiennym uśmiechem. Abigail wypuściła z ręki kawałek, który właśnie poddawała oględzinom. - Dobrze się palić.

Wycierając dokładnie ręce w spódnicę, obserwowała, jak dorzucił do ognia wysuszony nawóz, a kiedy płomień stał się wystarczająco duży, zawiesił nad nimi garnek na metalowym ruszcie. Nie chciała nawet myśleć o „aromacie”, jakiego nabierze ich jedzenie po gotowaniu na takim opale.

Słońce, wcześniej tak nieubłagane, teraz złagodniało i zamieniło się w mglistą czerwoną kulę, której blask okrył otaczający ich krajobraz barwami złota, różu i purpury. Kiedy wyczerpana rozłożyła się pod jednym z drzew, opierając się o jego pień i podziwiała półksiężyc błyszczący na tle ciemniejszego nieba, poczuła nagle, że coś ją ugryzło, i klepnęła się w szyję. Chwilę potem usłyszała bzyczenie i gdy się rozejrzała, dostrzegła kilka dużych komarów unoszących się nad nią.

- Aach! - Zerwała się na równe nogi i rozganiając mały rój insektów, ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę Smitha i zademonstrowała mu szyję, odchylając kołnierzyk bluzki.

- Widzisz to? - spytała kategorycznie.

Rzucił przelotnie na nią okiem i spokojnie odwrócił wzrok.

- Widziałem już lepsze - mruknął oschle.

Chwilę zajęło jej zrozumienie, co miał na myśli.

- Nie o mnie chodzi. — Powstrzymując się z całych sił, żeby go nie spoliczkować, wskazała puchnący bąbel na szyi. - Ugryzienie. Ugryzienie komara. A mówisz, że nie będzie tu żadnych komarów!

- Mówiłem, że na pustyni nie ma komarów - odparł, marszcząc brwi i nagle zaczął się sam drapać po szyi..., policzku... i po-wierzchu dłoni...

- No tak, nie jesteśmy jeszcze na pustyni, a ty zmusiłeś mnie do wyrzucenia moskitiery - powiedziała ze złością. - Teraz nawet nie zmrużę oka i będę wyglądała jak ofiara jakiejś pustynnej plagi!

Haffe, który przyglądał się i przysłuchiwał tej wymianę zdań, wyciągnął z torby prześcieradło i przyniósł, proponując, by się nim owinęła.

- Berber zawijać. Angielski dama zawijać. Komar nie gryźć.
- Haffe skłonił się przed nią i podszedł bliżej, żeby pomóc jej zrobić to, co zasugerował.

Odpędzając bzyżące owady, zarzuciła prześcieradło na ramiona i opatulila się nim po same policzki. Chmara komarów wkrótce zaatakowała Haffego, który po prostu stanął w kłębach dymu z ogniska, i Smitha, którego napinające się mięśnie szczęki zdradzały, jak bardzo mu te owady dokuczają, a jego opór przed drapaniem się dowodził tylko, jak bardzo był uparty.

- Wydaje mi się, że wzięłam dwa prześcieradła - odezwała się Abigail z drwiną w głosie.

Kiedy wstał i odszedł w kierunku koni, usłyszała tylko odgłosy klepięć, którymi próbował zabić komary. Na jej twarzy pojawił się mściwy uśmiech. Arogancki typek. Myślał, że wie wszystko. Cóż, i tak nie miało większego znaczenia to, co wiedział, a czego nie, jeśli tylko uda mu się dowieźć ją całą do Marrakeszu. Był jej to winien.

Nastąpiła już noc, kiedy Haffe wreszcie ugotował coś z cous-cous, groszku i czegoś podobnego do suszonej dyni. Cały czas nucił sobie pod nosem i zdawało się, że czuje się jak w domu, gotując nad paleniskiem z wielbłądziego łajna.

- Haffe, co ty tutaj w ogóle robisz? - Spojrzała przelotnie na Smitha, który stał oparty o pień palmy i kończył jeść danie przyrządzone przez Berbera. - Przecież jesteś stewardem na statku.

- Nie, nie. Star pierwszy statek. - Wskazał na siebie, a potem uniósł do góry palec wskazujący. - Za dużo woda. - Wykonał gest obiema rękoma, jakby się żegnał. - Syn pustyni. - Poklepał się z dumą otwartą dłonią po piersi. - Berber.

- Więc dlaczego popłynąłeś na morze?

Zmarszczył czoło, ale po chwili zrozumiał pytanie.

- Żeby zdobyć żona. - Jego szeroki uśmiech, ogromne brązowe oczy i okrągła twarz nadawały mu wygląd osobliwego cherubina.

- Miałeś nadzieję spotkać żonę na pokładzie statku?

- Raczej zarobić pieniądze, żeby zdobyć pannę młodą - odezwał się Smith, drapiąc się w policzek. - Potrzebne mu są pieniądze, żeby dać je ojcu panny młodej, przekonując go w ten sposób, że będzie wartościowym mężem.

- Masz na myśli, że on chce kupić sobie żonę? - Zmarszczyła brwi, przenosząc wzrok z jednego na drugiego mężczyznę. - To barbarzyństwo. Sprzedawać kobiety jak przedmioty.

- Nie większe barbarzyństwo niż posagi i małżeństwa kontraktowe w Anglii.

- Nic o tym nie wiem - odparła z lodowatym uśmiechem.

- Pochodzę z Bostonu.

- *L'argent est pour les cadeaux.* - Haffe był albo zmieszany, albo temat go przerósł, więc płynnie przeszedł na bliższy mu język francuski.

- Pieniądze są po to, żeby je wydawać - przetłumaczył Smith.

- *Cadeaux pour le papa** - Haffe potarł kciukiem o palce w powszechnie znanym geście oznaczającym pieniądze. - *Et maman**. - Znowu powtórzył gest. - *Lesfreres****. - Nadal pocierał palcami. Najwyraźniej wielu ludzi czekało z wyciągniętymi rękoma na te pieniądze. - *Tout la famille*****. - Nagle pełna entuzjazmu twarz Haffe rozplynęła się w zachwycie. - *Et la belle fiancee.* - Przez chwilę jego wzrok powędrował do rozkosznych obrazów, które tylko on jeden widział. Potem

cadeaux pour le papa - (fr.) srebro dla ojca et maman
- (fr.) i matki les freres - (fr.) braci Tout la famille -
(fr.) całej rodziny Et la belle fiancee — (fr.) i pięknej
narzeczonej

powrócił do rzeczywistości z tęsknym westchnieniem. - *Et les chameaux. Beaucoup de chameaux**.

- *Chameaux*! - powtórzyła, żałując, że zaprzestała nauki przynajmniej jednego żywego języka, zanim wzięła się do studiowania tych martwych.

Smith mruknął coś niecierpliwie i usiadł po drugiej stronie ogniska.

- Wielbłądy - powiedział. - Wiele wielbłądów. Jak się zdaje, tutaj jest to najodpowiedniejsza waluta, za którą można nabyć berberyjską pannę młodą. Im bardziej atrakcyjna panna, tym więcej wielbłądów trzeba dać za nią rodzinie.

- *Oui...* *Chameaux...* wielbłądy. - Haffe spojrzał to w jego, to w jej stronę, kiwając głową. - Dużo wielbłąd.

- A konkretnie o ilu wielbłądach mówimy? - spytała Abigail. Handel wymienny zwierzętami za kobiety to szokujące!

Smith zapytał Haffego, a ten westchnął i zaczął wyrzucać z siebie słowa wyjaśnienia na temat lokalnego systemu opłat, wśród których pojawiły się jakieś brzmiały podobnie do: „tuziny”, „piękna” i „wielka”.

- Trzy lub cztery tuziny powinny wystarczyć - powiedział Smith, wyciągając małe cygaro z buta i zapalając je. - Haffe ma dość wyrafinowany gust.

- Domyśliłam się. - Starła się nie spojrzeć gniewnie na Haffego. - Musi pragnąć prawdziwej piękności.

- W zasadzie to obszernej piękności. — Smith zarysował w powietrzu obfite kobiece kształty. - Berberyjscy mężczyźni, tak samo jak ich arabscy kuzyni, doceniają, gdy kobieta ma trochę więcej ciała. - Spojrzał na Haffego i potwierdził. - *Grosse. Gruba. Ouil*

- *Oui*. - Haffe kiwał głową pełen nadziei. - Piękny gruba żona...

Et les chameaux. Beaucoup de chameaux - (fr.) I wielbłądy. Dużo wielbłądów (przyp. tłum.).

Z gardła Abigail mimowolnie wydobył się ni to jęki ni to westchnienie. Kupowanie żony na wagę! A ona myślała kiedyś, że bale w Bostonie są czymś poniżającym

- Słodka żona. Spać słodko. - Niski Berber wykonał gest tulenia się. - Robić dzieci. Dużo dzieci. Grube małe dzieci - westchnął tęsknie.

Abigail wypuściła z sykiem powietrze, co miało wyrażać jej skrajne oburzenie.

- A to wiąże się z inną kwestią - wtrącił się Smith. - Nasz berberyjski przyjaciel potrzebuje pieniędzy i, biorąc pod uwagę tarapaty, w jakie się wplątałem, mnie także przydałoby się parę dodatkowych monet. Myślę, że najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali o naszym honorarium za zawieszenie cię do Marrakeszu.

- Honorarium? - wykrztusiła. - Nie zapłacę ci nawet centa. To ty wplątałeś mnie w kłopoty z władzą i wykorzystałeś mnie i mój bagaż do przewiezienia swoich dokumentów. Uważam, że wynagrodziłam cię już zawiązka.

A potem spojrzała na zaniepokojoną twarz Haffego i poczuła, że jej złość słabnie. Coś w jego pragnieniu pulchnej żony i grubych małych dzieci sprawiło, że postanowiła zrobić dla niego wyjątek w swoich przekonaniach co do wyższości zachodnioeuropejskiej koncepcji praw kobiet.

- Ale tobie zapłacę — powiedziała, myśląc, że chyba postradała zmysły. - Jedna srebrna moneta dziennie... za twoją pomoc w roli tragarza i kucharza.

- Nie sędzę - powiedział spokojnie Smith, prostując długie nogi i opierając się łokciami o siodło. Haffe spojrzał na niego zaniepokojony. - Haffe i ja jesteśmy w tym samym pakiecie. Powiem ci coś... Złożymy ci ofertę. Poprowadzimy cię i pomożemy znaleźć ci tę twoją bibliotekę, gdziekolwiek ona jest, w zamian za... połowę zysków.

- Nie bądź śmieszny - odparła z godnością. - Nie będzie żadnych zysków. Szukam książek.

- Starych ksiąg - sprecyzował. - Bardzo starych ksiąg. Prawdopodobnie wartych fortunę dla jakiegoś muzeum.
- Nie dla „jakiegoś” muzeum, tylko dla British Museum, które reprezentuję. Jestem tu po to, żeby odnaleźć bibliotekę i zapewnić prawa do przewiezienia jej zawartości, cokolwiek to będzie - księgi czy rękopisy - do British Museum, w celu analizy i konserwacji. Nagrodą za to będzie jedynie ślad w historii, który potwierdzi reputację naukową.
- Twoją reputację. - Zaciągnął się cygarem i wypuścił wąską smużkę dymu.
- I Thaddeusa Chiltona, który jako pierwszy wpadł na trop biblioteki i wykonał większą część pracy badawczej.
- I to wszystko, czego pragniesz? Tylko odrobina szacunku i rozgłosu naukowego?
- Tak.
- Gówny prawda.

Słucham?! - wybuchnęła. - Przyjechałam tu jako naukowiec i niedawno...

- Prawda jest taka, Boston - zerwał się gwałtownie na nogi — że nie masz pojęcia, czym mogą zakończyć się twoje poszukiwania.

- Ależ mam pojęcie! Znajdę książki.

- I nic poza tym? Dla twojej informacji, możesz natrafić na świątynie lub grobowce pełne złota i skarbów, o jakich nawet nie śniłaś.

Ona też się podniosła i przybrała dumną pozę. Krew kipiała jej w żyłach od niepohamowanej chęci przyłożenia mu nogą od połówki. Niestety nie miała żadnej pod ręką, bo zmusił ją do zostawienia wszystkich po drodze. Nigdy w swoim życiu nie spotkała nikogo, kto by w taki sposób prowokował ją do użycia przemocy fizycznej!

- To biblioteka! - oznajmiła stanowczo. - Stara, zaginiona i zapomniana przez wszystkich biblioteka.

- A co z ludźmi, którzy ją tam przenieśli? Tymi myślącymi o przyszłości entuzjastami nauki? Trudno uwierzyć, że nie byli na tyle przezorni, żeby wziąć ze sobą jakieś pieniądze na podróż.

- Dobrze, może i wzięli pieniądze. Nieśli ze sobą ogromne torby pieniędzy. I cenne klejnoty i góry złota, cokolwiek, o czym śniesz po nocach. Ale minęło już tyle czasu, że z pewnością wszystkie te pieniądze zostały dawno wydane, a ich właściciele też od dawna nie żyją.

- A jeśli nie wszystko zostało roztrwonione? - Niespodziewanie usiadł i ciągnął, patrząc na nią. - Mam propozycję. Co ty

na to? Ty bierzesz zwoje i książki, a my - wskazał na siebie i Haffego - wszystkie pozostałe dobra materialne.

- Nie bądź śmieszny. Nie ma tam żadnego skarbu.
- Niech to będzie nasze ryzyko.
- Nie ma mowy. W Marrakeszu się rozdzielamy. Ty idziesz swoją drogą, a ja swoją.

- Posłuchaj. Zatrudniając nas teraz, zaoszczędzisz sobie czas i zawracania głowy. I tak będziesz musiała znaleźć kogoś, kto zna pustynię...

- Masz na myśli kogoś, kto znają lepiej, żeby nie wyrzucać moskitiery? - Trafiła w czuły punkt, a on miał dość przyzwoitości, żeby się spieszyć.

- No dobrze... Zapomniałem, że w niektórych oazach może my mieć problemy z owadami. Myślałem o pustyni, tej, która jest jeszcze przed nami. Jaką masz gwarancję, że inny przewodnik nie wyprowadzi cię na pustynię, nie zabierze ci reszty pieniędzy i zwyczajnie nie zostawi cię tam na pastwę losu?

- A jaką mam gwarancję, że ty tego nie zrobisz? - rzuciła. Podniósł się jednym zwinnym ruchem, wyraźnie rozżłoszczony.

- Posłuchaj, Boston, już dwa razy ratowałem cię z opresji. I odzyskałem twój cholerny bagaż - potarł posiniaczony policzek - ponosząc pewne straty. I jest jeszcze drobna kwestia pieniędzy, jakie wydałem na załatwienie dla ciebie koni i pomocy.

- A wszystko to tak naprawdę po to, żebyś mógł odzyskać swoje cenne dokumenty — odparła oskarżycielsko.

- Nie zaprzeczę, że chciałem je odzyskać, ale wiedziałem też, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo, i chciałem naprawić swój błąd. I dlatego prowadzę cię do Marrakeszu, prawda?

Abigail wzięła kilka głębokich wdechów, próbując się uspokoić i zastanowić.

Perspektywa dalszego wielotygodniowego przebywania w towarzystwie apodyktycznego Smitha musiała zostać położona

na szali z czasem, jaki zaoszczędziłaby, gdyby nie musiała szukać następnego przewodnika, ani wyjaśniać i zastrzegać sobie pierwszeństwa w sprawie ewentualnych znalezisk. No i oczywiście, był też drobny problem ze znalezieniem kogoś naprawdę kompetentnego, godnego zaufania i uczciwego... A przynajmniej wystarczająco uczciwego. Jakie były szanse, że uda jej się znaleźć takiego znawcę pustyni w Marrakeszu, bez pomocy nawet prowizorycznego konsulatu brytyjskiego?

Spojrzała na Smitha, a potem na Haffego. Pomógł jej na pokładzie statku... a tam na dachach byli ci ludzie... Musiała niechętnie przyznać, że w obecnej sytuacji jej najlepszym wyborem był ten łotr, którego już знаła. Smith.

- No dobrze. Dam ci szansę. - Modliła się, żeby nie pożałowała tej decyzji. - Poprowadzicie mnie do Marrakeszu i pomożecie mi w poszukiwaniach, a przez ten czas ja zastanowię się, w jakiej formie zapłacę za waszą usługę.

Wspólnicy. Tak nazwał ich Smith. Za każdym razem, kiedy używał tego określenia, sprzeciwiała się i nalegała, żeby ich relacja - do czasu, aż dotrą do Marrakeszu - pozostała wyłącznie na płaszczyźnie pracodawca-pracownik. Partnerstwo, oświadczyła oschle, pociąga za sobą dwie rzeczy: wspólny cel i duże zaufanie, a żadna z nich ich nie dotyczyła.

Kimkolwiek dla siebie byli, byli zdani na siebie w najbliższej przyszłości, przy dobrej i złej pogodzie, w bogactwie i biedzie, w doli i niedoli, w chorobie i... Chwileczkę... Tę część o chorobie już przerabiali. Żadnych więcej chorób.

Jeśli warunki tej nocy i kolejnego dnia miały być jakkolwiek wskazówką do tego, jak będzie w przyszłości, oznaczało to, że będą musieli się mocno starać, żeby uniknąć „biedy” i „niedoli”. Smith nalegał, żeby wyruszyli bardzo wcześnie rano, a po nocy spędzonej w pozycji półsiedzącej przy pniu palmy już na samą myśl o ponownym wsiadaniu na konia bolały ją wszystkie kości. Potem narzucił mordercze tempo i nie zgodził się na

żaden postój, dopóki nie dojechali do wsi. Abigail marzyła o nocy pod dachem albo przynajmniej na pryczy, ale kiedy miejscowi powiedzieli, że nie mają żadnych koni ani mułów do sprzedania, Smith nalegał, żeby jechać dalej i rozbić obóz pod gołym niebem.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy zatrzymać się tam na noc - powiedziała, odczuwając każdą przejechaną milę w obolałych kościach.

- Nie chcieli nas tam - odparł zwięźle. - Berberowie uwielbiają handlować końmi. Jeśli nie chcą sprzedać ci konia, oznacza to, że nie jesteś mile widziany. A w Maroku, jeżeli nie jest się mile widzianym, lepiej się usunąć.

Jeszcze nie czuła się tragicznie, chociaż jej nastrój wyraźnie się pogorszył, kiedy musiała tego wieczoru zebrać liście palmowe, by ułożyć z nich legowisko. Gdy wymościła je żakietem safari i prześcieradłem, usadowiła się na nim, by zdjąć buty.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego — powiedział Smith.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że siedzi po drugiej stronie ogniska i przygląda się jej, owinięty nędznym wełnianym kocem, chroniącym przed ukąszeniami komarów.

- Od dwóch dni nie zdejmowałam butów - odparła zirytowana. - Mary Kingsley twierdzi, że na stopach, utrzymywanych w wilgoci zbyt długi czas w klimacie równikowym, mogą powstawać różne wysypki i choroby skórne.

- Aha. Cóż, skoro Mary tak twierdzi... - mruknął.

Ignorując go, zaczęła mocować się z obuwiem. Wyciągnęła stopę odzianą w pończochę na chłodne powietrze nocy i z ulgą rozprostowała palce, a potem wzięła się do zdejmowania drugiego buta

- Tylko rano, zanim włożysz je z powrotem, dobrze je wytrząśnij - powiedział, kładąc się na plecach i opierając głowę i ramiona na siodle zdjętym z konia. - Pajaki i skorpiony, które przesiadują w takich zagajnikach, uwielbiają wpełzać w nocy do pustych butów.

Abigail spojrzała na stopy w pończochach i na zakurzone buty, a potem czujnie rozejrzała się dokoła. Kiedy jej wzrok wrócił do Smitha, ten leżał z zamkniętymi oczami, ale mogła przysiąc, że się uśmiechał. Kolejne z jego nonsensownych ostrzeżeń. Chciał, żeby myślała, że nie poradzi sobie bez niego. Przycisnęła buty do piersi, przykryła się dokładniej prześciera-
dłem i położyła, by odpocząć.

W końcu, mimo bolących stawów i niepokoju, jaki budził w niej każdy szelest trawy i liści, udało jej się zasnąć. I chociaż była wyczerpana i zapadła w głęboki sen, po pewnym czasie poczuła, że coś pełźnie jej po łydce. Błyskawicznie rozbudzona, zerwała się na nogi i zaczęła gorączkowo podskakiwać i kopać nogami, żeby zrzucić to wielkie, ciemne coś z mnóstwem nóg, które przyczepiło się do jej łydki.

- Aaa!

Nie zdawała sobie sprawy że krzyczy, aż do chwili, kiedy potwór spadł z jej nogi i uciekł w pobliskie krzaki i skały. Tymczasem zaskoczył ją Smith, który nagle chwycił ją w ramiona. Zaczęła się miotać i wrywać.

- Boston, spokojnie! - Na ułamek sekundy podniósł ją do góry, by się wyprostowała, a potem przyciągnął ją do siebie.

- Coś po mnie łąziło! - Drżała na całym ciele.

;- Przyjrzałaś się temu?

- To było duże i miało dużo nóg! - Jej histeryczny głos wystraszył ją niemal tak samo jak przed chwilą pełzające po jej nodze stworzenie.

; - Ile miało nóg? Miało szczytce?

- To coś biegło po mnie! Na miłość boską, było ciemno, nie przyjrzałam się dokładnie!

- Dobrze, już dobrze. — Jeszcze na chwilę mocniej zacisnął wokół niej ramiona. - Jesteś bezpieczna.

- Wiem... - Ale serce waliło jej tysiąc razy na minutę, a każdy nerw ciała błagał o rozluźnienie uścisku jego ramion.

- Jakieś pieczenie? Ukłucie? - spytał łagodnym głosem,

jakby uspokajał spłoszonego konia. - Jeśli cię ugryzło, już być coś czuła.

Odwróciła się w jego ramionach tak, by znaleźć się z nim twarzą w twarz, a jej oczy rozszerzyły się. Przyglądał się jej z niepokojem, który *przeczył* spokojnemu tonowi jego głosu. Roztrzęsione nerwy, dzięki bicia serca i nagły przypływ fali gorąca, żadna z tych reakcji nie była wywołana ukąszeniem ani użądleniem.

Zadrżała ponownie i nagle wszystkie dotychczas tłumione, namiętne impulsy i odruchy, które w niej budził, doszły do głosu. Tak wiele razy w ciągu ostatnich trzech tygodni miała ochotę położyć dłonie na jego piersi, a teraz właśnie tak się stało. Jej ręce zaczęły powoli osuwać się w dół i zatrzymała je na jego talii. Przyciągnęła go bliżej do siebie i uniosła twarz...

Jego usta zaczęły zbliżać się do jej...

- Patrz! Widzieć! Tutaj! - Głos Haffego podziałał na nich jak kubeł zimnej wody.

Odskoczyli od siebie. Smith przyłożył dłoń do ust i zmrużył oczy, żeby zobaczyć Haffego po drugiej stronie ogniska.

- Co? - spytał, a w jego głosie słychać było napięcie.

- Skorpion. - Haffe uniósł sporych rozmiarów sztylet z nabitym na niego wielkim czarnym skorpionem, który nadal się ruszał. Berber uśmiechał się szeroko. - Gruby ogon. Bardzo źle.

- Czy to jest to, co miałam na... — Abigail odwróciła się i przerażona odskoczyła do tyłu na widok pajęczaka.

- Jesteś pewna, że cię nie ukąsił? - dopytywał się Smith.

- Całkowicie pewna. Nic mnie nie boli ani nie piecze. - Spojrzała na swoje stopy w zakurzonych pończochach, a potem na stwora, który właśnie wyzionął ducha na nożu Haffego. Po spiesznym sięgnięciu po buty, ale wytrząsnęła je dokładnie, zanim usiadła na ziemi, żeby je wcisnąć na nogi.

Smith złapał swój koc i zaczął nim okładać pobliskie trawy, żeby odstraszyć wszelkie zwierzęta, które mogłyby się tam

jeszcze czaić. Za trawami ukrywał się występ skalny ze zło-
wróżbnymi szczelinami.

- Skorpiony są niebezpieczne, prawda? - Nie mogła ode-
rwać wzroku od długiego, ciemnego stworzenia z podwiniętym
ogonem, na którym i tak doskonale było widać wielkie żądło.

- Tylko jeśli zamierzasz dożyć późnej starości. - Smith
wrócił do kręgu światła i stopą przesunął jej legowisko z pal-
mowych liści bliżej ogniska. - Ze skorpionami jest tak: chudy
ogon i cienkie szczytce - przeżyjesz, gruby ogon i duże szczyt-
ce - zmów ostatnią modlitwę.

- Ten miał gruby ogon. - Obserwowała, jak Haffe wyrzuca
nieżywego skorpiona w krzaki.

- W Maroku większość ma gruby ogon - dodał Smith,
splatając ręce na piersi. - Może dobrze byłoby, żeby jedno z nas
zostało przez noc na straży. - Posłał Haffemu pytające spoj-
rzenie. W odpowiedzi steward kiwnął głową.

- Myślisz, że może ich być więcej? - Wpatrywała się
w krzaki, czując się bezbronna i nie mogąc ukryć tej obawy,
która wyrażała się w drzeniu głosu.

Smith spojrział jej prosto w twarz.

- Wiesz co - powiedział podejrzenie niewinnym głosem
- będę spał obok ciebie. W ten sposób, jeśli jakiemuś skor-
pionowi uda się przejść obok Haffego, zanim dojdzie do ciebie,
najpierw znajdzie mnie na swojej drodze.

ROZDZIAŁ 12

Jego propozycja zaskoczyła Abigail, ale zaraz przypomniała sobie, co się wydarzyło, zanim Haffe się wtrącił, i oblała łę rumieńcem.

- Nie, dziękuję. — Energicznie wytrzepała prześcieradło.
- Nie mam ochoty brać na siebie odpowiedzialności za twoją śmierć od ukąszenia skorpiona. - Owinęła się prześcieradłem i usiadła na swoim legowisku.

- Nie musisz się tym wcale przejmować. Już kilka razy byłem ukąszony. - Obszedł jej pośladki i usiadł obok niej, a ona odsunęła się w stronę ogniska. - Pająki, węże, skorpiony, co tylko chcesz. Doprowadzałem tym moją starą nianię do szału.

- Miałaś nianię? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Dopóki nie zastąpiła jej guwernantka. A po niej prywatny nauczyciel. A właściwie nauczyciele. Całkiem sporo ich było - uśmiechnął się wyzywająco. - Jako dziecko byłem prawdziwym diabłem wcielonym. Stale przynosiłem do domu jakieś robactwo albo gady, i żeńska część służby wskakiwała z wrzaskiem na krzesła.

- A więc rzeczywiście „dziecko jest ojcem człowieka”
- mruknęła pod nosem.

- A do tego doszła moja fascynacja wysokością - jego głos zabrzmiał nostalgicznie, kiedy tak wrócił do czasów dzieciństwa. - Zawsze na coś się wspinałem, na drzewa, dzwonnice,

Dziecko jest ojcem człowieka - (oryg. the child is father to the man) fragment wiersza „The Rainbow” angielskiego poety Williama Wordswortha (przyp. tłum.).

rynny, dachy, łamiąc sobie przy tym kości. Kiedy osiągnąłem wiek szkolny, byłem już w zasadzie niezniszczalny. Co później w Maroku okazało się bardzo przydatne. Na północy skorpiony są mniejsze. Tyle razy byłem przez nie ukąszony, że się uodporniłem. Więc kiedy zostaliśmy przetrzuceni z wojskiem na południe, gdzie skorpiony są większe, miałem możliwość poobcować także z nimi. Ale zawsze wychodziłem cało z takich spotkań. I każde następne ukąszenie wydaje się mniej bolesne i mniej groźne od poprzedniego.

Przyglądając mu się, zauważyła ze zdumieniem, że kiedy to mówił, na jego twarzy malowało się młodzieńcze podniecenie, wyglądał jak chłopiec, którym był kiedyś. Zafascynowana tą wizją, nie była przygotowana na to, co po chwili usłyszała.

- Dlatego pomyślałem sobie, że zdołam wytrzymać z tobą parę tygodni.

Tak się zapatrzyła w jego uśmiech, że nie od razu zrozumiała, co powiedział. A kiedy do niej dotarło, dotknięta do żywego poderwała się, ale złapał ją za rękę.

- Tylko żartowałem, Boston. - Spojrzał jej prosto w oczy i dodał ściszone głosem: - Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Masz moje słowo.

Spojrzała na dłoń zaciśniętą na jej ramieniu i uświadomiła sobie, że wpadła w sidła przerażającego pragnienia, by ukryć się w jego ramionach i uwierzyć mu. Była zła na siebie za takie myśli, więc szybko uwolniła rękę i odsunęła się na skraj legowiska, jak najdalej od niego i od roślinności zamieszkaną przez skorpiony.

Łajdak. Nie chciała na niego patrzeć ani zastanawiać się nad faktem, że w jednej chwili była gotowa go udusić, a w następnej miała ochotę go dotykać. Jej życie było zagrożone i najwyraźniej nie myślała zupełnie jasno. Dzięki Bogu, jego „urok” ją otrzeźwił i znowu powróciła do normalnego stanu, w którym pragnęła go udusić.

Żeby oderwać myśli od swego niedopuszczalnego zachowa-

nia, zaczęła w pamięci powtarzać listę niebezpieczeństw, jakie kryła dzika przyroda, które z niezwykłą dokładnością opisały Mary Kingsley i Mabel Crawford. Komary, pijawki, węże, jaszczurki, krokodyle, gepardy, muchy... Żadna z nich nie wspomniała jednak pajęczaków z zachodniej Afryki, mających zwyczaj wchodzenia do butów.

„Jadowite nocne pajęczaki”, dział Bezkręgowce, numer katalogowy 595...

Za każdym razem, kiedy zapadała w drzemkę, a jej świadome odruchy obronne zaczynały szwankować, powracało do niej wspomnienie ust Smitha, muskających jej wargi. Nie był to jej pierwszy „niedoszły” pocałunek w życiu, ale ten najbardziej ze wszystkich nie dawał jej spokoju. Przed nastaniem świtu wiedziała już dokładnie, że mimo wielokrotnego recytowania w myślach wszystkich przewinień i wad Smitha, gdyby ponownie znalazła się w podobnej sytuacji, zdrowy rozsądek mógł ją znowu zawieść.

Potwierdziło się to, kiedy nad ranem otworzyła oczy, i zobaczyła, że Smith leży rozciągnięty obok niej i ją obserwuje. Jakby czytając jej w myślach, natychmiast podniósł się i wytrząsnął koc, którym był przykryty.

- Nie denerwuj się, Boston - zmierzył ją wzrokiem, zanim odwrócił się, by siodłać konie - jesteś kluczem do mojego skarbu. Po prostu pilnuję swojej inwestycji.

W południe dotarli do następnej odciętej od świata wysepki palm i zatrzymali się na odpoczynek. Kiedy rozłożyli się w cieniu na trawie, popijając wodę i jedząc chleb, oliwki i ostry kozi ser, Abigail wyciągnęła ostatni dziennik Chiltona i mapę, i od razu troje ciekawskich oczu zaczęło badawczo patrzeć jej przez ramię. Chciała zamknąć książkę, ale Smith przytrzymał stronę, na której ją otworzyła, i zaczął odwoływać się do ich wspólnego interesu, a kiedy to nie podziałało, do zwykłej ludzkiej ciekawości, czym wreszcie ją przekonał.

Wzdychając, otworzyła ponownie dziennik i uniosła tak, żeby mogli go obaj obejrzeć. Smith jęknął na widok tekstu.

- Powiedz, że przynajmniej dla ciebie to nie jest jakaś chińszczyzna.

- Thaddeus prowadził dzienniki w starożytnej grece, by doskonalić swoje umiejętności tłumacza i badacza, ale także po to, żeby uchronić swoje badania przed niepowołanymi.

- *Beta, jota, beta, lambda... omikron... sigma...* — pokazał palcem grupę liter. - B... i... b... 1... czy to znaczy Biblia?

- Blisko. *Biblos*. A to znaczy „książki”. Od tego słowa pochodzi też słowo Biblia. - Była wyraźnie zaskoczona tym, że był tak bliski prawdy. - Znasz grekę?

- Kilka słów i zdań. - Wzruszył ramionami. - Podstawy poznałem podczas nauki, a resztę od greckiego towarzysza broni w naszej kompanii, który nauczył mnie paru słów w za mian za kilka francuskich.

- Tutaj - wskazała linię tekstu - profesor pisze o wyprawie na *erimos*, czyli pustynię, która ocalała księgozbiór. Pisze też, że wzniesli tam *naos* - świątynię, którą poświęcili Atenie, bogini i opiekunce mądrości. Wybudowali całą osadę, z murami, do mami i specjalnymi pomieszczeniami na *grafi* - pisma.

Kiedy podniosła wzrok znad tekstu, Smith dziwnie na nią patrzył.

- A gdzie była ta osada? - spytał, spuszczać wzrok na dziennik.

- Na południowy wschód od Marrakeszu. Przynajmniej tak to określił Thaddeus. Porównał stare wykresy ruchu gwiazd z kilkoma źródłami pisanymi i obrazkowymi, określającymi miejsce biblioteki. Znał też czas trwania podróży i odległość do najbliższego miasta, Timbaktu.

- Timbaktu? - Oczy Haffego rozbłysły na dźwięk znajomego słowa. - Urodzić w Timbaktu. - Potem jego zapał zniknął. - Długi podróż. Bardzo gorąco. Nie ma woda.

- Cóż, nie wydaje mi się, żebyśmy musieli przebyć całą drogę do Timbuktu - odparła. - Po dwóch bezowocnych wyprawach w poszukiwaniu tego miejsca profesor skorygował swoje obliczenia i doszedł do wniosku, że biblioteka i osada muszą znajdować się bliżej Marrakeszu.

- A więc nasz naukowiec już dwa razy wyruszał na poszukiwanie biblioteki i niczego nie znalazł? - Smith poważniał. - Dlaczego więc sądzisz, że tobie się powiedzie?

- Ponieważ profesor znalazł nowy dowód. Fragment listu, który był częścią zwoju opisującego administrację Aleksandrii.

- I nikt inny wcześniej nie zauważył tego fragmentu?

- Był napisany szyfrem - ciągnęła Abigail z podnieceniem. - Oryginalny zwój uległ zniszczeniu i inny tłumacz uznał, że jego stan nie pozwala na to, żeby się z nim uporać, i że wyjdą z tego jakieś bzdury. Ale nasz profesor dostrzegł w tych fragmentach zwoju pewną spójność językową. Po ciężkiej pracy i analizach zdał sobie sprawę, że tekst jest zaszyfrowany i udało mu się go odszyfrować. Okazało się, że jest to wiadomość wysłana do jednego z opiekunów biblioteki, w której autor donosi, że znaleziono już odpowiednie miejsce na pustyni i rozpoczęto budowę *scriptorium*.

Przekartkowała dziennik i znalazła miejsce, w którym Thaddeus Chilton pieczołowicie przepisał fragment rękopisu, na którym opierał swoje nadzieje i kalkulacje. Coraz bardziej ożywiona wskazała zaszyfrowany tekst i obok niego, już odczytany fragment.

Kiedy skończyła, spojrzała na Smitha, który wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem. Podniósł się, znieruchomiał na chwilę, a potem pokiwał głową.

- Byłaś jedną z tych małych dziewczynek, które zawsze dostają piątki w szkole, prawda? - Ponieważ nie odpowiedziała od razu, sam sobie przytaknął: - Jasne. Założę się, że byłaś koszmarem dla swoich rodziców.

- Tak się składa, że obydwójce moi rodzice byli naukowcami

- powiedziała obronnie. - Ojciec jest wybitnym klasycystą na Oksfordzie, a mama była sławnym kustoszem i tłumaczem w znakomitej bibliotece muzeum w Bostonie.

- A zatem idziesz śladami ojca?

- Nie widziałam go od prawie dwudziestu lat. - To stwierdzenie oraz myśli i wspomnienia, jakie w niej obudziło, wywołało rzadko uświadamianą złość. - Ale prawdopodobnie spotkam się z nim oko w oko, kiedy przywiozę pozostałości Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej do British Museum.

Przyglądał jej się bacznie przez dłuższy czas, a potem odwrócił się z cichym pomrukiem: „Ech”.

- Ech? - Odłożyła dziennik na bok i spojrzała na niego bacznie. - A co miało znaczyć to twoje „ech”?

- To znaczy - wyraźnie słyszała w jego głosie zadowolenie z siebie - że w końcu odkryłem prawdziwy powód, dla którego przyjechałaś do Maroka.

Poszukiwanie zaginionej biblioteki nie ma nic wspólnego z moim ojcem, myślała Abigail. I była w tej kwestii nieprzejednana przez całą drogę w prażącym słońcu do następnego postoju. Przyjechała tu, żeby dokonać historycznego odkrycia, by zapracować na uznanie w środowisku naukowym i by udowodnić, że kobiety są w stanie poświęcać się dla postępu nauki w takim samym stopniu jak mężczyźni. Henry Merchant, który bardziej zabiegał o dobrą opinię w gronie naukowym niż o uznanie i szacunek swojej żony, nie zaliczył testu na męża ojca już wiele lat temu. Nie miała żadnej potrzeby udowadniać mu czegokolwiek.

Za to jej matka to odrębna historia.

Błyskotliwa, ale porywcza Olivia Ridgeway Merchant zakochała się i poślubiła poważnego młodego naukowca w czasie podróży do Anglii. Kiedy zaczęła z nim pracować nad rozmaitymi tłumaczeniami, jego wydział był oburzony i nalegał, żeby przerwał tę współpracę i wykreślił jej imię z ich wspólnych

dokonań. Zbulwersowana Olivia uznała zepchnięcie jej do roli żony przy mężu za sytuację upokarzającą i nie do zaakceptowania. Kiedy Abigail skończyła pięć lat, matka uciekła z Oksfordu do rodzinnego Bostonu, zamierzając wychować córkę w swobodniejszej i zdrowszej atmosferze.

Lecz Olivia nie wzięła pod uwagę kaprysów genetyki. Abigail okazała się bardzo podobna do ojca - była pilną uczennicą, obsesyjnie pedantyczną i niechętną podejmowaniu jakiegokolwiek ryzyka. Kiedy ukończyła college i oznajmiła, że zamierza zostać bibliotekarką, Oli via zareagowała tak, jakby córka sprzedała duszę diabłu. Zaczęła namawiać Abigail, żeby zamiast tego wybrała się w daleką podróż, by założyć własny interes albo nawet oddała się wolnej miłości. Krótko mówiąc, Abigail sprzeniewierzyła się wolności, którą z takim poświęceniem wywalczyła dla niej matka.

Dopiero przy łożu śmierci Olivii, podczas jej ostatnich dni, Abigail wreszcie zrozumiała, jakiego poświęcenia dla niej dokonała matka. Przyrzekła więc Olivii, że zrobi w swoim życiu coś istotnego i odważnego. I kiedy sprzedała skromną posiadłość matki, napisała list do Oksfordu, zarezerwowała bilet na liniowiec do Anglii i popłynęła do British Museum.

Ale coś w szydycznej konkluzji Smitha na temat jej motywów działania dotknęło ją na tyle mocno, że po paru godzinach nadal się nad tym zastanawiała. Niechętnie przeanalizowała swoje motywy i musiała przyznać, że chociaż tę wyprawę zorganizowała ze względu na pamięć matki, to rzeczywiście odczuwała ogromną pokusę, by pozostałości Wielkiej Biblioteki, które odnajdzie, przywieźć do Oksfordu i rzucić do stóp ojcu.

Skupiła spojrzenie na Smithice, który jechał przed nią, i poczuła złość, że z taką łatwością dotarł do sedna i wyciągnął na wierzch prawdę, którą ukrywała głęboko na dnie duszy. Ta stara sprawa rodzinna zdawała się jeszcze potęgować i tak gorący charakter poszukiwań.

Ale rzeczą najbardziej irytującą był fakt, że poczuła się

w pewien sposób bezbronna wobec celnej uwagi Smitha. Zdemaskowana. Jakim cudem człowiek taki jak on zdołał ją z taką łatwością przejrzeć? I do tego tylko jednym okiem...

Dolina, która, jak zapowiadał Smith, będzie się nadawała na rozbić kolejnego obozu, okazała się szeroka i wyschnięta z kamiennym podłożem i zielonym strumieniem przecinającym jej żyzne serce. Wyżej na zboczach rosły kępy palm daktylowych, drzewa oliwne i cytrusowe. Po długim dniu oglądania wysuszonej trawy, gołych głazów i piachu, widok bujnej roślinności był jak lekarstwo na zbolące oczy.

Nie byli jednak jedynymi ludźmi, którzy chcieli nacieszyć się wygodami, jakie zapewniała żyzna zielona równina. Grupa nomadyjskich poganiaczy była zajęta tutejsze pastwiska dla swojego stada i rozbiła obozowisko w pobliżu studni w samym środku doliny.

Smith poprowadził Abigail i Haffego do jedynej studni, która nie była otoczona przez owce lub namioty, wyróżniającej się niskim kamiennym murkiem, osłaniającym dół i specjalny drąg, na którego końcu wisiało głębokie wiadro. Haffe od razu zajął się pojeniem koni i rozkładaniem obozu, a Smith przykazał Abigail, żeby unikała spoglądania na któregokolwiek z tubylców. Zanim zdążyła zażądać od niego wyjaśnień w tej kwestii, on już ruszył długimi krokami do największego z rozbitych tu namiotów.

Kiedy Haffe ponownie napełnił ich manierki wodą i nalał jej też do garnka, w którym miał zamiar coś ugotować, Abigail przechadzała się tam i z powrotem, rozprostowując kości i rozciągając zmęczone mięśnie, zdumiona, że jej nogi nadal funkcjonują po takiej dawce jazdy konnej. Bolały ją plecy, pośladki wydawały jej się jedną wielką raną, a skóra na twarzy była chropowata od piasku. Wiele dałaby za wodę, mydło i krem. Może w Marrakeszu znajdą czas, by się wykąpać...

i Kiedy wypila całą wodę z manierki, postanowiła napełnić ją ponownie i dać Haffemu, który był zajęty rozpakowywaniem ich zapasów i przygotowywaniem kręgu pod ognisko. Nabrała więc wiadro wody i przyniosła je Haffemu.

- Haffe, byłeś w Marrakeszu, prawda? Jak tam jest? - spytała siadając z boku na niskim kamiennym murku. Kiedy podniósł wzrok, powtórzyła pytanie. - Marrakesz... powiedz mi coś o Marrakeszu.

Zdała sobie jednak sprawę, że jego wzrok był skupiony na czymś, co znajdowało się za nią. Odwróciła się i zobaczyła, dlaczego Haffe tak nagle zbladł. Kilku tubylców podeszło bliżej zatrzymało się w niewielkiej odległości, obserwując ich i wymieniając między sobą ożywione komentarze. Nie mogła na nich nie patrzeć, bo stanowili fascynujący widok: mieli na sobie długie pustynne szaty i czarne turbany, których zwisającym końcem zasłaniaли dolną część twarzy. Za ciemnymi pasami z materiału przewiazanymi w taliach mieli zatknięte zakrzywione noże. Ich oczy wyrażały raczej wrogość niż zyczliwość..., ale może to zasłonięte twarze sprawiały wrażenie, że wyglądali jak bandyci.

Za nimi zebrała się gromadka mniejszych postaci bez zasłon na twarzach: niektóre nosiły na czołach łańcuszki ze srebrnymi monetami. Większość zasłaniała twarze dłońmi, patrząc w jej stronę i wykrzykując coś z wściekłością. Kilkoro dzieci biegało w tę i z powrotem, popychając się wzajemnie w jej stronę, najwyraźniej nie ośmielając się do niej zbliżyć.

Wstała i wygładziła materiał spódnicospodni, nieco zmieszana tym zainteresowaniem, jakie wzbudziła, ale gotowa się serdecznie przywitać.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie: kobiety zaczęły wydawać językami wibrujące dźwięki, mężczyźni wykrzykiwali coś z oburzeniem i niebezpiecznie się zbliżali. W tym samym momencie Smith wyszedł z głównego namiotu z ponurą twarzą. Widząc ludzi zbliżających się do Abigail, przyspieszył kroku, by stanąć między nimi a nią, z dłonią opartą na rewolwerze, który miał przy boku.

Za Smithem bez pośpiechu kroczył niski, tęgi mężczyzna ubrany w bardziej wyszukaną wersję stroju nomadów. Kiedy ocenił sytuację, spojrzał gniewnie i zaczął wykrzykiwać rozkazy, które na chwilę zatrzymały jego ludzi. Wściekłość, która zapanowała w obozie, przekształciła się w stłumione wzburzenie, w każdej chwili mogące znowu eksplodować ze wzmoczoną siłą.

Wiedząc, że ludzie z plemienia nadal dzierżą w dłoniach noże, Smith skłonił się z szacunkiem przed wodzem plemienia, który przyjął ten gest skinieniem głowy. Potem odwrócił się do Abigail, a jego oczy ciskały błyskawice.

- Coś ty narobiła? - wybuchnął.
- Nie mam pojęcia - odparła zirytowana, krzyżując ręce na piersi. — Ja tylko rozciągałam nogi, a potem nabrałam wiadro wody... Haffe i ja rozmawialiśmy o...
- Nabrałaś wody? - dopytywał się z ponurą miną.
- Oczywiście. Zamierzam być przydatna w trakcie tej...
- Powinienem był ci powiedzieć. Nomadowie są bardzo wrażliwi w kwestii swojej wody. Nie lubią cudzoziemców, a szczególnie niewiernych kobiet, które zanieczyszczają ich studnie.

- Zanieczyszczają? Jedyne, co zrobiłam, to wyciągnęłam z tej piekielnej studni wiadro wody! - podniosła głos, co wywołało kolejną falę pomruków.

Smith odwrócił się, by ocenić sposób, w jaki plemię i jego wódz na nich patrzyli. Wyczuwali, że ta biała kobieta mu się przeciwstawia. Ich wrogie spojrzenia mówiły, że jeśli czegoś nie zrobi, to oni wkroczą do akcji.

Pomruki przeszły w głośniejsze okrzyki i konfrontacja zdawała się nieunikniona, kiedy nagle jedna z kobiet wystąpiła z szeregu ludzi stojących obok namiotu wodza i niosąc coś w rękach, podbiegła do Smitha. Rzuciła mu zawiniątko, ale upadło za daleko. Po chwili zorientował się, że chciała mu to podać, więc schylił się po coś, co okazało się długą, ciemnoczerwoną szatą, jakie nosiły kobiety w nomadyjskim obozowisku. Ukłonił się w stronę kobiety, a potem podszedł do Abigail i zarzucił jej materiał na głowę i ramiona, zakrywając ją od stóp do głów.

- Co ty, u licha, wyprawiasz?! - zaprotestowała. Chwycił jej rękę, żeby powstrzymać ją przed ściągnięciem szaty.

- Ratuję ci życie - warknął zniżonym głosem. - Albo się zakryjesz, albo poświęcę cię w rytuale na cześć „ducha studni”.

- Nie bądź śmieszny! - Mimo irytacji, zdała sobie sprawę, że tłum oburzonych nomadów zaczął się powoli uspokajać. - Berberyjscy nomadowie nie praktykują składania ofiar z ludzi. Są bardzo gościnni i chętnie przyjmują u siebie obcych.

- Skąd ty możesz wiedzieć, jacy są?

- Eliza Beaverton tak ich opisała w książce: „Trzyletni pobyt na Wybrzeżu Barbarzyńców”.

Nie poruszył się, nawet nie mrugnął okiem przez bardzo długi czas.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem...

- Zdjął z głowy kapelusz i przesunął ręką po włosach. - Po słuchaj, może dotychczas żyłaś sobie w świecie książek, ale to tutaj jest prawdziwe Maroko! Tu rzeczywistość jest bardziej

zagmatwana, straszniejsza i, do diabła, dużo bardziej skomplikowana. Tutaj, jeśli ktoś nie pochodzi z tego samego plemienia, jest potencjalnym obiektem rabunku albo i czegoś gorszego. - Wycelował w nią palec wskazujący tak, że dotknął nim czubka jej nosa. - Może nie załapałaś jeszcze, kochanie, ale właśnie znajdowałaś się o włos od śmierci na dnie studni!

Dopiero po chwili dotarł do niej sens jego słów.

Stała bez ruchu, patrząc, jak się od niej odwraca i idzie do koni. Krew pulsowała jej w żyłach, a na twarzy pojawił się piekący rumieniec. Początkowo myślała, że Smith zamierza odjechać, ale zaczął rozsiadływać konia. Rozejrzała się po obozie nomadów i zauważyła kilku ludzi nadal przyglądających się jej bez większego zainteresowania, ale wiedziała, że to tylko pozór. Potem spojrzała na studnię. Berberyjscy nomadowie byli mocno przesadnym ludem. Eliza Beaverton najwyraźniej zapomniała o tym wspomnieć.

Nagle poczuła narastającą gulę w gardle.

Owijając się szczelniej szatą, ruszyła do Smitha.

- Co robisz? - spytała, widząc, że zdejmuje siodło z jej konia. - Nie możemy zostać tu na noc. Nie po tym, co się stało.

- Musimy.

- Nie zmrużę oka - powiedziała z drżeniem w głosie.

- Żadne z nas nie zmruży. Ale gdybyśmy teraz odjechali, odrzucilibyśmy gościnność wodza, co mogłoby zostać poczytane za afront i stalibyśmy się łatwym celem ataku. Jeśli zostaniemy, wódz dopilnuje, żebyśmy byli traktowani jak goście.

To była dość pogmatwana logika, najwyraźniej bardzo powszechna w Maroku. Rzuciła okiem na namioty nomadów, przypominając sobie wściekłość malującą się na częściowo zasłoniętych twarzach tubylców.

- Oni naprawdę zamierzali wrzucić mnie do studni?

Niosąc siodło bliżej do ogniska, zatrzymał się w pół drogi i spojrzął na nią. Na jego szyi widać było napinające się ścięgna, a podwinięte rękawy koszuli odsłaniały przedramiona, na któ-

rych widziała pulsujące żyły. Jej wzrok zatrzymał się na mocnych mięśniach, które dawały jej poczucie ubezpieczeń siwa.

- Tylko wtedy, gdyby udało im się mnie pokonać - powiedział i wyglądało na to, że naprawdę tak myślał.

Obserwowała go, jak odkłada siodło i idzie po następne. Czy naprawdę tak myślał, mówiąc, że nie pozwoli, by cokolwiek jej się stało? Czy stanąłby w jej obronie? Zadrżała.

W jednej chwili, cały jej świat zamarł, a potem wyrócił się do góry nogami. Przytłaczająca siła Smitha i jego upór, które odbierała jako przejawy prymitywizmu i czegoś upokarzającego, nagle w jej odczuciu przekształciły się w opiekuńczość i wsparcie..

Chwiejnym krokiem podeszła do ogniska, które rozpałił Hafffe, podniosła z ziemi kilka śmierdzących brązowych placków i zaczęła dorzucać do ognia.

Nie mogła się otrząsnąć po wydarzeniach tego wieczoru. Wszystko wydawało się nierealne, aż do późnej nocy, kiedy owinęli się prześcieradłami i ułożyli do snu. Nie potrafiła powiedzieć, czy już spała, czy jeszcze nie, kiedy poczuła, jak ktoś podnosi jej głowę i podkłada pod nią zwinięty koc. Kiedy spojrzała w górę i zobaczyła, że to Smith, i że położył się obok niej, nie potrafiła ukryć uczucia ulgi.

Nomadowie zwinęli obóz następnego dnia, zanim promienie słońca zdążyły ją obudzić. A było już ze dwie godziny po wschodzie słońca i czuła, że ma połowę twarzy spieczoną jego promieniami. Wstała oszołomiona i odnalazła Smitha i Haffego leżących w cieniu i czekających, aż się obudzi.

- Dlaczego mnie nie zbudziliście? - spytała. Czuła się osłabiona, serce tłukło się w jej piersi, nie mogąc nadażyć za ruchami ciała.

- Potrzebowałaś snu. Wszyscy pospaliśmy sobie po ich odjeździe.

- A co się z nimi stało? - Ruchem głowy wskazała puste miejsca po namiotach. - Dokąd pojechali?

- Na wschód. Prawdopodobnie do kolejnej doliny z wodą. Jakiejś nieskalanej. - Smith rzucił jej drwiące spojrzenie, a ona jednym ruchem zdjęła z siebie osłaniającą ją szatę i oparła ręce na biodrach.

- To nie moja wina. Nie zamierzam brać na siebie odpowiedzialności za każdy głupi przesąd, jaki słońce wypaliło w umysłach tych ludzi.

- Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że jesteś Brytyjką - parsknął krótkim, ironicznym śmiechem. - Posłuchaj, Boston, jesteś na ziemi należącej do nich z dziada pradziada, żywisz się ich jedzeniem, oddychasz ich powietrzem i podróżujesz po ich drogach. Musisz postępować zgodnie z ich zasadami.

Minął ją i poszedł do koni stojących w cieniu. Były już osiodłane i objuczone. Ale zamiast wsiąść na konia, zaczął szukać czegoś w torbie pod swoim siodłem.

Odwróciła się rozszluszczona i poszła odwiedzić wysokie trawy w najdalszym krańcu palmowego zagajnika. Wracając z powrotem, otrzepując ubranie i palcami rozczesując potargane włosy, kiedy Smith stanął na jej drodze, trzymając coś w rękach. To była jej broń.

- Niezły kawałek żelastwa — powiedział, otwierając rewolwer. - Nie widziałem wcześniej tego modelu. Webley łamany od góry, 455...

- Dwójka - dodała. - Właściciel mówił, że to ostatni model, łatwiejszy w ładowaniu i ma udoskonaloną lufę...

- Trochę za duży jak dla kobiety. Założę się, że zabiłabyś z niego wieloryba jednym strzałem.

- To prawda. - Zauważyła łatwość, z jaką posługiwał się rewolwerem, i miała nadzieję, że nie zmienił zdania i nie zdecydował się teraz sam wrzucić jej do studni.

- Powinien był sprzedać ci coś mniejszego.

- Próbował. Ale radzono mi, żebym kupiła coś z dużą „siłą rażenia”.

- Tak? A kto doradzał? :

- Maude Cummings, skoro już musisz wiedzieć. W książce „Kobieta podróżująca za granicą” napisała, że nigdy nie wiadomo, kiedy stanie się wobec konieczności powstrzymania szarżującego byka albo spłoszonego stada zebr.

Zamknął oczy i wyglądał przez chwilę na zbolałego, a potem otworzył je i skupił się na sprawdzaniu bębena. Oceniał wyważenie broni i wygodę rękojeści, wycelował w bok i spojrzął wzdłuż lufy. Potem zakręcił rewolwerem na palcu wskazującym, zatrzymał go, sprawnie chwytając za lufę i podał go rękojeścią w jej stronę.

- Noś go bez przerwy. - Wcisnął jej rewolwer do dłoni. - Nie zaszkodziłoby też, gdybyś zawsze miała przy sobie kilka dodatkowych naboje.

Fakt, że oddał jej broń wydał jej się złowieszczy.

- Dlaczego? - spytała. - Co się będzie działo? - Nie zapowiadało to niczego dobrego.

Pchnął ją lekko w stronę koni.

- Mamy do przebycia jeszcze długą drogę, zanim dotrzemy do Marrakeszu.

- I...? - Lęk przeszył jej ciało. Będzie musiała do kogoś strzelać?

- I każdy, kogo spotkasz na swojej drodze w Maroku, będzie albo twoim nowym najlepszym przyjacielem, albo nowym najgorszym wrogiem.

- Mam wrażenie, że stawiasz raczej na potencjalnych wrogów.

- Takie mam doświadczenia. - Podeszedł do swojego konia - Doświadczenie twoim najlepszym nauczycielem.

Abigail przez chwilę stała, zastanawiając się, jaką naukę ona wyniosła z tej lekcji. On wiedział o tej ziemi i ludziach ją zamieszkujących więcej, niż jej się początkowo zdawało. Ale

najważniejsze, że dowiódł, że ma zamiar stawać po jej stronie, a nawet osłaniać ją przed niebezpieczeństwem.

- W porządku. - Podeszła do konia, a Smith i Haffe w tym czasie dosiedli już swoich. - Podjęłam decyzję. Zatrudnię was za połowę skarbu, jeśli w ogóle go znajdziemy. Reszta będzie dla British Museum. Bez dyskusji, targowania się i spierania, czy wysuwania żądań w ostatniej chwili.

Smith przez chwilę zastanawiał się nad propozycją, a potem skinął głową i uśmiechnął się do Haffego.

- Gratuluję, przyjacielu. Wkrótce będziesz żonatym mężczyzną.

Z oddali Marrakesz wyglądał jak wielkie wyidealizowane malowidło, które mogłoby zawisnąć w głównym salonie londyńskiego klubu dla mężczyzn. Od masywnych murów biła ciemnoróżowo-żółta poświata znikającego za horyzontem słońca, a wielka wieża meczetu górująca nad centrum miasta połyskiwała, jakby była cała obłożona złotem. Droga wiodąca przez usianą palmami równinę wprost do wielkiej północnej bramy była pełna karawan i ludzi w kolorowych szatach i turbanach. Esencja Maroka, pomyślała Abigail na widok, który pojawiał się w każdej z przeczytanych książek czy obejrzanych obrazów i ilustracji.

Pięć dni męczarni i nerwów wreszcie się skończyło, a ich miejsce zajęła ekscytacja, gdy dołączyli do rzeki wielbłądów, osłów, powozów i pieszych pielgrzymów podążających główną drogą. Tak właśnie wyglądał egzotyczny punkt wyjścia do wielkiej przygody, którą profesor opisał w swoich dziennikach. *Znalazła się u progu wielkiego odkrycia.*

Ale ulga, którą odczuwała, była tylko częściowo spowodowana ich bezpiecznym dotarciem do Marrakeszu. Pozostała część dotyczyła nieświadomionego lęku, że nadzieje Tha-

Ideusa Chiltona na odnalezienie biblioteki, którym poświęciła całe życie, mogły być nieco wyolbrzymione, że mógł wyobrazić sobie, powiedzieć więcej, niż w rzeczywistości tu zastał. Ale teraz, widząc tętniące życiem miasto, poczuła przyływ pewności siebie, że jednak uda im się odnaleźć bibliotekę. W takim miejscu jak to mogło się zdarzyć wszystko.

- Boston! - Głos Smitha wreszcie wyrwał ją z zamyślenia. Ściągnął cugle i czekał, aż podjedzie. - Włóż tę szatę, którą dostałaś zeszłej nocy. Nie ma sensu niepotrzebnie ściągać na siebie uwagi.

Abigail sięgnęła po ciemną bawełnianą szatę, którą wsadziła między torby za siodłem i zarzuciła ją sobie na głowę i ramiona. Jadący przed nią Smith zdjął kapelusz i włożył długą tunikę z kapturem, która była w Maroku tradycyjnym strojem. Potem zeskoczył z siodła, żeby się mniej rzucać w oczy, a ona poszła w jego ślady.

Rozglądając się dokoła po kolorowych turbanach, zawołanych twarzach, egzotycznych strojach ludzi tłoczących się do bramy, przypomniała sobie reakcję nomadów na jej ciekawość i odwróciła wzrok w bezpieczniejszą stronę: na mury i bramę, wypatrując raczej luf karabinów, oddziałów gniewnych żołnierzy, noży trzymany między zębami...

Kiedy przeszli pod ozdobionym ornamentami łukiem Babel-Khemis i znaleźli się w zacienionej wysokimi murami części miasta, poczuła wyraźny spadek temperatury, a nawet chłód. Pod długą szatą jej dłoń powędrowała ku rewolwerowi, zatkniętemu z tyłu za pasek. Broń nie była już taka zimna jak zwykle, gdyż chłonęła ciepło jej ciała i wydała się bardzo na miejscu tam, za jej plecami.

- Ile masz pieniędzy? — Smith wsiadł na konia i zaczekał na nią.

- Trochę - odparła niechętnie.

- Wystarczy na noc albo dwie w przyzwoitym hotelu? - spytał, nie odrywając wzroku od ich otoczenia.

Kiwnęła głową i podobnie jak on zaczęła rozglądać się, wypatrując oznak zagrożenia. Ale prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co tutaj mogło stanowić dla nich niebezpieczeństwo, oprócz złodziei, legionistów, skorpionów i przesądnych nomadów.

- W takim razie tędy. - Smith spiął kolanami konia i skierował na szeroką ulicę, wzdłuż której ciągnęły się mury i bramy bogatych domów i gustownie wyglądających sklepów.

Niebawem dojechali na plac obsadzony palmami, wokół którego stały imponujące budynki, jakich nie widziała w Casablanca. Smith zatrzymał się przed szeregiem przepięknie rzeźbionych łuków, które stanowiły wejście do ogromnej rezydencji. Okazała się ona hotelem Raissouli, miejscem szanowanym i bardzo droгим, w którym, według Smitha, nikt nie będzie ich szukać.

Cena, jakiej od nich zażądano, wydawała się nieprzyzwoicie wysoka, ale kiedy zaprowadzono ich przez szerokie korytarze do pokoi, Abigail wystarczył jeden rzut oka na adamaszkowe draperie nad łóżem i blad różowe marmurowe ściany, żeby uznać, że to były dobrze wydane pieniądze. Kiedy portier wręczał jej klucz do pokoju, zapytała go o możliwość kąpieli. Zażyczyła sobie, żeby dostarczono jej gorącą wodę najszybciej jak to możliwe.

Dwukrotnie zasnęła. Raz w fotelu, czekając na wodę i drugi raz w wannie, zanim wreszcie wsunęła się pod czyste prześcieradła i zapadła w sen na dwanaście godzin.

Ocknęła się dopiero po południu następnego dnia z uczuciem, że nie jest sama. Kiedy usiadła na łóżku, zobaczyła Smitha siedzącego na przysuniętym do łóżka krześle, z nogami opartymi na jej materacu.

- Co tu robisz? - Podciągnęła wyżej kołdrę i zasnęła mrugając powiekami.

- Sprawdzam nasze mapy - powiedział, podnosząc zwinięty kawałek pergaminu, który trzymał w dłoni.

- Jak się tu dostajesz? - Kiedy nie odpowiedział, spojrzała na drzwi, spodziewając się zobaczyć je roztrzaskane. — Co jest nie tak z hotelami w...? Nasze mapy?

- Teraz, kiedy jesteśmy współnikami...

- Nie jesteśmy. Łączy nas układ pracodawca-pracownik - oznajmiła ze złością, wychodząc z łóżka, żeby zabrać mu mapę.

- Pomyślałem, że powinienem zobaczyć, co nas czeka. - Pochylił się do przodu i zbliżył do niej tak, że odruchowo się cofnęła. — I widzę, że czeka nas istna katastrofa. — Wcisnął jej do ręki koniec pergaminu i rozwinął resztę. - Na całej tej mapie, oprócz Timbaktu, nie ma ani jednego miejsca, które miałyby jakąś nazwę albo w ogóle było rozpoznawalne.

- Profesor był ostrożny. - Rzuciła okiem na mapę, którą i tak znała na pamięć, a potem zwinęła ją w rulon. — Prowadził dzienniki w antycznej grece, a mapy szyfrował.

- Tak? No to gdzie jest ten kod do rozszyfrowania ich?

- Mam go. - Pomięła w swoim stwierdzeniu słowo: „prawie”. - Muszę tylko skonsultować się z kimś w Marrakeszu.

- Z kim? - Wyraźnie tracił cierpliwość. - Wspólnicy nie mają przed sobą tajemnic - powiedział gwałtownie, a jego wzrok przewędrował po jej ciele w taki sposób, że zdała sobie sprawę ze swojej nagości pod koszulą.

- Doprawdy? - Ciepło, które od niego promieniowało, sprawiło, że poczuła zdenerwowanie. Nie mogła nie zauważyć, że był świeżo ogolony, a jego wyblakłe od słońca włosy były umyte i uczesane. Poczowała zapach mydła. Jej spojrzenie zatrzymało się na jego ustach i modliła się, żeby ta sytuacja nie przerodziła się w kolejną niepokojącą „sposobność”, jaka przytrafiła im się na pustyni. - W takim razie powiedz mi, współuiku, w jakie tarapaty wpadłeś. Po co pojechałeś do Anglii, a potem z powrotem tutaj? Co jest w papierach, które ukryłeś w moim bagażu?

Zauważyła błysk w jego oczach, ale odwrócił od niej wzrok.

- Wiem, gdzie możemy zjeść przyzwoity posiłek za rozsądną cenę. - Podniósł się i odsunął fotel po kafelkowej podłodze.
- Ubierz się. - Rzucił potępiające spojrzenie na jej nadzwyczaj przyzwoitą koszulę nocną. — I postaraj się nie wyglądać bardziej amerykańsko, niż musisz.

Dwie godziny później, po posiłku, co do którego składowników jak zwykle trochę się sprzecali, Abigail oznajmiła, że musi się z kimś spotkać i próbowała pozbyć się Smitha, jednocześnie nalegając, żeby towarzyszył jej Haffe.

- Spotykasz się ze swoim tajemniczym informatorem? Idę z wami - powiedział Smith głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Jej protesty na nic się zdały i wyruszyli we troje do centrum miasta w poszukiwaniu medresy Ben Yussef.

- Muzułmański duchowny? - zdziwił się Smith. - Nie będzie chciał cię widzieć.

- Zobacz się ze mną — zapewniła, idąc zdecydowanym krokiem. - To jest oświecony duchowny.

Medresa była to sławna szkoła Koranu, w której studiowano prawo islamu i święte księgi, i wstęp do niej dla niemuzułmanów był wzbroniony. Jedynie Haffe z całej ich trójki miał prawo wejść do środka. Po dłuższej dyskusji i argumentach w postaci srebrnego dolara przekonali go, żeby wziął napisaną przez Abigail wiadomość i poszedł na centralny dziedziniec szkoły.

Zakaz kontaktowania się duchownych ze świeckimi niewiernymi nie powstrzymał Thaddeusa Chiltona od spotkania i poznania jednego z głównych nauczycieli tej czcigodnej akademii: Mulawa Karruma. Berberyjsko-arabski uczone błyskawicznie rozpoznał zapiski profesora na temat Marrakeszu, więc oczywiste było, że został wtajemniczony w poszukiwania biblioteki.

Po pewnym czasie Haffe wrócił po Abigail i Smitha i po-

prowadził ich bocznym korytarzem do imponująco zdobionych drzwi. Powitał ich starszy mężczyzna z kędzierzawą białą brodą i żywymi oczami, ubrany w biały turban i białą tunikę, na której miał czarny habit bez rękawów.

Karrum przywitał się z nimi, kłaniając się najpierw Smit-howi. Kiedy dowiedział się, że to Abigail jest tą osobą, która przybyła tu w imieniu jego starego przyjaciela, oczy mu się rozszerzyły, ale zaakceptował konieczność rozmowy z nią - nie dość, że niewierną, to do tego jeszcze kobietą - z zaskakującą łatwością. Miała nadzieję, że szczerą.

Wtedy poinformowała go o śmierci profesora. Zamilkł na chwilę, a potem odwrócił się i zmówił cicho modlitwę. Pamiętając o nakazie gościnności, zapisanym w księgach Proroka, zaprosił ich do sali przyjęć i zaoferował napoje orzeźwiające.

Po wypiciu mocnej marokańskiej herbaty Abigail opowiedziała mu nieco okrojona wersję tego, w jaki sposób weszła w posiadanie prac Thaddeusa Chiltona i wyraziła nadzieję na oddanie honoru profesorowi poprzez ukończenie jego dzieła. Aby potwierdzić swą historię, zaprezentowała ostatnią i najbardziej kompletną mapę profesora, którą zdecydowała się teraz stale nosić przy sobie. Gdy duchowny dotknął dłonią starannie spisanych listów i wyrysowanych map, w jego oczach pojawiły się łzy.

- Oczywiście to wszystko są legendy. - Karrum pokiwał głową. - A mój drogi przyjaciel szukając tak długo, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że uda mu się znaleźć bibliotekę. „Ale nawet jeśli ją znajdziesz”, powiedziałem mu kiedyś, „to i tak wszystkie zwoje obróciły się w popiół wiele lat temu”. - Uniósł do góry sękaty palec. - Wszegmocna pustynia nie pozwala, by na jej obszarze przetrwały nic nieznaczące dzieła ludzkich rąk. On o tym wiedział, widział, jak podczas burz piaskowych pustynia odbiera światu całe wioski, ale nadal szukał.

- Profesor napisał w swoich dziennikach, że pomógł mu pan W jego „nawigacji” —powiedziała Abigail, z nadzieją, że skieruje jego wspomnienia na bardziej interesujące ją tematy.

- Ach. - Obwisła twarz duchownego zmarszczyła się w przepaszającym uśmiechu. - Są tacy, którzy sądzą, że jestem uczniem niebios. Pewnego rodzaju astronomem. Dobrze, gdy sługa Allacha studiuje wielkość gwiazd. To uczy go pokory.

- Wszędzie są powody do tego, by z pokorą pochylić głowę uśmiechnęła się. - Można je odnaleźć w barwach zachodzące go słońca, w płaczu nowo narodzonego dziecka, w niecierpliwości serca pestki oliwki.

Złożył ręce i zatrzymał na niej badawcze spojrzenie. Wyczuła wyraźnie, że ją ocenia, i modliła się, żeby sprostala jego wymaganiom. Po chwili starzec zdawał się mieć wyrobioną opinię na jej temat.

- Jest pani rzeczywiście prawdziwą uczennicą mojego drogiego przyjaciela. On także rozumiał niecierpliwość serca pestki oliwki.

Nagle napięcie, które cały czas czuła, ustąpiło.

- Miałam nadzieję, że może zechce pan rzucić okiem na coś, co napisał lub skopiował nasz profesor w języku arabskim. To może być cenna wskazówka.

Skinął głową i kiedy podała mu dziennik Thaddeusa, podszedł do okna i zaczął czytać. Kiedy skończył, wydawał się zmieszany.

- To jest tekst z Koranu. Naszej świętej księgi. - Ze zmarszczonym czołem wrócił na miejsce. — To fragment opisu raju.

- Co jest w nim napisane?

- Mówi on o pannach w raju, dziewicach przydzielonych tym, którzy siedzą po prawicy Allacha, dziewicach o wielkich, ciemnych oczach i delikatnej skórze, tych, które są nieśmiertelne i wiecznie młode. — Oddał jej dziennik i skinął szybko głową.

- To wszystko.

- Ale na drugiej stronie... - Odwróciła kartkę i pokazała mu

więcej tekstu, z którego część miała swoje tłumaczenie na grekę.

Wziął z powrotem dziennik i przyjrzał się tekstowi, a potem chwiejnym krokiem podszedł do fotela.

- Jest tu szereg arabskich słów i zdań przetłumaczonych na grekę. Protektor to *prostatis*, dozorca to *epistatis*. — Zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Thaddeus używa dwóch określeń na ludzi, którym powierzono księgi: „protektorzy” i „dozorcy”, tak jakby były dwie grupy tych ludzi. - Spojrzał zdziwiony. - Jedną grupę przyrównuje do hurys z rajy.

- Być może miał na myśli to, że kobiety opiekowały się, pilnowały ksiąg - zasugerowała Abigail.

Stary naukowiec spojrział na nią z przerażeniem, i oddał jej dziennik.

- Uczone? Opiekujące się księgami? - Pokręcił głową z nie dowierzaniem. Abigail zauważyła drwiący uśmiech Smitha i powstrzymała dziecinną pokusę pokazania mu języka. — Obawiam się, że mój stary przyjaciel był chory i spodziewał się rychłych uciech w rajy. Być może rzeczywiście zgłębił tę tajemnicę przed swoją śmiercią... Żałuję, że nie mogę bardziej pomóc, panno Merchant.

Po krótkiej ciszy, w czasie której schowała dokumenty, Karum odezwał się.

- Mam jednak coś - powiedział. - Podczas swojej ostatniej wizyty Thaddeus dał mi coś do przechowania.

Podniósł się z fotela i zniknął na chwilę w zacienionych zakamarkach domu. Wrócił z płaskim, drewnianym pudełkiem.

- Wierzę, że życzyliby sobie, żeby to pani przekazał - powiedział, wręczając jej pudełko.

Przesunęła dłonią po pięknej intarsji na wieczku. Kiedy otworzyła pudełko, jej oczy rozszerzyły się, a Smith podniósł się z fotela i przyklęknął obok niej.

W pudełku, na poduszecze z czerwonego aksamitu, leżał

błyszczący mosiężny dysk, w którym rozpoznała przyrząd używany przez żeglarzy do pomiarów nawigacyjnych.

- Astrolabium? - spytała, w tej samej chwili zdając sobie sprawę, w jaki sposób profesor stosował je w swojej pracy, i niemal jednocześnie uświadamiając sobie, jak bezużyteczne będzie ono w jej rękach. - Czy profesor tego używał?

- O tak. - Karrum uśmiechnął się na widok niepokoju malującego się na jej twarzy. - Spędził ze mną wiele godzin, ucząc się obsługi. To umierająca sztuka, wiecie, używanie takiego przyrządu do nawigacji.

Smith sięgnął do pudełka po grawerowany dysk. Abigail musiała albo pozwolić mu na to, albo ryzykować strofowanie go w obecności duchownego. Wybrała to drugie, nie wiedząc, jak daleko sięgała tolerancja Marakończyka wobec kobiet.

- To piękna rzecz - powiedziała starając się, by Smith usłyszał w jej głosie irytację. Rozzłościło ją, że w tak apodyktyczny sposób zabrał jej ten przedmiot. - Ale obawiam się, że do niczego nam się nie przyda. Nie mamy zbyt wiele czasu, a nie wiemy, jak się tego używa.

- Mów za siebie - odparł Smith z błyskiem w oku, huśtając przyrządem zawieszonym na kółku i łańcuszku. - Astrolabium i ja jesteśmy starymi dobrymi przyjaciółmi.

- Mogłeś mi jakoś dać do zrozumienia, coś zasugerować - powiedziała ze złością, kiedy wyszli z medresy i skierowali się na główną ulicę.

Z pudełkiem pod pachą Smith szybkim krokiem ruszył w kierunku najbliższego targowiska. Musiała się bardzo starać, żeby za nim nadążyć.

- Że wiem, jak używać astrolabium? Jasne. Niniejszym informuję cię, że mam jeszcze w zanadrzu kilka sekretnych umiejętności, które mogą okazać się użyteczne.

i- Jak na przykład co? - Wydłużyła krok i zaciekawiona

zapomniała o złości, którą teraz zastąpiła ciekawość. - A tak w ogóle, to skąd znasz słowo „niniejszym”?

- To pozostałości z młodości zmarnowanej na nauce. - Przy spieszył jeszcze bardziej i zerknął na nią kątem oka. - A co to były za brednie o „dziewicach w raj” i „niecierpliwych oliwkach”?

- Niecierpliwość serca pestki oliwki. To metafora pragnienia objęcia całego życia i rozwinięcia się... Profesor użył jej w swoich dziennikach. - Obrzuciła go spojrzeniem. - To głęboka myśl. Nie zrozumiesz jej.

W tej samej chwili pożałowała swoich słów. Zatrzymał się gwałtownie, po jego dobrym samopoczuciu nie pozostało śladu, usta zacisnęły się, tworząc cienką linię.

- Ach, tak. Na chwilę zapomniałem... - podszedł, żeby stanąć z nią twarzą w twarz - że jestem tylko żołnierzem, narzędziem kolonialnej ekspansji, silnymi plecami i słabym umysłem, krótko mówiąc: mięsem armatnim.

Abigail przypomniały się różne jego komentarze mówiące o zdradzie i utracie. Z przerażającą wyrazistością zdała sobie sprawę z tego, że ten człowiek przeżył już niejedno: wykształcenie, pochodzenie i przywileje z tego płynące, a z drugiej strony ignorancję, bezsilność i morderczą służbę. Wywodził się z kulturalnej i ekonomicznej elity, a potem stał się trybem harującym na usługach tej samej grupy społecznej. Doświadczając obu tych stron życia, czuł się wewnętrznie rozdarty.

Coś, co miało być ich kolejną sprzeczką, przerodziło się w coś, co odślaniało prawdę o nich.

- Nie wiem, kim jesteś - powiedziała słabym głosem.

Zdawało jej się, że nagle wszyscy ludzie na ulicy gdzieś zniknęli. Nie było też murów ani powykręcanych drzew cedrowych, żadnych zwierząt, zapachu kurzu i przypraw, okrzyków sprzedawców zachwalających swoje wyroby na pobliskim placu. Był tylko on i jego buntownicza, fascynująca, choć

< /.asami dokuczliwa natura. Mężczyzna z mroczną przeszłością i niepewną przyszłością.

W niezrozumiały sposób pociągało ją to jego wewnętrzne rozdarcie. Miała ochotę zagłębić się w jego naturę, potrząsnąć nim... zajrzeć do jego duszy.

Zrobił krok do tyłu i poczuła, jakby część jej siły odeszła wraz z nim. Obserwowała, jak odchodzi ulicą z rękoma w kieszeniach.

Rezygnując z wędrowki w głąb jego duszy, wzięła się w garść i ruszyła za nim. Minęli kilka przecznic i dwukrotnie skręcili, zanim wyszli na ogromne targowisko na otwartym powietrzu. Jakikolwiek odczucia zostały w jego pamięci po ostatnim incydencie, najwyraźniej zamierzał je zignorować i przeszedł do spraw związanych z wyprawą.

Rzędy straganów i dwukołowych wózków zapełniały wybrukowany plac. Można było na nich znaleźć dosłownie wszystko - od odzieży i tkanin dekoracyjnych, miedzianych naczyń, wiklinowych koszyków, po drewniane skrzynie pełne świeżych warzyw i jutowe worki z suszonymi owocami i orzechami. Pomiedzy rzędami straganów, żonglerami, zaklinaczami węży i grajkami popisującymi się swymi umiejętnościami, przechadzali się potencjalni klienci.

Smith ruszył prosto do sprzedawców odzieży i na jednym ze stoisk wybrał trzy ciężkie białe wełniane burnusy i dogadując się ze sprzedawcą po francusku, wyraźnie i złośliwie wskazał na Abigail, żeby to jej przedstawić rachunek. Potem przeszedł do sprzedawcy turbanów i wybrał długie kawałki materiałów w jasnym i ciemnym kolorze.

- Nie potrzebujemy tego - powiedziała stanowczo, kiedy sprzedawca wcisnął jej w ręce stos materiałów i wyciągnął dłoń po zapłatę. - Mamy kapelusze.

- Które na nic się zdadzą, kiedy podniesie się pustylny wiatr - rzucił Smith, idąc w kierunku sklepów, otaczających bazar.

Znalazł tam producenta namiotów i zaczął się targować o kawałek impregnowanego brezentu.

- Zmusiłeś mnie do wyrzucenia mojego brezentu! - przy pomniała.

- Był za mały - odparł bezbarwnym głosem.

W sklepie z uprzężą i z metalowym i skórzanym ekwipunkiem, nabył trzy pary szczelnych gogli ochronnych.

- Moje przyciemniane okulary są równie dobre.

- Owszem, jeśli chcesz oślepnąć od słońca - odpowiedział kąśliwie.

Potem znalazł stoisko z medykamentami i kupił masło wielbłądzie, olejek kamforowy i parę przeraźliwie śmierdzących substancji, które miały im w czymś pomóc.

- Wzięłam ze sobą uniwersalną apteczkę. - Abigail rzuciła okiem na skład jednego ze specyfików, w którym były wymienione ekstrakty z jakichś dziwnych zwierząt i insektów. - Mam wszystkie potrzebne lekarstwa.

- Angielskie lekarstwa stosuj w Anglii, a na pustyni pustynne - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu i wskazał jej oczekującą dłoń sprzedawcy.

Wszystkie rzeczy ułożył na wierzchu stosu, pod którym już ugiął się biedny Haffe, po czym oznajmił, że musi jeszcze kupić kompas. Abigail złapała go za rękaw.

- Tego też nie było na naszej liście. Mam już kompas.

- Wyglądało to tak, jakby wydawał jej pieniądze nie tylko po to, żeby zaspokoić ich potrzeby, ale także, by ją ukarać.

Odwrócił się do niej z wściekłością w oczach.

- Nasze życie będzie od niego zależało. Potrzebuję prawdziwego kompasu, a nie jakiejś błyskotki!

Stała niewzruszona, zdecydowana, że nie pozwoli na ponowne zdominowanie lub zignorowanie jej, gotowa na otwarte starcie.

- To nie o mój kompas powinniśmy się martwić - odparła wściekle - ale raczej o twoją orientację w terenie. Nie jestem taka pewna, czy wiesz, gdzie jest północ!

Napięcie między nimi sięgnęło zenitu, sprawiając, że powietrze wokół nich niemal namacalnie zgęstniało i wydawało się, że za chwilę nastąpi wybuch. Abigail poczuła mrowienie, kiedy łapał ją za ramię. Jego dłonie zacisnęły się, oblała ją fala gorąca. Nagle przyciągnął ją do siebie.

Smiiith... - wtrącił się dziwnie zdławionym głosem Haffe.
Smiiiiith!

Odwrócił głowę. Po chwili Abigail także rozejrzała się dokoła, by odkryć, co spowodowało, że Smith zwolnił uścisk.

W niedużej odległości od nich, pojawiła się grupa ludzi w ubiorach w kolorze khaki.

Legioniści.

Abigail rozejrzała się szybko w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, ale nie znalazła żadnej. Tłum na targu rozstał się już wcześniej, widząc kłótnię „Europejczyków”, więc teraz stali we trójkę samotnie. Smith zrobił krok do tyłu, potem kolejny, zasłaniając sobą ciało Abigail i Haffego.

Legioniści rozmawiali głośno i rozglądali się po bazarze, najwyraźniej będąc już po służbie. Nagle jeden z nich podniósł wzrok i zauważył Smitha i jego pospieszne wycofywanie się.

Abigail zaniemówiła, widząc, że legioniści skupili się i spoglądają teraz na Smitha i na nią.

— Hej wy! Wy tam... — zawołał jeden z nich.

- Uciekajcie! - mruknął Smith, popychając ją i Haffego.

Odwróciła się i pobiegła za róg, ale kiedy już się tam znalazła, uświadomiła sobie, że Smitha za nią nie ma, więc się zatrzymała. Spojrzawszy za siebie, zobaczyła, jak stoi z dłonią na rewolwerze, osłaniając jej drogę ucieczki pod baczynym wzrokiem tuzina żołnierzy.

W jednej chwili zdecydowała, że nie może pozwolić, żeby go schwytali; potrzebowała go. Spojrzała na Haffego, który był obładowany zakupami po samą brodę i prawdopodobnie nie należał do specjalnie walecznych ludzi, potem gorączkowo rozejrzała się po suku, szukając kogoś, kto wyglądałby na

przedstawiciela władzy. Ale jedynymi „oficjelami” obecnymi na targu byli sami legioniści.

Więc została tylko ona. Sięgnęła po broń zatknęta za pasek, wyprostowała się i wróciła na plac.

Już sam widok dwojga Europejczyków, w tym nieosłoniętej kobiety w zachodnim stroju, przyciągnął uwagę legionistów.

Do tego zaskoczenie i wycofywanie się w popłochu tej pary sprawiło, że legioniści z jeszcze większym zainteresowaniem zaczęli za nimi podążać. Zbliżali się coraz bardziej, aż wreszcie znaleźli się tak blisko, by się lepiej przyjrzeć Smithowi. Jeden z żołnierzy *zaczai* przeciskać się między towarzyszami.

- Smith? - Wysoki, patykowaty legionista wytrzeszczył oczy. - Dobry Boże! Apollo Smith, to ty?

Smith zamarł, odwrócił się i przyjrzał się żołnierzowi z niedowierzaniem.

- Crocker? - zawołał. - Will Crocker?

- Dobry Boże! To chyba on! - Crocker zrobił ostrożnie kilka kroków naprzód, klepnął Smitha po ramieniu i zwrócił się do towarzyszy: - To on. Wszystko w porządku. To cholerny Apollo Smith we własnej osobie.

Po chwili Smith i Abigail zostali otoczeni przez legionistów, wyrażających zaskoczenie serią wyszukanych przekleństw i głośnym śmiechem. Hałaśliwe przywitania i poklepywanie po plecach sprawiły, że Abigail przestała kurczowo ścisnąć rękę reвольweru.

Znał tych ludzi. A co ważniejsze, oni znali jego i najwyraźniej nie mieli zamiaru go zastrzelić czy aresztować!

- Boże, niech no ci się przyjrę - odezwał się Crocker, kładąc dłonie na ramionach Smitha i przyglądając mu się badawczo. - Całkiem nieźle jak na trupa, co? No nie, chłopaki? Tak właśnie nam powiedzieli, że nasz stary Smith nie żyje...

- Kto wam to powiedział? - spytał Smith, uśmiechając się szeroko i witając się wylewnie z przyjacielem. - Założę się, że to robota oficera. Cholerni kłamcy z tych oficerów.

- Nie, nie. To był sierżant - powiedział żołnierz o hinduskim wyglądzie i melodyjnym akcencie, demonstrując w szerokim uśmiechu rząd białych zębów. - Jestem tego pewien.

- Czyli dowódca. Cholerny mściwy kłamca - zaśmiał się Smith, po czym zdał sobie sprawę z tego, że wszyscy żołnierze wpatrują się w coś za jego plecami, więc odwrócił się i zobaczył Abigail stojącą ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i z uniesioną brodą.

- A kimże jest ten słodki kasek? - Crocker minął Smitha z roziskrzonym wzrokiem. - Nie dość, że zmartwychwstał, to jeszcze znalazł sobie kobietę!

- To... - Smith odchrząknął i dwoma susami znalazł się przy jej boku - jest moja współpracownica. Panna Abigail Merchant. Z Bostonu w Ameryce, dla waszej informacji nieokrzesani bezmózgowcy.

- Will Crocker. - Przyjaciół Smitha wyciągnął rękę i ukłonił się szarmancko. - Każdy współpracownik Smitha jest także moim współpracownikiem.

- Miło mi pana poznać - powiedziała, nadal starając się zrozumieć, co tu się dzieje. - Ale prawdę mówiąc, pan Smith jest...

- Piekielnym szczęściarzem - wtrącił się kolejny żołnierz z czerwoną twarzą, kręconymi radymi włosami i najbardziej niebieskimi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. - Joseph Ryan Flynn, do usług.

W krótkim czasie przedstawili jej się kolejno Ravi Phant, Giotto Mancini, Fritz Neiburg, Cruz Sanchez i Elijah Johnson, wszyscy utrzymujący, że służyli ze Smithem, kiedy zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej i wylądował na placówce w Marrakeszu. Byli już po służbie, jak mówili, i nalegali, żeby Smith i Abigail przyłączyli się do nich i wspólnie wybrali na drinka.

Haffe przerażony taką ilością francuskich mundurów, zaferował, że odniesie do hotelu ich zakupy i czym prędzej się oddalił. Niedaleko, na rogu suku była kawiarnia ze stolikami na powietrzu. Miejsce było przepełnione klientami i sprzedawcami z targowiska, którzy postanowili odsapnąć od zgiełku i coś zjeść lub czegoś się napić. Ale w chwili, kiedy horda legionistów wkroczyła do lokalu, miejscowi błyskawicznie się ulotnili.

- Tak jest wszędzie, dokąd pójdziemy - powiedział Crocker, uśmiechając się smutno i ruchem głowy pokazując tych wszystkich, którzy właśnie wychodzili z kawiarni. - Nie są zbyt zadowoleni z naszego towarzystwa.

- I nie powinni - stwierdził głośno Joe Flynn. - Jesteśmy wojskiem kolonialnym. - Wybuchnął złośliwym chichotem.

I, do diaska, jesteśmy z tego dumni!

Pokrzykiwania na potwierdzenie jego słów i walenie w stoły I rwały do czasu, aż pojawił się właściciel kawiarni, by sprawdzić, co się dzieje. Złożyli zamówienie i wkrótce wznosili toasty za Smitha i jego powrót do świata żywych, oraz za nędzny żywot w szeregach Legii i za dzień, w którym pożegnają się ze służbą.

Nie przyjmowali żadnych wymówek, kiedy postawili przed Abigail kieliszek wina i nalegali, żeby uczestniczyła w spełnianiu toastów. Gdy opróżniła kieliszek, zamówili jej następny.

- Wybaczcie mi - powiedziała, rozglądając się po twarzach zgromadzonych przy stoliku - ale żaden z was nie wygląda na Francuza.

Zaśmiali się i zarzucili ją gradem francuskich przekleństw, a następnie zaczęli śpiewać prawdopodobnie sprośne francuskie piosenki.

- Nie ma wśród nas ani jednego Francuzika — wyjaśnił Flynn - za co wszyscy dziękujemy Bogu. Taka jest Francuska Legia Cudzoziemska, panienko. Złożona z samych cudzoziemców. Francuzików zniechęca się do zaciągania się w jej szeregi. Jesteśmy tu tylko my, nędzne rozrabiaki i półgłówki, którym

chce się przelewać krew i ginąć za innych. Banda niezbyt-
lotnych osiłków - uśmiechnął się słabo - którzy dali się nabrać
na gadkę werbowników.

Pozostali zaśmiali się głośno i zaczęli wyliczać wszystkie
obiecywane im korzyści płynące ze wstąpienia do służby w Le-
gii: „Duże zarobki”, „dobre żarcie”, „podróże”, „lepiej niż
w domu”, „spłata długu wobec społeczeństwa” i „imponowanie
kobietom!”.

- Wszystko to - powiedział Crocker, śmiejąc się ze swoich
towarzyszy - i szansa na obywatelstwo francuskie... Pod warun-
kiem, że przeżyjesz do końca kontraktu.

- Czegóż więcej może chcieć mężczyzna - stwierdził Ravi
Phant z błyszczącymi oczami.

- Naturalnie Smith jest już pół Francuzem - poinformował
ją Flynn. - Po francusku gada najlepiej z nas wszystkich.

- Tak, ale nie jest jakimś śmieciem. Wstąpił do Legii
w uczciwy i jedyny właściwy sposób, tak jak my - oznajmił
Crocker.

- Właśnie - potwierdził Flynn z szyderczą miną. - Z wię-
zienia.

- Z więzienia? - Abigail odwróciła się do Smitha zaszoko-
wana, mimo otępienia, jakie było skutkiem kolejnego kieliszka
wina. - Za co?

Smith chciał stuknąć Flynną w głowę, ale nie trafił. • -
Nic takiego, co bym zapamiętał.

- Zwykła sprawa - powiedział Flynn cofając się przezornie||

- A co to za zwykła sprawa? - zaciekała się Abigail.

- Zabicie człowieka.

Abigail siedziała wstrząśnięta, słuchając ponownego przeko-
marzania się, żartów i zgiełku podniesionych głosów, starając się
zrozumieć i zaakceptować fakt, że Smith siedział w więzieniu
za zabójstwo. Jego arogancja, upór i zagadkowość, Rażenie do
zyskania profitów za udzielenie jej pomocy, to wszystko powin-

no było nakazać jej ostrożność, żeby była bardziej ostrożna, zanim wtajemniczyła go w swoje plany. A teraz jeszcze dowiadyuje się, a on temu nie zaprzecza, że odebrał życie człowiekowi i był za to skazany na więzienie, kiedy wcielono go do Legii Cudzoziemskiej! A już zaczynała mu ufać...

Była tak pogrążona w rozpamiętywaniu każdego etapu ich znajomości, zastanawiając się, jak mogła nie zauważyć jego skłonności do przemocy, że zupełnie straciła wątek toczącej się wokół niej rozmowy.

- Kogo jeszcze przenieśli w tym samym czasie co mnie? dopytywał się Smith.

- Nikogo. - Crocker wytarł usta wierzchem dłoni. – Myśleliśmy, że poprosiłeś jednego ze swoich drogich krewnych, żeby cię wykupił, i zapomniałeś o starych kumplach.

- Czyli przenieśli tylko mnie - mruknął gniewnie Smith. -Przyszli do mnie, pojмали i wcielili do oddziału zmierzającego do Casablanki. Ledwie zdążyłem *zabrać* swoje rzeczy i karabin. Powiedzieli mi, że odłączają się od głównej kompanii i wysyła ją doświadczonych żołnierzy do innej, do kompanii konnej. Ale wygląda na to, że nie była to prawda.

- Tam cię wysłali? Do kompanii konnej? - Flynn gwizdnął. - Nic dziwnego, że myśleli, że nie żyjesz. Kompanie konne zostały wysłane na północ na granicę z Algierią. Zaledwie jeden na trzech żołnierzy wrócił stamtąd żywy.

- Na południowy wschód od Tangeru - przytaknął Smith, po czym wychylił następną szklaneczkę whisky i dał znak właścicielowi, że zamawia następną kolejkę dla wszystkich. — Zbyt wiele zabijania i śmierci...

Wszystkich poległych legionistów uczcili chwilą ciszy.

- Za łotrów, którzy odeszli na północ — powiedział Flynn, unosząc do góry szklankę. Toast był dziwaczny i sprawił, że wszyscy mężczyźni zdali sobie sprawę, że dopóki służą w Legii, śmierć czyha zawsze gdzieś w pobliżu. Wychyliwszy toast, Flynn odchrząknął i rozwiązał zły nastrój.

- Panienko, opowiedz nam, stęsknionym za domami – zwrócił się do Abigail - jakim sposobem taki wstrętny brutal jak on zasłużył na towarzystwo tak pięknej młodej damy jak pani?

- Uratowałem ją - wtrącił się Smith, nabierając powietrza tak, że jego klatka piersiowa rozděła się do potężnych rozmiarów. - Dwukrotnie.

Posłała mu mordercze spojrzenie, które jednak najwyraźniej nie zrobiło na nim wrażenia.

- Raz na pokładzie statku płynącego z Anglii - ciągnął - a potem drugi raz w Casablance. - Najwyraźniej whisky już uderzyła mu do głowy. - Potem, w drodze do Marrakeszu, omal nie zostałem zmuszony z jej powodu do walki z bandą żądnych krwi nomadów.

Skromność nie była jego najmocniejszą stroną, ale tego było już za wiele.

- Zaczęłam nazywać go S.O.S. - wtrąciła się z nerwowym uśmiechem.

- S.O.S.?- uśmiechnął się i przysunął bliżej. - Tak, to nawet pasuje.

- Lepiej niż Apollodorus - dodał Flynn z drwiącym śmiechem.

- Co to znaczy? - Abigail zwróciła się do gadatliwego Irlandczyka.

- To jego pełne imię. Takie dostał na chrzcie. Nie mówił ci tego? - Flynn uchylił się przed Smithem, który rzucił się na niego przez stół.

- Najwyraźniej pominął kilka szczegółów - stwierdziła, kiedy Smith dopadł Flynną i zacisnął stalowe ramię wokół jego szyi.

- Jego matka uważała, że słońce wschodzi i zachodzi dzięki jej maleństwu... - wyrządził Flynn.

- Więc nazwała go po greckim bogu Apollo - skończył za niego Crocker.

- Apollodorus - dodał inny, uderzając pięścią w stół. Pozostali podchwycili. - Apollodorus... Apollodorus...

Starzy towarzysze Smitha nadal skandowali jego imię, kiedy chwiejnym krokiem szli razem ulicami Marrakeszu, eskortując jego i Abigail do hotelu. Portier Raissouli zauważył, że nadchodzą, i zawołał kierownika, który w holu stawiał czoła gromadzie pijanych legionistów i nalegał, żeby czym prędzej opuścili hotel.

Smith był na tyle trzeźwy, żeby powstrzymać towarzyszy przed wszczęciem bójki, która mogłaby się skończyć spędzeniem kolejnych piętnastu dni w celi więziennej. Przysięgali, że nie miałoby nic przeciwko takiemu poświęceniu, jeśli miałyby to być cena za danie naučki szefowi hotelu. Smith docenił ofertę, ale uściśnął dłoń każdemu z kolegów, poklepał po plecach i obiecał spotkanie, gdy będą wracać przez Marrakesz.

Abigail próbowała zwalczyć pobudzoną winem ciekawość i nie przyglądać się jego pożegnaniu z towarzyszami, które przebiegało przy akompaniamencie przekleństw i głośnych wybuchów śmiechu. Smith oczarował ich w taki sam sposób jak ją, niezwykłą mieszanką swojej osobowości, z jednej strony wykształconego dżentelmena, a z drugiej walecznego żołnierza. Było oczywiste, że darzył przyjaźnią tych mężczyzn, z którymi dane mu było dzielić trudy i przygody życia w armii. Raz okazana przez niego lojalność była najwyraźniej sprawą honorową na zawsze. W towarzystwie żołnierzy zaczęła rozumieć, że jego arogancja rzeczywiście brała się z ciężko zdobytych doświadczeń, a jego upór mógł być wynikiem skończenia szkoły przetrwania.

A teraz, siedząc w kawiarni i popijając whisky, beztrąsko przyznał się, że trafił do więzienia za morderstwo...

Przyglądała mu się, dopóki legionieści nie opuścili hotelu, chwiejnie wycofując się na ulicę i wykrzykując szarmanckie „do widzenia”. Potem poprosiła w recepcji o klucz i udała się do swego pokoju. Miała wrażenie, jakby jej nogi były z waty,

a ściany dokoła niej nie były tak proste, jak powinny. Kiedy oparła się o kolumnę, by zebrać siły, Smith podszedł i wziął ją na ręce.

- Co ty sobie myślisz? Co ty wyprawiasz? - wybuchnęła oburzona.

- Boże, ale jesteś ciężka - mruknął i dysząc, poniósł ją prze; hotelowy dziedziniec i dalej łodzią w kierunku pokoju.

- Zostaw mnie. - W obawie, że upuści ją zbyt gwałtownie jedną ręką objęła go za szyję i przytrzymała się. - Mogę już iść

- Widziałem, jak szłaś. - Szybko wytrzeźwiał od wysiłku
- Jeszcze nigdy nie spotkałem bibliotekarki, która dałaby radę wypić tyle alkoholu.

- O? Doprawdy? A ile bibliotekarek do tej pory spotkałeś?

— Wliczając ciebie? - powiedział, patrząc na nią z góry.

Przytaknęła.

- Jedną.

Musiał ją podtrzymywać, gdy otwierała kluczem drzwi, a potem zaniósł ją prosto do łóżka. Nie puściła go w porę, kiedy kładł ją na materacu, więc pociągnęła go za sobą. Wsparł się na łokciach i kolanie tuż nad nią.

Centymetry między nimi nagle wypełniły się jakimś ładunkiem... siłą przyciągania... magnetyzmem, który zawładnął jej zmysłami, a jednocześnie wzbudził w niej lęk. On był potężny, gorący i doświadczony, a ona jeszcze nie zdołała zdobyć doświadczenia...

Nagle wygięła plecy i jęknęła z bólu, sięgając za siebie. Po chwili wyciągnęła pistolet i uniosła go do góry.

- Daj mi to - powiedział, biorąc go w dwa palce i odrzucając na podłogę obok łóżka.

Spojrzała mu w oczy, wiedząc, co się wydarzy, chcąc, żeby to się wydarzyło... obawiając się pozwolić mu na to... obawiając się zabronić mu tego...

- Myślę, że nie...

- Niedobra dziewczynka. Przestań już myśleć. - Jego usta

zbliżyły się do jej warg. - Myślenie to bardzo denerwujący nawyk.

Zanim zdołała odpowiedzieć, ich usta się spotkały i opanowało ją uczucie obezwładniającej rozkoszy rozplywające się po całym ciele. Zatem to ominęło ją tamtej nocy, to cudowne ciepło rozchodzące się razem z krwią do wszystkich części jej ciała, delikatne, zmysłowe przygryzanie jej warg, pragnienie, które w niej narastało i które domagało się, by był bliżej...

Coś w jej umyśle przeciwstawiało się takiemu całkowitemu poddaniu się hipnotycznej fali zalewającej zmysły. Kiedy położył się na niej całym ciężarem, była tak zaszokowana tą intymnością, że nagle o czymś sobie przypomniała.

- Muszę wiedzieć, Smith! - Złapała oddech odrywając od niego usta.

- Wiedzieć, co? - Nie przerywał całowania jej po twarzy i szyi zbliżając się do ucha. Fala podniecenia ogarnęła jej ciało i Abigail zadrżała starając się przypomnieć sobie, co takiego chciała przed chwilą powiedzieć. Rozplywała się pod jego dotykiem... No dalej! Zapytaj!

Po prostu zamknij się i ciesz się czymś dla odmiany.

Zrób to teraz, bo później będziesz miała do siebie pretensje.

Nie rób tego, bo będziesz żałować do końca życia.

Nie możesz zignorować prawdy i udawać, że nie ma ona znaczenia.

Bo nie ma ona znaczenia... nie teraz!

A kiedy? Kiedy będziecie na pustyni i okaże się, że jest tylko jeden koń, na którym może pojechać albo skrzynia złota, albo ty?

- Kogo zabiłeś? - Z trudnością przełknęła ślinę, mając nikłą nadzieję, że jednak nie wypowiedziała tych słów na głos. - Za czyją śmierć wsadzili cię do więzienia?

Uniósł głowę. Przyjrzał jej się z trudem, gdyż nie mógł w pełni skupić wzroku.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Pochylił się ku niej.

- Nie... - Odepchnęła od siebie jego ramiona. - Flynn po wiedział, że kogoś zabiłeś.
- Stara historia - odparł, składając pocałunki na jej dekolcie i rozpinając guziki w bluzce.
- Opowiedz mi. — Ujęła jego twarz w dłonie i uniosła do góry. Na chwilę zamarł i przyglądał jej się, jakby zastanawia się, ile jej powiedzieć.
- To była bójka w barze. Mówili, że kogoś zabiłem.
- Kto tak mówił?
- Wartownicy więzienni. I człowiek, który werbował do Legii. - Żar powoli ustępował z jego twarzy. - Nie pamiętam niczego z tamtej nocy. Byłem pijany jak bela.
- A co mówili na twoim procesie?
- Procesie? W Maroku? - zaśmiał się szyderczo. - Nie ma tam takiego luksusu.
- A co z konsulem? Z pewnością pozwolili ci porozmawiać z...
- Posłuchaj, obudziłem się w metalowej skrzyni na środku dziedzińca więziennego, spocony jak mysz kościelna. Powie dzieli mi, że kogoś zabiłem i że jestem skazany na więzienie chyba że wstąpię do Legii Cudzoziemskiej. Po paru nieprzyjemnych metodach „perswazji” podpisałem te cholerne papiery
- Nie miałeś żadnego procesu? - próbowała zrozumieć to oburzające zajście i dziwiła się, jak on może tak spokojnie o tym mówić.
- Ani wizyty wuja, ani czciwego brytyjskiego konsula
- Popatrzył na nią, potem oparł się na łokciu i w końcu usiadł
- Twojego wuja? - Zdała sobie sprawę, że wspomniał wcześniej o jakiejś „sprawie rodzinnej”. Wrócił do Maroka, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. — Masz wuja w Maroku?
- Na to wygląda.
- I nie próbował ci pomóc, kiedy cię aresztowali i wtręci ci więzienia?
- Niestety nie.

Obserwowała jego coraz poważniejszą minę i toczyła walkę wewnętrzną... Chciała wiedzieć więcej, ale zdawała sobie sprawę, że jej pytania na nowo stworzyły między nimi dystans. Musiała zrozumieć, musiała zaryzykować ostatnie pytanie.

- Dlaczego?

- Dlaczego sama go nie spytasz, kiedy go znowu zobaczysz? odparł, wstając z łóżka.

- Kiedy go zobaczę? - Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, .1 on w tym czasie poprawił włosy, szesując je z czoła i zapiał pasek. - Jedyłą osobą, jaką spotkałam, jest... - nagle do niej dotarło i zbladła - Ferdineaux LaCroix?

- We własnej osobie - potwierdził i z ponurą miną ruszył do wyjścia.

Zeskoczyła z łóżka i popędziła za nim, by zagrozić mu drogę.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - Spojrzała mu w twarz, na której malowały się sprzeczne uczucia: złość i namiętność, którą jeszcze przed chwilą ją obdarzał.

- A uwierzyłabyś mi? - Nachylił się i przyparł ją całym ciałem do drzwi. - Czy teraz mi wierzysz?

Pozwolił, by żar jego ciała stykającego się z jej ciałem mówił sam za siebie. Poszukał w jej oczach odpowiedzi. Wyraźnie zobaczył w nich wątpliwości, lęk i pożądanie.

- Akuratna i szlachetna panna Merchant. Nie jesteś pewna, czy powinnaś pozwalać mordercy, by dotykał cię w ten sposób. -Wierzchem dłoni pogładził jej policzek. -Nie masz pewności, czy powinnaś czerpać rozkosz z pocałunków zabójcy... - Po chylił głowę i wargami chwycił jej wargi, składając na jej ustach pocałunek tak namiętny, że nogi się pod nią ugięły. Złapał ją w tali i przytrzymał. Dyszał ciężko.

- Ale pragniesz mnie, Boston. Bez względu na to, co być może zrobiłem.

Wiedziała, że powinna zaprzeczyć, ale coś dziwnego w jego głosie powstrzymało ją. Jego stwierdzenie, nie brzmiało aro-

gancko. Krył się w nim cień wątpliwości. Jego własnych wątpliwości.

- Mówili, że...
- Nie pamiętam.
- Myślisz, że zabiłeś kogoś w bójce? - upewniła się.

Emocje wezbrały w nim, gdy przyciągnął ją do siebie i pocałował gwałtownie. Potem odepchnął ją na bok i wyszedł z pokoju. Oszołomiona, podeszła do łóżka i usiadła, wpatrując się w drzwi.

Wyglądało na to, że nie wiedział, czy rzeczywiście kogoś zabił. Ale żył z tą świadomością i zapłacił już za to pięcioma latami w służbie w Legii. Jego reakcja sprzed chwili, dowodziła, że ta wątpliwość ciąży na jego życiu. Bezwładnie opadła na łóżko, a do oczu napłynęły jej łzy.

Miał rację. Pragnęła go. Każdą cząstką swojego ciała. Położyła dłoń na drżących ustach.

A po tym, co właśnie zrobiła, może on już nigdy nie zechce jej dotknąć...

Piekielna baba!

Apollo miotał się po korytarzu jak ślepiec, z zamiarem postawienia całego hotelu na nogi, jeśli zajdzie taka potrzeba, żeby tylko zdobyć butelkę dobrej irlandzkiej whisky. Zamierzał upić się do utraty przytomności i...

I co? Zapomnieć o tym, że w chwili, gdy jego usta dotknęły jej warg, poczuł żar krwi? Zapomnieć tę gorączkę zmysłów, jakiej jeszcze nigdy wcześniej nie zaznał, która ogarnęła wszystkie jego mięśnie, pierś i spłynęła w dół podbrzusza, sprawiając że jego ciało pokryło się gęsią skórą?

Ciężko dysząc, z zaciśniętymi pięściami, zatrzymał się na skraju głównego dziedzińca. Znowu zobaczył i poczuł, jak jej usta sięgają po jego usta.

Nic na tym ani na tamym świecie, nie byłoby w stanie

powstrzymać go przed złożeniem pocałunku na tych delikatnych wargach, które otwierały się przed nim gorące i wilgotne.

Początkowo był zaszokowany, gdy jej język wdarł się do jego ust. Ona była bibliotekarką, na miłość boską! Skąd wiedziała, jak to robić? Czy ktoś napisał o tym książkę? Każde muśnięcie, dotyk jej języka wysyłały kolejny impuls rozkoszy przesywający jego ciało. Czuł, jakby całe jego jestestwo rozpływało się w niej...

A ona... Przez parę oszałamiających chwil była namiętna i kobieca. Żadnych uszczypliwości, żadnej intelektualnej pogardy, żadnego sprzeciwu.

A potem zażądała, by podał jej imię człowieka, którego zabił. Chciała to wiedzieć, może nawet potrzebowała tego. Ale nie potrafił pozbyć się wrażenia, że zadała te pytania po to, by go odepchnąć od siebie, by powstrzymać go... nie, by siebie powstrzymać przed całkowitą utratą cennej samokontroli.

- Do diabła, Boston...!

Spojrzał w dół na gorącą wypukłość spodni i jęknął. Whisky będzie musiała chwilę poczekać. Wrócił na rozświetlony gwiazdami dziedziniec, zdjął buty i w ubraniu wskoczył do miłosierdzie zimnej wody fontanny.

Abigail zbudziła się następnego dnia w południe, leżąc twarzą w poduszce na własnym łóżku, w ubraniu i butach do jazdy konnej. Głowa bolała ją potwornie, oczy piekły niemiłosiernie, a język miała wyschnięty na pieprz. Zdjęcie butów i zwleczenie się z łóżka zostało okupione wielkim wysiłkiem.

Z trudem znalazła tabletki na ból głowy, zaaplikowała sobie potężną dawkę. To kara za grzechy, pomyślała. Z pewnością.

Z wysiłkiem poskładała w całość wydarzenia zeszłej nocy i sposób, w jaki wróciła do pokoju. Skrawki wspomnień, które podsuszała jej pamięć, dotyczyły Smitha i jego rozmytej postaci. Jedne z nich dowodziły, jego złego charakteru inne temu zaprzeczały.

Zabił czy nie, poczuła ulgę na myśl o tym, że nie cała Legia Cudzoziemska go ściga. Ewidentnie tylko jej część chce go aresztować za to, że nie umarł. Ale jeśli tylko o to chodzi, to dlaczego nie poszedł do kwatery głównej i nie wyjaśnił całej sprawy?

Ponieważ było jeszcze coś, o czym już nie chciała rozmyślać. W końcu czy można dowiedzieć się wszystkiego o drugim człowieku?

Jedna rzecz była z całą pewnością jasna. Pragnął jej jako kobiety. No dobrze, może dwie rzeczy były pewne. Miał też rację, mówiąc, że i ona go pragnie.

Kiedy się wreszcie pozbierała na tyle, żeby znowu stawić mu czoło, opuściła hotel i ruszyła na targ koni, gdzie, jak poinformował ją główny portier Raissouli, udali się z samego rana Smith i Haffe.

Cały on, mruknęła pod nosem. Wydaje jej pieniądze, nawet nie racząc się z nią skonsultować. Podły łajdak. Z każdym krokiem, który przybliżał ją do spotkania z nim, odczuwała to co raz silniej.

Tego ranka Apollo miał kłopoty ze skoncentrowaniem się na koniach. Ból rozsadzał mu czaszkę, a pulsowanie krwi w skroniach wywoływało dudniące echo. Starał się zebrać myśli i skupić na liczeniu końskich zębów, kopyt i sprawdzaniu sianu ścięgien i zapotrzebowania na wodę, zamiast zajmować się swoim i tak złym nastrojem, którego przyczyną była jego irytująca współniczka.

Piekielna baba. Wywlokła na wierzch wszystkie jego cierpienia, o których starał się zapomnieć i nawet już mu się to udawało. Nie miał teraz czasu na rozpamiętywanie najgorszych chwil swego życia i na usprawiedliwianie swojego zachowania. Miał dziś do załatwienia interesy, w których nie można sobie pozwolić na rozkojarzenie.

Po południu, kiedy razem z Haffem wracali do hotelu, prowadząc konia pełnej krwi arabskiej i dwa osły, dostrzegł ją idącą naprzeciw. Zatrzymał się, przygotowując na atak gniewu lub namiętności z jej strony. Albo obydwu reakcji jednocześnie.

- Kupiłeś je? - spytała, ignorując go i obchodząc dokoła zwierzęta. Miała na sobie brązowe spódnico spodnie, wykrochmaloną białą bluzkę i aksamitną tasiemkę przewiazaną wokół sterczącego kołnierzyka, oraz jak zwykle buty do konnej jazdy. W popołudniowym upale wyglądała świeżo i schludnie, spokojna i irytująco pewna siebie.

- Zgadnij. Albo to, albo je ukradliśmy - odparł zirytowany, podając jej lejce konia. — Ten jest dla ciebie.

- Klacz... rozumiem... - Przeszła pod końskim łbem, przyglądając się uważnie klaczy, a potem spojrzała pytająco na osły strzygące długimi uszami, żeby opędzić się od much. - Osły?

' - Są lepsze do przewożenia ekwipunku na pustyni. Piją mniej niż konie.

- Jeżeli to taki ważny czynnik, to czemu nie weźmiemy zamiast nich wielbłądów? Miał już powiedzieć, że rozważał to, ale uznał, że woli oszczędzić jej atrakcji jazdy na garbie sześć stóp ponad ziemią.

Tymczasem ona otrzepała ręce w geście mówiącym, że nie ma tu już nic więcej do roboty, i ruszyła przed siebie.

- Dokąd się wybierasz? - Spojrzał za jej oddalającą się sylwetką, starając się nie pożerać wzrokiem kształtów jej ciała, a szczególnie tej dolnej rozkołysanej części. Czyżby miała na sobie ten cholerny gorset?

- Po narzędzia - zawołała przez ramię. - Haffe, chodź ze mną.

Berber wzruszył ramionami, oddał Smithowi lejce osłów i poszedł.

Apollo stał przez chwilę, starając się odpędzić wspomnienia różowego jedwabnego gorsetu i pragnienia, by... Co? Potrząsnąć nią? Związać ją? Sprzedać pierwszej napotkanej karawanie?

- Do cholery! Nie ma to jak znaleźć sobie białego niewolnika!

Ruszył w stronę stajni hotelowych, ciągnąc za sobą zwierzęta. Nie ma czasu na te bzdury. Musi zatelefonować do paru osób. W końcu to było prawdziwym powodem jego przyjazdu do Marrakeszu.

- Łopata, kilof, lina, saperki, szczotki, lampy i nafta... - Jakiś czas potem Abigail stała na ulicy na skraju wielkiego targowiska, wyliczając wszystkie przedmioty, które trzymał w ramionach Haffe i próbując sobie przypomnieć czy coś jeszcze znajdowało się na jej liście zakupów. Rezygnując z dłuższego zastanawiania się nad tym, co też mogła pominąć, podniosła z ziemi dwie pękate paczki. - To musi nam wystarczyć. Nie mogę wydać więcej pieniędzy, skoro zamierzam...

W przeciwnym końcu soku zauważyła jakieś postaci w mundurach.

Legioniści. Uniosła dłoń, by osłonić od słońca oczy i lepiej mi się przyjrzeć. Zauważyła wysokiego żołnierza w środku grupy.

- Crocker — mruknęła pod nosem, czując, że z chęcią zrewanżowałaby mu się za ten wczorajszy pokaz prostackiego akcentu brytyjskiego i obraźliwego humoru. Kiedy spojrzał w jej stronę pomachała do niego i ruszyła w tym kierunku. Haffe zaważał się. Przywołała go, zapewniając, że nie ma się czego bać.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła przed sobą wysokiego, tyczkowatego mężczyznę z zapadniętymi policzkami i dziwnie wytrzeszczonymi oczami, zupełnie niepodobnego do skorego do niewybrednych żartów Crockera. Obok ujrzała kolejną twarz, niskiego, muskularnego żołnierza ze złamanym nosem wyglądającym dość groteskowo. Nie rozpoznała żadnego z nich.

Wtedy krępy mężczyzna stojący na przodzie grupy, ubrany w mundur z kilkoma paskami na rękawie, odwrócił się w jej stronę i na ten widok zamarła.

Miał szeroką, płaską twarz, pokrytą ciemną szczecina i duże usta, które wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie, gdy ją zauważył. Jego już rozpoznała. Sierżant z hotelu Marrat, ten sam, który szukał Smitha!

Wysoki kościsty żołnierz wskazał ją palcem i coś powiedział. Reszta grupy odwróciła się, ale Abigail już ruszyła z miejsca.

- Uciekaj! - Pchnęła Haffego w tłum jego rodaków kręcących się po targowisku, mając nadzieję, że nie zostanie rozpoznany, a sama popędziła za najbliższy róg. Jej serce biło jak oszalałe. Najchętniej też by się wmieszała w tłum, gdyby tylko nie wyglądała tak bardzo jak Amerykanka czy Brytyjka...

Zauważyła po drodze stoisko z odzieżą i wpadła do środka. Mimo wrzasku, jaki podnieśli sprzedawca i jego pomocnicy, zdołała zerwać z wieszaka batus i zarzuciła go na siebie.

W pośpiechu wcisnęła sprzedawcy parę monet i naciągnęła na głowę kaptur w samą porę, żeby zdążyć przed przebiegającymi obok sklepu żołnierzami. Chwilę później żołnierze zawrócili, a surowy głos wydał rozkaz by przeszukali wszystkie okoliczne stragany.

- Nie mogą mnie znaleźć - powiedziała, chwytając swoje paczki i przeciskając się między wieszakami z ubraniami, by znaleźć się jak najdalej od wejścia. - Są tu jakieś tylne drzwi?

Odgadując, co ją przestraszyło, i najwyraźniej okazując jej sympatię, jeden ze sprzedawców przesunął dyktę, przy której wisiały ubrania, i przywołał ją gestem. Nie było czasu na pytanie, dokąd to wyjście prowadzi, więc rzuciła się do ucieczki.

Powitały ją zaskoczone twarze mężczyzn szyjących ubrania na zapleczu, które całe było zaśmieczone ścinkami, przędzą i obwieszone lasem na wpeł gotowych strojów. Widząc otwarte drzwi w głębi pomieszczenia, popędziła do nich i wypadła do labiryntu wąskich, ciemnych uliczek, które wiły się między zniszczonymi murami.

Uliczka zwięzła się bez ostrzeżenia. Podrapała sobie ramiona i dłonie, zderzając się ze ścianą, ale natychmiast poderwała się do ucieczki. Była oszołomiona ilością zakrętów, przez które straciła całkowicie orientację. Nieprzyjemne i niezdrowe zapachy wypełniały ciężkie powietrze. Wstrzymywała więc oddech, mając nadzieję, że za kolejnym zakretem znajdzie jakieś wyjście, albo zauważy coś znajomego.

Jej oczy przystosowały się do panującego w labiryncie mroku. Coraz lepiej widziała, ale to oznaczało też, że zaczęła dostrzegać ukradkowe cienie przemykające jej pod nogami i wydłużone kształty przyczajone pod ścianami. Wkrótce pojawiła się przed nią ludzka postać. Stłumiła wrywający się jej z gardła krzyk, kiedy postać w turbanie pchnęła ją na mur i przecisnęła się obok niej w wąskim przejściu. Przez chwilę nie

mogła dojść do siebie i stała bez ruchu czując, jak serce łomocze jej w piersi i starając się nie myśleć o tym, że ten człowiek mógł nieść przy sobie nóż, a ona mogłaby leżeć tu bez życia.

Kiedy wreszcie oderwała się od ściany i ruszyła dalej, jej myśli zaprzętały tylko Smith. Gdyby tylko udało jej się wrócić do hotelu, wrócić do niego, byłaby...

Kiedy za kolejnym zakrętem na końcu zaułka zauważyła światło, nie mogła wręcz w to uwierzyć. Po chwili doszła do końca labiryntu i stanęła przed szeroką, oświetloną słońcem ulicą pełną ludzi i powozów. I zdała sobie sprawę, że chyba jej się udało.

Trzymając się blisko muru, zaczęła rozglądać się za jakimiś znajomymi szczegółami otoczenia. Po drugiej stronie szerokiej ulicy był masywny zmurszały mur. Wyciągnęła szyję, by spojrzeć na drugą stronę i rozpoznała francuską kawiarnię. Uświadomiła jej to, że ruiny, przez których labirynt uciekała, to Badi Pałace.

Wiedząc już, gdzie się znajduje, próbowała przypomnieć sobie, jak wczoraj wracali stąd przez wielkie targowisko. Potem wyszła na ulicę, opuściła głowę i wmieszała się w główny nurt ludzi zmierzających na wschód, powstrzymując się, żeby nie zacząć biec.

Zdawało jej się, że całe wieki zajęło jej dotarcie do zacisznego, wysadzanego palmami placu, przed hotelem Raissouli. Ta pełna słońca, bogata dzielnica miasta stanowiła całkowity kontrast z ciemnym labiryntem, który przebyła. Zmusiła się do spokojnego przejścia przez frontowe drzwi i podeszła do recepcji, gdzie zapytała o Smitha.

Recepcjonista znalazł klucz do jego pokoju na kołku, co oznaczało, że nie ma go w hotelu, i zasugerował, żeby sprawdziła w stajniach. Kiedy weszła do stajni, zastała tam Haffego spacerującego nerwowo w tę i z powrotem i mówiącego coś do siebie. Na jej widok upadł na kolana i odmówił modlitwę dziękczynną.

Potem Berber poinformował ją, że udało mu się uciec przed legionistami, wrócić do hotelu okrężną drogą niedługo przed nią. Nie miał jednak pojęcia, gdzie może być Smith. Zalewała ją fala rozpacz.

- Nie możemy czekać. Musimy zacząć się pakować - powiedziała, opierając się o drewniany filar. Zakupy, które dziś zrobiła, wypadły jej z rąk na ziemię i poczuła, jak bardzo bołą ją palce od kurczowego zaciskania ich na paczkach. - Widział mnie. Rozpoznał...

- Kto cię widział? - głos Smitha dobiegający od drzwi stajni zaskoczył ich oboje. Szybko podszedł do niej, przyglądając się jej z troską.

Widok jego opalonej twarzy i poczucie pewności, jakie dawały jego silne dłonie zaciśnięte na jej ramionach, sprawiły, że ugięły się pod nią kolana. Poczowała ogromną ulgę. Był tutaj. Trzymał ją...

- Sierżant, który włamał się do mojego pokoju w Marrat, jest teraz w Marrakeszu. Widziałam go na placu z jego ludźmi i pomachałam do nich, myśląc, że to Crocker i reszta.

- Sierżant? - Smith ścisnął mocniej jej ramiona. - Słyszałaś, jak się nazywa?

- Nie wiem... to wszystko działo się tak... - Zamknęła oczy, starając się przywołać wspomnienia, nad których wymazaniem tak uporczywie pracowała. - Właściciel Marrata znał go. Nazywał Garvin... Gaspar..., Gaston!

- Gaston? Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- Tak. Niski, gruby, muskularne ramiona, płaska twarz, ponure, nienawistne spojrzenie.

- To on. Jesteś pewna, że cię rozpoznał?

- Gonił mnie. Musiał nas śledzić od Casablanki.

- Miejmy nadzieję, że nie śledził cię teraz w drodze do hotelu. - Smith spojrzął na konie, potem na Haffego, obmyślając nowy plan działania. Popchnął Abigail w stronę drzwi,

powstrzymując ją przed zawróceniem po paczki z zakupami. Zostaw to teraz. Idę się pakować. Musimy stąd wyjechać.

Pod osłoną zmroku trzej jeźdźców, prowadzących dwa ob juczone osły, opuściło miasto i udało się na południowy wschód, przez Bab Hmar. Wszyscy trzej byli ubrani w dżelaby z turbanami na głowach i wyglądali jak zwykli Marokańczycy, jeśli się ktoś bliżej nie przyglądał. Niestety, ktoś przyglądał się, i to bardzo uważnie.

Większość podróżujących przechodzących przez bramę wieczorem zmierzała do miasta, więc fakt, że ta trójka udawała się w przeciwnym kierunku, przyciągnął uwagę wysokiego, chudego legionisty o ziemistej cerze. Jego uwagę zwrócił sposób, w jaki siedzieli zgarbieni na koniach z opuszczonymi głowami, jakby chcieli przejechać niezauważeni. Podszedł bliżej do bramy, żeby im się lepiej przyjrzeć. Decydującym szczegółem okazały się europejskie buty, które wystawały spod dżelab dwojga jeźdźców.

To oni. Legionista oblizał wargi, i ruszył złożyć raport. Ta wiadomość powinna być warta drinka albo dwa.

Sierzant Gaston siedział w dusznej i zadymionej knajpie we wschodniej części miasta, popijając whisky i oglądając beznamietnie ruszającą się tancerkę osłoniętą zapoconym jedwabiem. Kiedy do środka wszedł jeden z jego ludzi, wyprostował się i przywołał go, wskazując krzesło przy swoim stoliku.

- Bab Hmar - wysapał legionista, zdyszany od biegu. - Wi działem ich.

- Kiedy?

- Nie dalej jak kwadrans temu. Pojechali na wschód.

- Wybrali górską drogę do Ouarzazate? A potem pewnie pojedą na pustynię. - Gaston uśmiechnął się, pokazując zęby z brązowymi obwódkami. - Dziś po południu kobieta nam się wymknęła, ale, tak jak się spodziewałem, nasz widok sprawił, że się pospieszyli z wyjazdem.

Jego pomysł z ustawieniem ludzi przy bramach wyjazdowych zdał egzamin. Teraz jedyne, co musiał zrobić, to pr/c prowadzić swoich ludzi przez góry do Ouarzazate i poczekać u; Smitha i kobietę, aż zlokalizują ten jej „skarb”.

Usatysfakcjonowany powodzeniem swego planu, dostrzegł łakome spojrzenie legionisty, skupione na butelce whisky Uśmiechnął się krzywo.

- Spragniony, Schuller? - Napełnił szklanę i z mściwym rozbawieniem sam ją opróżnił na oczach pożądliwie patrzącego żołnierza. — Idź, zbierz pozostałych z bram i powiedz im, żeby się wyspali. Wyruszamy o świcie.

Góry. Abigail studiowała tygodniami ogólnie dostępne mapy i te narysowane przez Thaddeusa Chiltona, oglądała ośnieżone szczyty Atlasu prawie codziennie, odkąd znalazła się w Maroku. Ale do tej pory nie docierało do niej, że będą musieli przejść przez góry, żeby dotrzeć do pustyni. Dopiero w ciemnościach niekończącej się nocy, kiedy podążali bladym śladem drogi po wznoszącym się terenie, Abigail zdała sobie sprawę z tego, że czeka ich dwudniowa podróż pod górę.

Thaddeus zaznaczył na swojej mapie ich kolejny punkt po droży jako „QKQ” ..., co przy użyciu kodu przestawnego udało jej się rozszyfrować jako „TNT”. Kiedy spytała, co to takiego może być, Smith powiedział jej, że jest taka przełęcz w górach która nazywa się Tizi-n-Tichka. To był jedyny rozpoznawalny punkt na mapie między Marrakeszem a ostatnią zamieszkaną osadą przed pustynią, którą profesor sprytnie podpisał jako „Lrxowxwxqb”, co Abigail równie sprytnie odszyfrowała jako „Ouarzazate”.

- Co powiedziałaś LaCroix o miejscu, do którego zmierzasz? - Smith podjechał do niej, żeby porozmawiać. —

Czy widział którąś z twoich map?

- Nie - odparła, wracając myślami do tamtej nocy w Restauracji hotelu Marrat. - Powiedziałam mu, że moje poszukiwania prowadzą mnie do Marrakeszu i na południe

To wszystko.

Południe może oznaczać Tiznit lub Agadir, a nawet Tata. Mftli będziemy mieli szczęście, to nie zorientują się, że zmierzamy do Ouarzazate. Tizi—n-Tichka jest najwyższą przełęczą w górnym Atlasie, prowadzącą na wschód od Marrakeszu. Jest kontrolowana przez berberyjskie plemiona, które są na usługach sułtana Marrakeszu. Haffe jest Berberem... Powinien zaoszczędzić nam przykrości użerania się z nimi.

- A zatem uważasz, że pomyślą sobie, że powinniśmy mieć więcej rozumu i nie wybierzemy tej drogi? - spytała w nadziei, że Gaston i jego ludzie podejmą pościg w kierunku łatwiejszego przejścia przez góry na południe.

- Właśnie - uśmiechnął się chytrze.

Kiedy zatrzymali się, by napić zwierzęta i odpocząć, zaczęła drzeć i rozcierać dłońmi zmarznięte ramiona.

- Zamarzam, zdrętwiała mi pupa i nie mogę nabrać wystarczająco powietrza do płuc - zaczęła narzekać, starając się omijać wzrokiem jego posagową sylwetkę. Obawiała się, że mógłby zinterpretować jej spojrzenie jako wyraz ulgi albo nawet przyjemności z powodu jego obecności przy niej. A tak właśnie było. - Jesteś pewny, że nie ma lepszej drogi do Ouarzazate?

- Nie zrzucaj na mnie winy za rozrzedzone powietrze i brzydkie widoki. Jestem tylko wynajętym pomocnikiem. Masz. - Wyciągnął jeden z kupionych przez siebie burnusów. - Włóż to.

Ubranie okazało się cudownie ciepłe, przez co, podobnie jak Haffe, zapadała w krótkie drzemki podczas powolnej wędrówki przez uspione szare pastwiska i pola uprawne, które w świetle księżyca zmieniły kolor na dziwnie niebieski i fioletowy.

Nad ranem dojechali do leżącej w dolinie małej wioski, w której kupili trochę chleba, ogórki i kozi ser. Po napojeniu

koni zjechali z głównej drogi i wspięli się na wzgórze wznoszące się nad wąską doliną, gdzie zatrzymali się na odpoczynek i rozbili obóz pod kilkoma wielkimi skałami. Zjedli, ułożyli się w cieniu i spali do nastania zmierzchu. W takim rytmie mieli podróżować dalej w góry, odpoczywając w dzień i jadąc w nocy. Drugiego dnia popołudniu, kiedy mieli już za sobą niewielką przełęcz Tizi-n-Ait-Imger, Smith obudził Abigail, kładąc jej dłoń na ustach. Nadchodziła noc i w zimnym, suchym powietrzu w pobliżu przełęczu głos rozchodził się na duże odległości. Szepnął jej, że właśnie zauważył światło i dym z miejsca, które wyglądało jak obozowisko legionistów, gdzieś za nimi. To mógł być Gaston albo jakiś inny patrol, o którym nie wiedzieli. Musieli czym prędzej ruszać dalej.

- Nie! - Poderwała się niezgrabnie na nogi i splótła ręce na piersi.

- Co „nie”? - spytał, wrzucając siodło na jej przykrytego derką konia.

- Nie zrobię ani jednego kroku dalej, dopóki nie powiesz mi prawdy o Gastonie i o tym, po co przyjechałeś ponownie do Maroka.

- Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie - odparł, podnosząc strzemień i zaciągając paski pod siodłem. - A teraz wsiadaj na tego cholernego konia i jedźmy stąd.

- Nie! - Zadarła brodę. - Nie ruszę się, dopóki mi nie powiesz, o co tu chodzi. Najwyraźniej znałeś tego sierżanta z czasów służby w legii. On twierdzi, że jesteś dezserterem, a ty temu zaprzeczasz. Twój przyjaciele mówią, że myśleli, że nie żyjesz. W co mam wierzyć? - Wyczuwała, że będzie próbował zbyć ją byle czym. - Uważam, że zasługuję na to, żeby znać prawdę, skoro mogę znaleźć się na linii ognia. Przynajmniej będę wiedziała, dlaczego ginę.

Klnąc pod nosem, odszedł i wspiął się na jedną ze skalnych półek nieopodal, by rzucić okiem w stronę obozowiska, znajdującego się w pewnej odległości.

Przypomnienie mu, że naraził ją na niebezpieczeństwo, ewidentnie działało mu na wyobraźnię. Zeskoczył ze skały i usiadł na chwilę, przyglądając się jej, a potem podszedł do toreb, które miał przytwierdzone pod siodłem i wyciągnął z jednej z nich kopertę, którą wcześniej ukrył w jej bagażu. Obserwowała go, jak przegląda papiery i wybiera jeden, a resztę z powrotem wsadza do koperty i do kieszeni koszuli.

Podszedł do niej i podał jej rozłożoną kartkę jakiegoś dokumentu.

- Masz. - Zacisnął dłonie w pięści i oparł je w talii, czekając.

Zmrużyła oczy, żeby w gasnących promieniach słońca lepiej widzieć litery oficjalnie wyglądającego dokumentu, a pierwsze dwa słowa zaparły jej dech w piersiach.

Akt zgonu.

W porządku, zatem nie żyjesz. - Oddała mu dokument. -
Chcę znać szczegóły.

Spojrzał na nią z rozdrażnieniem i już miał się od niej odwrócić, ale w ostatniej chwili cofnął się.

- Wsiadaj na konia - powiedział spokojnie. - Opowiem ci wszystko po drodze.

Zrezygnowane spojrzenie mówiło, że zamierza dotrzymać słowa.

- Sierżant Gaston przyjechał z Casablanki do Marrakeszu z listami do naszego komendanta, wśród których był rozkaz przeniesienia mnie do kompanii konnej — powiedział, kiedy w ciszy przejechali już odpowiednio daleko od przypuszczalnego obozowiska legionistów. - Kiedy spytałem, co się dzieje, powiedział mi, że dzielą nasz oddział, ponieważ potrzebują doświadczonych żołnierzy do kompanii konnej. Wyjechałem więc z Gastonem i jego zwykłym oddziałem pocztowym do Casablanki. Po drodze trafiliśmy na bandytów i ledwie udało nam się uciec. Jednak podczas tej walki coś w zachowaniu Gastona wydawało mi się dziwne. Po tym wydarzeniu postanowiłem mieć na niego oko.

Przybyliśmy do Casablanki w samą porę, żeby wyruszyć z naszą kompanią do granicy z Algierią, gdzie prowadziliśmy nieprzerwaną walkę, w której nigdy nie starczało amunicji, jedzenia i wody. To była długa i powolna masakra. I za każdym razem, gdy się odwracałem, Gaston był za mną... z karabinem wymierzonym w moje plecy.

Wreszcie, w czasie ostatniej, naprawdę paskudnej bitwy w przygranicznej wiosce rozkazał czterem z nas zająć i zabez-

pieczyć jeden z domów. Kiedy weszliśmy do środka frontowymi drzwiami, rebelianci uciekli tylnym wyjściem, podpalając dom. Chcieliśmy się wycofać, a wtedy przywitał nas grad kul. Zostaliśmy złapani w pułapkę - rebelianci na tyłach i ktoś inny z przodu. Udało mi się wyskoczyć oknem i zobaczyłem, że to Gaston rozkazywał kierować ogień na dom, do którego nas właśnie wysłał.

- Próbował cię zabić? - Abigail przeszył dreszcz mimo ciepłego burnusa, w który była ubrana.

- Do diabła, prawie mu się to udało. Odczołgałem się na tyły, skąd rebelianci zdążyli już uciec. Byłem ranny i półżywy od duszącego dymu. Kiedy się ocknąłem, leżałem w namiocie poganiacza owiec, który znalazł mnie na pustyni i uratował mi życie. - Skulił ramiona, jakby wspomnienie tego ciągle kładło się ciężarem na jego pamięci. — Gaston i legia uznali, że zginąłem w ogniu razem z trzema innymi żołnierzami. Po stanowiąc nie wyprowadzać ich z błędu. Uznałem tym samym, że mój obowiązek służby w legii wygasł, i pojechałem do Tangeru, gdzie pracowałem w dokach, aż zarobiłem dość pieniędzy na powrót do Londynu.

- I dlatego wróciłeś? Żeby odnaleźć Gastona i zemścić się?

- Żeby znaleźć tego, kto go wysłał — odparł ponuro. — I że mścić się na nich.

Przełęcz Tizi-n-Tichka była naturalnie wyżłobionym obniżeniem pasma górskiego, które oddzielało urodzajne ziemie zachodniego Maroka od suchych i jałowych ziem wschodu. Na zachodzie rozciągały się lasy cedrowe, sosnowe i dębowe porzetykane sterczącymi resztkami skał i gąszczami. Na wschodzie nie było nic oprócz czerwonych skał zniszczonych przez erozję, suchych wapiennych wzgórz i stale powiększających się wydmy piaskowych. Wilgoć pochodząca ze sporadycznych opadów śniegu po wschodniej stronie gór spływała w dół zbocza do wąskich dolin, które rozciągały się nierównymi wstęgami aż do granicy z pustynią.

Przejście przez przełęcz oraz dostęp do źródeł wschodnich dolin kontrolowali berberyjscy wojownicy związani z sułtanem Marrakeszu. Podarki dla wodza były preferowaną formą zapłaty za przejazd, ale z braku hojniejszych propozycji zwykłe monety przyjmowano równie chętnie.

Szczelnie zamknięte i zasznurowane przed uciążliwymi wiatrami namioty osady wtapiały się w brązowoszary granitowy krajobraz przełęcz. Jedynymi widocznymi mieszkańcami było kilku mężczyzn w tradycyjnych strojach i turbanach, którzy trzymali w rękach krótkie wojskowe karabiny skierowane na zagrody i szopy dla zwierząt.

Kiedy Smith i Abigail kupowali żywność i opłacali stajnię dla swoich zwierząt, Haffe poszedł prosto do namiotu wodza po informacje. W chwili, gdy do niego dołączyli, stał w towarzystwie strażników przed głównym wejściem do namiotu i wsuwał im do kieszeni tytoń, jako zapłatę za informacje.

Haffe doradził Smithowi i Abigail w sprawie etykiety dotyczącej „podarku” dla wodza, Bareka, i zgodził się wystąpić w roli tłumacza. W środku powitało ich kilkoro młodzieńców o groźnych spojrzeniach, którzy odebrali od nich peleryny i nalegali, żeby jako goście zmienili buty na miękkie żółte kapcie ze skóry, zanim zostaną wprowadzeni dalej.

Wnętrze ogromnego namiotu było bardzo kolorowe i egzotyczne. Ziemię pokrywały dywany o skomplikowanych wzorach, a na ścianach wisiały jedwabne i aksamitne zasłony oraz artystycznie tkane obrazy ozdobione na brzegach brokatem. Środek pomieszczenia zajmowała niska okrągła ława wyłożona kolorowymi poduszkami. Powietrze było ciężkie od zapachu lamp naftowych, dymu tytoniowego i aromatu drewna sandałowego.

Mężczyźni w prostych szatach i kolorowych pasiastych turbanach, skupieni w kilku grupach, byli pochłonięci rozmowami i paleniem fajek wodnych. Podnieśli głowy na chwilę, nie przerywając rozmów, po czym zamilkli, gdy zobaczyli Abigail.

Kobieta z zachodu. To przykuło ich uwagę. Kilku z nich zbliżyło się do fotela wodza, by przysłuchiwać się rozmowie.

Barek był dużym, korpulentnym mężczyzną w nieokreślonym wieku, w ogromnym wielobarwnym turbanie, z równo przystryżoną czarną brodą i wielkim złotym kolczykiem w uchu. Kiedy Haffe i Smith skłonili się, Haffe przedstawił Smitha, mówiąc coś, co sprawiło, że oczy wodza rozszerzyły się, a mężczyźni skupieni za jego fotelem zaczęli szeptać między sobą.

Pamiętając incydent z Berberami, Abigail była teraz cała spięta, gdy mężczyźni wpatrywali się w nią i bez skrępowania wymieniali komentarze. Była tak rozkojarzona tą sytuacją, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że nikt jej nie przedstawił. Ale oczywiście było, że wódz zauważył jej obecność. Kiedy podano im do picia coś ze sfermentowanym miodem, Barek uważnie się przyglądał, jak próbowała mocno alkoholowego trunku i zareagował na to zdziwieniem i uśmiechem skrywanym za ciężką do pierścieni dłońią.

Po pewnym czasie zwrócił się do wychudzonego mężczyzny o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, który stał po prawej stronie i skierował do niego pytania, które ten powtórzył głośno Haffemu. Haffe kłaniał się przy każdej odpowiedzi i wydawał się przy tym zaskakująco swobodny. Abigail zrozumiała kilka słów z jego relacji, którą co chwilę przerywał, by bardziej ubarwić jej treść.

Haffe oznajmił gospodarzowi, że są ważnymi wysłannikami z wielkiego pałacu, zwanego British Museum, który w spadku po zmarłym księciu odziedziczyła Abigail, ale z którego zniknęły pewne cenne rękopisy, bez których królowa angielskiej ziemi nie będzie mogła dalej rządzić.

Abigail starała się nie wpadać w popłoch, kiedy pochyliła się do Smitha.

— On opowiada jakieś straszne... — szepnęła.

- Rzeczy, które wódz pragnie usłyszeć - odparł jej na ucho

Smith. - W tym kraju skromność nie uchodzi za mądrość. Ani uznawanie, że ludzie cię nie rozumieją, tylko dlatego, że sami mówią w innym języku.

Do środka weszły cztery młode kobiety, dwie z nich niosły dużą tacę z jedzeniem i położyły ją pośrodku namiotu, a dwie pozostałe wniosły podłużny mosiężny dzban gorącej wody, miskę i ręczniki dla trójki gości. Abigail, postępując za Smithem, umyła i wytarła dłonie. Ale kiedy kobiety podeszły do Haffego, on stał bez ruchu, wpatrując się w jedną z nich, a ta uśmiechnęła się i opuściła wzrok, widząc jego reakcję. Kiedy wyciągnął ręce nad miską, zerknęła na niego, polewając mu dłonie wodą. Jej wyraziste oczy rozszerzyły się, a potem złagodniały i nawet nie zauważyła, że rozlewa wodę po poduszkach.

Doradca wodza warknął karcąco i starsza z kobiet pospiesznie podeszła do dziewczyny, besztając ją i nakazując wyjść z pomieszczenia. Haffe zaprotestował, mówiąc, że to jego wina i deklarując, że przyjmie na siebie każdą karę, jaką wyznaczą tej dziewczynie, czym wzbudził rozbawienie Bareka i jego ludzi. Poczzerwieniał, słysząc wyjaśnienia doradcy wodza.

- Ona jest... córka siostry Bareka - przekazał Smithowi i Abigail. - Nie być ukarana.

Gestem dłoni Barek przywołał ich do siebie, żeby skosztowali jedzenia, a kiedy poczęstowali się owocami, orzechami, dolmasem i chlebem, wódz skierował do nich pytanie, które Haffe szybko przetłumaczył.

- On pytać, co jest napisane w zwojach? Tajemnica? Skarb?

- Żadnego skarbu. Po prostu notatki. - Abigail zignorowała gniewne spojrzenie Smitha, którym chciał ją uciszyć. - Prawdopodobnie historia z czasów starożytnej Grecji i Egiptu... stare dzieje.

Haffe odwrócił się i trajkocząc po berberyjsku, przekazał informacje, które sprawiły, że na twarzy wodza wymalował się niekłamany zachwyty. Barek przywołał wszystkich, żeby skupili

uwagę i wygodniej rozsiadł się na poduszkach, spoglądając wyczekująco.

Kiedy Haffe odwrócił się do nich, uśmiech na jego twarzy nie był w stanie przysłonić lęku.

- On chce słyszeć te historia. Teraz.

- Oczywiście - powiedział Smith, zaciskając znacząco dłoń na jej ramieniu. - Panna Merchant zna wiele historii. Prawda, panno Merchant? - Nachylił się do niej i szepnął nerwowo: - Opowiedz im jakąś cholerną historię.

- Nie znam żadnych - wypaliła, starając się, by jej głos nie zabrzmiał zbyt piskliwie i rozpaczliwie. - Na studiach najgorsze oceny miałam właśnie z literatury dziecięcej i bajek.

- Opowiedz historię biblijną. O Noem i Arce albo coś takie go. I ciesz się, że nie zażądał, żebyś przed nim zatańczyła.

Sięgnęła po miodowy trunek Smitha i wychyliła go jednym haustem, a potem wstała i ukloniła się głęboko przed Barekiem, który przyglądał jej się z kwaśną miną.

- Historia opowiada o wielkim człowieku sprzed wielu, wielu lat, który nazywał się Jakub - zaczęła. - Miał on wielu synów, dokładnie dwunastu. - Kiedy Haffe przetłumaczył jej słowa, odgłosy aprobaty podniosły się w całym namiocie. - Jakub był także najbogatszym człowiekiem wśród swego plemienia... Miał wielkie stada bydła i owiec. Wszystko, co było jego własnością i w jego zasięgu, prosperowało wyśmienicie. — Do brobyt. Berek wyglądał na bardzo zadowolonego, a mężczyźni, którzy rozsiedli się dokoła na poduszkach, także kiwali głowami i mruczeli coś między sobą.

- Mimo, że miał wielu synów, jednego umiłował najbardziej ze wszystkich. Ten syn miał na imię Józef. Był przystojny i bystry. - Postukała się w skroń z przebiegłym spojrzeniem. - Mówiono nawet, że potrafił tłumaczyć sny.

Jakub faworyzował młodego Józefa we wszystkim. Żeby okazać mu swoją miłość, kazał uszyć dla niego piękny kolorowy płaszcz i dał mu, by go nosił. - Po jednej stronie okrągłej

ławy zaczęły pojawiać się groźne i gniewne spojrzenia. - Ulubiony syn nosił go z dumą i nawet chwalił się nim przed braćmi. - Zaprezentowała pantomimę, przechadzając się dumnie i rozkładając nieistniejący płaszcz szeroko z zadowoloną miną. Gniewne spojrzenia przerodziły się w pomruki wzburzenia i dezaprobaty. - Józef opowiedział braciom, że w jednym z jego snów wszyscy bracia kłaniali się przed nim, oddając mu hołd. Bracia wiedzieli, że Józef twierdził, iż potrafi wyczytać przyszłość ze snów, więc tym bardziej czuli się tą przepowiednią dotkliwie urażeni. Zaczęli więc spiskować przeciwko ulubieńcowi ojca.

Poruszenie wśród doradców wodza plemienia było takie duże że Abigail zdała sobie sprawę, iż prawdopodobnie dotknęła jakiegoś szczególnego tematu, więc z tym większym zapałem oddała się dalszej opowieści. Nigdy w życiu nie udało jej się w taki sposób przykuć uwagi słuchaczy żadną historią!

- Lecz Józef był młody i nie zdawał sobie sprawy z tego, że niegodziwość może z łatwością zakraść się do serc zranionych ludzi. Nie dostrzegł zagrożenia w gniewie braci. Pewnego dnia, kiedy wszyscy byli razem w polu i wypasali bydło, bracia złapali Józefa, związali go i sprzedali karawanie zmierzającej do Egiptu. - Okrzyki zdziwienia i oburzenia podniosły się w całym namiocie. - Potem bracia zabili owcę i jej krwią wysmarowali piękny kolorowy płaszcz, który tak bardzo zniechęcili. Zanieśli go ojcu i powiedzieli, że dzikie zwierzę rozszarpało Józefa. Jakub wpadł w rozpacz i krzyczał, przeklinając niebiosy.

Wrogim spojrzeniom zaczęło towarzyszyć potrząsanie pięściami, a Berek pochylił się do przodu w napięciu, wzburzony jak pozostali. Abigail poczuła dłoń Smitha na swoim ramieniu ale strząsnęła ją zaabsorbowana groźnymi spojrzeniami, jakie Berek rzucał swoim ludziom... Podejrzewała, że jest na nich zła za to, że przeszkadzają jej w opowiadaniu historii.

Kiedy doszła do momentu, gdy Józefa odkupuje ważny urzędnik z dworu faraona, a potem jego żona fałszywie oskarża młodzieńca, napięcie narastające w namiocie wreszcie eksplodowało.

Zabrzącały ostrza noży wyjmowanych z pochew, a strażnicy Bareka szybko podbiegli do wodza i stanęli u jego boku z bronią w rękach. Berek zaczął wydawać rozkazy. Abigail i Smith zostali pojmani i wywleczeni na zewnątrz namiotu.

Mimo mężnie stawianego oporu, związane im ręce i nogi i zostawiono w ciemnym namiocie, przywiązanych w pozycji siedzącej do drewnianego słupa. Abigail z trudem oddychała, a ręce drętwiały jej z powodu ciasno zawiązanych sznurów wrzynających się w nadgarstki. Smith miał rozciętą wargę, która go piekła, i przy każdym oddechu czuł ból w prawym boku.

- Historia o Józefie? - jęknął.

- To jedna z najbardziej znanych przypowieści Starego Testamentu i Tory - obolała, wystraszona i przygnębiona, nie była w nastroju do wysłuchiwania krytyki pod adresem swoich zdolności narratorskich - spotyka się z szacunkiem w obu największych religiach świata.

- Z których żadna nie jest prawdopodobnie ceniona w berberyjskim obozowisku.

- Cóż, sam chciałeś, żebym opowiedziała historię biblijną - odcięła się. - Mówiłam, że nie jestem w tym dobra!

- A skąd mogłem wiedzieć, że mówisz prawdę? - burknął.

Zamknęła usta, uznając, że nie będzie tracić energii na odpowiadanie mu i całą uwagę zwróciła na ich nowe otoczenie. Wokół nich—mogła to sobie jedynie wyobrazić, bo było ciemno jak w grobie - znajdowały się sterty skrzyń, beczek i toreb z czymś, co pachniało jak zboże. Na zewnątrz słyszała wściekłe okrzyki, tętent koni i strzelaninę. Cisza, która zapanowała po odgłosach walki była chyba nawet gorsza, gdyż razem z ciemnością dawała poczucie klaustrofobii.

- To chyba powinni gdzieś zapisać jako rekord — odezwał się Smith, przerywając złowrogą ciszę. - Kobieta, która omal nie straciła życia z rąk dwóch różnych plemion berberyjskich w ciągu jednego tygodnia.

- Jak myślisz, co z nami zrobią? - spytała, nie czując się zbyt dobrze z powodu miodnego trunku i okoliczności, w jakich się znalazła.

- Najprawdopodobniej wypatroszą nas i rozwieszą nasze wnętrzności na skale. A potem zrobią sobie pieczeń z nie wiernych.

- Nie możesz chociaż przez chwilę być poważny? - Uniosła się, mając nadzieję, że ukryje w ten sposób drżenie głosu.

- Wpadliśmy w prawdziwe tarapaty.

- No tak, w gorącej wodzie kąpani Berberowie... Uwięzili nas bez zakneblowania nam ust! -jęknął. - Teraz będę musiał wysłuchiwać bez końca: „To wszystko twoja wina!”. Już lepiej zostaw staremu Berekowi wymyślanie dla mnie gorszych tortur od upieczenia żywcem.

Kiedy opanowała chęć uduszenia go, zdała sobie sprawę z tego, że chociaż starał się strywializować ich położenie, w jego głosie brzmiała dziwna nuta. Celowo zachowywał się bezczelnie. Starał się w ten sposób poprawić sobie nastrój. I jej. Typowe zagranie legionisty. Plucie w twarz niebezpieczeństwu. Nagle sytuacja przestawała wyglądać tak ponuro.

W tym momencie poczuła jego palce szukające po omacku jej dłoni i złapała je, jakby były kołem ratunkowym.

Tak jak jej poradził, oparła się o słup i spróbowała odpocząć, odzyskać siły, na ile to było możliwe. Przychodziło jej to z trudem, bo przez cały czas w głowie miała gonitwę myśli.

- A co z Haffem? Myślisz, że udało mu się uciec?

- Nie zauważyłem go w bijatyce, a nie ma go z nami. Może mu się udało? - Po paru minutach spojrział na nią przez ramię.

- Myślę, że nic nam nie zrobią, dopóki Berek nas nie prze-

słucha. Nawet w takim zakamarku świata nie można tak dla kaprysu wykonać egzekucji dwojga ludzi z zachodu.

- Nie rozumiem. Co ja takiego powiedziałam, że doprowadziło ich do takiej furii?

- Dobry Boże, kobieto, nie widziałaś pasków na ich turbanach? Opowiedziałaś historię o bogatym władcy nomadyjskim w namiocie bogatego wodza nomadyjskiego. Berek z pewnością pomyślał, że opowiadasz historię o nim. Założę się, że na wielu synów. A jeśli ma wielu synów, to pewnie z różnymi, rywalizującymi ze sobą żonami. A właśnie miałaś okazję zobaczyć, jak zaborczy i temperamentni potrafią być Berberowie.

Jęknęła.

- Już jesteśmy martwi.

- Jeszcze nie - powiedział i zachichotał. - Nie zamierzam umierać, dopóki nie dostanę w swoje ręce tej książki, z której nauczyłaś się tak całować.

Serce jej podskoczyło i zadrżało.

- A dlaczego uważasz, że to jest związane z książką? - spytała wyzywająco.

- Kochanie - usłyszała w jego głosie rozbawienie - z tobą zawsze są związane książki.

W środku długiej nocy, kiedy siedzieli oparci o słup i drzemali niespokojnie, szczególnie ubrana postać wsunęła się pod tylną stronę namiotu, zatrzymała się, a potem przemykając pod osłoną skrzyń i pudeł, zbliżała się do nich.

Coś, chrząst piachu pod stopą albo ruch powietrza, sprawiło, że Abigail się ocknęła. Wstrzymała oddech, i utkwiała wzrok w ciemnościach, wypatrując tego, co zaalarmowało jej zmysły. Ktoś był w namiocie. Ktoś, kto nie wszedł do środka głównym wejściem.

W mgnieniu oka wyobraziła sobie mrozące krew w żyłach scenariusze wojujących synów, zazdrosne matki, rozwścieczonych współplemieńców, nie wspominając mściwego Gastona legionistów...

Bezkształtna sylwetka wyłoniła się zza sterty beczek i zaczęła się do nich zbliżać. W półmroku uchwyciła niewyraźny błysk odbitego światła, długi i smukły kształt... noża!

Nabrała powietrza w płuca, żeby krzyknąć, ale w tym momencie intruz rzucił się na nią.

Nie, nie, Merchant, pani... to ja! -gorączkowy szept dotarł do niej w chwili, w której Smith poderwał się na kolana i przechylił w stronę niskiego Berbera, powalając go na ziemię.

- Nie! To Haffe! - zawołała stłumionym głosem.

- Haffe? -jęknął Smith, przetaczając się na bok, żeby lepiej przyjrzeć się intruzowi. - Do diabła, człowieku... chyba masz przy sobie nóż.

Chwilę później Haffe poprzecinał pętające ich sznury, a potem poprowadził ich na tyły namiotu. Upewniwszy się, że droga jest wolna, szybko przedostał się na zewnątrz. Poszli w jego ślady i po chwili przemykali się już między gęsto rozstawionymi namiotami. Kiedy zbliżyli się do skały za obozowiskiem, przywarli do pionowej ściany i bokiem przesuwali się wzdłuż niej. Na końcu przejścia znajdowała się niewidoczna z obozowiska przestrzeń, na której czekały na nich trzy konie i dwa solidnie objuczone osły.

Kiedy się zbliżyli, jakaś drobna postać w pelerynie wysunęła się z ciemności i podeszła do Haffego. Abigail w pierwszej chwili była zaszokowana widokiem kobiety, ale zaraz zorientowała się, że to ta młoda dziewczyna, która w namiocie wodza wymieniała spojrzenia z Haffem.

- Joleef - przedstawił ją Haffe. - Ona pomagać.

Dziewczyna wyjęła zza siebie dwie pary butów w angielskim stylu i uśmiechnęła się.

Po chwili mieli już na nogach własne buty i obserwowali pionową skałę, która tworzyła naturalne przejście, i czterech uzbrojonych mężczyzn spacerujących wokół ogniska po środku tego przejścia. Mieli bardzo nikłą szansę, żeby przejść niezau-

ważenie. I nawet, gdyby im się to udało, to dalsza droga biegła pod górę i była doskonale widoczna na długości dwustu mci rów. Byliby więc łatwym celem dla każdego strzelca.

To, czego potrzebowali, stwierdził ponuro Smith, to odwrócenie uwagi. Haffe wymienił szeptem kilka uwag z Joleel i nieśmiało ścisnął jej dłoń. Dziewczyna odwróciła się i pobiegła cicho w kierunku drogi wiodącej do głównego przejścia. Po paru chwilach zaczęła krzyczeć.

Strażnicy zerwali się w popłochu, zaczęli rozglądać się w ciemnościach i wypatrzyli ją. Trzech z nich zdjęło z pleców karabiny i ruszyło sprawdzić, co się dzieje, zostawiając czwartego, który sięgał po broń zostawioną przy skale. Zanim zdążył ją ująć, Joleef gwałtownie zawróciła w stronę obozowiska, wrzeszcząc i ciągnąc za sobą żołnierzy.

W chwili, kiedy obozowisko zostało postawione na nogi, Smith, Abigail i Haffe dosiedli koni i poganiając je krótkimi kuksańcami w boki, zaatakowali pozostawionego strażnika.

Zaskoczony pędzącymi na niego końmi mężczyzna odskoczył w bok na skałę, wypuszczając z rąk karabin. Kiedy się pozbierał, ponownie chwycił broń i strzelił, oni byli już dawno na wąskiej drodze prowadzącej wokół góry, a wyraźnie podwyższony poziom adrenaliny nie sprzyjał jego celności.

Ścieżka po wschodniej stronie przełęczy schodziła stromo w dół, ale świadomość, że niebawem ktoś ruszy za nimi w pościg, skłoniła ich do szaleńczego pędu na złamanie karku. Na pierwszym zakręcie omal nie zlecieli z krawędzi urwiska, a na kolejnej prostej ścieżka zwęziła się i konie potykały się i ślizgały na kamieniach.

Haffe jechał pierwszy na koniu pełnej krwi arabskiej. Po kilku pierwszych wariackich zakrętach konie się nieco uspokoiły, a kiedy dotarli do kolejnego niebezpiecznego zakrętu nad przepaścią, konie i jeźdźcy zachowali się już z większą ostrożnością.

Ale nie na długo.

Nagły odgłos wystrzału popędził ich w dół, drogą poprzez szczeliny wyżłobione wiatrem w czerwonych skałach i wzdłuż wąskich uskoków górskich. Abigail zamknęła oczy, a Smith przeklinał na czym świat stoi. Świt zastał ich pędzących w dół doliny z goniącymi ich ludźmi Bareka na karku.

Bardziej gęste powietrze i równiejsze podłoże pozwoliły na przyspieszenie jazdy w kierunku zieleniejącej wstęgi roślinności, która miała zaprowadzić ich do wioski w Ouarzazate. Konie, które wykazały się odwagą na niebezpiecznych górskich szlakach, teraz dowodziły swej arabskiej krwi, wyciągając nogi i rozwijając prawdziwie imponującą prędkość. Osły miały kłopot, żeby dotrzymać im kroku, ale wytrwale przebiegały kopytami.

Słońce już się podniosło, kiedy zatrzymali się na wapiennym wzgórzu, by spojrzeć za siebie. Zobaczyli ścigających ich ludzi spory kawałek drogi za sobą.

- Zatrzymali się! - wydyszała Abigail. - Dlaczego?

- A czy to ważne - odparł Smith, ocierając pot z czoła.

- Zatrzymali się.

- Ziemie brata - powiedział z powagą Haffe. - Bareka nie witać.

Abigail zamknęła z westchnieniem ulgi oczy i mruzczała pod nosem podziękowanie, gdy usłyszała słowa Smitha, które znowu wprawiły ją w nerwowy stan.

- A to co, u diabła?!

W oddali, ponad urwiskiem ludzie Bareka stali bez ruchu, ale ktoś lub coś przemieszczało się za ich plecami, kierując się w dół krętym szlakiem. Dopiero po dłuższej chwili Smith i Abigail zdążyli wypatrzeć białe fragmenty na tle plamek w kolorze khaki. Mundury. Białe czapki, tak zwane kepi, jak te noszone przez legionistów.

- Cholera jasna! - zaklął Smith. - Żaden patrol legionistów nie urządzi pościgu na rozkaz wodza nomadyjskiego. Jeśli idą

za nami, to tylko dlatego, że już wcześniej nas ścigali! To Gaston i jego rzezimieszki.

Bez słowa zawrócił konia i ruszył z kopyta przed siebie. ; Abigail poszła w jego ślady i znowu pędzili na złamanie karku przez kamienne wzgórza, zmierzając w stronę majaczącej na północno-wschodnim horyzoncie zieleni. Galopowali bez wytchnienia w upalnym słońcu, zmuszając konie do skrajnego wysiłku, wiedząc, że nie mogą odpocząć; dopóki nie dotrą do doliny rzeki, która, spływając z gór, użyźnia glebę i daje życie roślinności. Dopiero tam znajdą cień, wodę i, co najważniejsze, schronienie.

Wyczerpujący wyścig zdawał się opłacić, bo po południu zatrzymali się wreszcie w lasu palmowym nieopodal zakurzonej wioski w Draa Valley. Już od paru godzin nie widzieli pościgu i podejrzewali, że Gaston i jego podwładni są tak samo wyczerpani i prawdopodobnie też się zatrzymali. Słońce zachodziło i suche powietrze zaczynało ustępować pustynnemu chładowi. Postanowili, rozbić obóz bez rozpalania ogniska. Nabrali wody dla koni, zjedli trochę zapasów i owinęli się w burnusy by przeczekać noc.

Kiedy Abigail próbowała usadowić się wygodniej, opierając się o pień palmy daktylowej, nie mogła przestać myśleć

O tym, jak niewiele brakowało, żeby nie udało im się uciec... o młodej kobiecie, która pomogła Haffemu i umożliwiła im ucieczkę.

- Tamta młoda kobieta, Joleef - odezwała się do Haffego

- podjęła duże ryzyko, pomagając nam.

- Przytaknął z uśmiechem, który po chwili zniknął z jego twarzy.

- Berek brać do Imilchil.

Zapytany, co to znaczy, przeszedł na francuski i Smith musiał przetłumaczyć jego odpowiedź.

- Imilchil najwyraźniej jest rodzajem targu ślubnego. Klany berberyjskie ściągają ze wszystkich stron, żeby znaleźć tam

narzeczoną i nawiązać relacje rodzinne. Jako siostrzenica Darka, ta dziewczyna jest warta zachodu dla każdego. Berek zamierza zabrać ją na targ i *znaleźć* jej męża, a przy okazji ubić dla siebie interes.

- Potrzebować wielbłądy. Szybko. - Na okrągłej twarzy Haffego, malowała się determinacja, kiedy podniecony wskazywał na ziemię. - *Znaleźć* skarb. Szybko.

Abigail wpatrywała się w niego przez chwilę, czując ucisk w żołądku na myśl o tym, że przyszłość tego człowieka zależała od bogactw, jakie przyniesie jej „skarb”. Tylko dzięki temu Haffe zdobędzie upragnioną żonę. Odwróciła się do Smitha z oskarżycielskim spojrzeniem.

- Widzisz, co narobiłeś?

W południe następnego dnia dotarli do pierwszej wioski i dołączyli do sporej grupy podróżujących, którzy poili swoje zwierzęta. Wśród nich była mała karawana. Kiedy Smith i Haffe napełniali manierki wodą, Haffe porozmawiał z jeźdźcami i dowiedział się, że zamierzają przebyć Ouarzazate i skierować się na południe. Dostrzegając w tym świetną okazję, Smith porozmawiał z prowadzącym karawanę, kupcem o imieniu Abu Denaii, o możliwości przyłączenia się do nich i wspólnym przemierzeniu południowych oaz i drogi do Timbaktu. Denaii był gruboskórnym i nieustępliwym handlarzem, który bez wahania rzucił dość wygórowaną cenę za taką usługę. Po burzliwych negocjacjach, w czasie których Smith zwrócił uwagę, że przecież mają własne konie, wodę i nie będą opóźniać karawany, udało im się wreszcie uzgodnić rozsądną cenę.

- Co takiego zrobimy? - dopytywała się Abigail, budząc się z drzemki, w którą zapadła ze zmęczenia, i odganiając komary, które siadały na wszystko, co się ruszało.

- To ma sens, Boston - przekonywał ją Smith. - Jeśli zabierzemy się z nimi, ich wielbłądy zatrą nasze ślady i Gaston pojedzie bezpośrednio do Ouarzazate i będzie nas szukał przez

dwa dni, zanim zda sobie sprawę z tego, że wcale tam się nie udaliśmy.

Wręczyła mu pieniądze i godzinę później opuścili dolinę, wyruszając na południe w towarzystwie dwóch tuzinów ciężko objuczonych wielbłądów.

Krajobraz zmienił się natychmiast, gdy przekroczyli granicę doliny rzecznej. Przed nimi rozpościerała się sucha, kamienista równina, znaczone wydmami piaskowymi przesypanych przez wiatr. Gdy szli równym tempem, kołysanie wielbłądów idących z przodu i z tyłu usypiało niczym kołysanka. Abigail już ogarniała pokusa, żeby zamknąć oczy i zasnąć, kiedy Smith powiedział, że będą musieli zrezygnować z kapeluszy na rzecz turbanów, by bardziej upodobnić się do berberyjskich kupców.

Prawie całą następną godzinę spędziła na nauce zawijania i wiązania turbanu, która była żmudnym i irytującym zajęciem, a na dodatek reakcja Beduinów na widok efektu jej starań jeszcze bardziej ją zdenerwowała. Początkowo chichotali, a potem wybuchnęli gromkim śmiechem i zaczęli wykrzykiwać porady dla Haffego, który cierpliwie znosił ich szyderstwa. Z braku lustra Abigail musiała uwierzyć Berberowi, kiedy powiedział, że efekt jej starań jest już zadowalający. Ale sposób, w jaki Smith zagryzł usta na jej widok, nie pozwolił jej uwierzyć, że rzeczywiście posiadała nową umiejętność.

Kiedy odziała się w burnus, w karawanie podniosły się pomruki, które przekształciły się w głośniejsze uwagi i drwinę. Wkładając na siebie męską odzież, dowodziła, że jest obcą i do tego niewierną. Smith poradził jej zignorować to, mówiąc, że kobiety na pustyni także wkładają burnusy, żeby chronić się przed słońcem. Ale Abigail zaczęła odczuwać znajomy lęk, kiedy mężczyźni przysłonili dolne części twarzy zwisającymi końcami turbanów.

Tej nocy Smith i Haffe rozbili obozowisko w pewnej odległości od członków karawany, ale znając pustynne zwyczaje, Smith wykonał gest i zaprosił Abu Denaii, by sprawdził gościn-

ność ich ogniska. Handlarz przybył z butelką whisky i nalegał, żeby pomogli mu w jej osuszeniu. Abigail odmówiła i wycofała się, siadając przy ognisku z dziennikiem Thaddeusa Chiltona, zdegustowana faktem, że Denaii - pół Arab, pół Berber i rzekomy muzułmanin - przyniósł ze sobą alkohol i bez skrupulów się nim raczy. Kiedy podniosła wzrok znad lektury, zauważyła, że Haffe patrzy niechętnie na Denaii. On także nie czuł się bezpiecznie, widząc, że najważniejszy członek karawany nie jest prawdziwym muzułmaninem. W tej części świata człowiek, który nie był oddany swojej religii, nie był wiarygodny w żadnej innej dziedzinie.

Mimo niepokoju, udało jej się zasnąć i następnego ranka trzeba było ją potrząsnąć, żeby się zbudziła. Jeźdźcy byli już spakowani i gotowi do podróży, ale Denaii pokrzykiwał na nich i zadzierając głowę, warkliwym głosem wydawał polecenia.

Słońce weszło gorętsze, niż zapowiadał to poranek. Kamienista ziemia zniknęła, a na jej miejsce pojawił się wszechobecny piach. Do południa musieli zmienić burnusy na lżejsze dżelaby, ale zostali w turbanach, które osłaniały im oczy i dawały zaskakujący chłód głowom.

Kiedy podeszli na wyżynę, skąd rozciągał się widok na morze wydm, Abigail wstrzymała oddech. W końcu dotarła do pustyni, na której miała przeprowadzić swoje poszukiwania. Serce biło jej mocniej, kiedy w myślach przypominała sobie to, co profesor napisał na temat wrażeń z ekspedycji.

„Na południe od ostatniej oazy ziemia staje się morzem — napisał. — Żaden ptak ani inne stworzenie nie może nazwać go swoim domem, gdyż nie przeżyłoby dłużej w tej niegościnniej krainie. Słońce przenika twoje ciało aż do samych kości, odsłaniając twoje najciemniejsze sekrety, weryfikując twoje pragnienia, wystawiając na próbę twoją wolę, nawet twoją wolę życia. A ona stopniowo się zmniejsza, poddana nieubłaganemu testowi: ten jest wystarczająco silny, a tamten straci życie...”

Czytając to, myślała, że profesor trochę majaczył z powodu upału, skoro uciekał się do tak melodramatycznych opisów, ale teraz mogła zobaczyć wszechobecne i niezmiernie pustkowie, które wywołało w nim takie refleksje. Zrozumiała także, dlaczego profesor zrezygnował w trakcie swojej ostatniej ekspedycji. Zwyczajnie brakowało mu kondycji fizycznej, by stawić czoło tak ciężkim warunkom.

Kiedy minęło południe, a słońce zaczęło świecić im prosto w oczy, Smith wyciągnął zakupione w Marrakeszu gogle. Osłaniały oczy i dzięki temu ratowały ich przed oślepieniem. Abigail wysychały usta, ale kiedy je oblizywała, było jeszcze gorzej, bo robiły się jeszcze szybciej suche. Pomyślała o balsamie z wosku pszczelego, który miała spakowany gdzieś głęboko w którejś z toreb. Na pewno by jej pomógł.

Spojrzała na Smitha, który wyglądał egzotycznie w swoich szatach i turbanie, i zachowywał się dziwnie swobodnie na pustyni. W ciągu ostatnich kilku dni dokonała odkrycia dotyczącego tego mężczyzny. Miał wiele okazji, by rzucić to wszystko i zostawić ją, upartą ignorantkę. Bóg jeden tylko wiedział, jak wiele miał ku temu powodów.

Ale nie opuścił jej. Pozwolił jej czerpać z jego doświadczenia i znajomości gór i pustyni. Podniosła rękę, by dotknąć gogli, które miała na oczach. Od początku wiedział, jakiego rodzaju przeciwności ją czekają i starał się ją przestrzegać i chronić przed nimi. W końcu zdecydował się wziąć za nią odpowiedzialność... w obliczu słońca, upału, piachu, skorpionów, mimo mściwych legionistów i spisku zmuszającego go do podporządkowania się oficjalnym zapisom dotyczących jego osoby. Ktoś chciał jego śmierci, a tymczasem on przemierzał pustynię, pomagając jej w poszukiwaniach półmitycznej sterty papirusów.

Pokręciła głową, modląc się w duszy, żeby na końcu tej pełnej przygód wyprawy czekały ich cenne znaleziska.

Tego popołudnia na horyzoncie pojawiła się brązowa kędzierzawa plama, a kiedy się do niej zbliżyli, okazała się niezamieszkaną oazą wyrastającą spośród piasków pustyni na podłużnym skrawku żyzniejszej gleby, ciągnącym się na pewnej odległości i z powrotem ginącym w piaskach. Między palmami widać było niski kamienny murek i długi studzienny czerpak. Zwierzęta, wyczuwając wodę, uniosły wyżej łby i przyspieszyły kroku. Do końca dnia zostało jeszcze sporo czasu, ale Denaii powiedział Smithowi i Haffemu, że orientuje się dobrze w okolicy, i ta oaza jest ostatnią z dobrą wodą na przestrzeni kolejnych setek mil. Dlatego rozbijają obóz wcześniej i solidnie odpoczną przed następnym dniem.

Nie było trawy, w której mogłyby kryć się skorpiony, więc Abigail śmiało ułożyła sobie legowisko obok ognia i rozłożyła się ze swoimi mapami, dziennikami i astrolabium.

- Jest jeszcze trochę słońca - powiedział Smith, wracając po rozładowaniu i napojeniu zwierząt. *Zabrał* jej astrolabium i ruszył z nim na szczyt najbliższej wydmy. - Dobrze będzie trochę poćwiczyć.

Wkrótce wrócił zadumany ze zmarszczonym czołem.

- Cóż, potrafię odczytać kąty, ale to niewiele daje, jeśli nie masz mapy albo wykresu, do którego można się odwołać.

- Mam zwykłą mapę, której używał profesor. Jest na niej siatka współrzędnych, ale poza tym puste przestrzenie. Próbowałam porównywać ją z mapą sporządzoną ręcznie przez profesora. — Wyciągnęła obie mapy i rozłożyła tak, żeby mógł pierwszy im się przyjrzeć. - Teraz już rozumiem, dlaczego na obydwu mapach prawie nic nie ma. Po prostu tutaj nie ma niczego, co można by na nich zaznaczyć. - Wskazała palcem sekretne rysunki profesora. - Tu jest Ouarzazate. Ale skręciliśmy bardziej na południe, zamiast tam jechać, prawdopodobnie tą drogą. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy te małe figurki wyglądają jak wielbłądy?

Ale Smith był skupiony na czymś innym. W prawym dolnym

rogu mapy Thaddeus Chilton narysował osobliwie ozdobną różę wiatrów. Był na niej, oprócz zwyczajowo umieszczonego kwiatu i gwiazdy, ciąg greckich liter ułożonych na środku w okrąg. Róża była dużo bardziej skomplikowanym rysunkiem niż reszta wizerunków na tej mapie.

- Czy to możliwe, żeby wykorzystywał tę różę wiatrów, by wyznaczać cel podróży i kierunek? - spytał, przysuwając bliżej lampę naftową. A potem wskazał na coś, co wyglądało jak luka w łuku kompasu. - A tu co się wydarzyło?

Abigail zmrużyła oczy, żeby przyjrzeć się miejscu, które wskazał.

- Nie wiem. Nie wygląda na to, jakby coś zostało stąd usunięte. - Podniosła wzrok na Smitha. - Musiał spędzić całą godzinę na rysowaniu tego. Więcej czasu poświęcił róży wiatrów niż reszcie mapy. Dlaczego miałby zostawiać jeden z promieni róży niezapisany?

- Był ekscentrycznym starym draniem, dlatego. Na Boga, w końcu używał też astrolabium. Kto korzysta z takich przeżytków w dzisiejszych czasach? Chyba tylko producenci upominków.

- Myślisz, że potrafisz użyć tego, żeby pomóc nam w znalezieniu biblioteki?

Smith podniósł środkowy dysk astrolabium i przyjrzał się wygrawerowanym ornamentom, arabskim wzorom i wężykowatym szlaczkom, które przypominały...

- Czy to nie wygląda według ciebie na pismo? - Podał jej astrolabium.

Wstała i uniosła przyrząd, by obejrzyć go dokładniej w promieniach zachodzącego słońca.

- Może trochę... Podłużne jak fale... Przypomina arabski...
- Wyprostowała się, ponownie to rozważając. - Albo grecki.
- Prześledziła kolejno litery, przesuwając po nich palcem.
- Alfa..., pi, to wygląda jak omikron, ta przypomina lambdę...
- Zmarszczyła brwi i dotknęła palcami wewnętrznych kącików oczu. - Nie, nie. Chyba dopowiadam sobie coś, czego nie ma.

- Ale co? - Nachylił się do niej, by spojrzeć na dysk. - Co takiego tu widzisz?

Spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs. -

- Wydaje mi się, że to greckie litery A...P...O...L...L.: O.,
Spojrzał jej prosto w oczy.

- To ja.

Poczuła gęsią skórkę na całym ciele.

- Nie bądź śmieszny. - Zaprzeczając jemu, tak naprawdę próbowała zaprzeczyć swojej własnej reakcji. - To stary mosiężny dysk używany do określania pozycji na podstawie kąta padania promieni słonecznych. Jasne, że ma on związek z greckim bogiem słońca, Apollem. Połowa okrągłych przedmiotów wykopanych w basenie Morza Śródziemnego ma w swojej nazwie Apolla.

- Tak? Cóż, tak się składa, że trzymam w rękach właśnie ten przedmiot. - Wziął astrolabium z jej rąk i rzucił je na mapę. - A poza tym wiem, jak go używać. - Przysunął się bliżej do Abigail, a jeden kącik jego ust uniósł się w zuchwałym uśmiechu. - Znajdę dla ciebie tę bibliotekę, Boston. Będziesz mi za to winna... dużo.

Nie cofnęła się. Ciepło jego oddechu, które czuła na wargach było czymś więcej niż wyzwaniem. Było obietnicą.

- Pomożesz mi znaleźć bibliotekę, Smith - wpatrywała się w niego jak zaklęta - a ja zapłacę ci za to... dużo.

Zaśmiał się prowokacyjnie, a jego wzrok przeszył ją na wylot. Lecz zaraz przeniósł spojrzenie na astrolabium leżące na mapie i odwrócił się od niej tak szybko, że poczuła, jakby wyszło z niej powietrze.

- O co chodzi? - spytała obserwując go, jak przykłada dysk astrolabium do rysunku róży wiatrów.

- Ta luka na róży wiatrów jest niemal taka sama jak ta na dysku astrolabium.

Kiedy położył mosiężny przyrząd na rysunku i obrócił go, był już pewien, że pasują do siebie idealnie.

- Co to oznacza? - spytała, przyglądając się astrolabium.
- To znaczy, że mamy ką, Boston. - Prześledził ką między północą zaznaczoną na mapie a linią, którą wyznaczała luka na przyrządzie, i uśmiechnął się. - W końcu stary cwaniak dał nam jakąś wskazówkę. Jutro w południe odczytam i wyznaczę kierunek na twoją bibliotekę.

Podniesiona na duchu, Abigail ułożyła się z powrotem nad swoimi mapami i dziennikami i zajęła się tłumaczeniem przy świetle lampy. Później, po posiłku, opatuliła się w burnus i błyskawicznie zasnęła. Nie zauważyła już zatem, że Smith rozłożył swój koc obok niej, ani tego, że po pewnym czasie poderwał się i usiadł nasłuchując ciemności.

Po chwili wyciągnął nóż i podkraść się do palm, gdzie stały uwiązane konie. Tam zatrzymał się, by obserwować i nasłuchiwać, wysilając wszystkie zmysły, żeby usłyszeć coś, co zdawało mu się jakimś głosem. Nagle dostrzegł pojedynczą postać spacerującą po szczycie pobliskiej skały i schodzącą w dół w kierunku obozowiska karawany. Kiedy postać zbliżyła się do wielbłąda Denaii, zaczęła szperać pod siodłem i wyciągnęła butelkę whisky. Był to więc sam prowadzący karawanę. Wrócił z butelką do prowizorycznego namiotu, jaki co noc stawiali dla niego jego ludzie, i zniknął w nim ciężko opadając na postanie.

Smith obserwował i nasłuchiwał jeszcze przez pewien czas, tłumacząc sobie, że prawdopodobnie handlarz zwyczajnie odszedł za potrzebą. Wszystko wydawało się spokojne, nawet wielbłądy. Odpędzając od siebie niepokój, wrócił na swoje legowisko i zapadł w kamienny sen.

Wydawało mu się, że dopiero co zamknął oczy, kiedy uczucie niepokoju znowu zaczęło go nękać, przywracając świadomość.

Coś było nie tak. Poderwał się z bijącym sercem i zobaczył Abigail i Hafeego pogrążonych we śnie, a konie i osły przywiązane do liny, którą wczoraj rozciągnął między palmami. Ich zapasy żywności wyglądały na nietknięte. Jedyłą alarmującą

rzeczą był fakt, że słońce wznosiło się już dosyć wysoko nad horyzontem, a wokół panowała nienaturalna cisza.

Wstał chwiejnie i spojrział w stronę obozowiska karawany.

Było puste. Żadnych ludzi, ładunku ani wielbłądów.

Ruszył w kierunku zimnych już śladów po ognisku, przy którym poprzedniej nocy siedzieli handlarze, a potem obszedł dokoła teren, na którym leżały wielbłądy, znajdując jedynie ubity piach i wielbłądzie łajno. Denaii i jego ludzie spakowali się potajemnie i uciekli jak prawdziwi złodzieje nocą. Smith wspiał się na skałę i rozejrzał po wydmach na południu, spodziewając się zobaczyć ślady karawany. Malutka plamka na horyzoncie mogła nią być, ale zaraz znikła z pola widzenia.

Przeklinając pod nosem, szybkim krokiem wrócił do obozu i ukląkł obok Abigail, potrząsając ją za ramię.

- Obudź się Boston - powiedział. - Mamy kłopoty.

Handlarz i jego wielbłądy już odjechali - oznajmił wysoki, chudy jak patyk legionista, znany jako Schuller, przeskakując ponad grzbietem wysokiej wydmy i padając na brzuch obok sierżanta. - Został tylko Smith, kobieta i służący. Gaston stłumił śmiech, ale wykrzywił trochę usta, odsłaniając zepsute zęby.

- Uczcie się - powiedział do mężczyzn leżących wzdłuż wzniesienia z karabinami w rękach. - Berberowie głupieją na dźwięk brzęczącej monety. Zawsze są chętni do ubicia interesu, nawet jeżeli to oznacza zerwanie układu, który dopiero co zawarli.

Widząc przytakiwania swoich ludzi i ich pełne uznania spojrzeń, Gaston rozważał bardzo ostrożnie kolejny ruch. Rozkaz LaCroix mówił wyraźnie, żeby śledzić parę, obserwować i czekać, aż znajdą to, czego szuka ta kobieta. Ale LaCroix to dureń. Cokolwiek, co mógł zrobić Smith, brygada legionistów może zrobić lepiej, łącznie z przekonaniem tej gorącochrwestej młodej kobiety do wyjawienia miejsca drogocennych rzeczy, których poszukiwała. Myśl o możliwości „przekonywania” jej powodowała niepokojące drżenie w okolicach łędźwi.

A potem wrócił myślami do osoby, która była jego podstawowym celem. Im dłużej Smith pozostawał przy życiu, tym większe miał szansę na to, by znowu przed nim umknąć. A do tego nie zamierzał dopuścić.

Apollo Smith umrze dzisiaj bez względu na to, czy Gastonowi dane będzie mieć przyjemność zabicia go osobiście, czy też nie.

- Sprawdźcie naboje - rozkazał i z satysfakcją patrzył, jak

podwładni szybko wykonywali jego polecenia. - Waszym jedynym celem jest Anglik, Smith. Kobiety i zwierząt nie ruszajcie. Przydadzą nam się później.

Gaston wysłał połowę ze swojej ósemki dokoła skały, by podeszli prawą flanką. Kiedy ta grupa żołnierzy podeszła do krawędzi i zaczęła się wspinać, sam ruszył z resztą ludzi przez grzbiet wydmy. Zachowywali kompletną ciszę, kierując się w dół do oazy, licząc na efekt zaskoczenia. Wynikało to bardziej z nawyku aniżeli ze strategii. Ale w takich warunkach i z siłami dziewięciu na jednego powodzenie akcji było gwarantowane.

Abigail przywiązywała burnus w poprzek pod siodłem i zastanawiała się nad ponownym zawiązaniem turbanu, który jej się trochę poluzował podczas snu. Kto by pomyślał, że turban okaże się tak użyteczny zarówno jako poduszka, jak i ochrona przed udarem...

Kątem oka zauważyła jakiś ruch na wierzchołku dużej wydmy nieopodal. W ułamku sekundy z przerażeniem uświadomiła sobie zbliżające się zagrożenie. Ruch przybrał postać ludzką, która skradała się jak złodziej.

- Legioniści! - Jej krzyk sprawił, że Smith przykucnął i obracając się, jednym ruchem wyciągnął rewolwer.

- Kryj się! - wrzasnął, wskakując za najbliższą palmę. Od dał kilka strzałów, po których legioniści upadli na brzuchy, a potem spojrzał na Abigail. Nadal widział jej głowę między koźmi. - Zapomnij o kryciu się! Uciekaj!

- Bez ciebie nie ma mowy! - W torbie przy siodle znalazła broń i zaczęła po omacku szukać także dodatkowych naboji.

Od strony grzbietu skały doszły ją odgłosy wystrzałów. Kule świsnęły obok niej, pudłując lub trafiając w pnie palm. Chwytając oburącz rewolwer i usztywniając ramiona, zaciągnęła kurek i nacisnęła spust... raz, drugi, kolejny. Jej kule jedynie podrywały do góry okruchy skalne, ale przynajmniej powstrzymały

na chwilę żołnierzy przed zrewanżowaniem się kolejnymi wystrzałami.

- Oni są pieszo! Wsiadaj na konia i jedź! - ryknął Smith.

- Pod warunkiem, że ty też wsiądziesz! - Wyrzuciła z bębena pistoletu zużyte łuski i trzęsącymi się dłońmi naładowała go, przysięgając sobie, że tym razem uda jej się w coś trafić. W uszach jej dzwoniło, a zapach spalonego prochu drażnił nos. Kiedy Smith opróżnił swój magazynek, Haffe wyciągnął spod siodła jego karabin i rzucił mu.

Zza wydmy wyskoczył nagle szarżujący oddział legionistów, a druga grupa pojawiła się na szczycie skały, zachodząc ich z boku. Abigail wcisnęła but w strzemię i wskoczyła na konia. Haffe już siedział w siodle przyczajony nisko i trzymał lejce osłów, ciągnąc je za sobą w stronę pustyni. Obejrzała się, by zawołać Smitha i zobaczyła, że utknął w swojej kryjówce za palmą. Instynktownie pochyliła się nisko w siodle, wymierzyła z pistoletu i zaczęła strzelać do legionistów pędzących w jej stronę. Dwóch z nich upadło, a pozostali przyczaili się, by stać się trudniejszym celem. Słyszała, jak Gaston klnie i wydaje rozkazy swoim ludziom i ta właśnie chwila drobnego opóźnienia pozwoliła Smithowi dopaść swojego konia.

- Uciekaj! - krzyknął do Abigail, gorączkowo popędzając konia do galopu.

Jej koń z początku się ociągał, ale wreszcie wyrwał z kopyta i popędził przez piachy za Haffem.

Za plecami uciekających rozległy się strzały, ale z każdym uderzeniem serca oddalali się z pola rażenia. Kiedy kątem oka Abigail dostrzegła pędzącego konia Smitha, ze zdwojona siłą zaczęła poganiać swoją klacz, by dotrzymywała kroku Haffemu. Gdy wreszcie odjechali na większą odległość, strzelanina ustała. Niestety jedyne, co w ten sposób osiągnęli, to opóźnienie tego, co nieuniknione.

Galopowali więc tak prędko, jak zdołały konie i pozwalają na to usypujący się spod ich kopyt piach. Abigail dosyć szybko

opanovała sztukę jazdy między wydmami, a kiedy to było konieczne wprost przez nie. Wiatr stawał się coraz silniejszy. Serce jej waliło, płuca paliły, a oczy piekły od wpadającego w nie bez przerwy kurzu. Po pewnym czasie musieli zwolnić i poluzować turbany, żeby ich końcami osłonić twarze przed wiatrem, który podrywał tumany piachu. Mimo to jechali wytrwale dalej.

Po południu silny wiatr zaczął podrywać piasek, tak że obsypywał ich jak deszczem. Konie posuwały się naprzód z opuszczonymi nisko łbami, z trudem robiąc każdy krok. W końcu Haffe odwrócił się, by przekrzyknąć wiatr i powiedzieć, że muszą znaleźć jakieś schronienie. Abigail powtórzyła to Smithowi, który choć nadal jechał za nią, osunął się w siodle i wyglądał tak jakby za chwilę spaść na ziemię.

Zawołała do niego, ale nie odpowiedział. Zsiadła więc z konia i czym prędzej przy pomocy Haffego ściągnęła go z siodła. Na jego turbanie widniała ciemna smuga i przeraźliwie czerwona plama krwi z boku głowy.

- Smith! - Potrząsała go za ramiona, a potem przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej, by posłuchać bicia serca. - Żyje, ale musimy zobaczyć, jak bardzo jest ranny - odezwała się do Haffego.

Berber przytaknął i prędko odszukał brezent w jednej z toreb przytwierdzonych do grzbietów osłów. W krótkim czasie skonstruował zaskakująco skuteczne schronienie oparte o bok wydmy. Wspólnie wciągnęli Smitha do środka i Abigail szybko ustaliła, że krew płynie z pojedynczej rany na głowie. Przygotowana na najgorsze, zaczęła odwiązywać turban i odsłoniła ukośną ranę, która kończyła się na czole, tuż nad opaską przysłaniającą oko.

- Wody i moją apteczkę z torby podróźnej z zamkiem - zwróciła się do Haffego, przekrzykując wycie wiatru.

- Lepiej, żebyś mnie tu nie zostawiał samej - szepnęła,

tłumiąc narastające uczucie paniki. - Mamy przed sobą całe mile do przebycia, ty i ja. Ani mi się waży umierać.

Przygotowana na nieprzyjemny widok, odsłoniła opaskę zasłaniającą oko i z zaskoczeniem stwierdziła, że pod zabliznioną powieką oko jest na swoim miejscu. Nie wyglądało tak źle. Delikatnie uniosła powiekę i zobaczyła względnie normalnie wyglądającą twardówkę i tęczęwkę. Prawdopodobnie było wiele sposobów na oślepienie, jeśli...

W tym momencie pojawił się Haffe z apteczką i lampą naftową, więc pospiesznie zasłoniła oko opaską i zabrała się do zdejmowania górnej części odzieży ze Smitha i wykładania zawartości apteczki. Wydarła paski materiału z jego turbanu i zmoczyła jeden z nich, by wytrzeć krew z rany, starając się jednocześnie przypomnieć sobie, co wyczytała na temat zszywania ran. „Lekarz domowy - Doktor Parker, katalog Medycyna, numer 615...

Rana okazała się dość głęboka, i kiedy Abigail oczyszczała ją starannie środkiem antyseptycznym, wydawało jej się, że zauważyła u Smitha reakcję na ból.

- Rany głowy mocno krwawią. Może to wygląda gorzej, niż jest naprawdę? - powiedziała, głównie do siebie. - Musimy utrzymać ją w czystości, bandażować i mieć nadzieję, że się poprawi. - Przyłożyła gazę do rany i przytwierdziła ją paskami urwanymi z turbanu.

Wiatr jeszcze się nasilił i momentami gwizdał jak lokomotywa, a czasem wył jak dzikie zwierzę. Piach uderzał w brezent, wciskając się w każdy por zaimpregnowanej tkaniny i każdą niezabezpieczoną szczelinę. Piasek zgrzytał w zębach. Jediną pociechą było to, że Gaston i jego ludzie zostali złapani przez tę samą burzę i prawdopodobnie nie radzili sobie lepiej.

- A konie?! - Spojrzała na Haffego, którego oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej błyszczące w półmroku ich prowizorycznego namiotu.

- Konie mądry - odpowiedział, pukając się w skroń. Do-

strzegła błysk jego białych zębów. - Zamykać oczy. Tyłek na wiatr. - Jego wiara w instynkt przetrwania zwierząt uspokoiła ją trochę.

Marne światło dnia zaczęło ustępować nocy. W ciemnościach wsłuchiwała się z niepokojem w oddech Smitha i zastanawiała się, czy nie jest jej pisana klęska. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna i bezbronna, dryfując po oceanie pustyni, na łasce lub niełasce sił natury...

Z coraz bardziej ściśniętym gardłem chwyciła dłoń Smitha i spłotła swoje palce z jego. Zamknęła oczy i zaczęła w myślach modlić się o to, by jej siła woli i determinacja zostały mu przekazane razem z ciepłem tego ich kontaktu, by odzyskał przytomność.

—Potrzebuję cię, Smith. Obudź się. Proszę - wyszeptwała, starając się nie myśleć, co będzie, jeśli się nie ocknie. Przeniosła wzrok na Haffego, nie potrafiąc ukryć rozpaczy. - Nic więcej nie mogę dla niego zrobić. Kiedy minie burza, będziemy musieli zawrócić do Ouarzazate i sprowadzić dla niego pomoc.

Haffe przytaknął poważnie i wyciągnął w jej stronę rękę, niemal poklepując ją po ramieniu. Ale w ostatniej chwili cofnął się.

- Odpocząć, pani Merchant - uśmiechnął się do niej słabo.
- Ja patrzeć.

Skinęła głową i zwinęła się w kłębek obok Smitha. Wsłuchiwała się w jego nierówny oddech, aż zmęczenie wzięło górę. Ciemność złagodniała, a jęk wiatru stopniowo ucichł w jej świadomości.

Wydawało jej się, jakby od zaśnięcia minęło zaledwie parę minut, kiedy zbudziła się gwałtownie pod wpływem dziwnego światła, które wpadało przez otwór w namiocie. Haffego nie było, więc wyczołgała się do wyjścia, by się za nim rozejrzeć. Przez mgłę wirującego piachu zobaczyła go zgiętego w pół i walczącego z silnym wiatrem, ale prowadzącego konie i osły z powrotem do ich schronienia. Chociaż całe w piachu, wy-

glądało na to, że zwierzęta przetrwały burzę piaskową bez większych uszczerbków na zdrowiu. Wczołgała się z powrotem do środka i sprawdziła stan Smitha, który nadal nie odzyskał przytomności.

- No dalej, Apollo - szepnęła, żalując, że nie może przelać na niego chociaż części swojej siły i zdrowia. - Obudź się.
- Pod wpływem impulsu pochyliła się nad nim i ustami dotknęła jego warg, a potem pogłaskała go po policzku. - Proszę cię, obudź się.

Po chwili do namiotu wcisnął się Haffe, niosąc torbę z jedzeniem i dwie manierki. W ogóle nie myślała o głodzie, ale Haffe nalegał, więc zmusiła się do zjedzenia odrobiny chleba i popicia go wodą.

- Jak myślisz, kiedy wiatr ustanie na tyle, żebyśmy mogli ruszyć? - spytała, niepewna, ile z tego zrozumiał.

- Piach uciąć. Jak nóż. - Pokiwał głową. - Zostać tu.

- Ale musimy znaleźć dla niego lepsze schronienie i przede wszystkim odpowiednią opiekę medyczną. On może umrzeć...

Smith jęknął i po raz pierwszy od wielu godzin poruszył się z własnej woli.

- K-kto... - zachrypiał, odwracając głowę - umiera?

- Smith? - Rzuciła się do niego i złapała go za ramiona.

Och, dzięki Bogu. - Na widok jego błędnego wzroku poczuła taką ulgę, że na moment zabrakło jej tchu. Zesztywniała, za mrugała powiekami czekając, aż omamy ją opuszczą. - Myśleliśmy, że... Jak się czujesz? Możesz się poruszać? Ile palców ręki widzisz?

- Widzę na tyle dobrze, by mieć pewność, że nie trzymasz w górze żadnego palca. Boli mnie głowa. - Dotknął zabandażowanego czoła i jego dłoń zatrzymała się tuż nad opaską zasłaniającą oko. - Bardzo źle to wygląda?

- Teraz, kiedy się już obudziłeś i wróciłeś do nas, żeby być „SOS Smithem”, to powiedziałabym, że nie jest tak źle. - Nie

pozwołała mu dotykać opatrunku. - Kula drasnęła cię w głowę i straciłeś sporo krwi. A potem złapała nas burza piaskowa. Teraz czekamy aż wiatr się uspokoi, żebyśmy mogli wrócić do Ouarzazate.

- Dlaczego do Ouarzazate? - Poruszył z trudem kończynami.

- Musimy zapewnić ci opiekę medyczną - odparła, po wstrzymując go przed uniesieniem się na łokciach.

- A skąd wiesz, że taką opiekę znajdziemy w Ouarzazate? - odezwał się zachrypniętym głosem.

- Ale twoja głowa...

- Boli jak sto diabłów - powiedział, krzywiąc się przy próbie jej podniesienia. - Ale nie będzie mnie mniej bolała w drodze powrotnej do Ouarzazate. Ani nie będzie bardziej bolała, jeśli pojedziemy naprzód.

- Chyba nie mówisz poważnie? Przecież nie nadajesz się jeszcze, żeby stanąć na nogi o własnych siłach.

- Będę siedział na tyłku w siodle. Nogi nie mają tu nic do rzeczy. - Przesunął językiem po zębach i skrzywił się. - Czyż bym zjadł pół Sahary? Z przyjemnością napiłbym się wody.

Nie było już żadnych wątpliwości, że oprzytomniał i wrócił w pełni do siebie i swojego irytującego sposobu bycia. U schyłku dnia zażyczył sobie whisky, żeby uśmierzyć ból. Ale Abigail dała mu tabletki przeciwbólowe. Potem zażądał whisky, żeby ugasić pragnienie. Dała mu więc wody. Nalegał, żeby dała mu lusterko, bo chciał obejrzeć ranę, ale przypomniała mu, że lusterko było jedną z pierwszych rzeczy, do których wyrzucenia zmusił ją na samym początku ich wyprawy do Marrakeszu. Kiedy wreszcie tabletki zaczęły działać i Smith położył się na boku, żeby zasnąć, wygłosiła krótką, acz treściwą modlitwę.

- Dzięki Ci Boże.

Dopiero w połowie następnego dnia wiatr uspokoił się na tyle, żeby mogła wyjść z ich schronienia i rozejrzeć się dokoła. Słońce było wysoko na niebie i nie bardzo mogła się zorien-

tować co do kierunków, kiedy weszła na szczyt najbliższej wydmy.

Fale rzeźbione wiatrem na powierzchni piasku rozciągały się daleko, po sam horyzont i nie było widać żadnych śladów dymu ognisk, żadnych karawan, żadnych mściwych legionistów ani żadnych tropów... Wiatr zwiął ślady karawany Abu Denaii, która odjechała na południe, jak również ich własne ślady wiodące z północy. Burza zatarła wszystkie ślady ludzkiej obecności. Abigail zeszła z powrotem z wydmy i wróciła do ich prowizorycznego namiotu.

- Zgubiliśmy się.

- Nie, nie. My iść za karawana. - Haffe siedział przycupnięty w dołku obok wejścia.

- Sam się rozejrzyj. Nie ma żadnych śladów.

- Ślady wielbłąd - odparł z przekonaniem, podnosząc dwa brązowe placki i uśmiechając się. - My iść za wielbłąd.

- Dobry Boże —mruknęła, wpatrując się w obtoczone w piachu placki wielbłądziego łajna i czując że jest o krok od hysterii.

- Uciekliśmy z zasadzki, przemierzamy pustynię, ryzykując życie i zdrowie, żeby znaleźć bezcenne archeologiczne znaleziska, a drogę wyznaczają nam odchody wielbłądów.

Chrapliwy śmiech zabrzmiał za jej plecami, więc odwróciła się.

- Wynalazek nawigacyjny nomadów. - Smith gramolił się z namiotu. - Nic dziwnego, że większość czasu spędzają na tułaczce po pustyni.

- Dzięki Bogu wstałeś. - Pospiesznie podbiegła do niego i nalegała, żeby wsparł się na niej. - Jest szansa, żebyś wypróbował astrolabium i zorientował się, gdzie jesteśmy?

Przytaknął, więc chwyciła mapę, astrolabium i pomogła mu dojść na szczyt najbliższej wydmy. Smith obrzucił zaciekawionym spojrzeniem jej rękę, spoczywającą na jego pasie.

- Zatem, wnoszę z tego, że cieszysz się, że nie umarłem?

- Tylko dbam o swoją inwestycję. - Zarumieniła się, czując,

jak jej wargi robią się nagle gorące, a w całym ciele pulsuje krew. Zaczęła cofać rękę.

- Tak? - Złapał ją jednak i przyciągnął bliżej.

Miała ogromną chęć unieść wargi do jego ust, ale zamiast tego wcisnęła mu w rękę mapę i astrolabium, i wymknęła się z jego ramion.

- Wyobraź sobie, jakby to zabrzmiało w uszach naukowców z British Museum: „Odnaleźliśmy Wielką Bibliotekę Aleksandryjską, podążając śladami z wielbłądzich odchodów”.

Znajdź lepiej ten kierunek, Smith, i módl się o to, żeby pierwiastek boskiego Apolla w tobie nie mylił się - pomyślała.

Godzinę później, pokrzepieni chlebem, kozim serem i przesłodzoną herbatą Haffego, wyruszyli w kierunku, który wyznaczył Smith. Za każdym razem, kiedy wchodzili na szczyt wydmy, Abigail unosiła się w siodle, prostując nogi w strzemionach, żeby rozejrzeć się dokoła. I za każdym razem jak okiem sięgnąć, krajobraz był dziewiczy. Burza piaskowa zasypała zarówno ich własne ślady, jak i ślady karawany. W tej krainie pełnej sprzeczności wydawało się, że każde szczęśliwe zrządemie losu zaraz pociągało za sobą katastrofę.

Kolejne dwa dni przyniosły ze sobą dokładnie to samo: palące słońce i niekończący się żmudny marsz przez świeżo usypane piaskowe wydmy. W goglach, turbanie i burnusie, z policzkami spalonymi słońcem i ze stopami piekącymi od piachu, który palił ją przez podwójne podeszwy butów, czuła się na pustyni niemile widzianym intruzem. Lecz przed zachodem słońca drugiego dnia postanowiła nie tracić już więcej energii na takie rozmyślenia. Miała ważniejsze sprawy do rozważenia, jak na przykład to, w jaki sposób Smithowi udawało się wytrwać w pozycji pionowej w siodle, chociaż z pewnością bardzo wiele go to kosztowało.

O zachodzie słońca drugiego dnia Haffe wypatrzył niezwykle skalę wystającą z piachu, więc zadecydowali o rozbiciu obozu w jej pobliżu. Kiedy już rozłożyli prowizoryczny namiot z brezentu i pomogli Smithowi wejść do środka, Abigail zdjęła mu bandaż z głowy, by sprawdzić stan rany. Zbyt zmęczony, ograniczył się paru słów protestu, kiedy zaserwowała mu kolejną dawkę leków przeciwbólowych i zmusiła do wypicia wody, po czym kazała mu położyć się spać.

Kiedy zapadł w kamienny sen, Abigail wyszła z namiotu i natknęła się na Haffego, który stał z zaniepokojoną miną.

- Nie ma więcej ślad - powiedział, wskazując na placek wielbłądziego łajna leżący na jutowej torbie pod jego stopami. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy to ostatni raz widziała Haffego jak zsiadał z konia, żeby podnieść kolejny śmierdzący trop na ich drodze.

- Zeszliśmy zupełnie ze szlaku, którym szła karawana? - Serce jej zamarło, kiedy skinął głową. - Czyli jesteśmy tu zdani wyłącznie na siebie? I zagubieni.

- Nie zagubieni. - Uśmiechnął się i machnął ręką, pokazując piasek wokół nich. - Na pustyni.

Według Abigail, Haffe był wcieleniem optymizmu. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, co by powiedział, gdyby naprawdę zrozumiał, że ona i Smith bardzo niewiele wiedzą o tym, co robią.

Następnego ranka o świcie słońce weszło nad horyzont zasnutę mgłą i zdawało się, że tego dnia będzie świeciło jeszcze mocniej. Smith chwiał się, a konie opadały z sił w upale. Zatrzymali się w południe, by zrobić cień dla siebie i dla zwierząt. Haffe dał każdemu do wypicia kubek wody, a koniom i osłom dwa razy tyle. Abigail zdała sobie sprawę z tego, że była to zapowiedź nadchodzących ciężkich dni.

Smith obudził się parę godzin później i od razu postanowił pójść na wierzchołek wysokiej wydmy, żeby dokonać kolejnego odczytu ich położenia z kąta padania promieni słonecznych.

- Jaką masz pewność, że podążamy drogą wyznaczoną przez profesora? - spytała Abigail, przyglądając się, jak porównuje kąt padania promieni słonecznych z kątem, który wskazywała mapa.

- Wystarczającą — odparł. — Ale nasz naukowiec był dość szalony. Czy rzeczywiście wiedział, co mówi?

Po południu, kiedy słońce przestało już być tak dokuczliwe, znowu wyruszyli zgodnie z kursem, który wyznaczył Sraith, a który oddalał ich od handlowego szlaku karawany w kierunku dzikiej, nieznannej pustyni. Jechali aż do nastania nocy, kiedy pustynia wokół nich zanurzyła się w bezksiężycowych ciemnościach i musieli zatrzymać się na nocleg.

Smith nie oponował, kiedy Abigail i Haffe umieścili go w namiotopodobnym schronieniu, które wybudowali, i zmusili do wypicia części ich przydziału wody. Jego brak protestu zaniepokoił ją.

Dwie godziny później, kiedy na wschodzie pojawiła się złota tarcza księżyca, Abigail i Haffe usiedli owinięci w burnusy przy dawno wygasłym ognisku. Haffe cicho chrapał, a Abigail zapaliła lampę i po raz kolejny zagłębiła się w lekturze ostatniego dziennika profesora.

Ostatnie zapiski Thaddeusa Chiltona były niespójne i pełne tajemniczych wzmianek. Ale w pewnym momencie znowu natknęła się na sprawozdanie podróżników, którzy natrafili na miejsce nazywane „Świątynią Strażników”. Historia ta pochodziła ze zwoju sprzed trzystu lat, który profesor znalazł w bibliotece meczetu w Timbaktu. Karawana składająca się z berberyjskich i hiszpańskich handlarzy zgubiła się w czasie burzy piaskowej i wędrowała po pustyni przez kilka dni, aż natknęła się na fatamorganę, zwodniczy obraz przedstawiający czystą, słodką wodę, nad którą górowała wielka budowla z kolumnami w stylu greckiej świątyni. Przynęła dziennik bliżej do lampy i zaczęła czytać na głos.

- „Część ludzi, oszalała z braku wody i od niemiłosiernego żaru promieni słonecznych, zaczęła biec w kierunku świątyni i została pochłonięta przez jej piaski. Zaginieni zostali odnalezieni później przez pozostałych towarzyszy. Mający o wielkich «zasobach wiedzy», z których mądrość spływa jak woda na pustynię. Ponownie połączeni natknęli się na szlak handlowy i zostali przygarnięci przez przejeżdżającą karawanę.

Kiedy odzyskali zdrowie, mężczyźni opowiadali o swoich doświadczeniach, używając określeń jak ze snu i uznali to wydarzenie za wizję dawno zaginionego świata".

- Zagubieni... - Opuściła ramiona i westchnęła. - Zupełnie tak jak my.

Czyżby zrobiła głupstwo, marnując swoją jedyną szansę na spokojne i bezpieczne życie i podążając za mrzonkami szalonego naukowca? Niepokój ścisnął jej żołądek. Rzykowała nie tylko pieniądze. Co będzie jeśli rana Smitha okaże się bardzo poważna, albo jeśli ktoś postrzeli Haffego? Co będzie, jeśli zabraknie im wody i zapasów żywności?

Spojrzała na śpiącego Haffego i zdała sobie sprawę, że musi się ruszyć, żeby pozbyć się narastającego niepokoju. Wstała i poszła w górę na pierwszą z wydym, a potem na kolejną, zostawiając za sobą głębokie ślady stóp znaczące jej ścieżkę. Usiadła na jednej z wydym i spojrzała w nocne niebo. Jego ogrom i wspaniałość zdawały się drwić z jej ambicji.

- I jak, mam? Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa - szepnęła ze złością. - Oto moja wielka romantyczna przygoda.

Kiedy ruszyła z powrotem, miała kłopot, z odnalezieniem swoich śladów. Piach niczym woda, wypełnił zagłębienia po jej stopach, a światło księżyca nie było na tyle silne, żeby oświetlić ich słabe zarysy.

Wzdychając z niezadowoleniem, zaczęła iść w tę i z powrotem w poszukiwaniu wydym, przez które przechodziła. Zawsze mogła zacząć krzyczeć i, jak sądziła, obudziłaby w ten sposób Haffego, który by ją odnalazł. Ale nie mogła pozwolić na to, żeby i Smith się obudził, bo dowiedziałby się, że udało jej się zgubić w tak bliskiej odległości od obozowiska.

Po paru minutach poszukiwań musiała jednak przyznać, że się zgubiła. Gorzej, podejrzewała nawet, że jej poszukiwania oddaliły ją od obozu. W rozpaczę wspięła się na wierzchołek następnej wydmy i zaczęła przyglądać się zanurzonej w ciemności przestrzeni. Tak jak się obawiała, nie było śladu jej obozu

ani zwierząt. Odwracając się i uważnie przyglądając się krajobrazowi, nagle zamarła... Patrzyła na coś, co migotało w świetle księżyca.

Niemożliwe. Przetarła oczy i zmarszczyła czoło, wyężając wzrok. Widziała krótkie, jasne błyski, jakie powstają na powierzchni wody. Wiedząc, że to nie może być ich obóz, poczuła nieodpartą potrzebę ruszenia w tamtym kierunku. Tylko jeszcze jedną wydmy bliżej, przejdzie jeszcze tylko jedną wydmy.

Z tego punktu obserwacyjnego migotanie wydawało się jeszcze wyraźniej sze. Zeszła z wydmy i wspięła się na trzecią, czując rosnące podniecenie.

Punkty błędnego srebrnego światła przypominające tężące pionowe paski zaczęły wylaniać się z horyzontu. Najpierw jeden, potem drugi, podobny do niego, kolejny. Kolumny, zdała sobie sprawę. Ustawione w szeregu. Pochyliła się w jedną stronę, potem zrobiła parę kroków w przeciwną, żeby przekonać się, czy to nie złudzenie. Ale kolumny nie znikwały. Podążyła dalej w ich kierunku i dostrzegła belkowanie nad kolumnami i dach nad frezowanym gzymsem. Całość przypominała jej fasadę British Museum!

Zatrzymała się, wpatrując się w widmo greckiej świątyni, które wyglądało jak zrobione ze światła księżyca. Takie rzeczy nazywano mirażami, jeśli były widziane w palącym słońcu pustyni. Ale jak nazwać coś takiego, widziane w świetle księżyca?

Chyba tylko szaleństwem...

Poszła w kierunku kolumn, zdecydowana je zbadać, ale nagle jej stopy zostały unieruchomione. Spojrzała w dół i zobaczyła, że zapada się w usypującym się piachu. Wystraszona, zaczęła podnosić nogi, żeby wydostać się z tego miejsca, ale jej ruchy powodowały tylko głębsze i szybsze zapadanie się. Tkwiła w piachu już po kolana, kiedy zdała sobie sprawę, że pustynia pochłaniają coraz szybciej. Piasek zdawał się uciekać spod jej

nóg gdzieś w dół, jak woda szukająca odpływu na najniższym poziomie, i co gorsza zabierał ją ze sobą.

Wciągnęło ją już do wysokości talii, kiedy przyznała się przed sobą, że nie da rady się wydostać i zaczęła z całych sił wołać o pomoc.

— Ratunku! Smith! Haffe! Na pomoc! Nie mogę się wydostać z piachu! Wciąga mnie! Ratunku!

Wbijając paznokcie w ziemię dokoła siebie, ale i ona się osuwała. Zaczęła gwałtownie poruszać nogami, szukając jakiegoś oparcia, czując, jakby płynęła pod prąd w gęstym nurcie.

- Proszę, proszę, Boże, nie pozwól... Ratunku! Pomocy!

Mimo walki, jaką podjęła, zapadała się coraz głębiej... powyżej talii, do ramion... Wołała o pomoc, chwytając rozpaczliwie powietrze i starając się utrzymać na powierzchni porywającego ją nurtu, aż wreszcie jej krzyki utonęły pod naporem piachu, który powoli, lecz nieubłaganie zasypywał jej głowę.

Pogrzebana żywcem, nie mogąc poruszyć się więcej niż o centymetr w którąkolwiek stronę zmagająca się z niepokonowaną chęcią odkaszlnięcia i nabrania powietrza. Płuca miała puste, a przez głowę przelatowały paniczne myśli. Apollo... jej matka... muzeum... przygody, których nigdy nie... pocałunki, których nigdy...

Coś pod nią przesunęło się, napór na jej stopy i nogi zwiększył się. Zaczęła się dalej zsuwać w dół, tym razem w kanał osypującego się piachu, coraz niżej i niżej, aż wreszcie spadła. Raptownie zatrzymała się w pozycji siedzącej, a piasek sypał się jej na głowę. Dotarła do dna czegoś i resztkami sił, w ostatnim spazmatycznym odruchu próbowała się wydostać, wyszarpnąć. Machnęła rękoma i poczuła pustkę... otwartą przestrzeń!

W przyływie szaleńczej nadziei, rzuciła się w tę stronę, aż niespodziewanie znalazła się w nicości. Nie, nie w nicości... To było powietrze! Odetchnęła głęboko wspaniałym powietrzem i natychmiast wstrząsnął ją atak kaszlu. Przepełnione kurzem i prawdopodobnie stęchłe jak piwo faraonów powietrze wydało jej się wprost cudowne. Opadła z sił, dysząc, siedziała tak przysypana częściowo, ale jednak z dostępem do powietrza, nasłuchując szumu piachu nadal sypiącego się za jej plecami.

Parę chwil zajęło jej zebranie myśli. Przeleciała przez jakiś otwór i znajdowała się pod ziemią. Ale w czym?

Wyciągnęła ręce i zaczęła nimi poruszać, sprawdzając przestrzeń wokół siebie. Nie było niczego ani nad nią, ani po żadnej z jej stron, więc zsunęła się po nasypie piachu, zatrzymując się co chwila by sprawdzić niewidoczne otoczenie. W końcu po-

czuła twarde podłoże. To był kamień, kamienie, ułożone jeden obok drugiego. Podłoga!

Postawiła na niej stopy i powoli wstała, wyciągając ponad sobą rękę, żeby w razie czego znaleźć nad głową barierę.

Po prawej stronie odkryła coś kamiennego i pionowego... z zaprawą murarską. Ściana. Uspokojona, że znalazła się w czymś, co wykonała ludzka ręka, wyciągnęła obie ręce przed siebie i zaczęła powoli posuwać się naprzód. Skoro to była ściana, musiała dokądś prowadzić.

Miała wrażenie, że podłoga opadała w dół, a odgłosy jej ruchów odbijały się echem wokół niej, jakby pomieszczenie, w którym była, stawało się coraz większe. Z pewnej odległości usłyszała odgłos jakby kapania. Woda. Poczula niepokój. Czyżby była w studni? Czyżby w końcu przeznaczenie rzuciło ją do studni, jako karę za...

- Na miłość boską, Abigail... Weź się w garść - powiedziała drżącym głosem i natychmiast dodała sobie tym otuchy.

Nagle korytarz zapadł się pod nią i upadła, staczając się, objając o kamienne krawędzie i w totalnej ciemności wylądowała na pośladkach i łokciach. Jęknęła i usiadła. Odgłos płynącej wody był głośniejszy, dobiegał z bliska, prawie na wyciągnięcie ręki.

Zamrugła kilka razy powiekami i ciemność jakby się rozjaśniła, ukazując kamienne powierzchnie. To był korytarz! A ona siedziała u podnóża schodów. Ponownie podniosła się, ignorując bolące kolana, biodra i ramiona, by dalej badać miejsce, do którego trafiła.

Korytarz kończył się wielkim pomieszczeniem wypełnionym wodą. Basen miał przynajmniej piętnaście metrów szerokości i ze trzydzieści długości i był otoczony brukowanym chodnikiem, a w jednym jego końcu wydawało się, jakby woda wypływała ze skały i spływała w dół do basenu. Z wylotów innych korytarzy, prowadzących do komnaty z basenem, dobiegało światło.

Basen wykonany przez człowieka, pod ziemią, na środku pustyni!

Rzuciła się naprzód i opierając się brzuchem o krawędź basenu, zanurzyła dłonie w wodzie i zaczęła łapczywie pić. Była słodka. Abigail zaczęła się głośno śmiać i rozpryskiwać wodę na wszystkie strony jak w fontannie, w przypiływie radości, że jednak żyje.

Wokół niej zajaśniało światło, na moment całkowicie ją oślepiając. Cofnęła się, usiadła i uniosła ręce, żeby osłonić oczy. Kiedy już mogła skupić wzrok, za światłem lamp, dostrzegła cztery sylwetki. Bardzo starych i bardzo pomarszczonych kobiet. Z puszystymi białymi włosami, wyblakłymi od upływu lat oczami, z zapadniętymi ustami i z kolczykami w uszach.

Jedna z nich odezwała się słowami, które Abigail teoretycznie rozumiała, ale nie była przyzwyczajona do słuchania lub mówienia w tym języku inaczej niż w myślach. Chwilę zajęło jej, by uchwycić sens i przetłumaczyć sobie te słowa.

Gyni i. - Antyczne słowo określające „kobietę”. W nowożytnym języku używa się słowa *gynaika*. Greka. Jej serce zabiło szybciej. Stara greka.

Parthena, neos, i oraia... słowa zdawały jej się niewiarygodne.

Dziewica... młoda... śliczna... Jej umysł posłusznie przetłumaczył każde ze słów, mimo że pełny ich sens nie docierał do niej. Kobiety, stare i pomarszczone, mówiące starożytną greką...

Smith rzucił się w stożkowy lej, wołając za Haffem, którego przerażona twarz zniknęła w zapadającym się piasku.

Gorączkowe wołanie Haffego, coś o Abigail w kłopotach zbudziło go. Zanim wydostał się z namiotu, żeby sprawdzić, co się dzieje, zastał jedynie ślady stóp Haffego prowadzące w głąb pustyni i ginące za wydmą. Poszedł ich tropem przez kilka wydm i zobaczył Berbera dokładnie w chwili, kiedy zanurzony

po szyję w piachu, niktą w zagłębieniu, które jak Haffe zdołał wyrzucić, „połknęło” Abigail.

Nie było czasu, żeby wracać po linę. Podejmując decyzję w ułamkach sekund, Smith chwycił się dłońmi czegoś, co wyglądało jak stabilna krawędź leja i pochylił się wyciągając rękę do Haffego. Ale obsunął się niżej i kiedy Berber zniknął pod piaskiem, Smith podczołgał się i rzucił się z rękoma do przodu, zdołając jedynie dotknąć jego głowy. Potem sam zaczął tonąć w piasku, mimo że szarpał się i miotał, starając się utrzymać na powierzchni. Zdradliwe piaski wciągały go i wkrótce ziemia usunęła mu się spod nóg.

Poczuł strach, kiedy ramiona i ręce zaczęły zapadać się w dół i zostało mu czasu jedynie na złapanie powietrza w płuca, zanim także głowę pochłonął piach. Bystry nurt ziemi wciągał go w swe czeluści odwróconego do góry nogami. Starał się zapierać, chwytając dłońmi piach, który jednak nie stanowił żadnego oparcia. Instynkt wziął górę, kiedy poczuł palenie w płucach i zaczął poruszać gwałtownie rękoma i dłońmi, chcąc osłonić usta przed napierającym piaskiem.

Wtedy poczuł, że opór pod nim maleje i zleciał w dół razem ze strumieniem piasku, prosto na coś, co jęknęło pod jego ciężarem i poruszyło się. Piasek bezustannie sypał się na niego, więc przeturlał się na bok i zaczął zsuwać się z nasypu, aż zatrzymał się gwałtownie.

Leżał przez chwilę, dysząc oszołomiony i wdzięczny za to, że ma wreszcie czym oddychać. Kiedy ocenił stan swojego potłuczonego ciała, uświadomił sobie, że leży na płaskiej powierzchni, powietrze dokoła niego nadaje się do oddychania, w dodatku niczego sobie nie złamał.

Nagle ciemności wokół niego zaczęły się przejaśniać, pozwalając mu na widzenie, chociaż w ograniczonym zakresie. Z tyłu dobiegały czyjeś jęki, a przed sobą usłyszał odgłosy skrobania i szamotaniny.

Nagle jasne światło rozświetliło wszystko dokoła, na chwilę go oślepiając. Uniósł dłoń, żeby osłonić oczy przed bezlitosnym blaskiem latarni, w którym dojrzał kamienną podłogę, kamienne ściany, powietrze wypełnione pyłem i potężną górę usypanego piachu...

- Smith? - głos Abigail dobiegający od strony światła sprawił, że serce zabiło mu mocniej.

- Boston? - udało mu się wykszusić między kaszlnięciami.

- Jesteś cała?

- Nic mi nie jest. - Po chwili obejmowała go i pomagała mu się podnieść. - Ale ty nie wyglądasz najlepiej. Jest z tobą Haffe?

- Gdy tylko Smith stanął o własnych siłach, ścisnęła mu ramię, dając do zrozumienia, żeby został tu, gdzie jest, i ruszyła na pomoc Haffemu, który jęczał i błagał Allacha o litość.

Mrużąc oczy, Smith wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić i uniósł obie dłonie do pulsującej głowy.

- Gdzie my, u diabła jesteśmy? - spytał, mrugając powiekami.

Wpatrywali się z zaskoczeniem w cztery stare kobiety, trzymające wysoko w rękach lampy i uważnie się im przyglądające.

- Kim one są? - Smith był zupełnie zdezorientowany.

- Nie mam pojęcia - odparła Abigail, przyglądając się kobietom i zastanawiając się, czy są śmiertelniczkami. Wszystkie odezwały się jednocześnie tymi samymi słowami w rozmaitych tonacjach: *anir o*, czyli antyczna forma od *andras*.

Mężczyzna. Jedna ze starych kobiet wysunęła się naprzód i bezceremonialnie stuknęła Smitha palcem w brzuch.

Jęknął.

Jej stare mętne oczy rozszerzyły się na widok niezaprzeczalnej cielesności jego natury.

- *Anir o! Anir o!*

- Chwileczkę... - wtrąciła się Abigail, sprawiając, że kobiety cofnęły się o krok. - Czy tak traktujecie gości w waszym... waszym... - Domu? Labiryncie? Podziemnym świecie?

Tylko gdzie oni się znajdowali? Abigail wyteńczyła wzrok na tyle, żeby zauważyć, że kobiety mają na sobie białe płócienne tuniki, a na nich szaty przypominające greckie chitony spięte na ramionach złotymi zmatowiałymi broszami. Wokół talii miały przewiązane wystrzępione złote sznury, a na nogach sandały przypominające antyczne. Cała grupa wyglądała, jakby zstąpiła z malowidła na greckiej wazie. I to bardzo starej wazie. A do tego mówiły wersją greckiego jeszcze starszą niż one same.

Pod Abigail ugięły się nogi, kiedy rozpoznała wszystkie elementy ich stroju. Po czym zeszywniała, starając się dojść do siebie i utrzymać w pionie Smitha. Musiała się upewnić.

- Kim jesteście? I gdzie my jesteśmy? - spytała po grecku słowami, których chyba nigdy w życiu nie wypowiedziała na głos.

- Kim wy jesteście? - spytała znajomą starą greką jedna z kobiet trzymających lampę. Wydawała się nieco młodsza od pozostałych i miała na szyi wielki złoty amulet na łańcuchu. Jej włosy były szpakowate, a skóra nie tak bardzo pomarszczona.

- Jesteśmy odkrywcami... z Londynu, w Anglii - odparła Abigail, mając nadzieję, że jej wymowa jest wystarczająco zrozumiała dla tych żywych anachronizmów. - Co to za miejsce?

- Gdzie jest Anglia?

Abigail spojrzała na Smitha, który ślaniał się na nogach, i przysła jej do głowy odpowiedź, którą prawdopodobnie zrozumieją, jeśli rzeczywiście są tymi, kim się wydają.

- Na północy Galii. Ziemia Bretonów. Ja jestem bibliotekarką i przybyłam tu w poszukiwaniu pozostałości Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej.

- Bibliotekarką? - Kobieta z medalionem drgnęła, jakby ją ktoś uszczypnął. - Bibliotekarka!

Słowa Abigail wywołały błyski w oczach kobiet, które zaczęły gorączkowo dyskutować, spoglądając od czasu do czasu w stronę intruzów i przyklaskując w dłonie. W trakcie rozmowy

ich zachowanie zmieniło się, wyprostowały się i stały się bardziej dystygowane.

- Witamy bibliotekarkę - odezwała się ta z medalionem, kłaniając się, a za nią ukłon oddały pozostałe. - Czekaliśmy na ciebie. Pod jakim imieniem znają cię bogowie?

- Nazywam się Abigail Merchant - wykrztusiła. Czekają na nią? Spojrzała na Smitha z rosnącym niepokojem.

Głowa mu się kiwała, jakby miał poważne kłopoty z utrzymaniem się na nogach, a na opatrunku widać było wyraźnie świeżą krew.

- Idera. Główna kapłanka. Do twoich usług - powiedziała przywódczyni i ukłoniła się tak nisko, że Abigail obawiała się, że wyrządzi sobie krzywdę. Ale kobieta wyprostowała się i gestem ręki wskazała pozostałe. - Moje siostry kapłanki: Hathor, Calla i Mercedes. - Każda z nich pochylała głowę w chwili, gdy padało jej imię. - Chodź z nami. - Główna kapłanka odwróciła się jeszcze raz i spojrzała na Smitha i Haffego. - Twoi słudzy też mogą iść.

Na skinienie dłoni Idery dwie ze starszych kobiet pospiesznie zastąpiły Abigail pod ramieniem Smitha. Niechętnie przystała na to i ruszyła za kapłanką.

Idąc za starymi kobietami przez labirynt korytarzy, Abigail bez przerwy oglądała się za siebie na Smitha, który wydawał się oszołomiony, ale udawało mu się stawiać kroki. Przekonując samą siebie, że będzie z nim wszystko w porządku, zwróciła się do grupy kapłanek z pytaniami.

- Kim jesteście? Kto zrobił ten tunel? Jak długo tu mieszkacie? Skąd pochodzicie? Jak udało wam się przetrwać na samym środku pustyni? - I w końcu: - Kapłanki czego?

Idera skwitowała jej pytania krótko:

- Wkrótce się dowiesz.

Sfrustrowana, ale na tyle ostrożna, żeby nikogo nie obrazić, Abigail podzieliła uwagę między sprawdzenie stanu Smitha i obserwowanie labiryntu wydeptanych schodów i starożytnych

korytarzy, którymi podążali. Smith sprawiał wrażenie, jakby odzyskiwał równowagę i przytomność umysłu, Haffe opędał się od rąk, które jego również próbowały eskortować.

· Nie, nie. Zła kobieta. Zła! Nie dotykać...!

Po paru minutach korytarz nagle rozszerzył się w coś przypominającego ulicę, a na ścianach pojawiły się drzwi, które wyglądały tak jakby ich nikt nie otwierał przez stulecia. Na końcu ulicy znajdował się wybrukowany kamieniami plac, na którym królowała zaniedbana, ale czynna fontanna i zaskakująca replika fasady greckiego Partenonu.

Abigail stanęła z otwartymi ustami, a Smith na ten widok gwizdnął przeciągle. Ponad świątynią, która wyglądała jak wykuta w otaczającej ją skale, wyrastało łukowate sklepienie, które zdawało się częściowo naturalną, a częściowo wykonaną ludzką ręką kopułą. Część zrobiona przez ludzi była wykończona tynkami z odpadającymi freskami, które przedstawiały gwiazdy po jednej stronie i chwałę nieobecnego tu słońca po drugiej.

To była ta sama świątynia, którą zobaczyła Abigail, i której urok ją tutaj przyciągnął. To był obraz dokładnie tego samego mirażu, który widziała wcześniej na pustyni.

- Nasza świątynia - powiedziała Idera, wykonując gest ręką.
- Na cześć Ateny, bogini mądrości. To ona posłała nas na pustynię.

- Atena was tu przysłała? - Serce Abigail zabiło jeszcze szybciej.

- Żebyśmy chroniły wiedzę i mądrość wieków - powiedziała spokojnie Idera. - Ale powinnaś to już wiedzieć. Skoro jesteś tą, której przybycie zostało przepowiedziane.

Abigail oddychała z trudem.

- To nasza Nowa Aleksandria. - Abigail poczuła gęsią skórę na całym ciele, a stara kobieta uśmiechnęła się i zwróciła się w stronę placu, rozkładając szeroko ręce, jakby zapraszała Abigail do miasta. - Czterdzieści pokoleń strażników i opiekunów ma zaszczyt powitać cię w tym miejscu.

Gardło Abigail zacisnęło się, gdy rozglądała się po placu i świątyni i nie mogła wprost uwierzyć, że udało jej się wreszcie odnaleźć pozostałości jednej z największych legend historii antycznej, Wielką Bibliotekę Aleksandryjską.

Kolejno zatrzymywała wzrok na szczegółach podziemnego kompleksu, które potwierdzały słowa kapłanek o bardzo starej społeczności. Kamienne płyty chodnikowe na płaci były wytarte stopami w miejscach najbardziej uczęszczanych szlaków. Frontony budynków zdobiły uszkodzone stiuki. W każdej budowli brakowało cegieł, a w murach widniał pęknięcia świadczące o upływie czasu. Nawet dostojna świątynia wyglądała na mocno zniszczoną... odłamane fragment kamienia, wytarte schody, uszkodzone posągi nad kolumnami...

- Cóż, kiedyś była nowa - stwierdziła filozoficznie antyczka Hathor.

- Z pewnością i tak wygląda lepiej niż stara Aleksandria - dodała złośliwie Calla.

- Minęło parę setek lat - oznajmiła kobieta zwana Mercedes - a bez strażników, którzy by mogli naprawić muru i sklepienie...

Strażnicy? Stara kobieta użyła określenia *prostatis*, jednego z terminów, który przetłumaczył z arabskiego na greek duchowny Mulay Karoum. Te kobiety nazywały „strażnikami” swoich towarzyszy, którzy opuścili je dawno temu. Abigail spojrzała na nie z rosnącym przerażeniem. Czyżby one był „opiekunami”, a w zasadzie „opiekunkami”, które to pojęcie wiązało się z muzułmańskim słowem „hurysa”, czyli dziewic z rajów?

Dopiero teraz to do niej w pełni dotarło.

- To jest to... To naprawdę to! - Abigail chwyciła kapłankę, i uściskała ją, uśmiechając się szeroko. Potem rzuciła się na szyję Smithowi. - Znaleźliśmy ją Ty ją znalazłeś! Ty i astro-labium profesora! Smith, ty naprawdę jesteś Apollem! - Kiedy

rozluźniła uścisk i zeszła w dół parę schodków, by w skupieniu przyjrzeć się świątyni, główna kapłanka i pozostałe stare kobiety zaśmiały się na widok jej podniecenia.

Abigail ruszyła w kierunku na wprost zburzonej fontanny i zaczęła się obracać w koło, próbując chłonąć wszystko to, co ją otaczało. Potem podbiegła do schodów prowadzących do świątyni, z trudem tłumiąc rozpierającą ją radość.

Idera i pozostali podążyli za nią znacznie wolniejszym krokiem.

Abigail objęła jedną z szerokich kamiennych kolumn, które tworzyły front świątyni, i zaczęła ją ścisnąć, głaskać chropowaty kamień, chłonąc całym ciałem cud jej istnienia.

- Naprawdę tu jesteście! - zawołała. - Naprawdę ją znaleźliśmy!

Kiedy Smith, Haffe i stare kapłanki podeszły do filarów, wbiegła do środka świątyni i zatrzymała się jak wryta, przyglądając się z lękiem ogromnemu posagowi bogini Ateny, siedzącej na ołtarzu z rękopisem w dłoni. Ołtarz był otoczony rzędem starożytnych lamp, z których tylko dwie się paliły, dając przydymione, migotliwe światło.

- Atena - Abigail wreszcie udało się nabrać powietrza, żeby wydusić to słowo.

- Nasza patronka - powiedziała Idera, krzyżując dłonie na piersi i kłaniając się nisko.

- Przybyłyście tutaj z rękopisami i księgami z Wielkiej Biblioteki, prawda? - upewniła się Abigail z twarzą zarumienioną z podniecenia.

Idera skinęła głową.

- Ponad tysiąc lat temu nasi przodkowie przywieźli tu pisma, które udało im się w tajemnicy wywieźć z Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej, by uchronić je i ukryć, do czasu, aż będzie można bezpiecznie zwrócić je światu - oświadczyła.

- I wybudowali to miejsce, tę świątynię. - Abigail rozejrzała się dokoła, chłonąc wzrokiem wszystkie szczegóły, rzeźby

w kamieniu, wyblakłe freski na cześć bogini i te, przedstawiające wyprawę przodków z Aleksandrii.

Idera zaprowadziła Abigail za ołtarz, żeby pokazać jej malowidło przedstawiające ich historię.

- To miejsce zostało wybrane ze względu na naturalne jaskinie. Pierwsi słudzy Ateny poszerzyli wejścia i wybudowali korytarze między komnatami pieczarami jaskini, które stały się scriptoriami na księgi. Później odkryli podziemne źródło, wybudowali plac i wykuli w skale świątynię. Żyliśmy spokojnie wśród nomadyjskich sąsiadów i handlowaliśmy z nimi, a nawet zawieraliśmy małżeństwa między sobą.

Ale potem przybyli Arabowie i nawrócili Berberów na islam - westchnęła. - Uznali naszą świątynię za odrażającą, więc handel i małżeństwa skończyły się. Potem nastąpiły czasy napadów i burz. Rok po roku wyjące wiatry i morze piasku zasypywały naszą wioskę. Uznaliśmy, że to znak od bogów, że powinniśmy pozwolić pustyni na zawładnięcie nami i na ukrycie nas. Strażnicy poszerzyli i umocnili mury i w końcu ukończyli sklepienie, które widzisz. - Wskazała kopułę nad placem.

- Lecz z każdym następnym pokoleniem, które przemijało, było nas coraz mniej do pracy i utrzymania porządku w mieście - odezwała się zmęczonym głosem najstarsza kapłanka Hathor. - Teraz zostało nas zaledwie kilka. Zestarzałyśmy się na usługach naszej bogini.

Kapłanka o imieniu Calla zrobiła krok naprzód.

- Jesteśmy bardzo wdzięczne, że wreszcie do nas przybyłaś, Bibliotekarko.

W tej chwili Smith zachwiał się i upadł na ołtarz, a kobiety z okrzykami przerażenia rzuciły się, by go podnieść.

- Jest ranny. Potrzebuje odpoczynku. - Abigail chciała do niego podejść, ale Idera ją powstrzymała.

- Moje siostry się nim zajmą. - Kapłanka wydała kilka krótkich poleceń, by wyprowadziły Smitha i Haffego do naj-

bliższej kwatery, a po chwili zwróciła się do Abigail. — Zostań ze mną. Jest coś, co muszę ci pokazać.

Abigail patrzyła jeszcze w kierunku, gdzie zniknął Smith, i czuła wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony chciała być przy nim, a z drugiej pragnęła zaspokoić ciekawość o tym niezwykłym miejscu. Kiedy odwróciła się do Idery, kapłanka zdążyła już odpiąć brosze na ramionach i zrzucić z siebie chiton.

Pod chitonem, na lnianej tunice nosiła coś podobnego do gorsetu, wykonanego z dwóch okrągłych półkul, które były mocno dopasowane do piersi i połączone ze sobą. Całość była powiązana wokół jej ciała rzędami łańcuszków, do których przymocowano płaskie metalowe łuski tworzące pancerz. Abigail zabrakło tchu na ten widok. Wierność anatomicznych szczegółów tej konstrukcji była szokująca, ale nawet bardziej zadziwiający był fakt, że ta „zbroja” wyglądała tak jakby wykonano ją ze szczerzego złota.

Nie mogła oderwać oczu, kiedy stara kobieta odpięła klamry swego stroju i zdjęła go, po czym położyła na kolanach posąg Ateny. Gdy Abigail wpatrywała się w posąg, kapłanka zaczęła rozpinać jej bluzkę.

Co ty mi robisz? - Abigail próbowała utrzymać poły bluzki razem, ale stara kobieta była niezwykle zdecydowana i szybka w ruchach. - Musisz włożyć zbroję głównej kapłanki świątyni. - Nie jestem żadną kapłanką ani tym bardziej główną! - protestowała Abigail, wrywając bluzkę z rąk starej kobiety.

- Przybyłam tu tylko, by *znaleźć* książki i zabrać...

Idera chwyciła złotą zbroję i przyłożyła ją do piersi Abigail. Okazało się, że pasuje do niej idealnie.

Widzisz? Naprawdę nią jesteś.

Ponieważ pasuję do twojego gorsetu?

Idera spojrzała jej prosto w oczy. Obdarzyła ją mocnym nieustępliwym spojrzeniem ciemnych oczu, skrywających w sobie tajemnice i zagadki, których Abigail nie była w stanie odgadnąć. I wyglądało na to, że stara kobieta naprawdę zamierzała wprowadzić Abigail do swojego świata.

W jej głowie zabrzmiał głos matki: „Na miłość boską, Abigail, chociaż raz w swoim życiu zrób coś ryzykownego, coś odważnego i nieoczekiwanego”.

Zostając kapłanką Ateny, chyba spełniłaby życzenie matki? Poza tym skoro miała nadzieję na zabranie części biblioteki do Anglii, prędzej czy później byłaby prawdopodobnie zmuszona do zyskania władzy nad kapłankami.

- W porządku. Ale jeśli mam to nosić, to tylko pod spodem, pod ubraniem.

Rozpięła bluzkę i odłożyła ją na bok. Kiedy odwróciła się, zobaczyła, że kapłanka patrzy podejrzliwie na jej jedwabny różowy gorset.

- Ty już służysz innej bogini? - spytała zmieszana Idera.
- Nie — zaprzeczyła Abigail, mruczając pod nosem przy rozwiązywaniu gorsetu: - Chyba że masz na myśli boginię zwaną modą.

Kiedy już pozbyła się i bluzki, i gorsetu, Idera podprowadziła ją naprzeciwko wielkiego posągu Ateny i skłoniła się nisko, oddając hołd i wzywając boginię mądrości, żeby „spojrzała przychylnym okiem na Abigail, której przybycie przepowiedziano, a której imię oznacza mądrość oraz gwałtowny wiatr”. Błagała o udzielenie błogosławieństwa wielkiej rozwagi i zdolności przewidywania w przyszłym zadaniu.

- Zadaniu? - zdziwiła się Abigail, marszcząc czoło, gdy Idera zaczęła zakładać jej rzemyki metalowego gorsetu przez ręce. - A konkretnie, do jakiego zadania będę potrzebowała tyle rozwagi i zdolności przewidywania?

- Do przywrócenia biblioteki światu — odparła Idera, szarpiąc się z metalowymi miseczkami, żeby bezceremonialnie umiejscowić jej na piersiach. - A cóż by innego?

I do tego potrzebowała złotego gorsetu? Abigail spojrzała w dół na żelastwo, które zapinała na niej kapłanka. Ważyło chyba z tonę, przez co wzrósł jej szacunek dla starej kobiety za tak niezwykłą wytrzymałość fizyczną. Kiedy Idera uznała już, że złote piersi trzymają się dobrze, odwróciła się w stronę Ateny i uniosła w górę ręce.

- Pobłogosław tę nieustraszoną... - zawahała się i pochyliła się do Abigail, by szeptem spytać. - Kobieta, prawda? Nie pannę?

Abigail oblała się rumieńcem.

- Pannę.

Idera wyglądała na zmartwioną i przez moment zdawało się, że przerwie całą ceremonię.

- Ale nie jesteś jedną z tych nieszczęsnych Westalek? - spytała.

- Nie! To znaczy, z pewnością nie jestem jedną z nich

- odparła Abigail, zdając sobie sprawę, że kapłance chodziło o sławne westalki - rzymskie dziewice. Kapłanka nie mogła przecież poważnie pomyśleć, że ona...?

Niemożliwe, żeby to, że Abigail nie miała dotąd mężczyzny, mogło przysłonić fakt, że była tą Bibliotekarką i przybyła z końca świata w poszukiwaniu biblioteki. Godząc się z niezbadanymi wyrokami losu, Idera westchnęła i kontynuowała obrządek.

- ...tę nieustraszoną pannę i daj jej siłę, zdrowy rozsądek i pragnienie wykonania tego wielkiego zadania. - Spojrzała surowo na Abigail, odwracając się plecami do Ateny i zniżyła głos: - I daj jej odpowiedniego partnera, który otworzy jej umysł na wielkie tajemnice i sprawi, że będzie bardziej godna.

Policzki paliły Abigail z zażenowania i oburzenia, kiedy parę minut później Idera prowadziła ją w dół po schodach świątyni. Bardzo pragnęła zrozumieć, jakie znaczenie miało jej dziewictwo i dlaczego w istotny sposób wpływało ono na kwestię noszenia przez nią tego złotego gorsetu, który najwyraźniej nosiły na sobie kobiety służące bogini mądrości z kolejno następujących po sobie trzydziestu albo czterdziestu pokoleń.

Stojąc na schodach i na nowo przyglądając się ze zdumieniem zniszczonemu placowi i budowlom, które zatrzymały przy sobie strażników na setki lat, pomyślała, że to wszystko jest jednak prawdą. Część Wielkiej Biblioteki ocalała i jest w rękach kobiet opiekunek. Zmrużyła oczy i wypięła pierś, zdecydowana zrobić wszystko, by stać się godną tego zaszczytu i ciężaru, który spoczął na jej ramionach. Mulay Karoum pewnie dostanie ataku serca, gdy się o tym dowie.

Zanim pozwolono jej wejść do scriptorium, Idera oznajmiła, że prowadzi ją do jej pokojów, gdzie będzie musiała przejść przez rytuał oczyszczenia. Wyobrażając sobie przeróżne instrumenty i przedmioty, które mogły sprawić jej ból, Abigail spytała, na czym polega ten ceremoniał.

Woda, wonne olejki i solidne szorowanie gąbkami.

Abigail uroczyście zapewniła, że zrobi wszystko, by jak najlepiej przetrwać ten obrządek.

Korytarze i przejścia w kompleksie biblioteki i świątyni kiedyś reprezentowały styl aleksandryjski. Teraz jednak wszystkie ściany znajdowały się w opłakanym stanie, wręcz prosiły się o naprawę i odmalowanie. Kamienne płyty na podłodze były popękane, a drewniane meblowanie pomieszczeń wypaczone i wysuszone. Podstawy na lampy w komnatach i korytarzach straciły złoty połysk pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn. Większość drzwi, przez które przechodziły, wisiała ukośnie na zawiasach, zapowiadając swój rychły upadek. Jedyną rzeczą, której naprawdę nigdzie nie brakowało, był kurz.

- W samą porę! - wykrzyknął Smith w chwili, kiedy weszła do głównej komnaty apartamentu, który był jej przeznaczony. Stał kompletnie nagi w środku wielkiej marmurowej wanny wypełnionej wodą, zasłaniając się małym ręcznikiem i opędzając się od usług sześciu rozochoconych wiekowych kobiet zgromadzonych wokół niego. - Powiedz tym starym dziwkom, żeby trzymały ręce przy sobie!

Ich asysta najwyraźniej doprowadziła go do kresu wytrzymałości. Wbrew zdrowemu rozsądkowi widok jego pięknie zbudowanego ciała także na Abigail wywarł ogromne wrażenie. Omiotła spojrzeniem jego sylwetkę oświetloną złotą poświatą kilku lamp naftowych, przyglądając się opalonej piersi, a potem bleńszym niższym partiom ciała.

- One tylko pomagają w „oczyszczaniu” cię - odparła i za gryzła wargę, starając się nie okazać zbyt ostentacyjnie ciekawości. - Musisz zostać oczyszczony, zanim pozwolą ci wejść do scriptorium.

- Jestem wystarczająco czysty - powiedział z irytacją w głosie i wyszedł z wanny wbrew wysiłkom kobiet, by go za trzymać. - A co to, u diabła, jest, to scriptorium?

- Myślę, że je właśnie odkryliśmy. To komnata, w której

przepisuje się pisma i gdzie przechowywane są rękopisy i książki. - Skrzyżowała ręce na piersi, usiłując nie patrzeć na jego obnażone nogi i klatkę piersiową, przeniosła wzrok na jego twarz. Zamarła. Nie miał opaski na oku, a na jego twarzy pozostał jedynie ślad w postaci bledszego paska. Patrzyła na nią obydwu oczami, które wydawały się w świetnym stanie.

- Tak, to ma sens - powiedziała w roztargnieniu - z punktu widzenia konserwacji rękopisów. Zanieczyszczenia z zewnątrz, brud, pleśń, ludzkie szkodniki i pasożyty, perfumy mogą wpłynąć na zniszczenie delikatnych dokumentów.

- Nie przybyłem tu po dokumenty - oznajmił, przewiązując ręcznik wokół bioder i spoglądając na nią ponuro.

- Ale ja tak. - Zakłopotana swoją reakcją na jego nagość, rozżłoszczona sposobem, w jaki zachowywały się kobiety, szturchające się nawzajem, i skonsternowana faktem, że Smith widział na obydwójce oczu, postanowiła mu dokuczyć. - I najwyraźniej dobre kapłanki są zaniepokojone, że ty mógłbyś zanieczyścić mnie.

W jego oczach pojawił się błysk, który powiedział jej, że Smith opacznie zrozumiał jej słowa. Jej irytacja rosła wprost proporcjonalnie do zwiększającej się świadomości jego męskości. Kiedy zaczął iść w jej stronę, zobaczyła, jak płynnie poruszają się jego mięśnie i dostrzegła na jego ciele kilka blizn. Stare kobiety chciały wyręczyć go w wycieraniu i namaszczeniu wonnymi olejkami, ale on tylko szarpnął się i kłąć pod nosem wyszedł z pomieszczenia.

Kiedy zniknął w sąsiedniej komnacie, Idera zarządziła, żeby kobiety zajęły się Bibliotekarką. Zawiedzione, zwróciły się do Abigail z tym samym zapałem, który przećwiczyły już na Smisie. Wyciągnęły z jej włosów kilka ostatnich szpilek, które jeszcze się w nich trzymały, i zaczęły rozczesywać i podziwiać burzę kasztanowych pukli. Głaskały jej krągłości, dotykały jej twarzy i oglądały oczy, zęby, a nawet delikatnie szturchały jej piersi.

- Kiedyś też takie miałam. Nawet lepsze - zagadkała stara Hathor.

- O moich biodrach opowiadano cuda w mieście - zachichotała Calla, poklepując Abigail po pośladkach - ale jej też są młode i wystarczająco jędrne...

To było najbardziej nieprzyzwoite i kłopotliwe pół godziny w życiu Abigail. W tym czasie została wyszorowana, opłukana i położona na ławce, a potem namaszczona olejkami i wygnieciona jak ciasto. Zrozumiała w pełni złe samopoczucie Smitha. Jakby czytając w jej myślach, zasypywały ją pytaniami o niego.

- Jaki on jest, ten wysoki? - chciała wiedzieć najstarsza, Hathor, kiedy zebrały się wszystkie wokół Abigail by natrzeć ją wonnymi olejkami.

- Jako kochanek - dodała Calla o cienkich i rzadkich włosach. - Jest delikatny?

- A może jest jak rozwścieczony Hun? - spytała Mercedes, a jej wyblakłe ze starości oczy nagle zabłyśły.

- Ja zawsze wołałam kochanków twardych i energicznych - rozmarzonym głosem oznajmiła Elysia. - Którzy potrafili z poskramiania zrobić najlepszą zabawę.

- To było tak dawno... Opowiedz nam, Bibliotekarko - prosiła Hathor, zbliżając się do Abigail. - Czy ryczy jak tygrys, czy raczej wyje jak wilk, kiedy osiąga przyjemność?

- Ja... nie wiem - powiedziała Abigail, rumieniąc się tak, że wydawało jej się, że nawet jej włosy się czerwienią. - On nie jest moim kochankiem.

Nawet kiedy to powiedziała, jakaś jej cząstka jęknęła z rozczarowaniem graniczącym z oburzeniem. Smith miał rację, pragnęła go jako mężczyzny. Był przystojny i silny, interesujący i zmysłowy...

Ale był także arogancki i tajemniczy, prawdopodobnie gwałtowny... i niezbyt godny zaufania. Dał jej jasno do zrozumienia, że przyjechał tu tylko w poszukiwaniu skarbu, żeby opłacić

swoje oczyszczenie z zarzutów albo zemstę. Martwił się głównie o siebie i kiedy tylko udawało jej się o tym zapomnieć, natychmiast jej to przypominał.

- On jest tylko moim pracownikiem - powiedziała z przekonaniem.

„Pracownik” to było słowo, które ciężko było przetłumaczyć na starożytną grekę. Stare kapłanki wydały okrzyk zdziwienia, kiedy im to wytłumaczyła, i spojrzały zaniepokojone na Iderę. Kapłanka westchnęła i powtórzyła im, jaką rolę w przepowiedni spełniła Abigail, a potem zwróciła się do niej, wyjaśniając ich zaniepokojenie.

- Zanim przybyliśmy ze strażnikami do Nowej Aleksandrii, służyliśmy Atenie w małym stowarzyszeniu poświęconym poszukiwaniu mądrości poprzez zrozumienie tajemnicy związku mężczyzny i kobiety.

Chwilę zajęło Abigail zrozumienie jej słów. Związek mężczyzny z... Och! Kiedyś natrafiła na aluzje do takich rzeczy w dziełach naukowych, ale wołała się w to nie zagłębiać, uważając za niestosowny temat. Teraz nie tylko musiała pogodzić się z faktem istnienia takiego stowarzyszenia, ale jeszcze znalazła się w sytuacji, w której jest oceniana zgodnie z ich poczuciem wrażliwości. Wyprostowała się, jak przystało na podejrzaną o wstrzeźliwość.

- Cóż..., hm, spodziewaliśmy się, że bogini ześle nam Bibliotekarkę w pełni uświadomioną we wszystkich sferach mądrości - powiedziała Idera, sprawiając wrażenie, jakby chciała ją przeprosić.

Abigail rozejrzała się dokoła po smutnych twarzach kobiet i westchnęła zrezygnowana.

Nie dość, że musiała spełnić oczekiwania własnej matki, pomyślała, kiedy ubierały ją w strój podobny do ich tunik, to miała jeszcze spełnić oczekiwania bogini i uporać się z rozczarowaniem sześciu osiemdziesięcioletnich kapłanek! Właśnie w chwili, kiedy już poczuła się szczęśliwa, że znalazła bibliotekę.....,,

Kiedy już zjadła i napiła się wina w towarzystwie kapłanek, a później została przez nie eskortowana z powrotem do swoich komnat, czuła się trochę oszołomiona i marzyła o zasłużonym odpoczynku. Kiedy znalazła się sama, przez chwilę stała, przyglądając się drzwiom, za którymi zniknął Smith, a potem zdecydowanie odwróciła się w stronę drugich drzwi oddalonych od tamtych o całe metry. Musiało tu gdzieś być dla niej łóżko.

Znalazła się w słabo oświetlonej komnacie, stojąc naprzeciwko podestu z wielkim łóżem z lnianym baldachimem, pod którym leżał Smith ubrany wyłącznie w swój uśmiech i błąd ślad po opasce na oko. Spojrzała zaskoczona na obie pary drzwi, które prowadziły do tego samego pomieszczenia.

- Cześć, Boston - wypowiedział niskim i łagodnym głosem..

Na całym jej ciele pojawiła się gęsia skórka.

- Staruszki są zaskakująco postępowe w sprawach spania.

Jego głęboki głos sprawiał, że zaczęły ją piec opuszki palców.

- Są kompletnie stuknięte - mruknęła, krzyżując ręce na piersi i podnosząc na niego wzrok.

- Łóżko jest naprawdę wygodne. - Poklepał dłonią pościel.

- Wskakuj.

- Zrób coś dla mnie - powiedziała, chwytając się jedynej kwestii, która pozostawała dla niej niejasna. - Zakryj dłonią prawe oko i powiedz mi, co widzisz.

Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie, a potem uniół dłoń i zasłonił nią oko.

- Widzę piękną młodą kobietę... mającą na sobie zbyt wiele ubrań.

Jeszcze ciaśniej skrzyżowała ręce.

- Zatem opaska na oku to tylko podstęp?

- Czy to z tego powodu jesteś taka uszczypliwa? — zaśmiał się pobłaźliwie i spuścił nogi z łóżka. Poczuli ulgę, widząc, że wokół bioder ma przewiązany lniany ręcznik. - No dobrze. Widzę na lewe oko. Mój wzrok stopniowo się poprawia. Ale nadal mam problemy w jaskrawym świetle słonecznym, które

powoduje, że widzę świetliste obwódki wokół przedmiotów. Mniejszym wysiłkiem wydaje mi się noszenie opaski na oku w słońcu. Zdejmowanie jej i zakładanie jest męczące, więc w Maroku noszę ją bez przerwy.

- I?

- I... służy mi także do odstraszenia. — Zatrzymał się, oceniając jej sceptyczne spojrzenie i pozę wyrażającą upór, i zdawał się stracić nieco pewności siebie. - Pamiętaj, że są ludzie, którzy pragną mojej śmierci.

- A więc zamierzałeś nie mówić mnie, twojej współpracownicy, że w zasadzie masz dwoje sprawnych oczu? - powiedziała ze złością. - Tak samo jak nigdy nie zawracałeś sobie głowy poinformowaniem mnie, że byłeś w więzieniu za zabicie człowieka, albo że wiedziałeś o Ferdineaux LaCroix, ponieważ to twój wuj... albo o tym, że legia uznała cię oficjalnie za nieżyjącego. Ile jeszcze sekretów skrywasz, Smith? Może założyłeś harem w jakimś pałacu na odludziu? A może handlujesz kradzionymi antykami?

Resztki dobrego nastroju opuściły go.

- Na miłość boską... - Zbliżył się do niej, ale powstrzymała go. - Przysłał tu z jakąś cholerną listą, tak? Masz wypunktowane moje grzechy i przewinienia? - Krew się w nim zagotowała. - Powtarzasz je sobie jak różaniec, prawda? I myślisz, że w ten sposób utrzymasz mnie na dystans? Może jeszcze zawieszysz sobie na szyi mały naszyjnik z czosnku na wypadek gdybyś miała przebywać w moim towarzystwie?

- Jestem pewna, że są tu jeszcze inne łóżka — powiedziała, spoglądając na drzwi.

- Sugeruję zatem, żebyś je sobie znalazła - warknął, po czym wrócił na podest i wspiął się na łóżko. - Ponieważ ja się nigdzie nie wybieram.

- To moje łóżko. Stare kapłanki...

- Pomyślały, że pewnie już spaliśmy ze sobą, a przynajmniej obok siebie, więc kilka nocy więcej nie zabije żadnego z nas.

- Wynos się z mojego łóżka! - krzyknęła, wskazując palcem drzwi.

- O co ci chodzi, Boston? Co ja ci zrobiłem? - dopytywał się, siedząc sztywno na łóżku. - Co ja takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na taki gniew?

Chce wiedzieć? Bardzo dobrze.

- Za każdym razem, kiedy pomyślę, że mogę na tobie polegać, okazuje się, że napotykam kolejne twoje tajemnice i uświadamiam sobie, że w ogóle cię nie znam.

W jego oczach pojawił się błysk.

- Ty wcale nie chcesz mnie poznać - powiedział zaczepnie. — Tak jest ci znacznie łatwiej. Bo ty musisz żyć w świecie swoich cennych książek i nie chcesz zmierzyć się z prawdziwym światem. A prawdziwy świat jest pełen prawdziwych mężczyzn. A tacy mężczyźni są nieporządni, pełni sprzeczności, kłopotliwi. Musisz przyjmować dobro i zło, bo życie ma gorzki i słodki smak jednocześnie. I powinnaś być ze sobą szczerą, Boston. Bo w jednej minucie jesteś rozpalona jak piec, a w następnej zimna jak lód. W jednej chwili jesteś delikatna jak płatki róży, a w następnej kłująca jak kaktus...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, on już schodził z łóżka i zbliżał się do niej.

- Zaczekaj... Nie możesz...

- Ależ mogę. - Złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Ponieważ pozwolisz mi na to.

Jego pocałunek wywołał w niej falę gorąca rozptywającą się po całym ciele i porywającą w odmęty wszystkie jej obiekcje. Nie potrafiła przerwać tej jego demonstracji nieskrywanego pożądanego. Ani swojej... Gdyby uniosła ręce, by go od siebie odepchnąć, prawdopodobnie wylądowałyby na gładkiej skórze jego pleców. Więc stała, nie opierając się, ale też nie reagując, mając nadzieję ukryć przed nim zamęt, jaki w jej uczuciach wprowadzał ten pocałunek.

Kiedy uniósł głowę, miał pociemniałe oczy i; przyspieszony oddech.

- Jesteś pewna, że to ze mną walczysz?

Cofnęła się o krok, kiedy ją uwolnił i stała bez ruchu kompletnie zdruzgotana. Znowu popełniała błąd. Błąd za błędem...

Patrzyła, jak wraca do łóżka, gasi lampę i kładzie się na pościeli. Rzucił jej wyzwanie, żeby udowodniła, że się nie obawia siebie...

„Na co czekasz, Abigail?” - usłyszała w głowie głos matki. „Bierz kochanka. Zrób coś dzikiego i pięknego! Czego się obawiasz?”

W słabym świetle wpadającym z komnaty obok weszła po schodkach na podest z drugiej strony łóżka i z ostentacyjnym rozmachem usiadła na materacu. Kiedy bicie jej serca powróciło do normalnego rytmu, wyczuła, że on czeka, nasłuchuje... Więc postanowiła podzielić się z nim swoimi odczuciami, skoro już tak świetnie ją zanalizował.

- Wiesz, czego najbardziej w tobie nie znoszę? — Miała nadzieję, że odpowiedź będzie dla niego tak samo irytująca, jak on był dla niej. - Że jesteś taki sam jak moja matka.

Pierwsze scriptorium - powiedziała Idera następnego ranka, otwierając ciężkie cedrowe drzwi i wprowadzając ich do środka - było także największą z trzech głównych komnat bibliotecznych. - Zapaliła szybko lampy wiszące na ścianach, w których światło ukazały się długie stoły stojące na środku komnaty, a przy ścianach rzędy półek pełnych rękopisów, papiirusów i ksiąg. Na stole znajdowały się pojemniki z atramentem i pióra różnej wielkości, a wszystko pokryte grubą ą warstwą kurzu. Z sufitu i półek zwisały pajęczyny, lampy naftowe i świeczniki na stołach całe były pokryte sadzą i kurzem.

Abigail spojrzała na Smitha, który zmarszczył brwi, i zmusiła się do odsunięcia od siebie myśli o ich wczorajszej kłótni i skupienia się na odkryciach, które miała w zasięgu ręki. Było jasne, że w tej komnacie nikt nie przebywał od bardzo dawna.

- Nie opiekujecie się rękopisami? - nie potrafiła ukryć zaniepokojenia.

Idera westchnęła i spojrzała na Hathor i Callę, które wyraźnie się skuliły.

— Przez stulecia kopiowałyśmy rękopisy, które uległy zniszczeniu lub wyblakły - odparła Hathor. - Niektóre z nich były kopiowane nawet kilkakrotnie, ale zawsze wiernie i z wielką troską i dokładnością. Nasi przodkowie odkryli, że kobiety są lepsze w wiernym kopiowaniu, więc mężczyźni zajęli się ochroną społeczności i utrzymaniem porządku w osadzie. Nadzorowali naszą działalność, handel i uprawy. - Uśmiechnęła się, widząc ich niedowierzanie. - W tamtych czasach jeszcze nie byliśmy tak przysypani przez pustynię. Mogliśmy uprawiać pola w dwóch wielkich oazach połączonych z naszą osadą.

- Jak to robiliście? - dopytywał się Smith.

- Korytarze, jak ten, do którego wpadliście, tworzą labirynt w skale pod warstwą piasku - kontynuowała Calla. - W oazach niektórzy z naszej społeczności prowadzili gospodarstwa rolne i wymieniali towary z innymi osadami, a także mieszały się z nomadami. Ale potem piaski pustyni zaczęły nas przytłaczać i zostaliśmy zmuszeni do porzucenia naszych pól i do kupowania większości potrzebnego zaopatrzenia.

- Teraz nasze oczy nie widzą tak dobrze, a nasze ręce za bardzo się trzęsą, żebyśmy mogły wykonywać pracę kopiowania. Nasze dni tutaj są policzone - podsumowała Idera. - Jesteśmy dumne z wypełnionej misji. Ale odczuwamy ulgę, mogąc powierzyć ją w twoje ręce.

Abigail rozejrzała się po rękopisach i zdała sobie sprawę z ogromu zadania, jakie zostało jej przekazane. Żeby sprawdzić, ocenić, skatalogować i zabezpieczyć te bezcenne relikty, będzie musiała spędzić tu całe życie. Delikatnie wzięła z półki jeden z rękopisów i zaniósła go na stół. Calla i Idera wytarły stół z kurzu i przysunęły dla niej krzesło.

Rozwijając zwój, zauważyła, że atrament jest nadal ciemny i wyraźny, a dokument czytelny. Lecz papier był tak stary, że pokruszył się, gdy go rozwinęła.

- Co to takiego? - spytał Smith, spoglądając jej przez ramię.

- Greka?

- Hebrajski. - Uniosła wzrok, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Pismo wielkiego rabina i myśliciela antycznego, Gamaleala, nauczyciela Świętego Pawła.

Przeglądając dalej księgozbiór, natrafiła na kopię „Dialogów” Platona, „Tablice” Kallimacha, „Historię naturalną” Pliniusza, Dzieła Herodota, babiloński kodeks praw króla Tiglatoilesera. Każde kolejne odkrycie wydawało jej się wspanialsze od poprzedniego. Trudno będzie wybrać te, które zabierze ze sobą do muzeum.

Godzinę później zaczęły ją piec oczy od wszechobecnego

kurzu, a plecy rozbolały od dźwigania ukrytego gorsetu, który przeszkadzał w pochylaniu się nad rękopisami. Kiedy Idera zaproponowała jej, żeby teraz obejrzała drugie scriptorium, Abigail z chęcią na to przystała i ruszyła w towarzystwie głównej kapłanki do kolejnych wielkich cedrowych drzwi zabezpieczonych żelaznym zamkiem.

Wewnątrz powietrze było wilgotne i miało przykry zapach, a kiedy zapalono lampy, wiedziała już dlaczego. Wilgoć sączyła się ze ścian i gromadziła się na porowatym kamieniu, by spłynąć między rękopisy. Najbardziej podatne na zniszczenie były papirusy, zrolowane w matach z trzciny i przechowywane w drewnianych pudełkach, doskonale wchłaniających wilgoć. Idera zawołała kapłanki i wszystkie zaczęły wynosić część zbiorów do głównej sieni, która prowadziła na plac, gdzie można je było obejrzyć i w razie potrzeby osuszyć. Smith i Haffe, którzy podążali za Abigail z zaskakującym zainteresowaniem, zostali także zapędzeni do pomocy i wkrótce komnata została opróżniona ze wszystkiego, co dało się uratować.

Kiedy wynosili ostatnie rękopisy ze scriptorium, Smith, zauważył kolejne masywne drzwi.

- Tam też są zwoje? - spytał. Oczy mu zabłyśnęły, kiedy Idera odpowiedziała niedbale:

- Nie. Nie zwoje. Złoto.

Nagle dał się słyszeć stłumiony łomot, a ziemia zadrżała. Przyskoczyli pod ściany, kiedy z pęknięć w suficie korytarza zaczął się sypać pył i kurz. Lecz sufit wytrzymał i trzęsienie ustało.

- Co to było? - spytał Smith, prostując się i otrzepując z siebie piach i kurz, osiadły na jego świeżo wypranej koszuli.

- Prawdopodobnie następny tunel się zawalił. - Idera wzruszyła ramionami, ale wyglądała na zmartwioną. Spojrzała na Abigail i starła kurz z jej policzka. - Straciłyśmy już bardzo wiele tuneli w ciągu ostatnich kilku lat. Łącznie z tym, do którego wpadliście.

- A w sprawie złota... - powiedział Smith, spoglądając na drzwi.

- Ach, tak. - Idera pchnęła kościstą ręką ciężkie drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem.

Pospiesznie weszli do komnaty, niosąc ze sobą lampy, ale w środku nic nie znaleźli. Kamienna podłoga i ławki były puste poza parą pogiętych i poprzewracanych kubków, z których odprysnęła większa część złotej glazury.

- To wszystko? - Smith podniósł kubek i przyjrzał mu się.

- W świątyni jest jeszcze kilka egzemplarzy, ale reszta zniknęła - powiedziała Idera, zwracając się do Abigail. - Tak jak mówiłam, przybyłaś w samą porę.

Lecz nie na czas, o czym się wkrótce przekonali, żeby uratować zbiory z trzeciego scriptorium. Kiedy otworzyli drzwi, w całej komnacie była woda sięgająca im do pól łydki. Skalne bryły i zaprawa murarska poodpadały z zawilgoconych ścian, pozwalając wodzie swobodnie się przesączać i spływać strumykami w dół murów. Niektóre z półek przewróciły się, a ich zawartość częściowo pływała po powierzchni wody, a częściowo zatopiona dawała się wyczuć pod stopami, kiedy weszli do środka, żeby sprawdzić pozostałe rękopisy.

Pleśń i zgnilizna były wszędzie. Cały zbiór został zniszczony. Wyprawdzili z komnaty Iderę i starą Hathor zalane łzami.

Posadzili stare kobiety na podłodze w korytarzu i podali im wino, żeby uspokoić ich nerwy.

- Idera i ja... - odezwała się Hathor - wiedziałyśmy, że od pewnego czasu ściany przemiekają. Nasze korytarze, sklepienie i świątynia... Pustynia stara się odzyskać to, co kiedyś jej zabraliśmy. Utrzymywałyśmy te informacje w tajemnicy przed naszymi siostrami w nadziei, że jeszcze przez jakiś czas uda nam się przetrwać.

- Musimy działać natychmiast i wydostać rękopisy z miasta - powiedziała Idera, chwytając dłonie Abigail.

Abigail przytaknęła i popatrzyła wymownie na Smitha, który odwzajemnił się niezbyt przychylnym spojrzeniem.

Obozowisko było porzucone, to oczywiste. Gaston siedział na koniu i obserwował, jak jego ludzie przekopują się przez rzeczy Smitha i przetrząsają bagaże kobiety. Wyciągali z nich jedwabne halki i ubierali się w nie, parodiując kobiece ruchy i śmiejąc się w głos. Usta Gastona wykrzywiły się w pełnym zadowolenia uśmiechu. Cztery dni poszukiwań wreszcie się opłaciły.

- Rozproszyć się! - warknął, zeskakując z konia. - Nie odeszli daleko. Ich zwierzęta są tu nadal.

Kiedy podwładni niechętnie przerwali wesołą zabawę i zaczęli przeszukiwać pobliskie wydmy, Gaston przeszedł się po obozowisku, rozrywając część brezentu stanowiącą namiot i kopiąc kilka książek w skórzanych oprawach, które jego ludzie wyrzucili z torby podróźnej.

- Książki - warknął. Właśnie tego nie znosił najbardziej w Smisie: zawsze obnosił się ze swoim pochodzeniem i wykształceniem. Zachowywał się, jakby pozjadał wszystkie rozumy.

Jeden z legionistów znalazł butelkę whisky, którą Gaston skonfiskował i teraz pociągnął duży łyk alkoholu, oczekując na reakcje żołnierzy. Cholerna destylowana whisky! Omal jej nie wypłuł.

- Tylko najlepsza, angielska, co? Ciesz się swoją dziwką i skarbem, póki możesz. Kiedy cię dopadnę, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

- Tutaj! - Jeden z jego ludzi przybiegł zza pobliskiej wydmy, machając rękoma i przywołując go do siebie. - Znaleźliśmy coś!

Gaston rzucił butelkę, wyciągnął broń z kabury i pobiegł zobaczyć, co takiego znaleźli. Rozczarowanie wyraził złośliwą uwagą pod adresem żołnierzy, kiedy spojrział w dół na duży lej w piasku.

- To? - Rękojeścią pistoletu uderzył legionistę w głowę.
- Wołałeś mnie, żeby mi to pokazać?
- To dziura, sierżancie - oznajmił wysoki, wychudzony Schuller, wychodząc przed szereg swoich towarzyszy broni.
- I prowadzą do niej niewyraźne ślady, ktoś tędy uciekł.
- Przez dziurę, tak? - Gaston zastanowił się nad niezwykłością takiego zjawiska na pustyni. - Przynieście linę - rozkazał chudemu legionście. - Ty zejdziesz tam na dół i zobaczysz, co to jest.

Po krótkim czasie Schuller zniknął razem z końcówką liny w ruchomych piaskach, ale po chwili pojawił się znowu, przepychając zapiaszczoną głowę przez otwór w leju.

- Tunel — zawołał. — Tu jest tunel. Częściowo zasypany.

Z jeszcze większą świadomością, że nie ma na co czekać, Abigail, Smith, Haffe i Idera prędko wrócili na plac, gdzie zostały wyniesione rękopisy z drugiego scriptorium, a stare kapłanki zajmowały się teraz rozwijaniem ich i sprawdzaniem ich stanu. Abigail i Idera zaczęły rozważać kwestię transportu i wtedy Haffe zaoferował się, że weźmie drabinę i korytarzem, którym tu przybyli, wróci do obozowiska i przyniesie ekwipunek oraz przyprowadzi konie.

Czując, że mają naprawdę coraz mniej czasu, Abigail zaczęła przeglądać i wybierać rękopisy znanych myślicieli. Miała ściśnięte gardło, kiedy tak przekładała zwoje jeden po drugim, wiedząc, że wybierając jedno, żeby zabrać je ze sobą, może odrzucić inne, ważniejsze, które mogą nie przetrwać do czasu, kiedy powróci tu z pełną ekspedycją.

Smith przyglądał się jej, jak obchodziła się z książkami. Sposób, w jaki zagryzała dolną wargę, cierpienie malujące się w jej spojrzeniu za każdym razem, kiedy odkładała z powrotem rękopis i przechodziła do następnego; opuszczone ramiona, jakby zmagająca się z brzemieniem, które zrzuciły na nią kapłanki...

Podjęcie takich decyzji sprawiało jej ból. Patrząc, jak jej palce wracają do odrzuconych zwojów w pragnieniu, by je zabrać, by ich nie zostawiać, rozpoznał w całym jej działaniu wielką moc pierwszej miłości. Bardzo wcześnie zakochała się w książkach i poświęciła im swoje życie. W tej krótkiej chwili zajrzał do jej serca i zaczął dostrzegać nieodkryte dotąd pokłady na dnie własnej duszy.

Poczuł ciężar w piersi, a jego żołądek zdawał się kurczyć. Uderzyło go to, że nie tylko potrafił zrozumieć pragnienie i rozpacz, jakie teraz odczuwała, ale czuł tak samo. W jakiś sposób jej uczucia przeniknęły do niego, do jego piersi, żołądka i ... Co się z nim działo? Nasiąkał jej uczuciami jak jakaś cholerna gąbka!

To te pocałunki. I jej dotyk. I jej słowa. Kłótnia. Sprzeczek. Przy każdym spotkaniu z nią coraz bardziej się zarażał. Wywoływała w nim gorączkę i podniecenie. W jego głowie. W jego sercu.

Dobry Boże.

Nagle oszołomiony zrobił krok do tyłu i upadł na schody. Zakochał się w Abigail Merchant. Świadomość tego rozeszła się po jego ciele jak dobra whisky. Był zakochany w kobiecie, która sprawiała, że czuł się jednocześnie podniecony, wściekły i szalony!

Zerwał się na równe nogi, zdecydowany odejść, a przynajmniej nabrać dystansu do tych szokujących rewelacji. Wtedy ona podniosła wzrok znad rękopisu, który trzymała w dłoni, i spojrzała mu prosto w oczy. Jej błyszczące oczy przepelnione były uczuciem spełnienia i smutkiem. Nagle poczuł dokładnie to samo. Dziwną przyjemność zabarwioną bólem. I nie potrafił odejść. Nie mógł jej tak po prostu zostawić. Być może nigdy nie będzie w stanie jej zostawić. Podszedł do niej i wyjął jej z dłoni rękopis.

- Chodź, Boston. Potrzebujesz odpoczynku. - Pociągnął ją, żeby wstała, i poprowadził przez korytarz do sali jadalnej, gdzie kazał jej usiąść i wcisnął jej w dłoń kubek wina.

- Tego jest tak dużo - powiedziała, patrząc na niego bezradnie. - Nigdy w życiu nie myślałam, że będę musiała podejmować takie decyzje, i to sama.

- Ty jesteś do tego najlepiej przygotowana. - Usiadł obok niej i zauważył, że ręce mu się trzęsą.

- Ale jeśli źle wybiorę? Jeśli nie docenię znaczenia jakiegoś rękopisu...

, - Posłuchaj, świat jakoś poradził sobie bez tych ksiąg przez prawie dwa tysiące lat. Jeśli przeoczysz kilka rękopisów, z pewnością przeżyjemy. - Sięgnął po jej dłoń i dotyk jej skóry wywołał dreszcz silnego podniecenia w całym jego ciele.

Opuściła wzrok i uśmiechnęła się łagodnie.

Krótki dźwięk, jakby ktoś strzelił z bata, odbił się echem w podziemiach. Było w nim coś, co mocno zaniepokoiło Smita. Wyprostował się, nasłuchując i wkrótce usłyszał kolejny, a potem jeszcze jeden. Rzucił się, by zaryglować drzwi.

- Wystrzał! - wyjaśnił.

Na placu kapłanki stanęły jak zamurowane, wpatrując się z konsternacją w kierunku wyjść z różnych tuneli. Dźwięki nie były podobne do dudnienia i osuwania się ziemi, do których zdążyły się już przyzwyczaić. Te były ostre, krótkie i brzmiały niepokojąco, jak odgłosy wydawane przez człowieka. Najpierw przywiał ostry, gryzący zapach, a potem z tunelu wyskoczyło kilku mężczyzn w zakurzonych mundurach z karabinami w dłoniach, prowadzących przed sobą Haffego na muszce.

Stare kobiety, początkowo zaskoczone, po chwili uspokoiły się nieco, gdyż w końcu miały pewne doświadczenie z takimi czy innymi intruzami. Jedno spojrzenie na bezlitosne i oszpecone bliznami twarze mężczyzn wystarczyło, by zdały sobie sprawę z powagi sytuacji. Hathor odłożyła rękopis, który właśnie zwijała, i wycofała się za najbliższą kolumnę, nie słuchając tyrady grubego mężczyzny o płaskiej twarzy, który żądał podania się. Pomknęła do sali jadalnej na tyle szybko, na ile pozwalały jej dotknięte artretyzmem nogi.

Gaston. Abigail zauważyła go przez szczelinę w drzwiach sali jadalnej i cofnęła się do pomieszczenia, kiedy Hathor wpadła do środka i przemknęła do korytarza po drugiej stronie. Potem zobaczyła, jak Smith staje u stóp schodów wychodzących na plac i ledwie zdołała się powstrzymać, żeby go nie ostrzec. A on podszedł do fontanny, przykucnął za nią i z ukrycia zerkał na Gastona. Abigail bezradnie patrzyła, jak sierżant i jego rzeźmieszki okrążają stare kapłanki i żądają, by powiedziały im, kto jest tu najważniejszy, oraz by oddały wszystkie swoje kosztowności i ujawniły miejsce pobytu *l'homme Smeeth*.

Żadna z kobiet nie rozumiała francuskiego. Przez kilka upiornych minut Gaston przechodził od jednej kobiety do drugiej, wykrzykując im w twarz nazwisko Smitha i żądając odpowiedzi, dodatkowo strasząc je uniesioną pięścią i poszturchiwaniem.

Idera wbiegła na plac i zbliżyła się do Gastona, nie okazując najmniejszego lęku. Nalegała, żeby opuścili podziemia, lecz Gaston nie rozumiał jej, dopóki nie wskazała gestem tunelu, którym przyszli, i nie wydała rozkazu tonem tak władczym, że zrozumiałym w każdym języku. Najpierw warknął, a potem zamachnął się i uderzył ją wielką pięścią tak, że upadła na wznak na chodnik.

- Sukinsyn! - Smith wyskoczył zza fontanny i w mgnieniu oka znalazł się obok niego, zwalając go z nóg i upadając razem z nim na ziemię.

Smithowi udało się wymierzyć kilka silnych razów, zanim ludzie Gastona odciągnęli go i odpłacili mu tym samym. Abigail krzywiła się przy każdym ciosie, który otrzymywał. Sięgnęła do tyłu po broń, ale zdała sobie sprawę, że nie ma jej /a paskiem, bo zostawiła ją w jednej z toreb w obozowisku, gdzieś na pustyni. Nie było czasu na szukanie innej. Żeby pomóc jakoś Smithowi, mogła liczyć jedynie na element 7a skoczenia...

- *Zaczekaj.* - Ktoś złapał ją za ramię, więc odwróciła się i zobaczyła Hathor. - To nie ma sensu. Musisz pójść ze mną, żeby się przygotować.

- Przygotować do czego? - Abigail strząsnęła z siebie jej rękę i odwróciła się w stronę placu, gdzie rozgrywała się cała akcja. Smith przyczołgał się do Idery i objął ją, ale Gaston wciąż mierzył w jego głowę. Pozostałe stare kapłanki wybrały sobie po jednym żołnierzu i zaczęły się do nich zbliżać. Nagle starszki zaczęły głaskać i przymilać się do ludzi Gastona w przerażającej parodii uwodzenia. Mężczyźni wystraszeni zalotami starych kobiet zapomnieli o rozkazach Gastona i najwyraźniej mieli ochotę uciekać. Opędzali się od kobiet i byli coraz bardziej tym oszołomieni, a kapłanki nieustępliwie starały się zwrócić na siebie ich uwagę.

Stojąca obok Abigail Hathor pokręciła głową z niepokojem.

- Zwykle to działało - mruknęła. - Chodź. Teraz. Musimy się pospieszyć.

- Złapcie te stare dziwki - wrzasnął Gaston - i zamknijcie je gdzieś!

Mężczyźni chwycili kapłanki i mimo ich pisków i drapania

paznokciami zaciągnęli je do najbliższych drzwi. Gaston wy-
nierzyl Smithowi silnego kopniaka.

- Gdzie jest skarb, po który przyjechaliście? - krzyknął
rozwścieczony.

Smith zwinął się w kłębek, trzymając się za bok.

- Rozejrzyj się - odparł przez zaciśnięte zęby. - Te rękopisy
są tu jedynym skarbem. Po to tu przyjechaliśmy. Po księgi.

- Kłamca - warknął Gaston, a potem przyjrzał się leżącym
na podłodze zwojom. - Nie przyjechałeś tu po papiery! - Kop-
nął kilka z bliżej leżących cennych rękopisów. Dźwięk
rozzieranych papirusów sprawiał Abigail ból. - Gdzie jest
skarb?

- Kopnął ze wściekłością Smitha raz i drugi.

- Nie! Przestań! - Idera rzuciła się na Smitha z wyciąg-
niętymi rękoma, żeby osłonić go przed kolejnymi ciosami.

- Powiedz mu, że pokażę mu skarb!

- Ale przecież nie ma żadnego - odparł.

- To nieprawda. - Kiedy spojrział w oczy Iderze, jej wzrok
przekonał go, że powinien jej zaufać. - Jest jeszcze coś, czego ci
nie pokazałam.

Gaston obserwował pełną napięcia wymianę zdań między
Iderą a Smithem i kiedy Smith przetłumaczył jej treść, Gaston
przywołał jednego ze swoich ludzi, żeby związał Smitha i ciągnął
go za sobą.

Wkrótce stare kapłanki zostały zamknięte w komnacie przy
placu, a Idera i Smith szli za ludźmi Gastona podziemnymi
korytarzami w kierunku scriptorium. Idera zatrzymała się przed
drzwiami do zalanej wodą komnaty.

Zrobiła przedstawienie z dobierania klucza pasującego do
zamka, więc żołnierze unieśli do góry lampy i odepchnęli ją na
bok, przepychając się do wejścia. Zaskoczył ich widok wody,
odwrócili się, krzycząc, że pomieszczenie jest zatopione. Gas-
ton zwrócił się do starej kapłanki, wymachując pięścią i rzuca-
jąc przekleństwa.

- Powiedz mu, że są inne drzwi - odezwała się kapłanka do

Smitha, nie okazując lęku. - Ale, żeby się do nich dostać, jego ludzie będą musieli usunąć belkę, która je tarasuje.

Uniosła szaty, weszła do wody i brodząc po kolana, zaprowadziła ich do wnęki w końcu komnaty. Leżało tam kilka belek, które prawdopodobnie odpadły od drewnianego umocnienia sufitu. Jedna z belek blokowała drzwi i zasłaniała metalowy zamek. Gaston przeanalizował sytuację i przyjrzał się podejrzliwie starej kobiecie, a potem wycelował w Iderę pistolet.

- Ty, Schuller - rozkazał - idź i znajdź jakieś siekiery.

Kiedy Gaston przyglądał się drzwiom, które mieli otworzyć jego podwładni, Idera przechwyciła spojrzenie Smitha i potajemnie dała mu znak, wskazując główne drzwi za nim.

- Tędy. - Hathor prowadziła Abigail przez wąskie korytara wykute w skale. Im więcej mówiła, tym wolniej musiała iść, bo brakowało jej tchu. - Przygotowaliśmy się na ten dzień.

- Jaki dzień? — Abigail spojrzała przez ramię. — Powinnaś wrócić i ...

- Powinnaś zająć się swoim zadaniem, Bibliotekarko - zgaśniła ją starszka. - Twój mężczyzna da sobie radę.

Abigail poczerwieniała. Jej mężczyzna.

- Gaston chce go zabić.

- Ten brutal? - prychnęła pogardliwie. - Jemu bardziej zależy na złocie.

Weszły do świątyni i Hathor poprowadziła ją za ołtarz, gdzie mimo nieskrywanej chęci pospieszenia się, stara kobieta z trudem odszukała małe żelazne kółko z otworem w kształcie gwiazdy. Potem wyciągnęła klucz i włożyła go w otwór. Coś przeskoczyło w zamku z charakterystycznym kliknięciem i Hathor zdjęła z wierzchu marmurową płytę. Kiedy pchnęła dźwignię, posąg Ateny zaczął się obracać, odsuwając się od postumentu. Abigail musiała pomóc starej kapłance unieść do góry pokrywę ołtarza a kiedy to zrobiły, obie zadyszane wpatrzyły

się w skrzynię, która ukazała się ich oczom i która była pełna glinianych zapieczętowanych pojemników - amfor.

- Tutaj przechowywane są nasze najcenniejsze teksty poświęcone Atenie. Nasz spadek dla świata. Jeśli nikt z nas nie przeżyje, musisz zadbać, żeby znalazły się w bezpiecznym miejscu.

W głosie Hathor brzmiała rezygnacja, co jeszcze bardziej zdenerwowało Abigail. Pomogła kapłance wyciągnąć amforę ze skrzyni. Wysokie, wąskie naczynie z uchwytyami z dwóch stron szyjki, było cięższe, niż myślała. Kiedy wszystkie siedem amfor znalazło się obok ołtarza, Hathor wyciągnęła spod szaty trzy kawałki mocnego sznura i próbowała uklęknąć, żeby przewlec je przez uchwyty. Abigail przyglądała się temu przez chwilę, a potem wzięła od niej sznury i sama przykucnęła i powiązała amfory po dwie, tak jak poleciła Hathor.

Podniósłszy wzrok, zobaczyła kapłankę trzymającą pozłacany naszyjnik, który właśnie wyciągnęła ze skrzyni. Był szeroki, pokryty takimi samymi złotymi płytkami, jakie pokrywały pancerny gorset, który Abigail miała na sobie.

- Nosił to główny kapłan i strażnik - powiedziała Hathor, z wyraźnym sentymentem wracając myślami do tamtych czasów. Potem wspięła się na palce i sięgnęła jeszcze po jakieś złote przedmioty. Wśród nich były insygnia władzy królewskiej używane w Egipcie między innymi przez Ptolemeusza, założyciela biblioteki - zakrzywione berło i bicz.

- Te przedmioty są bezcenne. — Abigail przysiadła z wrażeń i wpatrywała się z podziwem i przerażeniem w rzeczy, które podawała jej kapłanka.

- Tak, to prawda, - odparła Hathor, uśmiechając się smutno i wyciągając następne skarby. Były wśród nich złote lampy, przedmioty służące do oficjalnych ceremonii, końcówki na zwoje, patery i kielichy, bransolety i wielkie łańcuchy z medalionami z kamieni szlachetnych.

- To są symbole naszej kultury.

Ostatnimi przedmiotami, jakie wyjęła, była mała torba wypełniona kamieniami szlachetnymi, oraz dwie większe skórzane torby, które były w dobrej formie, żeby utrzymać bezpiecznie ciężar skarbu.

Stara kobieta chwyciła się krawędzi ołtarza. Oparła dłonie na ramionach Abigail i uściśniła ją mocno, pragnąc, by usłyszała i dobrze zrozumiała jej słowa.

- Musisz to zabrać ze sobą. To pomoże opowiedzieć ci naszą historię.

Abigail z trudem przełknęła ślinę. To były słowa pożegnalne. Hathor nie spodziewała się, że pożyje długo albo że jej społeczność przetrwa. Abigail pomyślała przez chwilę o zwojach ułożonych w sterty w sali jadalnej oraz rozrzuconych po placu i schodach, a potem skinęła głową i zaczęła pospiesznie chować skarby do skórzanych toreb, czując, że nie ma czasu do stracenia.

Usłyszały złowieszcze dudnienie, a potem trzask, który przerodził się w eksplozję. Wszystko wokół nich zadrżało tak jak wtedy, kiedy zawalił się jeden z tuneli, z tym że to drżenie było o wiele silniejsze.

Abigail pomyślała o pęknięciach w stiukach i kamiennych zdobieniach sklepienia nad placem. W całym tym mieście nie było chyba miejsca, które byłoby bezpieczne, gdyby sufit się zawalił...

Smith!

Przebiegła przez świątynię w stronę frontowych kolumn i rozejrzała się po placu. Kurz i piasek sypały się ze skalnego sklepienia, wypełniając powietrze złowieszcą mgiełką, jeden Legionista stał na straży, trzymając w dłoni karabin i obserwując z niepokojem sufit. Ale uwagę Abigail najpierw przykuły zwoje porozkładane niedaleko na schodach i na posadzce, a potem drzwi budynku, za którymi zostały uwięzione kapłanki.

Właśnie zdecydowała się ruszyć tam, by uwolnić Callę,

Elysię i pozostałe, kiedy Hathor przemknęła obok niej w stronę otwartej przestrzeni placu.

- Hathor, zaczekaj! Pozwól, że ja... - Zawołała Abigail stłumionym głosem, chcąc ją powstrzymać.

Zanim legionista ją zauważył, Hathor znajdowała się już w pół drogi do drzwi, za którymi były uwięzione jej siostry. Strażnik dogonił ją, ale ona nie przerywała biegu tylko machnęła ręką, odpędzając go od siebie. Najwyraźniej bez rozkazu Gastona żołnierz nie wiedział, czy ją zastrzelić, czy nie. W końcu uniósł broń, dokładnie w chwili, gdy kolejny jeszcze większy huk wstrząsnął całym kompleksem, sprawiając wszystko w drżenie. Żołnierz zatoczył się i zaczął machać rękoma, żeby utrzymać równowagę, a kiedy pierwszy głaz odpadł ze sklepienia, natychmiast zapomniał o staruszcze.

Pośrodku kopuły, z miejsca, z którego oderwał się fragment kamienia, cienką strużką zaczął sypać się piasek. To spowodowało, że po chwili z sufitu oderwał się drugi odłamek skalny, a potem trzeci. Nagle piasek zaczął sypać się na plac ciągłym strumieniem. Wystraszony legionista rzucił się z powrotem w stronę tunelu. Tymczasem Hathor dobiegła do drzwi, otworzyła zasuwę, ale zamiast zawołać siostry, żeby wyszły, sama weszła do środka, zostawiając drzwi otwarte.

Kamienne kolumny świątynnego portalu wokół Abigail zakotły się tak, że zaczęły się kruszyć ich głowy, a wielkie kamienne fragmenty zaczęły spadać na ziemię i roztrzaskiwać się z hukiem, więc Abigail zbiegła w dół na plac dokładnie w chwili, kiedy Idera, Smith i Haffe wybiegli z jednej z uliczek prowadzących do scriptorium. Wszyscy troje byli poturbowani i podrapani, i podtrzymywali się wzajemnie. Widząc Abigail, Smith ruchem ręki kazał jej zawrócić.

Oczywiście nie posłuchała go i zamiast się cofnąć, podbiegła do nich i chwyciła Iderę pod ramię, pomagając jej biec.

- Do świątyni! -jęknęła słabo Idera.

Po chwili dokuśtykali przez rumowisko portalu do bezpieczniejszej części wewnątrz świątyni.

Ziemia zadrżała potężnie jeszcze raz, a potem nagle wstrząsy ustały. Zapanował spokój, który wydawał się nienaturalny. W oddali było słychać spadające i toczące się głazy.

- Co się stało z Gastonem? - spytała Abigail, patrząc na Smitha.

Pokręcił ponuro głową.

Później - rzucił krótko.

Kiedy biegli do sanktuarium, Idera złapała Abigail za ramię.

- Hathor... Czy pokazała ci księgi? Czy przygotowałaś je?

- Tak. - Abigail pomogła kapłance dostać się na tyły ołtarza.

- Dzięki, bogini. Musisz je zabrać i uciekać... Teraz, zanim sklepienie całkiem się zawali.

- Muszę jeszcze wziąć kilka pozostałych ksiąg – powiedziała Abigail i ruszyła w kierunku placu. - Wiem, gdzie są te ważniejsze...

- Nie ma na to czasu. - Idera pociągnęła ją za rękaw i zawiesiła na jej ramieniu dwie amfory tak, że jedna wisała z przodu, a druga na jej plecach. - Nieś je w ten sposób. Pokażę wam najsolidniejszy tunel. Musicie się pośpieszyć.

- Nie. Nie mogę zostawić rękopisów.

- Idźcie już - powiedziała zbolałym głosem Idera - bo w ogóle się stąd nie wydostaniecie.

- Co to takiego? - Smith zarzucił sobie na ramię parę amfor, a potem zauważył wielkie torby. Uniósł jedną z nich i przekonał się, że jest wyjątkowo ciężka. - Co jest w środku? - Zanim ktokolwiek odpowiedział, on już włożył rękę do wnętrza torby i natknął się na zimny gładki metal. - Co, u diabła... - Rozwiązał torbę i zaglądając do środka, gwizdnął przeciągle. Potem spojrzął na Haffego, który wybuchnął radosnym śmiechem i złapał następną torbę, zarzucając ją sobie na ramię.

- Chodźcie, nie mamy czasu do stracenia. - Idera wcisnęła do ręki Abigail jedną z dwóch palących się lamp i otworzyła

ukryte drzwi z boku ołtarza. Wejście było bardzo wąskie, wykute w skale, tworzącej główną część świątyni. Smith musiał się schylać i przykucać, żeby się przez nie przecisnąć, a Haffe co chwila zdejmował z ramienia torbę ze złotem i ciągnął ją za sobą, żeby się samemu zmieścić. Ale po paru minutach męczącego i coraz bardziej klaustrofobicznego zejścia w dół doszli do tunelu, który był szerszy i wyższy. Powietrze było przepełnione pyłem, a pod stopami chrzęścił piach i drobne kamienie.

- Jeśli skręcicie dwa razy w prawo, a potem raz w lewo, to tym tunelem dojdziecie do oazy, która jest dokładnie na wschodzie - powiedziała Idera patrząc na Smitha. - Tunel, którym przyszlście, wychodzi na zachód. - Przytaknął jej. - Nadal możecie odzyskać wasze konie. A jeśli nie, od czasu do czasu obok oazy przechodzą nomadowie... - Wyglądała na zbolałą, kiedy każdemu z nich uściśnęła dłoń i wymamrotała jakieś błogosławieństwo. Kiedy odwróciła się, żeby wrócić do świątyni, Abigail chwyciła ją za rękę.

- Chodź z nami, Idero. Twoja wiedza jest bezcenna. Mogłabyś pomóc nam opowiedzieć waszą historię świata.

Dudnienie wstrząsnęło murami i cały tunel zatrzęsł się, a z sufitu posypał się piasek. Stara kapłanka zesztyniała, ale popatrzyła na nią smutnym, zrezygnowanym wzrokiem.

- Sto pięćdziesiąt lat życia już mi wystarczy - odparła. - Zostanę z moimi siostrami i podzielę ich los.

Kolejny, silniejszy wstrząs sprawił, że oprócz piasku zaczęły sypać się im na głowę drobne kamyki. Smith mruknął coś niecenzuralnego i wyrwał Iderze dłoń Abigail. Ukłonił się starej kobiecie i ruszył tunelem, ciągnąc za sobą Abigail. Protestowała i zmusiła go do zatrzymania się, ale kiedy spojrzała za siebie, zobaczyła tylko ciemność. Idera zniknęła ze swoją lampą. Oczy Abigail napełniły się łzami.

- Boston, trzymaj lampę wysoko - rozkazał Smith.

Kiedy ją uniosła i zamrugała powiekami, żeby pozbyć się łez, zauważyła z niepokojem, że z sufitu przejścia sypią się pył

i kamienie. Wielkie gązzy, które kiedyś zostały tu umieszczone i przytrzymane zaprawą murarską, teraz zdawały się niebezpiecznie obluźnione.

- To w każdej chwili może się zawalić - ostrzegł Smith.
- Szybciej!

Poruszali się jak we mgle. Światło lampy odbijało się od sypiącego się zewsząd pyłu, przez co z trudem mogli dostrzec drogę. Abigail wyciągnęła rękę i przysunęła się do ściany tunelu, żeby mur ich poprowadził. Zaczęli kasać. Smith kazał jej podciągnąć bluzkę i zasłonić nią usta i nos, żeby w ten sposób filtrować powietrze. Wyraźnie słyszała rosnące napięcie w jego, z trudem wydobywającym się głosie. Ciężkie torby ze złotem stawały się bardzo niebezpiecznym brzemieniem, lecz Smith był zdecydowany mu podołać.

Wtem usłyszeli ogłuszający huk i łomot odbijający się echem jak uderzenie pioruna. Ziemia *zadrżała*, i z sufitu zaczęły spadać duże kamienie. Abigail krzyknęła z bólu, kiedy ojej ramię otarł się wielki gąz.

- Biegnij! - rzucił Smith, przekrzykując hałas.

O mijając głązy i roztrzaskane drewniane belki, pędzili przez tunel, nie mogąc złapać tchu, uważając na obniżający się sufit i jednocześnie zaostrzające się nachylenie przejścia. Skupiali się na jak najszybszym pokonywaniu drogi i unikaniu spadających wokół nich głązów.

Abigail poczuła, że nie ma za nią Smitha i gdy się odwróciła, zobaczyła, że zgięty w pół, próbuje przecisnąć się przez zwężający się tunel. Przeszył ją dreszcz grozy, kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że może nie udać się im uciec na czas. Wtedy zobaczyła, że Smith szarpie się z torbą, ciężką od skarbów ze złota.

- Zostaw ją! - zawołała, zsuwając się z powrotem w dół tunelu, żeby podać mu rękę.

- Nie! - tylko tyle wydusił, dysząc i zmagając się ze swoim balastem. Po chwili jednak obniżający się sufit zmusił go do zdjęcia z pleców torby i ciągnięcia jej za sobą. Abigail podała mu rękę. Słyszała, jak Haffe, który szedł za Smithem, modli się w podzięce, że nie jest tak wysoki jak on. Piach pod ich stopami utrudniał poruszanie się. Ześlizgiwali się i upadali co chwila, uderzając amforami o kamienną posadzkę tunelu. Przejście robiło się coraz węższe, jakby ziemia starała się wydrzeć im dowody, które nieśli, próbując zachować sekret o istnieniu biblioteki dla siebie.

Nagle tunel zaczął się rozpadać, odłamki skał i piasek sypały się na nich, wytrącając lampę z rąk Abigail i pogrążając wszystko w ciemności. Sunący piach podciął jej nogi. Mając świeżo w pamięci uczucie pogrzebania żywcem, zaczęła gwałtownie przebierać nogami i prawie biegła w miejscu. Smith puścił jej

dłoń, więc krzyknęła i odwróciła się, szukając go po omacku w ciemnościach. Złapał ją za nadgarstek, ale kiedy zaczęła go za sobą ciągnąć, nie poruszył się.

- Utknąłem...
- Zostaw to! - wrzasnęła.
- Nie... Dam radę...

Kolejny huk wywołał następną lawinę skał.

- Smith! Haffe! - krzyknęła Abigail.
- Tutaj! - odpowiedział Haffe z oddali.

Nagle piasek i skały zapełniły jedną trzecią tunelu, więc Abigail zaczęła się czołgać, próbując zmusić Smitha, żeby ruszył za nią w górę. Czuła, że ręka wrywa jej się ze stawu barkowego.

- Zostaw tę torbę! — krzyknęła w rozpacz.
- Gdybym tylko mógł!... Cholerna skała... Zaklinowała się...

Skały runęły za nimi, a odgłos walącego się gruzu i piachu, wypełniającego tunel, uświadomił im, że podziemne miasto zawaliło się. Wstrząśnięta Abigail zapała się stopami o jedną ścianę tunelu, a plecami o drugą, złapała Smitha oburącz za ramiona i zaczęła ciągnąć go z całych swoich sił do góry.

Smith poczuł, że torba wysuwa mu się z rąk i próbował ją rozpaczliwie utrzymać.

- Tunel się zasypuje! - zawołała. - Smith, na miłość boską!

Zrozumiał, że strata torby jest nieunikniona, więc w odruchu samozachowawczym puścił ją i zaczął się wspinać w górę hałdy odłamków skalnych i piasku, których stale przybywało na ich drodze. Po chwili dotarli do miejsca, w którym gruzowisko było mniejsze, zmniejszył się także kąt nachylenia tunelu. Poczuli, że najgorsze mają już chyba za sobą.

- Haffe! - zawołał Smith, dysząc i wspierając się o ścianę, wsłuchując się w szum sypiącego się piasku i echo własnego głosu.

Odpowiedź Berbera dobiegła z daleka. Najwyraźniej utknął

w zasypnym tunelu. Smith zaczął macać dokoła w poszukiwaniu skarpy i wczołgał się na jej szczyt.

- Wciągaj się pod górę! Znajdziesz tu otwór. Szukaj moich rąk! - zawołał do Haffego, a potem zwrócił się do Abigail.

- Złap mnie za stopy, a kiedy ci powiem, zaczniesz ciągnąć!

- Wpełzł na gruzowisko i wśliznął się przez wąski otwór między sufitem a kamieniami wypełniającymi tunel.

Z trudem oddychał i musiał przezwyciężyć instynkt przetrwania, który powstrzymywał go przed ponownym wciskaniem się w wąskie i niebezpieczne przejście. Zdawało się, że całe wieki minęły, zanim dłońmi wyczuł jakiś ruch.

- To ja! - zawołał. - Złap mnie za ręce! Czujesz je?

Palce Haffe wreszcie spotkały się z dłonią Smitha i po chwili mężczyźni trzymali się za ręce.

- Ciągnij! Teraz! - krzyknął Smith do Abigail.

Po minucie męczarni Haffe pojawił się w otworze i wyciągnął go. Cała trójka opadła bez sił na gruzowisku w ciemności, chwytając łączywie powietrze. Wtedy znowu ziemia się zatrzęsa i byli zmuszeni ruszyć dalej w ciemnościach, modląc się, żeby nie było po drodze więcej przeszkód.

Tunel zrobił się nagle sporo niższy i przemierzanie go w pozycji stojącej stało się niemożliwe. Na czworaka, a czasem czołgając się, posuwali się w ciemnościach naprzód. Kamienie kaleczyły im dłonie i kolana. Kiedy już zdawało się, że nie dadzą rady, że to już przerasta ich siły, słabe światełko na końcu tunelu pojawiło się.

- Światło! - zawołała Abigail. - Widzę przed nami światło.

Perspektywa odetchnięcia świeżym powietrzem i wyprostowania się pomogła przezwyciężyć ból dłoni i kolan. Tunel rozświetlał się, im bardziej zbliżali się do jego końca i Abigail zdawało się, że widzi gałęzie czy korzenie zarastające otwór. Okazało się, że to winorośl, która kiedyś zakorzeniła się w przestrzeniach między skałami w czymś, co przypominało mur. Abigail wyciągnęła ręce i zaczęła rozrywać kłacza, aż wreszcie

udało jej się przełożyć przez nie amfory, które niosła, a potem samej przedostać się na zewnątrz.

Wgramoliła się do walcowatego pomieszczenia z poukładanych kamieni. To była studnia. A konkretnie jej wyschnięte dno, które znajdowało się przynajmniej trzy i pół metra pod ziemią. Stała wyprostowana i sprawdziła amfory. Były nieknięte, więc zaczęła przyglądać się dłoniom i kolanom, ciężko oddychając i dziękując Bogu, że przeżyła. Jeszcze bardziej była wdzięczna, kiedy zobaczyła Smitha przepychającego się przez otwór w dnie studni i padającego z wyczerpania na ziemi, z dwiema amforami na ramieniu.

Pomogła mu się podnieść i wspólnymi siłami wyciągnęli z tunelu Haffego. Kiedy, cały zapiaszczony, Berber wyostał się na zewnątrz, zarzucił ręce na szyję Abigail, a potem Smithowi, płacząc ze szczęścia i ulgi.

- Chwała Allah... my uratować! Ja przysięgać na serce matka... Już nigdy!

- Gdzie jest drugie naczynie? - spytała Abigail, patrząc na amforę leżącą u stóp Haffego. Wzięła do ręki sznur i zaczęła wyciągać z tunelu to, co było przywiązane na jego końcu. Na sznurze wisiała pęknięta pokrywa drugiej amfory, którą niósł Haffe. Lina nadal była przywiązana do uchwytu.

- Ja przepraszać, panna Merchant - wielkie oczy Haffe błyszczały od łez. - Naczynie pęknąć.

Abigail zamarła, wpatrując się w roztrzaskane szczątki amfory i ziejące pustką wnętrze.

Wszystko, czego się dowiedziała, wszystko, co odkryła...

- Ale... ja mieć książka - powiedział Haffe, wyciągając z siebie długi rulon owinięty w owczą skórę.

Oczy Abigail rozszerzyły się z radości.

- Uratowałeś ją? - Złapała rękopis i przycisnęła go do serca, chwijając się ze zmęczenia na nogach. - Och, dzięki Bogu.

Przez pewien czas żadne z nich się nie odzywało, bo wszyscy

łapali oddech, strzepywali piasek z ubrań i włosów i sprawdzali wzajemnie swoje obrażenia.

- Co to za miejsce? - Smith rozglądał się, kiedy już Abigail obejrzała wszystkie zadrapania na jego dłoniach.

- Studnia - powiedział Haffe, potwierdzając wcześniejsze przypuszczenia Abigail. - Stara.

Żadne z nich nie odniosło poważniejszych ran, ale wszyscy czuli się, jakby w płucach mieli błoto od pyłu, którego nawdychali się w tunelu. Zaczęli rozglądać się za możliwością wydostania się stąd na powierzchnię. Haffe wskazał kamienie wystające z ocembrowania studni w równych odstępach, wyglądające tak jakby służyły za stopnie.

Wydostali się na słabe światło zachodzącego słońca, ułożyli amfory w stos i padli na ziemię w cieniu palm. Duszny wieczorny wiatr był jak pocałunek życia, kiedy tak leżeli, wpatrując się w ciemniejące niebo i nastającą noc.

Następną rzeczą, jaką zarejestrowała Abigail, było to, że zbudziła się pod tym samym niebem, z tym że słońce zamiast zachodzić przed nimi, już za nimi świeciło. Po jednej jej stronie leżał pochrapujący cicho Haffe, a po drugiej siedział Smith, obserwując wznoszące się słońce. Kiedy się poruszyła, spojrzał na nią.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Dam radę - odparła, wstając i czując przy tym dotkliwy ból każdego mięśnia, każdej kostki swojego ciała.

- To dobrze. - Też się podniósł. - Przed nami długa droga.

Po paru minutach cała trójka wlokła się przez pustynię w kierunku zachodu, modląc się, żeby potwierdziła się orientacja w terenie starych kapłanek.

Kiedy tak szli, Abigail spytała, jak udało im się uciec, a Smith wyjaśnił jej, że Idera wciągnęła ludzi Gastona w pułapkę w zatopionym scriptorium. Nakłoniła ich do porąbania ostatniej belki wspierającej pomieszczenie, w którym rzekomo miały być ukryte skarby. Zdemolowali system podpór komnaty i scri-

ptorium zaczęło się zapadać do basenu, który znajdował się w jaskini. Najwyraźniej stare siostry już od jakiegoś czasu wiedziały o zniszczeniach w konstrukcji, a woda tylko pogarszała stan krytyczny. Kilku żołnierzy zostało uwięzionych w gruzowisku, a kiedy Idera i Smith uciekali z komnaty, zobaczyli Gastona i pozostałych walczących o życie.

- Więc Gaston zginął? - spytała Abigail.

Smith uniósł brwi.

—Tak sędzę.

- Szkoda - powiedziała oschle. - Zaslugiwał na gorszą śmierć.

Trzy godziny później, wchodząc na wysoką wydnię, zauważyli konia w uprzęży i zaczęli biec w jego kierunku.

To, co zastali w miejscu swego obozowiska, nappełniło ich nadzieją i rozpaczą zarazem. Ich konie i osły wyglądały na wykończone staniem w upale. Po napojeniu i opróżnieniu jednej torby z jedzeniem wyraźnie odżyły. Samo obozowisko wyglądało katastrofalnie. Przyglądali się bezsensownemu zniszczeniu, a Smith zazgrzytał zębami i wyrzucił z siebie tylko jedno słowo brzmiące jak przekleństwo.

—Gaston.

Trochę czasu zajęło im pozbieranie rzeczy i zapakowanie ich na nowo, oraz opatrzenie poważniejszych skaleczeń. Haffe zgromadził w jednym miejscu osły legionistów i konia Gastona, loznajmił, że zamierza je sprzedać na najbliższym targu zwierząt. Wystarczy, żeby kupić za nie dwa lub trzy wielbłądy, których potrzebował. To pośrednie nawiązanie do fortuny, w której posiadanie łatwo weszli i równie szybko ją stracili, sprawiło, że Abigail spojrzała na Smitha. Miał ponurą minę i odwrócił od niej wzrok.

Włożyli turbany i dżelaby chroniące przed słońcem i wczesnym popołudniem wyruszyli w kierunku północnym, zamierzając powrócić do Marrakeszu tą samą drogą.

Następnego popołudnia nadal posuwali się na północ, lekko odbijając na zachód. Zmagali się z wyczerpaniem i obawą przed spędzeniem kolejnej nocy na pustyni, kiedy wjechali na niewielkie wzniesienie, z którego zobaczyli w oddali małą, otoczoną murem wioskę - *a ksar*.

Haffe natychmiast rozpoznał to miejsce.

- Fum Zguid! - wykrzyknął w nagłym przypiływie energii. Wskazał na czerwone mury wioski i wyraźną czerwono-białą bramę z wieżyczkami. - Kuzyn Haffe tu mieszkać!

Po zasięgnięciu informacji w paru miejscach odnalazł ogrodzony dom kuzyna, miejsce najwyraźniej znane z gościnności i udzielania noclegu wędrowcom. Jego kuzyn, Topsel, był szczęśliwy, widząc go i nalegał, żeby się u niego zatrzymali. Po wzajemnej prezentacji pulchny krewny Haffego zaprowadził Smitha i Abigail do pokoi sypialnych i zapewnił im miski z dużą ilością wody do kąpieli.

Abigail czuła się jak w niebie, mogąc zmyć kurz z włosów i połamanych paznokci, i ochłodzić spaloną słońcem skórę. Nigdy jeszcze nie kąpała się z taką przyjemnością.

Po posiłku, w czasie którego Haffe zadziwił kuzyna Topsela i jego rodzinę opowieściami o swoich przygodach, Abigail przeprosiła wszystkich i udała się do przeznaczonego jej pokoju, a Smith wkrótce podążył a nią. Zastał ją siedzącą na łóżku i wpatrującą się w amfory ustawione rzędem na podłodze.

- Udało ci się - powiedział, widząc jej zamyśloną minę.

- Masz swój dowód na to, że pozostałości Wielkiej Biblioteki istniały, i że to ty je znalazłaś.

- Wiem. - Zgarbiła się i potarła kark, nie mogąc w pełni cieszyć się z sukcesu. - Ale było ich znacznie więcej. Myśliciele i pisarze, którzy ukształtowali nasz świat swoimi słowami, i mogli mieć jeszcze większy wpływ na naszą kulturę. - I ta piękna świątynia... i Idera, Hathor i stara Mercedes... Nie mogę znieść myśli o nich pogrzebanych pod gruzami i piaskiem.

- To był ich wybór, Boston.

- Wiem. Po prostu nie mogę przestać myśleć o tym, że straciliśmy tak wiele.

Smith usiadł obok niej, ale powstrzymał się przed dotknięciem jej.

- Ale jednocześnie bardzo wiele osiągnęliśmy. - Wskazał amfory. - Nie jesteś ich ciekawa?

- Jestem. I to bardzo. - Spojrzała na niego, a potem na siedem zwójów. - Ale nie możemy ich otworzyć. Trzeba się z nimi odpowiednio obchodzić. W chwili ich otwarcia powinny być natychmiast zakonserwowane i analizowane w sterylnych warunkach. - Pokręciła głową. - Nie wspominając już o tym, że pieczęcie muszą pozostać nietknięte, żeby udowodnić ich autentyczność. Myślę, że nie poznamy ich zawartości ani ich wartości, zanim nie przywieziemy ich do Londynu.

- Tak? - Słaby uśmiech przemknął po twarzy Smitha. - Czy ci się to podoba, czy nie, jeden z nich i tak jest już otwarty. Nie masz ochoty sprawdzić, co to jest?

Spojrzała na zwój leżący na wierzchu, na pozostałych amforach. Apollo miał rację. Pieczęć została rozerwana, rękopis i tak był już wystawiony na niebezpieczne działanie powietrza, gorąca i na wszelkiego rodzaju wilgoć i czyhające szkodniki. Serce zaczęło jej bić szybciej.

Na wyciągnięcie ręki leżał przed nią jeden z siedmiu tekstów, które kapłanki mądrości wybrały, żeby ochronić i zwrócić go światu. Coś ponadczasowego i bezcennego.

- Mogłabym rozwinąć go tylko na parę minut. - Zagryzła wargę. - Prawdopodobnie dałby nam wyobrażenie, czego możemy się spodziewać w pozostałych. — Sięgnęła po zwój i położyła go ostrożnie i z namaszczeniem na łóżku. - Zapal jeszcze jedną lampę.

Uklęka przy łóżku. Ręce jej się trzęsły, kiedy wyciągała rękopis i odwijala go z delikatnego skórzanego pokrycia. Dokument był spisany na pergaminie doskonałej jakości, który zachował zaskakującą giętkość. Ledwie mogła oddychać, kiedy

odwiązywała ozdobny troczek i patrzyła na ukazującą się jej oczom wiekową mądrość.

- Greka - wreszcie odetchnęła - dzięki Bogu.

- O czym jest? - dopytywał się Smith z trudnością ukrywając ekscytację.

- To jest... - Przesunęła palcem wzdłuż dużych liter wykaliografowanych na samej górze pierwszej kolumny. - Księga... Siedmiu... Rozkoszy. - Zmarszczyła czoło i jeszcze raz prze studiowała litery. - Księga Siedmiu Rozkoszy.

- Co to takiego? Jakiś traktat filozoficzny? Sztuka? Poezja, epika? - Kiedy nie odpowiadała, zadał prostsze pytanie: - Kto to napisał?

- Tu jest napisane: „Od kapłanek świątyni Ateny dla kochanków Grecji i całego świata.”

- Co? Stare dziwki napisały własną księgę? - powiedział i uśmiechnął się szeroko. - A o czym one mogły napisać?

Zaniepokojona tym, co przyszło jej do głowy, zaczęła szybko przebiegać wzrokiem rękopis, składając litery w słowa, a słowa w zdania, które coraz bardziej ją elektryzowały. Zbladła.

- Co? Co to jest? - Smith obserwował jej reakcje, kiedy czytała różne fragmenty rękopisu, a potem sam próbował zrozumieć z niego kilka słów. - Potrafię mówić po grecku, ale nigdy nie nauczyłem się pisma... To wszystko wygląda dla mnie jak chińszczyzna...

Za to Abigail nie miała żadnych problemów z odczytaniem słów. To ich sens tak ją oszołomił: przyjemności ciała i ducha, oczy, które kuszą, gładkie piersi, rozkosze języka, poskramianie kochanka, w pozycji dającej najwięcej przyjemności z szeroko rozłożonymi nogami i uległym ciałem... masować i przesuwac paznokciami po wewnętrznej stronie ud...

Nie mogła oddychać. Otworzyła usta, żeby wciągnąć powietrze, czuła się, jakby zabrakło jej tchu. Zachwiała się i poderwała na równe nogi, odsuwając się od rękopisu z przerażeniem.

-613!

Co się dzieje? - Smith przeniósł wzrok z rękopisu na opadającą na łóżko Abigail. - Co masz na myśli? Sześćset trzynaście... co?

To jest... to jest o mężczyznach i kobietach i... - I?

- Byciu razem, jak, jak w małżeństwie. - Widziała, że nie zrozumiał, o co jej chodzi, więc dodała stłumionym szeptem:

— To o seksie.

- Co? - Zamrugał powiekami, a potem spojrzął z powrotem na rękopis rozwinięty na łóżku.

- O seksie - zdołała wypowiedzieć to głośniej i mniej drżącym głosem.

- Chyba żartujesz.

- Nigdy nie zażartowałam na taki temat - powiedziała, czując, że ją zdradzono, że ktoś sobie z niej zadrwił. - To książka instrukcji aktu prokreacji.

Przez chwilę wyglądał na oszołomionego, a potem roześmiał się serdecznie.

- Staruszki napisały książkę do poduszki?

- Co takiego?

- Książki, które na Wschodzie miały za zadanie edukować czytelnika w zakresie praktyk seksualnych, nazywano książkami do poduszki. - Pochylił się nagle nad bardzo kuszącym rękopisem. - Po co, u licha, stare kapłanki miałyby spisywać tego typu rzeczy?

- Ponieważ taki był cel ich kultu Ateny. - Przyglądała się zwojowi, rozumiejąc teraz rozczarowanie Idery, kiedy dowiedziała się, że Abigail nigdy nie miała kochanka. Nie mogła

uwierzyć, że ich dziwaczne zainteresowanie sprawnością seksualną zarówno Abigail, jak i całej reszty świata miało stać się teraz głównym odkryciem. - Idera i Hathor mówiły, że ich zgromadzenie wierzyło, że podstawą prawdziwej mądrości jest połączenie się kobiety i mężczyzny w akcie prokreacji. "Wyobrażenie ponownego złączenia się rozdzielonych połówek rodzaju ludzkiego i stworzenie jednej całości.

- O! Tak jak w wierzeniach tantrycznych - uśmiechnął się Smith. - Aż trudno sobie wyobrazić, że te staruszki...

- Jak w czym?

- W tantryzmie. To hinduska filozofia oparta na kulcie ekstazy erotycznej, w której człowiek może osiągnąć oświecenie jedynie przez seksualne złączenie się mężczyzny i kobiety. Ravi nam o tym opowiadał - uśmiechnął się z przekąsem. — Pobyt w Legii Cudzoziemskiej to doświadczenie bardzo poszerzające horyzonty. - Pochylił się nad zwojem, wczytując się w litery i marszcząc czoło. — Do diabła! Mój stary nauczyciel mówił mi, że jeszcze kiedyś pożałuję, jak nie będę uczył się deklinacji.

- Ty nic nie rozumiesz - zirytowała się Abigail, ciągnąc go za rękaw, żeby oderwał się od rękopisu. Sama nie wiedziała, co ją bardziej złościło, erotyczne zainteresowania kapłanek, fakt, że nie były osamotnione w swoich wierzeniach, czy może to, że Smith zdawał się wiedzieć na ten temat wszystko! -Nie mogę zabrać tego rękopisu do British Museum. Zrobię z siebie pośmiewisko.

- Nic na to nie poradzisz, że staruszki napisały księgę o akcie prokreacji. - Jego uśmiech zbladł, kiedy zauważył, jak jest skonsternowana. - Posłuchaj, to tylko jeden z siedmiu zwojów. A kapłanki uważały, że są one na tyle ważne, że trzeba je zachować dla przyszłych pokoleń. Może się wydawać dziwny pogląd, że seks jest drogą do mądrości, ale musisz pamiętać, że wielu z wielkich myślicieli było skandalistami. Jak na przykład Platon ze swoimi „Dialogami”... Albo Rousseau ze swoją teorią szlachetnego dzikusa...

Przejęta nagłą zgrozą Abigail odwróciła się w stronę pozostałych amfor, które leżały sobie niewinnie przy ścianie. Zamiast bezcennych skarbów zobaczyła w nich nagle bomby czekające tylko na moment, żeby eksplodować i przynieść jej upokorzenie.

- Z całego bezcennego dorobku, wszystkich wielkich myślicieli, z których musiały wybrać, czemu na Boga wybrały...
- Jej głos załamał się tak samo jak jej nerwy. Napięcie, strach, niepokój ostatnich paru tygodni nałożyły się na ogromne zmęczenie, rozczarowanie i druzgoczące poczucie odpowiedzialności.

- Przebyliśmy całą tę drogę i znaleźliśmy bibliotekę z unikatowymi dziełami antycznymi. - Jej ból i udrczenie rosły z każdym słowem. - Odkryliśmy przepiękną antyczną świątynię i potomków całej społeczności strażników wiedzy. A potem wszystko to straciliśmy. Nic po tym nie zostało. - Łzy złości napłynęły jej do oczu, zacisnęła dłonie. - Rzykaliśmy życie i zdrowie. Omal nie zginęliśmy, ty i Haffe. I po co to wszystko? Żeby zdobyć uznanie paru przepelnionych nienawiścią starców, którzy i tak nigdy mnie nie zaakceptują, ani nie zezwolą mi na taką pracę, jaką chcę wykonywać! Czyż to nie szaleństwo? Gorzej... Wydałam prawie wszystkie pieniądze ze spadku po mojej matce, więc teraz nie będę już miała własnego domu ani żadnego zabezpieczenia na przyszłość... Jedyne, co mogę za prezentować jako wynik wielomiesięcznych przygotowań, wydatków, cierpienia i ryzyka, to książka, której nie mogę pokazać nikomu, i sześć kotów w workach, które prawdopodobnie okażą się największym archeologicznym żartem świata!

- Daj spokój, Boston. — Podszedł do niej. - Nie jesteś odpowiedzialna za ich zawartość.

- Nie rozumiesz tego, prawda? - Cofnęła się, nie chcąc, żeby jej dotykał i wybuchnęła płaczem. - Jestem kobietą.

- Och, ależ rozumiem to, skarbie. Uwierz mi. Rozumiem to doskonale.

—Oni nienawidzą kobiet naukowców. Nienawidzili mojej matki, zmusili mojego ojca, żeby wykreślił jej imię z prac, które napisali wspólnie. I nienawidzą mnie, tylko dlatego, że zostałam zatrudniona w muzeum. Wykorzystają każdy pretekst, żeby zdyskredytować te książki, cokolwiek w nich będzie, ponieważ nie zostały odnalezione przez mężczyznę.

Przez wzbierające w oczach łzy spojrzała na rozwinięty rękopis, przewidując jego ponurą przyszłość i czując ogarniającą ją rozpacz.

—Szczególnie gdy zobaczą ten rękopis. Powiedzą, że jest niemoralny albo nieprzyzwoity, albo sfałszowany. „Mistrzowie klasyki nigdy nie stworzyliby takiej rzeczy”, tak powiedzą, albo: „To się nie nadaje do muzeum...”.

Zaczęła szlochać tak, że nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa, a nie potrafiła też powstrzymać tego ataku łez. Jej natura bibliotekarki gorączkowo próbowała ją uspokoić, ale miało to wręcz odwrotny skutek. Zastaniając twarz rękoma, myślała tylko, żeby wyjść z tego pokoju, z tego domu i uciec jak najdalej od dowodów ogromnej porażki i swojej upokarzającej reakcji.

Ale gdy zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, wpadła na Smitha, który objął ją mocno.

—Nie... Nie... — Próbowała się uwolnić, ale on tylko zacieśnił uchwyt.

W końcu przestała stawiać opór i zaczęła się do niego tulić, kryjąc twarz w jego koszuli.

Wzburzone uczucia stopniowo się wyciszały i szloch ustał. Dzięki obecności Smitha wreszcie była w stanie wytrzeć piękące oczy i wziąć głęboki, drżący oddech. Zauważyła, że siedzi na jego kolanach, na łóżku, otoczona jego ramionami. Trzymał ją, opierając policzek na jej skroni, pozwalając jej pozbyć się całego napięcia, które narastało przez tygodnie niepewności i ciągłego poczucia niebezpieczeństwa.

Odchyliła się do tyłu, żeby na niego spojrzeć. Jego oczy były

jak ocean spokoju, zielonozłote i brązowe, z ciemnymi, błyszczącymi źrenicami, które zdawały się osobliwie ciepłe i uspokajające. Jego ramiona dawały poczucie bezpieczeństwa dzięki swej sile i niespodziewanej delikatności. Przyszło jej do głowy, że stało się najgorsze - prawdopodobnie straciła wielkie ambicje - i poczuła się, o dziwo, lepiej, niż by się spodziewała. Prawdę mówiąc, poczuła prawie ulgę. A kiedy spojrzała mu w oczy, wiedziała już, co takiego się zmieniło. Znajdując i tracąc bibliotekę, znalazła coś, co sprawiło, że odzyskała chęć życia i była szczęśliwa, że udało jej się przeżyć. A takich uczuć nie mogłyby wywołać żadne zapiski na starych pergaminach.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz? - powiedziała cichym głosem.

Smith uśmiechnął się.

- Wiem.

- Głównie dlatego - wzięła głęboki, pokrzepiający oddech - że szaleję za tobą.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.-

To też wiem.

Zbliżył usta do jej warg, które zapraszały, ciepłe i delikatne. Kiedy odwrócił się i położył ją na łóżku, ujęła jego twarz w dłonie i zamknęła oczy, starając się skupić wyłącznie na zmieniających się doznaniach, których dostarczały jego wargi. Pożądanie ogarnęło ich równocześnie z ogromną siłą. Abigail przeczuwała to, co miało nadejść, chciała tego, pragnęła.

- A co to, u diabła, jest? — Jego dłoń przesunęła się po jej boku i dotarła do piersi. Cofnął się, zamrugnął powiekami, a potem zaczął rozpinać jej bluzkę. - Co to ma być?

- Idera dała mi to w świątyni po tym, jak wyszedłeś pierwszego wieczoru - wyksztusiła.

Jego wzrok zatrzymał się na sterczących okrągłych wybrzuszeniach na szczytach dwóch złotych półkul.

- To wygląda jak kobiece...

- Piersi - dokończyła.

- Zrobione z...
- Ze złota. - Kiwnęła głową.
- Wielkie nieba!

Kiedy wreszcie minął mu szok, jego głos obniżył się o całą oktawę.

- Zdejmij to.

Po chwili metalowy gorset upadł na podłogę, a Smith rzucił się z powrotem na łóżko i pociągnął ją za sobą. Mrucząc jakieś mało składne czułe słowa, pokrywał jej ciało pocałunkami i pieścił ją drżącymi dłońmi. Stopniowo ona także ogarnięta ciekawością zaczęła okrywać jego ciało pocałunkami i delikatnie kasać. W miarę jak napięcie i rozkosz narastały, coraz mocniej przywierала swym półnagim ciałem do niego, poszukując tej magicznej kombinacji pozycji, która mogłaby zaspokoić ogień jej piersi i wilgotne pragnienie rodzące się między nogami.

Reszta świata zlała się w ciemniejszą, rozmytą mieszaninę kształtów i kolorów, a jej świadomość ograniczyła się jedynie do granic łóżka. Zmysłowość ogarniała całe ciało, by wezbrać z gwałtowną siłą w intymnych miejscach. Nagle zapragnęła przytulić go do siebie jak najmocniej, poczuć go każdą cząstką swojego rozpalonego ciała, poczuć go wokół siebie, a nawet w sobie.

Upadły już ostatnie bariery przyzwoitości, chłodne powietrze nocy dosięgnęło jej rozpalonej skóry i Abigail zadrżała. Smith zaśmiał się łagodnie, podpierając się na łokciach i patrząc na jej potargane włosy i rozpalone nagie ciało, leżące na rozrzuconych ubraniach. Oczy mu błysnęły, kiedy pochylił się nad nią i szepnął, zanim złożył pocałunek na jej wargach.

- Ja też szaleję za tobą, Boston.

Śmiejąc się, przyciągnęła go do siebie, nakryła się jego ciałem, a on westchnął z rozkoszą, zaspokajając jej pragnienie bliskości... A przy tym spełnił jej inne pragnienie, jeszcze bardziej przez nią wyczekiwane...

A potem następne.

I jeszcze jedno.

Później, leżąc na płataninie wilgotnej pościeli, spleciona z jego nagim ciałem, patrząc na malowidła na suficie, zaczęła odzyskiwać świadomość i pomyślała sobie, że już nigdy nie będzie taka, jak przedtem. Ta myśl nie była w rzeczywistości tak przerażająca, jak byłaby jeszcze parę godzin temu. Utrata niewinności zdawała się jej czymś w rodzaju oświecenia. Zdobyć wiedzę. Zdumiała ją te myśli.

Nigdy nie sądziła, że seks może być tak przyjemny i w pewnym sensie uświęcający, tak czuły i pełen miłości. Spojrzała na twarz Smitha i nagle poczuła pragnienie, by podzielić się nim z całym światem. Nie, by podzielić się z całym światem tą przyjemnością i radością, jaką dzięki niemu odkryła. Gdyby tylko potrafiła wciągnąć innych w ich objęcia, pokazać im zmysłowość połączenia, które poczuła dzięki niemu...

Apollo Smith nie był tym, czego spodziewała się pragnąć, gdy była zapiętą pod samą szyję bibliotekarką, o miłości mówiącą martwym językiem książek i w ogóle obsesyjnie opętana książkami. Ale teraz był on wszystkim, co miało dla niej znaczenie, wszystkim, co dawało jej radość i przyjemność i sprawiało, że chciała się rozwijać, doświadczać i dawać. Z rosnącym poczuciem lęku i pokory zdała sobie sprawę, że to musi być to samo uczucie, którym jej matka obdarzyła jej ojca.

To musi być miłość.

Kiedy otworzyła oczy następnego ranka, leżał obok niej, opierając się na łokciu, i obserwował ją.

- Jak się czujesz? - spytał, głaszcząc dłonią jej nagie biodro.
- Dobrze - odparła nieśmiało, prawie z zakłopotaniem.
- Tylko dobrze?
- W porządku, bardzo dobrze.
- Zapomniałaś już mój dotyk? - Pokręcił głową. - Może starszki mogą dać mi parę wskazówek? - Sięgając do podłogi

obok łóżka, podniósł z niej luźno zwinięty rękopis i położył go
la jej brzuchu. - Poczytaj mi.

- Teraz? - Uniosła się, oparła wygodniej na poduszce i owi-
nęła się prześcieradłem, odkładając na bok zwój. — To nie
najlepszy moment na...

- *Au contraire**. - Skrzętnie ułożył rękopis z powrotem na jej
kolanach. - To doskonały moment. Po zeszłej nocy będziesz
miała pewne podstawy, na których będziesz mogła się oprzeć
w ocenie tego, co przeczytasz.

Na chwilę zaniemówiła.

- Uważasz, że minioną noc była jedynie ćwiczeniem przed
oceną rękopisu? Jak mogłeś nawet pomyśleć, że mogłabym...

- Powstrzymał potok słów, zakrywając jej usta dłonią.

- Ta noc była między tobą a mną, i dotyczyła tylko ciebie
i mnie - oświadczył. - I była lepsza niż tylko dobra. To była
wspaniała noc. Ale czyż nie o tym właśnie pisały stare kap-
łanki? O tym, że mężczyźni i kobiety, kochający się ze sobą,
uczają się siebie?

Spojrzała na niego zmieszana. Był niemożliwy. Prawdziwy
diabeł wcie...

- Czytaj - zażądał. - Jak inaczej chcesz się dowiedzieć, czy
ten tekst jest niemoralny i gorszący i trzeba go zniszczyć?

- Nie moją rolą jest ocenianie, czy coś jest niemoralne, czy
nie. A poza tym prawdziwy bibliotekarz nigdy, przenigdy nie
będzie nawoływał do zniszczenia jakiegoś dzieła tylko dlatego,
że mówi o tych sprawach.

- Naprawdę? A już się zastanawiałem. — Wyciągnął się na
łóżku i podłożył sobie rękę pod głowę. - Masz szczęście, gdyż
mam pewne drobne doświadczenia w kwestii niemoralności.
Jestem pewien, że rozpoznam ją, jeśli usłyszę coś takiego.
Czytaj.

Do diabła z nim! Rzucił jej wyzwanie, żeby sprostowała swoim

Au contraire (fr.) - wprost przeciwnie (przyp. tłum.).

ideałom. Spojrzała na niego, potem na rękopis. Sama też chciała wiedzieć, i to bardzo, co w nim jest. Wcześniej, czy później go przeczyta. Przesuwając się, żeby lepiej widzieć tekst w świetle poranka, zaczęła tłumaczyć.

- „Od kapłanek bogini Ateny, miłośniczek mądrości, ale także rodzaju ludzkiego do wszystkich tych przedstawicieli ludzkości, którzy poszukują pojednania i oświecenia. Od zarania świata, kiedy to duch rodzaju ludzkiego został rozdzielony na dwie części, brakowało czegoś, duszy, człowiek pragnął połączyć się z innym, by stać się jednym, by znowu być całością. I wielka bogini Atena, w swej niezmiernie mądrości, pokazała nam drogę ku temu”.

- Jak dla mnie, brzmi to wcale rozsądnie — wtrącił. Spojrzała na niego karcącym wzrokiem i kontynuowała czytanie.

- „Zdolność do odczuwania przyjemności fizycznej jest darem bogów i musi być ceniona i kultywowana. Odkrywając i ucząc się Drogi Siedmiu Rozkoszy, mężczyzna i kobieta odnajdą nie tylko przyjemność, ale także jedność. Wielkim paradoksem jest fakt, że kiedy dwoje staje się jednym, każde z nich odkrywa świadomość bytu, nową świadomość siebie w tej jedności”.

- Czyli coś w stylu starego stwierdzenia: „Całość jest większa od części” - mruknął. - I?

- „Pierwszą rozkoszą jest Patrzenie. Oglądanie ukochanej na wszystkie sposoby, w każdym kształcie i w każdym nastroju może cieszyć oko i kusić serce. Studiowanie kształtów jej ciała, które są tak cudownie stworzone i tak zachwycające... Pozwól, by kochanek zdejmował ubranie z ukochanej, jedną rzecz po drugiej, wielbiąc każdą część jej odsłaniającego się ciała. Płatek jej ucha, zagłębienie w szyi, kształt ramion, krągłości piersi...”

Abigail miała tak rozpalone policzki, że mogłyby świecić w ciemności. Uniosła głowę i spojrzała na Smitha. Zauważyła, że przysunął się bliżej i patrzył na nią ciemniejszymi oczami.

- Dalej - powiedział niskim głosem.

- To jest... nieprzyzwoite. - Nie była to może profesjonalna opinia, a raczej osobiste odczucia. Robiło jej się gorąco i czuła niepokój. Lektura, która sprawiała, że czuła się, jakby musiała zedrzeć z siebie ubranie, a jego rzucić nagiego na łóżko, musiała być niegodziwa.

- Patrzanie na kogoś i podziwianie go jest nieprzyzwoite?

- Cmoknął z dezaprobatą. - Szekspir pisał gorsze rzeczy. Czytaj dalej.

- „Nie dotykaj, chyba że chcesz usunąć przeszkody z pola widzenia. I nie spiesz się z podziwianiem” - czytała, przesuwając drżącym palcem po tekście. - „Na świecie nie ma dla ciebie niczego ważniejszego niż odkrywanie pełni przyjemności z drugą osobą”.

- Nie ma nic ważniejszego... — Uniósł się na łokciu, a potem usiadł, bacznie wpatrując się w jej płatek uszny i kark. - Jak dla mnie, brzmi to jak mądrość.

Zesztywniała, nie potrafiąc się cofnąć, kiedy pochylił się nad nią, by odsunąć włosy z jej szyi.

- Jest piękna, wiesz o tym - mruknął, zbliżając do niej twarz tak, że poczuła, jak jego oddech unosi kosmyki jej włosów.

- Twoja skóra. Jest gładka. Delikatna.

Kobra wpatrująca się w zaklinacza węży miałaby większą kontrolę w takiej sytuacji niż ona. Oddychała płytko, zaschło jej w ustach i poczuła mrowienie skóry spowodowane wyczekiwaniem. Ćwiczył sugestie staruszek w kwestii uwodzenia, pożerając ją wzrokiem, ciesząc się widokiem jej ciała. A ona nie potrafiła znaleźć w sobie najmniejszej ochoty, żeby zaprotestować.

Przesunął palcem po jej szyi i w dół po obnażonym ramieniu.

- Czytaj dalej. - Brzmienie jego głosu wywołało falę gorąca w jej ciele.

- Dalej pewnie jest tylko lista części ciała - odparła drżącym głosem.

- Więc tym bardziej czytaj.
- „Oczy są oknami duszy” - przeczytała i spojrzała Smithowi w oczy koloru zielonobłękitnego, błyszczące od wizji czekających ich doznań.

- „Żeby poznać ukochaną, kochanek musi spojrzeć przez te okna, nauczyć się głębi i urody serca ukochanej. Niech kochankowie siedzą naprzeciwko siebie i patrzają długo i cierpliwie przez okna swoich dusz, nazywając to, co zobaczą, wielbiąc wszystko, co jest związane z ukochaną osobą, ból i przejętność, smutek i radość, prawość i współczucie, uległość i niezłomność...”

Znowu jej wzrok spotkał się z jego, zanim zdążyła wrócić do czytania rękopisu.

- „Lecz nie pozwól, żeby cokolwiek zostało ukryte przez odzież lub nieśmiałość, lub wstyd”.

- Staruszki musiały spisywać to w czasach swojej młodości - zażartował.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu ani okrzyku zdziwienia, który z siebie wydała, gdy wydarł jej rękopis z rąk.

Hej! - Próbowała przykryć się z powrotem, kiedy zerwał z niej prześcieradło i zmusił ją, żeby uklękła na środku łóżka naprzeciwko niego. - Co ty wyprawiasz?

- Wypróbuję pierwszą rozkosz według naszych staruszek. - Złapał ją mocno za ręce. Uśmiechnął się, kiedy niechętnie podniosła na niego wzrok. - Jak inaczej się dowiesz, czy to są bzdury, czy prawda, która warta była całego twojego wysiłku?

Kłęczała z rękoma założonymi na piersiach, czując się obnażona i niepewna tego, co zamierzał, ani tego, jak ona na to zareaguje. Nawet po tym, co zaszło między nimi zeszłej nocy, nadal jakaś jej cząstka chciała się wycofać, obawiając się kolejnej niespodzianki.

Za to on siedział naprzeciwko niej zdecydowany, z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Oto cały ja, Boston. Patrz na mnie. Zobacz, jaki naprawdę jestem.

Jakiś czas trwało, zanim ciekawość przewyciężyła skromność. Jej wzrok przesunął się nieśmiało po jego nagim ciele, starając się nie zatrzymywać dłużej w żadnym miejscu. Wtedy on pochylił głowę i przechwycił jej spojrzenie, i nie mogła się już od niego uwolnić. Wkrótce zanurzyła się w jego zielonobłękitnych oczach z ciemnymi źrenicami i zobaczyła to, co skrywał w głębi swojej duszy.

Im dłużej patrzyła, tym pełniej chłoneła to, co widziała... Połączenie bólu i przyjemności, których doświadczył, jego smutek i poczucie straty, lekceważenie i dumę, upór i niezמודowanego ducha. Był bardzo skomplikowanym mężczyzną, a do tego miał niezwykle dar upraszczania pewnych rzeczy.

wydawał się kusząco nieskomplikowany. Cały odstępiony. Otwarty przed nią. Oddający się jej. Niczego nie ukrywający.

Serce stanęło jej na moment. Nie mogła oddychać. To było jak objawienie. I zaproszenie. Teraz ona będzie musiała podjąć to samo ryzyko i w ten sam sposób pozwolić mu na zajrzenie w jej duszę, do jej pragnień i miłości ukrytej w najgłębszych zakamarkach.

Przykład matki nauczył ją, że miłość może być trudna i wymagająca. Ale jakkolwiek irytujący i wyzywający bywał czasami Apollo Smith, miłość do niego okazywała się uczuciem wyzwalającym w sposób, jakiego nie mogła sobie wyobrazić. Ta miłość otwierała ją na nowe pomysły, nowe poglądy i nowe rozkosze, razem z tymi wszystkimi nowymi komplikacjami, które wносиła do jej życia. Miłość do niego zmieniła ją i nadal zmieniała, otwierając, uwalniając w niej uczucia, o których istnieniu nie wiedziała.

Pochyliła się i otworzyła szerzej oczy, pozbywając się ostatnich oporów i zapraszając go do swojej duszy.

- A oto ja, Apollo. Zobacz, jaka jestem.

- Poważna - powiedział, kiedy spojrzał uważnie w jej szare oczy.—I szczerza. Czasami zbyt uczciwa. Nieugięta, ale ostrożna i pracowita, solidna. Piekielnie uparta. Lecz zbyt wrażliwa, żeby kiedykolwiek być naprawdę arogancką. - Uśmiechnął się, jakby wspomnienia incydentów między nimi, teraz potwierdzały każdą jego obserwację. Każde wspomnienie przynosiło ze sobą kolejny wniosek. - Uległa. Delikatna. Twarda. Wygłodniała. Dumna. Czuła. Współczująca. Akuratna... - Przerwał na chwilę, wpatrując się w jej błyszczące oczy, szukając jednej rzeczy, która odmieniłaby jego życie na zawsze.

I znalazł ją.

- I kochająca. - Ulga i radość wezbrały w nim tak, że z trudem wypowiedział kolejne słowa: - Kochająca mnie.

Uśmiech, który wypłynął na jej usta, mógłby zawstydić samą Mone Lisę.

— Dobry Boże, Abigail Merchant... Sporo czasu ci to zajęło.

Objął ją i położył śmiejącą się na łóżku, i kochał się z nią do momentu, w którym nie tylko zobaczyła gwiazdy, ale poczuła, jak w niej eksplodują. Nie było takiej cząsteczki jej ciała, która nie byłaby poruszona i w pewien sposób odmieniona tym doświadczeniem.

Kiedy później leżeli wyczerpani, ale dalecy od zaśnięcia, dotarło do niej, że pierwsza rozkosz według starych kapłanek była doskonałą metodą na przewycięzenie barier między nią a Smithem. Z zaskoczeniem spojrzała na zwinięty rulon pergaminu leżący teraz bezpiecznie w nogach łóżka. Czuła, jakby ta księga została spisana tyle wieków temu tylko dla...

Znieruchomiła i wstrzymała oddech, kiedy to do niej dotarło. Księga została spisana dla nich... i dla wszystkich innych par dążących do pełnej miłości i do odkrycia głębi swych serc. A skoro na nich się to sprawdziło, to i na innych powinno zadziałać.

—Myślę, że stare kapłanki wiedziały, o czym piszą - powie działa z szacunkiem.

—Zachowaj nadzieję dla kolejnych sześciu zwojów. - Za chichotał i pogłaskał jej nagą pierś, gdy tak leżała wtulona w niego. - Nie jesteś ciekawa, co wymyśliły staruszki jako drugą rozkosz?

Rozpoznając ten błysk w jego oczach, uniosła się na łokciu i obdarzyła długim namiętym pocałunkiem.

—Jeśli przetłumaczę ją dla ciebie, nie chcę więcej słyszeć narzekania na to, że robię coś „według książki”.

Dotykanie było kolejną rozkoszą opisaną przez kapłanki w ich przewodniku do zdobycia mądrości. Przed końcem dnia Abigail i Apollo odkryli kilka kuszących rodzajów kontaktu, który angażował zmysł dotyku. Zdawało się, że czas się zatrzymał, kiedy oddawali się pieszczotom. Przebrnęli za ledwie przez drobną część wyczerpującej listy, by znów oddać się

gwałtownej namiętności, po której nastąpiło błogie rozlewienie.

Kuzyn Topsel, ich taktowny gospodarz, przyniósł tacę z jedzeniem pod ich drzwi i zasugerował, że mogliby zjeść na dachu, pod gwiazdami. Z tacą w rękach wyszli po schodach na dach, gdzie zastali coś na kształt tarasu wyłożonego perskimi dywanami i wielkimi poduchami, i oświetlonego mosiężnymi lampami.

Z apetytem zjedli couscous z migdałami i rodzynkami, nadziewaną dynię i pieczeń baranią, a potem Smith przy gasił dwie z trzech lamp, położył się na plecach na miękkich poduszkach i zrobił dla niej miejsce obok siebie.

- Popatrz tam - powiedział, wskazując na konstelację widoczną na nocnym niebie, kiedy Abigail uśmieła się przy nim.

- To Orion, myśliwy... Plejady, znane z wielu historii... A tam wyżej świeci Wielki Pies, którego najjaśniejszą gwiazdą jest Syriusz, Psia Gwiazda. A tu jest Mars. Zobacz, jaki wydaje się czerwony w porównaniu z pozostałymi gwiazdami. Z tyłu, w stronę horyzontu - wskazał ponad swoją głowę - jest Gwiazda Północna, którą żeglarze wykorzystywali do nawigacji statków. A tu jest Wielki Wóz.

- Skąd tyle wiesz o gwiazdach? - spytała, przyglądając się jego profilowi, kiedy on wpatrywał się w niebo nad nimi. Zachichotał.

- Znudziłem się leżeniem na twardej ziemi co noc i bezmyślnym wpatrywaniem się w gwiazdy, nic o nich nie wiedząc. Więc... - spojrzał na nią kątem oka - kiedy dostałem pierwszą wypłatę, kupiłem książkę o gwiazdozbiorach. Zabierałem ją ze sobą na patrole i uczyłem się nocnego nieba. Crocker i inni z kompanii dokuczali mi, że wydaję pieniądze na książki zamiast na whisky. Ale po pewnym czasie dołączyli do mnie i wspólnie oglądaliśmy niebo, ucząc się historii gwiazd i wskazywania kierunków na ich podstawie. To była pierwsza z kilku książek, które kupiłem i pożyczałem - przerwał. - To zabawne.

(Naprawdę. Kiedy przyjechałem do Maroka, próbowałem uciec od książek i nauczycieli, i egzaminów...

- Studiowałeś przez jakiś czas?

- Tak, na Oksfordzie. Trzy bardzo długie lata. Miałem zacząć właśnie czwarty i ostatni rok na studiach, kiedy przyjaciele zaprosili mnie w wielką wspólną podróż. Ojciec był wściekły i zażądał, żebym został w domu i pomógł w kierowaniu rodzinnym przedsiębiorstwem. - Odetchnął głęboko. - Powiedziałem mu, żeby sobie wsadził w tyłek swoją kalwinistyczną dyscyplinę i przestał mnie tresować jak psa. Uciekłem z domu i dołączyłem do przyjaciół, którzy ruszyli przez Paryż, Marsylię i Majorkę, staczając się w bagno rozpusty. A potem do Tangeru.

- Czy to tam...?

Przytulił ją mocniej do siebie, zdradzając tym samym, jak żywe były jeszcze te wspomnienia.

- Nie miałem pojęcia, że ojciec podupadał na zdrowiu, tak jak rodzinny interes. To dlatego tak bardzo pędził mnie do nauki, żebym się dobrze przygotował. Chciał, żebym przejął po nim firmę. - Przerwał na chwilę. - Ale także zależało mu na tym, żebym sam podjął decyzję o jej przejęciu.

- Kiedy wróciłeś do Anglii, widziałeś się z nim?

- Zmarł dwa i pół roku po moim wcieleniu do Legii Cudzoziemskiej. - Jego głos stał się bezbarwny. - Nie miałem o tym pojęcia. Dowiedziałem się o jego śmierci dopiero rok po fakcie, kiedy spotkałem w Marrakeszu wuja LaCroix. Wyglądał na zaskoczonego, że jeszcze żyję, i z ogromną przyjemnością przekazał mi wieść, że ojciec nie żyje.

- Powiedział ci o tym tak po prostu? - Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po twarzy. - Apollo, tak mi przykro. - Zawahała się przed zadaniem kolejnego pytania. — A co z twoją matką?

- Moj a matka pochodziła z południa Francji i nigdy nie czuła się dobrze w angielskim klimacie. Mniej więcej rok po śmierci ojca złożyła ją ciężka choroba.

- Nie udało ci się uzyskać urlopu, żeby pojechać się z nią zobaczyć?

Wybuchnął szorstkim śmiechem, ale po chwili zamilkł pod wpływem ciepła i czułości płynących od niej.

- W Legii Cudzoziemskiej jest takie powiedzenie, że legioniści nie mają innej rodziny poza towarzyszami broni. - Przerwał, wspominając prawdopodobnie jakieś wydarzenia z czasów służby. - Napisałem list do matki, gdy dowiedziałem się o śmierci ojca, ale nie dostałem odpowiedzi. Kiedy byłem w Anglii, od prawnika rodziny dowiedziałem się, że mój list dodał jej sił i czekała na spotkanie ze mną. Powiedział mi też, że odpisała mi, ale w tym czasie ciągle byłem w zmieniającej się miejscach kompanii konnej. Nigdy nie dostałem tego listu. Zmarła, zanim udało mi się wrócić do Anglii.

- Och, Apollo... - Spojrzała w jego błyszczące oczy i dostrzegła w nich ból, który w sobie nosił po stracie rodziny. Chciała zadać mu jeszcze wiele pytań, ale wiedzona falą uczuć tylko go pocałowała.

Wziął głęboki oddech i odsunął od siebie bolesne wspomnienia.

- Jak na ironię, te pięć lat w legii, spędzonych w głodzie, upale, w ciężkim odrętwiającym wysiłku, przelewając krew w całej północnej Afryce, sprawiło, że w końcu zacząłem doceniać przywilej dobrego pochodzenia i wykształcenia, które kiedyś były mi dane.

Abigail była pogrążona w myślach, kiedy później objęci schodzili z tarasu. Smith, dotknął dłonią jej piersi i zachichotał.

- Myślałem o tym twoim złotym gorsecie.

- Tak też myślałam - powiedziała, kładąc dłoń na jego palcach.

- Ściślej mówiąc, zdaje mi się, że to jest skarb, który moglibyśmy sprzedać. A to znaczy, że Haffemu i mnie należy się połowa jego wartości.

- Hm. - Przekrzywiła głowę. — To może wymagać pewnych delikatnych negocjacji.

- A mówiąc o złocie - powiedział wolniej i z namysłem, najwyraźniej obawiając się jej reakcji. - Zastanawiam się nad tym, czyby nie wrócić do oazy z Haffem i kopaczami, i spróbować wydobyć złoto z tunelu.

- Co? - Weszła do pokoju i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. - Chyba nie mówisz tego poważnie...

Czyjaś dłoń zasłoniła jej usta. Apollo dostrzegł sylwetkę wyłaniającą się z ciemności i chwytającą ją. Zareagował instynktownie, rzucając się przez pokój.

- Abigail! - Zanim zdołał do niej dobiec, z cienia przy drzwiach wyłoniła się druga postać, która go ogłuszyła. Miał wrażenie, że czaszka mu eksplodowała. Padając na kolana, walczył z paralizującym uczuciem bólu, które odbierało mu przytomność.

Udało mu się uchylić przed drugim ciosem. Usłyszał szamotaninę, wiązanek przekleństw i trzask odciąganego kurka pistoletu.

Nie tutaj, idioto! - warknął po francusku chropowaty głos przed trzecim ciosem w tył głowy, który sprawił, że wszystko owiły ciemności.

Rozdział 28

Obudź się! Kubeł wody wylany na niego sprawił, że Smithowi zaczęła powoli wracać świadomość. Uniósł pulsującą bólem głowę i zobaczył, że leży twarzą na brudnej podłodze z rękoma związanymi na plecach. Miejsce wyglądało jak opuszczony dom. Na ścianach było wiele warstw odpadającej farby i wszędzie walał się gruz. W słabym świetle pogiętej lampy wiszącej u sufitu zobaczył zakurzoną ławkę w pobliżu, ale poza tym pomieszczenie było puste. Opuścił głowę na zabłoconą podłogę.

- Budź się, do cholery! - Jeden ze znoszonych butów, które pojawiły się w polu jego widzenia, wymierzył mu gwałtownego kopniaka w żebra. - Budź się, żebyś mógł zobaczyć, jak umrzesz.

Skulił się najmocniej jak mógł, by złagodzić kolejny kopniak i zacisnął zęby, kiedy ból eksplodował mu w brzuchu jak fajerwerki.

Potem była chwila przerwy, po której zobaczył nad sobą uśmiechniętą nalaną gębę sierżanta Gastona. Następne kopnięcie wywołało ostry ból w żebrach i nerkach. Gaston złapał go za kołnierz i podciągnął do góry.

- Zaskoczony, że mnie widzisz? - uśmiechnął się ponuro.
- Miałeś nadzieję, że zginąłem tam, w tym podziemnym piekle, razem z innymi?

- Niezupełnie, Gaston - odparł z trudem Smith. - Miałem nadzieję, że przeżyłeś tam kilka dni, uwięziony pod tonami skał...

Pięść Gastona opadła na jego twarz i Smith poczuł, jakby skóra oddzielała mu się od kości. Głowa odskoczyła mu do tyłu

- Kto ci zapłacił? - próbował podtrzymać jak najdłużej rozmowę z Gastonem.

- Nie domyślasz się? - Gaston zaśmiał się, wyraźnie czując satysfakcję ze swej przewagi. - Pomyśl trochę.

Sznur, którym miał związane ręce, był sztywny, nowy. Schuller i ten drugi wiązali go pośpiesznie, bo nie postarali się, żeby mocno zaciągnąć węzły na nadgarstkach. Apollo zaczął więc poruszać rękoma w przód i tył.

- Myślisz, że jesteś taki mądry. - Gaston wymierzył mu kolejnego kopniaka. - Kogo w Tangerze może obchodzić jakiś pijany angielski student?

Apollo wypluł krew, która zebrała mu się w ustach.

- LaCroix.

- Dużo czasu ci to zajęło. - Gaston wyprostował się i zatknął kciuki za pasek. - Mimo swoich mądrych książeczek i wypielęgowanego wyglądu, jesteś głupkiem.

Następny kopniak odebrał Smithowi oddech i wywołał potworny ból w dole klatki piersiowej. Pęknięte żebra, zdał sobie sprawę, czując ucisk w płucach przy każdej próbie nabrania powietrza.

- Algieria - zdołał wydyszeć. - Na północy. Tamto też ci opłacił, co?

- I to nieźle - przechwalał się Gaston. - Chociaż wtedy już sam nienawidziłem cię wystarczająco, żeby zabić. - Miał wykrzywioną twarz, gdy nachylił się nad Smithem. - Synalek arystokraty, psia mać... Myślisz, że świat jest ci coś winien, że inni powinni cię słuchać i podążać za tobą, tylko dlatego, że masz błękitną krew i czytasz swoje mądre książeczki. - Wyciągnął nóż z buta. - Zaraz się przekonamy, jakiego koloru jest naprawdę twoja krew...

Abigail patrzyła z przerażeniem, jak Gaston przecina ramię Smitha, który zwija się i jęczy z bólu, a jego koszula powoli nasiąka krwią.

- Czerwona. Tak jak u nas wszystkich - warknął Gaston, a Abigail poczuła dreszcz przechodzący jej ciało.

- Przestań! - udało jej się krzyknąć, strząsając z twarzy dłoń, która zasłaniała jej usta i wpijała się w policzek. - Powiem wam o skarbie. Zostaw go, a powiem ci, jak możesz znaleźć skarb!

Apollo wykrztusił ostrzegawczo jej imię. Gaston podniósł się odwrócił do Abigail.

- Skarb! Myślisz, że Gaston jest głupi, co?

- Abigail, nie! - wycharczał Smith.

- Jest skarb - rzuciła. - Tyle złota, że nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. I cenne kamienie szlachetne, dzieła sztuki, czekające tylko, by je wydostać...

- Kłamliwa suka - szydził Gaston, spoglądając za siebie na Smitha. - Myślisz, że uda ci się uratować mu życie takim marnym kłamstwem? - Odwrócił się do Smitha ze zwięzonymi oczami. - Teraz obydwójce zginiecie.

- Mogę udowodnić, że to złoto istnieje - powiedziała Abigail, mimo że dłonie znowu zatykały jej usta. — Posłuchaj mnie, Gaston... Mogę dowieść prawdy. Pomyśl o tym. Złoto! Będziesz mógł wykupić się z legii...

Gaston obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Już odszedłem z legii. Po angielsku. Parę miesięcy temu.

- Wyciągnął pistolet. - Tak jak twój kochanek, dezterter. - Przy stawiał broń do głowy Smitha. Nie miał nic do stracenia, zabijając ich oboje.

- Zamierzacie pozwolić mu, żeby zabił waszą jedyną szansę na wzbogacenie się? - zwróciła się do patykowatego żołnierza, który trzymał jej lewą rękę, i starego wiarusa, który trzymał jej prawą rękę. - Jeśli on zabije Smitha, zabiorę ze sobą do grobu informację o tym, gdzie jest złoto. Przysięgam!

Gaston chyba zdał sobie sprawę z tego, że jej taktyka może odnieść skutek u jego popleczników. Odwrócił się tak, żeby spojrzeć na nich przez ramię.

- Ona kłamie. Niczego nie wie!

- Mam dowód... Tutaj. - Zaczęła szamotać się, próbując wyplątać się z trzymających ją rąk. - Tylko spójrz na mnie!

- Uchwyt rąk mężczyzn zelżał, kiedy sięgnęła do guzików bluzki. Rozpięła jeden guzik, potem drugi. Gaston kłął po francusku, besztając podwładnych i rozkazując, żeby powstrzymali tę kobietę, a sam zaciągnął kurek pistoletu wymierzonego w Smitha. Abigail rozpięła trzeci guzik, a potem po prostu szarpnęła poły bluzki i rozerwała ją na pół.

- Patrz! - krzyknęła, prostując plecy, żeby wysunąć piersi jak najbardziej do przodu. - Popatrz na to!

Sapanie i pomruki żołnierzy skłoniły Gastona do rzucenia okiem na to, co działo się za jego plecami. Po chwili wpatrywał się już w Abigail z szeroko otwartymi z ustami.

Spojrzała w dół na samą siebie, na złote miseczki zasłaniające piersi z ich wystającymi sutkami, na skomplikowaną metalową konstrukcję z kamieniami szlachetnymi zdobiącymi jej brzegi i na złote łuski, które połyskiwały w słabym świetle za każdym razem, gdy nabierała powietrza. Nigdy w życiu nie czuła się tak zdesperowana i jednocześnie obnażona. Spojrzała na zakrwawioną twarz Smitha i jego skuloną z bólu sylwetkę na podłodze.

Gdy Gaston i jego ludzie gapili się na gorset i na jej piersi, widoczne przy krawędziach złotych miseczek, poczuła subtelną zmianę w równowadze sił.

- To jedynie drobna część tego, co dały mi kapłanki - powiedziała prawie bez tchu. — Są jeszcze złote patery, lampy, kolie i kielichy, pierścienie kapiące od złota i wysadzone kamieniami szlachetnymi... Wystarczy tego, żebyście byli bogaci do końca życia. — Spojrzała na mężczyzn, którzy trzymali ją. Ślinili się. Widziała, że z trudem łapią oddech i zapominają o chęci zemsty na rzecz pilniejszej potrzeby, i modliła się o to, żeby w ich hierarchii pragnień to bogactwo było na pierwszym miejscu.

Gaston opuścił broń i podszedł do niej, żeby dotknąć sutka sterczącego na szczycie jednej ze złotych miseczek. Jego oczy błyszczały i zaczął oblizywać wargi.

- Widzę, że jednak coś jest w tym złocie.

Nagle runął całym swoim ciężarem na Abigail, przypierając ją do ściany. Krzyk uwiązał jej w gardle od siły uderzenia, ale gdy próbowała złapać powietrze, zaczęła wyrywać się z uścisku zaskoczonych żołnierzy. Nagle poczuła, że cielsko Gastona 'ustępuje i zobaczyła Smitha, stojącego na własnych nogach za sierżantem... ze sznurami, które do tej pory kępowały jego ręce, a teraz były zarzucone na grubą szyję Gastona.

Jeden z żołnierzy próbował rzucić się na pomoc, ale w tym momencie pistolet Gastona wystrzelił i mężczyzna w popłochu wrócił do kolegi, żeby w tej sytuacji pomóc mu trzymać Abigail. Położyli łapy na jej gorsecie, starając się go zdjąć. Walczyła z nimi, kopiąc. Wbiła paznokcie w twarz jednego z żołnierzy. Zawył i cofnął się tylko po to, żeby po chwili odplącić jej ciosem w twarz...

W drugiej części pokoju Gastonowi udało się zgiąć wpół i pociągnąć za sobą Smitha, zrywając duszący go sznur. Wbił łokieć w żebra Smitha, pozbawiając go tchu i posyłając go na przeciwległą ścianę. Przypomniawszy sobie, że trzyma w dłoni pistolet. Kiedy go uniósł, Apollo pochylił się i ruszył na niego taranem, rzucając go na najdalszą ścianę. Obydwaj złapali za pistolet i zaczęli się szamotać, aż broń upadła na podłogę.

Abigail także zaciekle walczyła, kiedy mężczyźni połączyli siły, żeby powalić ją na podłogę. Zasłaniała rękoma głowę, a oni przyklękli na jej nogach, żeby ją unieruchomić. Mogła jedynie wierzgać stopami i przeklinać, kiedy dopadli jej gorsetu i śmiejąc się z okrucieństwem, udawali pieszczoty.

Zauważyła nóż wystający z cholewy buta jednego z nich i wiedziała, że jest on jej jedyną szansą. Znieruchomiła i zaczęła wydawać z siebie odgłosy szlochu, błagając, żeby przestali i już jej nie krzywdzili.

- Weźcie go! Możecie go zabrać! - zawołała, odwracając od nich twarz i zanim zacisnęła oczy, zmierzyła odległość dzielącą ją od buta mężczyzny. - On ma specjalne zapięcie. Sama go zdejmę...

Zawisnęli nad nią, dysząc, z oczami wlepionymi w złote piersi. Spojrzeli na Gastona, który walczył o życie, i z powrotem przenieśli wzrok na Abigail. Nienawiść Gastona do Anglika przestała ich interesować. W tej chwili uznali, że każdy musi dbać o siebie. Puścili nogi Abigail i podciągnęli ją w górę do pozycji siedzącej.

Dotknęła głowy i zachwiała się, jakby miała zamiar zemdleć, a potem przechyliła się i chwyciła nóż. Zanim zdążyli zareagować, ugodziła jednego z nich w ramię, a drugiemu wbiła ostrze głęboko w udo.

Apollo usłyszał jęk bólu i ryk złości, lecz nie mógł spojrzeć w tamtą stronę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Tłuste łapy sierżanta zaciskały się coraz mocniej na jego szyi. Czuł, że nadchodzi ciemność i za chwilę straci przytomność. Nie mógł złapać powietrza. Zdesperowany, spróbował ostatni raz się uwolnić. Napiął mięśnie nóg i dźwignął je do góry, wytrącając Gastona na chwilę z równowagi. Trwało to na tyle długo, żeby zdążył wykręcić się z duszącego uścisku i z całą siłą wbić zęby w jego nadgarstek.

Gaston zawył i odchylił się. W ułamku sekundy Apollo przeturlał się na bok i zrzucił go z siebie. Miał mgliste wrażenie, że Abigail wyszarpnęła się z uścisku żołnierzy i czołga się na bok. Zauważył, że ze zdwojoną siłą i furią rzucają się na nią, lecz gwałtownie się zatrzymują, kiedy ona się do nich odwraca. Jakiś niepokojący błysk, tylko tyle zdołał zobaczyć, zanim z trudem stanął na nogi, a Gaston rzucił się na niego jak szarżujący byk.

Abigail zauważyła na podłodze broń Gastona. Gorączkowo podczołgała się do niej, wyciągając palce i zaciskając zęby, zdołała dosięgnąć jej rękojeści i przyciągnęła pistolet do siebie... w tym samym momencie, w którym dwaj mężczyźni złapali ją za stopy i pociągnęli po podłodze w swoją stronę. Przeturlała się na bok, łapiąc oburącz pistolet i zaciągając kurek obydwojoma kciukami.

Jeden z nich zauważył pistolet, drugi jednak nie. Kiedy nacisnęła spust, starszy z nich drgnął i upadł jak długi na podłogę.

Wystrzał zelektryzował Smitha. W jednej chwili zdawało się, jakby wszystko inne w pokoju znieruchomiało. On i Gaston przeturlali się po podłodze, okładając się pięściami i kopiąc, obydwoj gotowi pozabijać się nawzajem... Wtem z mroku wyłoniła się jakaś ponad nimi postać i usłyszeli drugi strzał.

Gaston krzyknął i zwinął się z bólu, łapiąc się za udo. Mimo jego jęków i przekleństw Apollo zdołał usłyszeć podwójne kliknięcie zaciąganego kurka pistoletu.

- Nie ruszaj się, ty żałosny sukinsynu!

To był głos Abigail. I kiedy ocknął się na tyle, żeby skupić wzrok, zobaczył ją stojącą nad Gastonem w rozpiętej bluzce, z potarganymi włosami i dłońmi zaciśniętymi na broni.

- Ty? - wykszusił. - Strzeleliś do niego?

- Do nich - powiedziała z furją. - Smith rozejrzał się i zauważył jednego z ludzi Gastona, leżącego na podłodze. Drugi uciekł.

Chwilę trwało, zanim dotarło do niego, co się stało. Abigail właśnie postrzeliła dwóch ludzi. I prawdopodobnie uratowała mu życie. Jedyne, co mógł zrobić, to wstać na nogi i przykuśtykać do niej.

- Jesteś cały? - spytała, obrzucając go krótkim spojrzeniem.

- Przeżyję. - Oparł się na jej ramieniu, żeby nie stracić równowagi.

- To mi wystarczy. - Uśmiechnęła się dziwnie i spojrzała na niego jeszcze raz, żeby się upewnić, że mówił prawdę, a potem skupiła wzrok na Gastonie. - Co z nim zrobimy?

- Jeśli mnie zabijesz — warknął Gaston, w kącikach jego ust zebrała się ślina, a oczy zaszklily mu się z bólu - to nic nie zmieni. LaCroix i tak dostanie to, czego chce.

- A czego on chce? - Apollo wolną ręką objął swoje połamałe żebra i starał się nie oddychać zbyt głęboko. - Dlaczego na mnie poluje i mnie prześladowuje?

- Nie wiesz? - Gaston zaśmiał się ponuro. . Rozwścieczony Apollo rzucił się na niego i kolanem przycisnął roztrzaskane udo. Sierżant wrzasnął.

- Mów! Czego on chce?

- Twojego dziedzictwa.

Apollo oniemiał.

- To prawie śmieszne - powiedział, zaczynając odczuwać dreszcze. - Nie mam żadnego spadku. Przedsiębiorstwo ojca zostało sprzedane, żeby spłacić kredyt...

Znieruchomiał i na chwilę wstrzymał oddech, żeby nie czuć bólu przy oddychaniu, który był tak silny, że nie pozwalał mu myśleć. LaCroix nie mógł wiedzieć o firmie ojca, a i tak by go raczej nie zainteresowała. Mógł się tylko interesować rzeczami związanymi z matką Smitha, a jego siostrą. Ale rodzina LaCroix nie ma niczego wartościowego. Matka ochoczo wyszła za mąż za ojca, ponieważ jej rodzina była bez grosza.

- Mów! Co takiego on chce uzyskać dzięki mojej śmierci?

- Złapał Gastona za włosy i zaczął potrząsać jego głową.

- Nie wiem - przyznał w końcu Gaston chrapliwym od bólu głosem. - Ale coś wartego więcej od twojego piekielnego życia.

Apollo podniósł się i chwiejnym krokiem podszedł do Abigail, która wzięła go pod ramię.

- Muszę się dowiedzieć, czego chce LaCroix - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Muszę wrócić do Casablanki.

- Kiedy tam dotrzesz, jego już nie będzie - mruknął Gaston, walcząc, by nie stracić przytomności. - Sprzedaje wszystko i opuszcza Maroko. Nigdy go nie znajdziesz.

- Znajdę go - powiedział Apollo - nawet, jeśli będę musiał za nim pojechać do samego piekła i z powrotem.

- Kiedy on się dowie, że żyjesz, nie znajdziesz w Maroku ani jednego bezpiecznego zakamarka - Gaston wylał z siebie ostatnią dawkę jadu. - Jeszcze się z tobą rozprawię, Smith. Spotkamy się w piekle

Głowa opadła mu na bok, więc Apollo przykłęknął, żeby sprawdzić puls.

- Czy on... - Abigail spojrzała na pistolet w swych dłoniach z rosnącym przerażeniem i upuściła go na ziemię.

- Zabiłam go?

- Nie. Nadal żyje. Ale traci szybko krew. - Spojrzał na kałużę, która zebrała się pod nogą Gastona. Chociaż nienawidził łajdaka, nie mógł zostawić go w ten sposób. Odpiął mu więc pasek od spodni i wyciągnął ze szlufek, a potem zawiązał go ponad raną na udzie.

- Chodźmy stąd - powiedział, obejmując Abigail i prowadząc ją do drzwi.

- A co zrobimy z Gastonem? - spytała.

Zatrzymał się, by na niego spojrzeć.

- On się nigdzie nie wybiera. Powiemy o nim lokalnej policji. Jeśli będzie miał szczęście, obudzi się już w miejscowym więzieniu. Jeśli mu się nie poszczęści, miejscowi zaoszczędzą kłopotów policji i sami się nim zajmą, zachowując jedynie jego odciętą głowę dla lokalnych żołnierzy, którzy polują na dezertersów z legii.

Już mieli wyjść, gdy Abigail kątem oka zauważyła coś, co zwróciło jej uwagę.

Rozdział 29

Zaczekaj... - Wysunęła się spod ramienia Apolla i pobiegła z powrotem podnieść coś z podłogi. Kiedy wróciła, zauważył, że trzyma w ręku broń.

- Co? - spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. - Wy daje mi się, że te łotry wzięły mój pistolet. Widzisz? To Webley łamany od góry. 455.

- Dwójka — dodał, wykrzywiając poranione usta w nikłym uśmiechu.

- Jednak Maude Cummings miała rację - powiedziała. - Warto mieć broń o dużej sile rażenia.

Zaśmiał się, chociaż to wywołało ból. Po chwili wychodzili już na zewnątrz, na łagodne światło wschodzącego dnia.

Ich pojawienie się, zakrwawionych i pobitych, postawiło cały dom kuzyna Topsela na nogi i wywołało gorączkową bieganinę. Haffe szalał ze zdenerwowania, że Smith i Abigail o mały włos nie zostali zabici, a Topsel był oburzony, że ktoś śmiał naruszyć świętość jego domu i napadł na jego gości. Jego duma osobista i honor rodziny zostały naruszone.

Haffe i jego uprzejmy kuzyn wyruszyli na ulicę, by zebrać ludzi z sąsiedztwa i wspólnie odszukać mężczyznę, któremu udało się zbiec - Schullera - i przekonać się na własne oczy, czy Gaston został schwytany i ukarany zgodnie z ich bezkompromisowym poczuciem sprawiedliwości.

Abigail i Apollo zostali natychmiast zaprowadzeni do pokoju na parterze, za dziedzińcem, gdzie żona i córki Topsela opatrzyły ich rany, na sińce nałożyły im mieszankę śmierdzących ziół i wielbłądziego masła i owinęły bandażami żebra Smitha. Oboje zostali zmuszeni do wypicia mocnej herbaty i położeni

do łóżek z miękką pościelą i górami poduszek. Ból powoli się zmniejszał, więc wkrótce zapadli w sen.

Była już noc, kiedy Abigail się ocknęła. Apollo już nie spał, oglądał swoje żebra i próbował wstawać.

- Jak się czujesz? - spytała, podnosząc się z łóżka, żeby pomóc mu ustać na nogach.

- Tak, jak się tego można spodziewać - odparł, uśmiechając się opuchniętymi wargami, kiedy objęła go w pasie, by go podtrzymać. Stali tak przez chwilę, ciesząc się swoją bliskością, a potem Abigail uniosła głowę i spojrzała na niego pełnymi łez oczami.

- Myślałam, że cię stracę - powiedziała — i że nigdy nie będę miała okazji, żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię Kocham.

- Tak? Widok, jak rozdierasz bluzkę przed Gastonem i jego ludźmi, zabrał mi parę lat życia. - Dotknął jej posiniaczonego policzka. - Ja też cię Kocham, Boston. I przykro mi, że cię w to wszystko wciągnąłem. Nigdy nie chciałem...

Przerwała mu, kładąc palce na jego ustach.

- Nie żałuję. Nigdy nie będę żałować.

Tulił ją do siebie przez chwilę, a potem wziął głęboki oddech, który sygnalizował, że zamierza jej powiedzieć coś ważniejszego.

- Wiesz, że muszę jechać, prawda? Muszę dorwać LaCroix, zanim uda mu się zniknąć.

Jego oczy, w których nauczyła się niedawno czytać, powie-działy jej, że decyzja jest nieodwołalna. Nie chodziło tu o pokaz brawury ani bezrozumną potrzebę odwetu za zranioną dumę. To było coś, co musiał zrobić. Od tego zależał spokój jego serca, a może i całego życia.

- Jeśli ty jedziesz, ja jadę z tobą. Zamierzam być przy tobie w każdej sytuacji - oświadczyła stając na palcach. - Daj mi dwa dni, Apollo. Odpocznij, wykuruj się przez te dni, a potem go znajdziemy, nawet jeśli mielibyśmy jechać za nim na koniec świata.

Grupa, która opuszczała wioskę Fum Zguid, była znacznie liczniejsza niż ta, która przybyła tu pięć dni temu. Do Abigail, Smitha i Haffego dołączyli Topsel i jego dwóch dorastających synów, oraz kilku służących, tuzin wielbłądów, osiem osłów po legionistach i samotny koń, który należał kiedyś do Gastona.

Prawdopodobnie Haffe zwierzył się Topselowi z pragnienia poślubienia dzielnej dziewczyny z gór i jego kuzyn, w przepływie romantyzmu, opowiedział o ciężkiej sytuacji Haffego innym kuzynom w miasteczku. Rodzina zgodziła się, że wejście w sojusz z zamożnym wodzem z przełęczy Tizi-n-Tichka byłoby bardzo korzystne. Początkowo wahali się, ale Haffe obiecał, że zwróci im część posagu panny młodej, kiedy dostanie zapłatę za swoją służbę u zachodnich poszukiwaczy przygód. Rodzina więc *złożyła* się i każdy dał po kilka wielbłądów i rozmaite podarki, wśród nich srebrne monety, żeby pomóc mu przekonać do siebie rodzinę dziewczyny. Kuzyn Topsel zgodził się towarzyszyć mu przy negocjacjach.

Podróż, chociaż odrobinę wolniejsza, była zdecydowanie o wiele wygodniejsza niż poprzednie. Dodatkowe ręce sprawiały, że stawianie namiotów czy przyrządzanie posiłków było znacznie lżejszym zadaniem, a płócienne łóżka polowe, które zapewnił Topsel, pozwalały wypocząć w nocy. Obrażenia Smitha sprawiały, że męczył się szybciej, ale ogólnie wydawał się dobrze znosić trudy wędrówki.

Mimo dowodów na to, że jego zdrowie się poprawia, Abigail martwiła się o niego. Przynajmniej raz dziennie widziała, jak spogląda w stronę szczytów gór, za którymi jest Marrakesz, Casablanka i LaCroix.

Kiedy podeszła do niego ostatniej nocy na pustyni, stał w świetle księżyca i spoglądał na góry. Zaskoczył ją swoimi obawami.

- LaCroix? - zaśmiał się ponuro. - On pewnie już się spakował i uciekł. Martwię się bardziej o przełęcz. Topsel jako pierwszy pojedzie do Bareka i załagodzi sytuację rozmowami

o ślubie Haffego. Ale ty i ja... - Objął ją ramieniem. – Zastanawiam się, jak mamy się przedostać przez przełęcz niezauważeni. Nie opuściliśmy tego miejsca w najlepszych okolicznościach. - Uniósł brew. - Gdybyś tylko nie wyglądała tak... amerykańsko.

Stuknęła go w zebra.

Ale następnego dnia, w czasie jazdy, poruszyła tę sprawę w rozmowie z Topselem i Haffem, i po dłuższej dyskusji opracowali plan, według którego Apollo i Abigail wystąpią w roli sług. A po zapadnięciu zmroku wezmą swoje konie i amfory z rękopisami, i uciekną drogą do Marrakeszu. Abigail będzie musiała ukryć twarz za zasłoną z turbanu, a Apollo będzie się musiał trochę skulić, żeby ukryć swój wysoki wzrost. Obydwoje zgodzili się, że to jedyny sposób na przedostanie się przez góry w czasie, kiedy Berek będzie zajęty przygotowaniami do ślubu.

Ostatniego ranka przed wkroczeniem na górski odcinek drogi ku przełęczą Topsel i Haffe wyszli z namiotów ubrani w okazałe przyozdobione dżelaby, obszyte złotymi nićmi burnusy i przepasani kolorowymi szarfami z frędzlami, za które zatknęli sztylety z rękojeściami ze złota i kości słoniowej. Mogli uchodzić za bardzo zamożnych kupców, emirów, albo sułtanów,

W przeciwieństwie do nich, Abigail i Apollo zostali po zbawieniu swoich angielskich butów, i odziani w skromne szaty a ich twarze przyciemniono śmierzdzącą brązową pastą, używaną do leczenia ran koni. Co gorsza, Abigail przydzielono brudną szatę z kapturem, który miał specjalną zasłonkę z gazy na przez którą niewiele mogła zobaczyć. A potem dowiedziała się że będzie musiała do tego wszystkiego jechać pod górę nago bo słudzy nie jeżdżą konno.

- Lepiej, żeby ten plan zadziałał -mruknęła, zawieszając na szyi zwierzęcia i chwytając lejce osła ciągnącego się i objuczonego amforami. Nie było odwrotu. Szlak był taki wąski że nie pozwalał na zawrócenie osła. Wielbłądy zaczęły się

wzdragać i wydawać płochliwe odgłosy. Synowie Topsela i słudzy przechodzili od jednego do drugiego, starając się uspokoić, głaskali zwierzęta i śpiewali im dziwną melodyjną piosenkę. Wielbłądy wyraźnie wsłuchiwały się w melodię i uspokoiły się na tyle, żeby kontynuować marsz pod górę.

- Ciekawe, czy znają piosenkę, która mogłaby uspokoić rozwścieczoną bibliotekarkę? - zawołał Apollo, a Abigail nawet nie raczyła na niego spojrzeć, przysięgając sobie, że policzy się z nim, kiedy staną na równiejszym gruncie.

Za ostatnim niebezpiecznym zakrętem zobaczyli przełęcz, której widok przypominał im poprzedni przejazd... z kulami świszczącymi nad głowami, kamieniami zgrzytającymi pod nogami zwierząt i pędem w dół stromizny nad krawędziami urwisk. Abigail zaschło w ustach i zaczęły się jej pocić dłonie, gdy tylko zbliżyli się do szarych granitowych ścian przełęcz.

Przywitało ich sześciu strażników z karabinami. Abigail zgięła plecy i pochyliła się w siodle, starając się na nich nie patrzeć. Bała się, że mimo zasłonki zobaczą jej twarz i zorientują się, że jest cudzoziemką. Wstrzymała oddech, ale pominęła ją wzrokiem i patrzyli na Smitha jadącego na pierwszym wielbłądzie. Ku jej zaskoczeniu, jego też zignorowali, przyglądając się z większym zaciekawieniem samym wielbłądom.

Topsel i Haffe zsiadli i poczęstowali strażników tytoniem, pytając o kierunek do centrum osady. Abigail nie była w stanie oddychać normalnie aż do momentu, kiedy cała grupa przejechała główną ulicą i zatrzymała się przy zagrodach, w których zostawili zwierzęta.

Dwa osły objuczone prezentami i jeden wielbłąd zostały zabrane przez Haffego i Topsela do namiotu Bareka. Topsel miał wystąpić w roli głównego negocjatora i wkrótce zostali dopuszczeni przed oblicze wodza. Apollo i Abigail obserwowali z pewnej odległości, jak synowie Topsela zdejmują prezenty z grzbietów osłów i wnoszą je do namiotu naczelnika plemienia. Było spokojnie przez cały czas, kiedy pomagali sługom wnieść

namioty na skraju osady i gdy przyglądali się drodze prowadzącej w stronę Marrakeszu. Mieli nadzieję, że kuzyn Topsel jest tak samo przekonujący, jak romantyczny, i Haffe będzie usatysfakcjonowany wynikiem negocjacji.

Smith zaczął szczotkować konie, z których zdjęli bagaże, a Abigail poszła po wodę dla zwierząt zostawionych za namiotami, nadal objuczonych ekwipunkiem i amforami, gotowych do ucieczki. Zauważyła, że przygląda jej się kilka miejscowych kobiet z odsłoniętymi twarzami, więc modliła się, żeby nie dopatrzyły się, że jest cudzoziemką... i nie wrzuciły jej do studni jako niewiernej.

Słońce już zachodziło, a chłodne, czyste niebo przybierało czerwony odcień, kiedy przed namiotem Bareka powstało zamieszanie. Abigail i Apollo zamarli, obserwując Haffego i Topsela, jak wychodzą z Barekiem i kilkoma jego ludźmi. Wyglądali na zadowolonych, żartowali i wymieniali uwagi z ludźmi Bareka, kiedy ci oglądali osły i wielbłąda, które zostały w tym celu zaprowadzone pod namiot. Musiały nastąpić tradycyjne etapy transakcji handlowej, zanim sam Berek poklepał wielbłąda i powiedział, że akceptuje wymianę.

Abigail odetchnęła z ulgą, a potem spojrzała na Smitha, który był tak zapatrzony w to, co się działo, że zapomniał się zgarbić. Po cichu zawołała go. Szybko się zgarbił i zawrócił do namiotów... akurat w chwili, gdy Topsel, Haffe, Berek i tłum ludzi ruszyli w ich kierunku. Wszyscy mieli zarumienione twarze i zachowywali się hałaśliwie, niewątpliwie w efekcie tradycyjnie zaserwowanego przez Bareka sfermentowanego napitku z miodu. Najwyraźniej mieli zamiar obejrzeć resztę osłów i wielbłądów, które były przedmiotem transakcji. Lecz ich ciekawskie spojrzenia rzucane na namioty i zaniepokojony wzrok Topsela wyraźnie wskazywały, że zamierzają także przyjrzeć się dokładniej całemu dobytкови Haffego i jego kuzyna.

Haffe próbował odwrócić ich uwagę, przyprowadzając dwa

konie, które miał zamiar podarować swojej przyszłej narzeczonej w prezencie ślubnym. Lecz ludzie zauważyli Abigail i zadali pytanie, co robi wśród podróżujących mężczyzn jedna kobieta.

Topsel odparł, że jest ona krewną, którą zabrał ze sobą, żeby powitała narzeczoną i towarzyszyła jej w drodze powrotnej do domu.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się kilka kobiet, które zbliżyły się do nich zdecydowanym krokiem. Wszystkie miały odświeżone twarze, nosiły tuniki w kolorowe pasy i spódnice, oraz nakrycia głowy dzwoniące od łańcuszków i zdobionych je srebrnych monet. Przyglądały się Abigail, która spuściła głowę. Kobieta stojąca na przodzie podeszła do Bareka i coś powiedziała, wskazując na nią ręką.

Wystraszona Abigail zgięła się w pół i zaczęła wycofywać się do namiotu.

- Zostań, gdzie jesteś! - powiedział po francusku Haffe, co Apollo musiał jej przetłumaczyć. — To siostra Bareka. Matka Joleef. - Ukłonił się kobiecie i uśmiechnął do niej szeroko.

- Jest zaniepokojona, że kobiety w naszym otoczeniu noszą na twarzach zasłony. To górskie plemię nie każe kobietom się zasłaniać. Nie chciałaby, żeby Joleef trafiła do mężczyzny, który każe jej zakrywać twarz.

W całym swoim misternym planie tej jednej rzeczy nie przewidzieli. Abigail patrzyła na matkę Joleef, rozdarta pomiędzy uznaniem dla jej odwagi, by walczyć o prawa córki, a pragnieniem, by ta kobieta po prostu odeszła. Uspokojenie krewniaczek Bareka, że zasłanianie twarzy w klanie Haffego nie jest na porządku dziennym, wymagałoby teraz ujawnienia jej tożsamości.

Napięcie wzrosło, kiedy podniosły się sprzeciwy wobec tego związku i jednocześnie nastąpiły próby załagodzenia sytuacji. Ludzie Bareka wydawali się mocno rozweseleni sytuacją Haffego i zaczęli głośno udzielać mu rad, które sprawiły, że poczerwieniał gwałtownie.

Zwrócił się więc po pomoc do Topsela, a ten spróbował wyjaśnić, że ich kuzynka zasłania twarz, bo to praktyka przydatna w podróży, zapewniająca kobiecie ochronę przed spojrzaniem obcych. To był jej wybór, przekonywał, i sama chciała włożyć dzelabę z kapturem.

W końcu odezwał się Berek. Z paniki w oczach Haffego Abigail wywnioskowała, że Berek chce zwrócić się do niej osobiście i sam podjąć decyzję.

Nie było innego wyjścia jak się dostosować. Skromnym krokiem, z opuszczoną głową i starając się zachowywać jak przyzwoita berberyjska kobieta, podeszła do wodza. Kiedy zatrzymała się w punkcie, który wskazał, Berek zadał jej pytanie. Abigail zauważyła, że Haffe kiwa gwałtownie głową, więc zrobiła to samo. Po drugim pytaniu Haffe zaczął kręcić głową, więc poszła za jego przykładem. Ostatnie pytanie sprawiło, że Haffe wytrzeszczył oczy z przerażenia... Najwyraźniej nie było możliwe udzielenie na nie prostej odpowiedzi typu „tak” albo „nie”. Wykszusiła coś, co brzmiało jak „ariaha”, modląc się w duszy, żeby to nie było jakieś berberyjskie przekleństwo lub obraźliwy epitet.

Na chwilę zapadło milczenie. Abigail pomyślała, że może udało jej się wybrnąć z sytuacji. Wtem podeszła do nich młoda kobieta i rzuciła coś na ziemię u stóp Bareka. Abigail jęknęła. To były angielskie buty do jazdy konnej. Jej buty.

Chwilę później kobiety zaczęły zdzierać z niej zasłonę, kaptur i całą szatę przykrywającą jej zachodnie ubranie.

Barek otworzył szeroko oczy.

W tej samej chwili Apollo zerwał z siebie burnus, Haffe rzucił się, żeby odsunąć z drogi Abigail, a ludzie Bareka otoczyli ich i wyciągnęli noże i karabiny. Sekundę później Apollo został schwyty i doprowadzony przed oblicze Bareka, który patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ty!?

Żaden mięsień nie drgnął, żadna powieka nie mrugnęła. Kiedy reakcja Bareka odbiła się echem po całej osadzie. Abigail znieruchomiała jak polna mysz czekająca na atak jast-rzębia. Apollo zebrał siły i przygotował się na epickich rozmiarów eksplozję wściekłości i berberyjską srogą karę. Haffe też już widział przyjaciół ukaranych, jego starania o rękę Joleei odrzucone, a krewnych poniżonych i ograbionych ze wszystkich podarków i cennych rzeczy, które przywieźli... być może nawet z własnych ubrań.

Tymczasem Berek coś warknął i rzucił się do Smitha, chwytając go za ramiona i podnosząc z ziemi. Ten zaczął się szamotać, lecz nagle poczuł i usłyszał coś, co zabrzmiało jak śmiech. Kilka spanikowanych uderzeń serca później Berek postawił go na nogi i odsunął od siebie na długość ramion, patrząc na niego, jak na dawno niewidzianego krewniaka! Potem chwycił Abigail, uściśkał i zakreślił nią, śmiejąc się i powtarzając wciąż te same słowa.

- Moi przyjaciele... Moi najlepsi przyjaciele! - przetłumaczył Haffe, przyciskając ręce do piersi, w której serce na nowo zaczęło bić. - Jak cudownie znowu was widzieć!

Abigail zatoczyła się zdezorientowana tym niespodziewanym wybuchem przyjaźni. Spojrzała na Smitha, potem na Haffego.

- Jesteśmy jego przyjaciółmi? Jakim cudem?

Barek wyczuł ich zmieszanie i zaśmiał się w taki sposób, że wszyscy poczuli się zobligowani do przyłączenia się do tych przejawów wesołości. Oni także zaczęli się śmiać. Nawet kobiety z osady się dołączyły. Potem wódz otoczył jednym ramieniem Haffego, a drugim Smitha i odwrócił się w stronę namiotu.

- Ty też chodź, angielska kobieto! - zawołał doskonałą angielszczyzną.

- Oddaliście mi wielką przysługę podczas waszej ostatniej wizyty - oznajmił, gdy już ich znowu wyściskał, wycałował w obydwa policzki i kazał zająć miejsca po swojej prawej stronie. Kiedy przyniesiono im nowe kapcie i usadzono na jedwabnych poduszkach, przeszedł do wyjaśnień.

- Twoja historia, angielska kobieto, była chyba inspirowana przez samego Allacha, by zawstydzić paru zazdrosnych krewniaków... zdrajców. Słuchając jej, uwierzyli, że dowiedziałem się o ich spisku pozbawienia mnie przywództwa w klanie i postanowili natychmiast wprowadzić zamach w czyn. Uwierzyli, że to było coś więcej niż tylko historia, i zdradzili swe niecne knowania. Moim ludziom udało się ich złapać i wypędzić razem ze współnikami. Kiedy wreszcie dowiedziałem się prawdy, wy już uciekliście przez przełęcz, a moi ludzie was gonili. Potem przyjechali jacyś francuscy legionieści, którzy zaoferowali się was złapać i przywieźć do mnie z powrotem. Ale oczywiście nie widziałem ich od tamtej pory. - Rozejrzał się z zadowoleniem po eleganckim namiocie. - Za odzyskaną lojalność i pokój. Wypijmy! - Wzniósł toast i przywołał usługujące dziewczęta, żeby napełniły kubki miodowym piwem. - Jedzcie do woli. Nadszedł czas świętowania. Allach zwrócił mi was i nawet przyniósł męża dla mojej siostrzenicy, dzięki czemu zaoszczędzę sobie wydatków na podróż do Imilchil.

Twarz Haffego pojaśniała od uśmiechu i wydał okrzyk radości, którym rozbawił wszystkich zebranych. Topsel uściskał go, po czym zwrócił się do synów i potargał im włosy, upominając ich, żeby zapamiętali lekcje wybierania narzeczonej od swojego kuzyna.

Abigail i Apollo patrzyli na siebie z niedowierzaniem, a potem oboje także wybuchnęli śmiechem.

Kiedy weszła Joleef do namiotu wodza, korpulentny Berek wstał i przywołał do siebie Haffego, po czym złączył dłonie

młodych i oświadczył, że przygotowania do ślubu rozpoczną się natychmiast. Pomruk aprobaty rozszedł się po zebranych, a Abigail zauważyła stojącą z boku groźną matkę Joleef, która przyglądała się wszystkiemu krytycznym, lecz nie potępiającym wzrokiem.

A gdy na końcu wszyscy oddali się tańcom, muzyce i zabawie, Berek nachylił się do Smitha i Abigail.

- Jesteś naprawdę dobra w opowiadaniu historii, panno Merchant. Mam nadzieję, że wódz tego British Museum docenia pracę tak pięknej kobiety.

- Dziękuję, lordzie Berek - odparła, rzucając znaczące spojrzenie Smithowi. - Mam nadzieję, że uda mi się go do tego przekonać. Muszę przyznać, wasza wysokość, że wasza znajomość angielskiego jest dla mnie dużym zaskoczeniem.

- Władcy i wodzowie muszą ukrywać jakieś atuty w rękawach swoich dżelab, prawda?

- Racja. - Apollo zaśmiał się i objął ramieniem Abigail, żeby nie było wątpliwości co do jej gotowości.

- Ciekaw jestem - powiedział wódz - co takiego stało się z legionistami? Znaleźli was?

- Znaleźli - przyznał Apollo, spoglądając na Abigail.

- Żli ludzie - dodał Haffe, kiwając głową. - Dezerterzy. Zdraycy. Jeden uciekł, ale z pewnością pustynia go pochłonięła. Być może właśnie teraz nasi żołnierze wiozą głowę ich przywódcy do francuskich oficerów.

- Niech Allah ześle ten sam los wszystkim zdrajcom - oznajmił Berek, wznosząc kubek w górę i oczekując toastów, które natychmiast wypełniły namiot.

Tej nocy spali w wygodniejszych namiotach Berek i następnego dnia Apollo i Abigail opuścili osadę zaopatrzeni w świeże zapasy, na wypoczętych koniach i z silnym poczuciem straty w sercach żegnając się z Haffem.

Wielkie ciemne oczy Berbera wypełniły się łzami, kiedy

grzebał czubkiem buta w ziemi i próbował wydusić jakieś słowa ze ściśniętego gardła.

- Bardzo dziękować, panno Abigail, pani... - Tylko tak udało mu się powiedzieć.

- To ja powinnam ci dziękować, Haffe. Bez twojej pomocy Apollo mógłby nie przeżyć, a ja nigdy nie znalazłabym biblioteki. Dopilnuję, żeby twoje imię zostało zapisane we wszystkich raportach i publikacjach o tym odkryciu. I obiecuję przysłać ci trzecią część tego, co nam zapłacą za naszą pracę.

Haffe skinął głową i nagle objął ją i przytulił mocno na długi rozdzierający moment.

- Smith... Ja życzyć ci powiedzenia z tym złym człowiek. Ty uważać na siebie, dobrze? Ja ci powiedzieć..., ty iść do sułtan Casablanca i poprosić o pomoc w imię Allacha. Nawet sułtan nie może odmówić, jeśli ty poprosić w ten sposób. - Wyciągnął dłoń do Smitha, a kiedy ten ją ujął, przyciągnął go bliżej, żeby mu szepnąć: - Ja bym życzył ci przepiękna gruba żona, ale... - spojrzął trochę żałośnie w stronę Abigail - ja nie sądzić, żeby mleko z sześć wielbłąd mogło ją utuczyć.

Apollo odchylił głowę i roześmiał się serdecznie, a potem uściskał Berbera, który mruczał jeszcze błogosławieństwa na drogę.

Ciężko było wsiąść na konia i odjechać w dziki górski teren, wiedząc że ominie ich świętowanie wymarzonego ślubu Haffego. Łzy popłynęły po policzkach Abigail, kiedy odwróciła się w siodle i zobaczyła Haffego i Joleef stojących razem i machających im na pożegnanie.

Apollo też wydawał się trochę wzruszony, gdy wyciągnął dłoń do Abigail. Kiedy podała mu swoją, zacisnął mocno palce.

- Wiem, że mnie też będzie brakowało małego łotra. Ale pomyśl tylko... Będiesz mogła mi poczytać o trzeciej rozkoszy przy ognisku. Będziemy tylko ty i ja... - Poruszał brwiami w górę i w dół, a potem spoważniał. - Będzie też roślinność

i suche drzewa wokół nas. I nie zapominajmy o zapachu wielbłądzich odchodów i

Trzecią rozkoszą był Taniec. Rękopis mówił, że nie ma lepszego miejsca na taniec niż przestrzeń pod gołym niebem i gwiazdami.

- Doskonale - powiedział Apollo, przyciągając Abigail do siebie i wtulając twarz w jej kark. - Czytaj dalej.

Leżeli na polance w środku gąszczy niskich drzew i krzaków jeżyn niedaleko drogi. Była trawa i drewno na opał, czyste powietrze i bezchmurne niebo, na którym błyszczały gwiazdy.

- „Zacznijcie od zdjęcia szat” - przeczytała i opuściła zwój.

- Jest za zimno, żebyśmy mogli zdjąć ubrania. A poza tym, co to ma wspólnego z tańcem?

- Podejrzewam, że znajdą sposób na podgrzanie atmosfery.

- Pocałował jej szyję i chuchnął na nią ciepłym powietrzem.

- Czytaj dalej, to się dowiemy.

- „W miłości zawsze jest zawarty pewien rytm. Kołysanie ciała w przód i w tył, uderzenia serca, podnoszenie się i opuszczanie piersi przy oddechu, falowanie bioder w tańcu uwodzenia wyrażane przez kochanków, kiedy obydwójce zbliżają się do aktu spełnienia...”

- Widzisz? - Jego palce wśliznęły się pod złoty gorset. - Już robisz się gorąca.

Oddechnęła głęboko, odzyskując kontrolę nad swoimi zmysłami i zmuszając się do powrotu do lektury.

- „Kochankowie muszą odkryć rytmy swojego uczucia i znaleźć te, które są dla nich najprzyjemniejsze. Kombinacja ruchów i częstotliwość będą tak różne dla każdej pary kochanków, jak różne i niepowtarzalne są ich twarze i ciała wśród wielu innych ciał i twarzy. Na początek uklękniście i złączyście dłonie. Kłyszcie się delikatnie w przód i w tył, aż poczujecie, że poruszacie się jak jedna osoba. Potem wstańcie i obejmijcie się, kłyszcie się delikatnie razem z boku na bok. Kiedy osiągn-

niecie harmonię, zacznijcie kołysać się tak, żeby wasze ciała muskały się delikatnie i oddalały od siebie na zakończenie każdego kroku. Powoli zwiększajcie siłę dotyku waszych ciał, aż do momentu, w którym już nie będziecie mogli się od siebie odsunąć. Wtedy będziecie gotowi do następnego kroku..." Głos Smitha był niski i brzmiał prowokująco.

- Wydaje mi się, że mógłbym od razu przejść do drugiego kroku.

Rozkosz tańca brzmiała niemal zbyt prosto, ale w praktyce okazała się zaskakująco wymagająca, mimo że zachowali częściowo ubrania na sobie. Kiedy wreszcie zrobili postęp i rozpoczęli drugi etap, w którym to mieli się kołysać i ocierać o siebie w różnym rytmie, musieli się bardzo powstrzymywać, żeby nie pogrążyć się w dzikim spontanicznym seksie. Nic więc dziwnego, że księga przewidziała taki impuls i ostrzegła przed utratą kontroli i zaprzepaszczeniem całej nauki.

- „Zachowanie i nauczenie się kontroli jest jak opanowanie sedna mądrości w miłości”.

Więc leżeli razem, niemal całkiem obnażeni i nadal nie połączeni, odkrywając rytmy każdego ciała i echo, jakie wywoływały te rytmy w drugim. Odczucia były nieopisane. To było więcej niż przyjemne, to było jak olśnienie. I obydwójce doprowadzili się w ten sposób na szczyty rozkoszy.

Kiedy leżeli później owinięci w prześcieradła i kilka koców, zdawało się, że mają w sobie tyle gorąca, że mogliby ogrzać swymi ciałami całą okolicę. Apollo obserwował niebo i zauważył spadającą gwiazdę.

- To dobry znak - powiedział.

- Mam nadzieję - odparła, układając głowę na jego piersi i ciesząc się w nowo poznany sposób dźwiękiem jego bijącego serca. - Wiesz co, myślałam o LaCroix.

- Widzę, że będę musiał powtórzyć ci ten seans rozkoszy. Nie możesz rozmyślać o takich sprawach, kiedy to robimy.
- Pogłaskał prowokująco jej pierś.

- Mówię poważnie. - Odwróciła do niego twarz. - Wiem, że ty też o tym stale myślisz. - Nie mógł zaprzeczyć. - Zastanawiałam się... LaCroix powiedział, że prowadzi interesy w Marrakeszu. Krótco po tym, jak jadłam z nim kolację, miał wysłać własną karawanę do Marrakeszu. Ktoś w tym mieście powinien wiedzieć coś o jego planach. Może ma tam biura? Jakąś własność? Dokumenty? Nie zaszkodzi spędzić trochę czasu w Marrakeszu, by to sprawdzić.

- I to wszystko wymyśliłaś w czasie, kiedy się z tobą kochałem? - Westchnął i przyciągnął ją bliżej do siebie. - Nie mogę się już doczekać, jaka będziesz, kiedy zdołam skupić na sobie całą twoją uwagę.

- Och! - powiedziała karcącym głosem, a potem rozpogodziła się i odpłynęła myślami o mile stąd. - Moglibyśmy zatrzymać się znowu w Raissouli. Mają tam te śliczne marmurowe wanny...

Czwartego ranka, kiedy ubrani w dżelaby dojechali do głównej drogi prowadzącej do czerwonych murów Marrakeszu, musieli porzucić rozmyślania o romantycznych odkryciach swoich ciał i całą uwagę zwrócić w stronę kłopotów, które mogły ich spotkać w tym mieście. Oboje czuli wzrost napięcia wywołany wspomnieniami ostatniego pobytu w Marrakeszu. Od chwili wjazdu przez bramę Bab Hmar w samo południe zdawało im się, że wszystkie oczy zwrócone są na nich, że słyszą jakieś szepty. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście były to prawdziwe wrażenia, czy nie, zapragnęli jak najszybciej zejść z głównych ulic i *znaleźć* bezpieczne miejsce dla amfor.

Wynajęli pokój w Raissouli, po czym Abigail poszła od razu do francuskiego konsulatu wypytać o miejscowe kontakty handlowe LaCroix. Przedstawiła się jako jego przyjaciółka, zwiedzająca miasto. Po wyjściu z konsulatu udała się prosto do kawiarni Europa, znanej z tego, że regularnie odwiedzali ją

handlowcy i kupcy europejscy. Apollo poszedł tam popytać dyskretnie o klientów i pracowników.

- Masz coś? Bo to miejsce jest jak wyschnięta studnia - po wiedział, gdy usiedli przy stoliku.

- Początkowo obsługa konsulatu nie bardzo była pomocna - odparła Abigail. - Ale później wspomniałam, że jestem bardziej niż platonicznie zainteresowana *le monsieur* i wychodzili ze skóry, żeby mi udzielić informacji o jego adresie.

- Wyciągnęła skrawek papieru z triumfalną miną. - Czegóż to Francuzi nie zrobią dla kobiety, która trzepocze rzęsami...

Okazało się jednak, że pod wskazanym adresem znajduje się rudera magazynu w pobliżu placu Jemaa El Fna. Próbowali pukać do drzwi, potem walić i wreszcie *znaleźli* schody, które prowadziły do biura. Pokoje wyglądały na dopiero co opuszczone. Na podłodze widać było ślady, wskazujące, gdzie stały meble.

- Wyjechał, na dobre. - Apollo dotknął jednego ze śladów na podłodze, po jakiejś szafie. - Niedawno. Zabrał wszystko, co się tylko dało unieść.

- Będziemy zatem musieli wrócić do kawiarni Europa - po wiedziała Abigail, kierując się do drzwi wyjściowych. - Albo może powinniśmy popytać w hotelach, w których zatrzymują się cudzoziemcy? Sprawdzić, czy ktoś nie robił z nim interesów ostat... och...

Uf... - Mężczyzna o arabskich rysach twarzy, ale w zachodnim ubraniu zderzył się z nią w drzwiach. Po ożywionej wymianie przeprosin wyprostował zgnieciony brzeg kapelusza, obciągnął kamizelkę i przyjrzał się obojgu.

- Mógłbym się dowiedzieć, co państwo tutaj robią? - spytał po angielsku, wnioskując z wcześniejszych przeprosin, że to będzie język zrozumiały dla wszystkich.

- Proszę wybaczyć... - zaczęła Abigail, lecz było jasne, że mężczyzna oczekuje odpowiedzi od Smitha, który natychmiast do nich podszedł.

- Szukamy Ferdineaux LaCroix. Powiedziano nam, że tutaj są biura jego firmy przewozowej w Marrakeszu.

- Już nie są jego. Ja, Abdallah bin Narjan, właśnie wykupiłem od niego tę firmę. A gdzie jest umeblowanie? - Mężczyzna rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, a potem spojrzął na nich z konsternacją. - Co zrobiliście z meblami?

- Myśmy niczego nie ruszali, *monsieur* Narjan - odparł stanowczo Apollo. - Zapewniam pana. Przybyliśmy tu zaledwie chwilę przed panem, a skierowano nas tu z konsulatu francuskiego. Może pan to sprawdzić...

- Więc gdzie są moje biurka i półki? Moje akta? Moje rachunki i listy przewozowe? - Jego twarz *wyrażała*, przerażenie, kiedy przemknął obok nich, by sprawdzić inne pomieszczenia. Widząc, że wszystkie zostały doszczętnie opróżnione, rzucił się do drzwi. Zbiegł schodami i otworzył drzwi do magazynu. Tak jak się obawiał, magazyn też był pusty. Zajrzał do drugiego, a potem do trzeciego, zastając w nich kompletną pustkę.

Ręce opadły mu z niedowierzania. Abigail i Apollo obrócili do góry nogami pustą beczkę, która była jedyną rzeczą, jaka została w ostatnim magazynie, i pomogli mężczyźnie usiąść.

- Jak to się mogło stać? - wymamrotał. - Wykupiłem magazyny, biuro z wyposażeniem, zawartość magazynów, wózki bagażowe... Mam listy przewozowe. Mam spis ładunku. — Podniósł wzrok. - Zostałem okradziony!

- Obawiam się, *monsieur*, że został pan obrabowany przez tego samego człowieka, który odsprzedał panu ten biznes - powiedziała Abigail. - Jak dawno temu dobił pan interesu z *monsieur* LaCroix?

Marokańczyk zastanowił się chwilę.

- Dwa tygodnie temu. Dokładnie. Przyszedłem tu do biura, podpisałem dokumenty i dostałem dowód prawa własności.

Abigail spojrzała na Smitha, który pokręcił głową. Trudno było ocenić, czy to były dla nich dobre wieści, czy złe. Jeszcze dwa tygodnie temu LaCroix dobijał interesów i finalizował szwindel. Lecz od tamtego czasu mogło się wiele wydarzyć.

- Jeszcze jedna rzecz, *monsieur* Narjan - powiedziała Abigail, pochylając się, żeby spojrzeć w twarz mężczyzny. Uniósł głowę i próbował się pozbierać. - Czy w trakcie transakcji *monsieur* L&Ctoix wspominał panu, dlaczego postanowił sprzedać swoją własność, albo co zamierzał potem zrobić?

Serce niemal jej stanęło, kiedy przygnębiony Marokańczyk skinął głową.

- Mówił, że wraca do domu. Do Francji.

Po zaprowadzeniu Narjana do konsulatu francuskiego, a potem do pałacu sułtana, żeby złożył tam skargę i poprosił o wszczęcie dochodzenia, Abigail i Apollo wrócili do hotelu Raissouli.

- Czy możliwe, żeby to było takie proste? - spytał Apollo, stojąc w holu hotelu z zakłopotaną miną i czując się jak idiota. - Spadek. Z jakich innych powodów mógłbyś chcieć mojej śmierci?

Abigail zaciągnęła go do baru, gdzie zamówiła dla niego szkocką whisky, która, jak stwierdził, była dla legionisty jak mleko matki.

- On jest bratem twojej matki, prawda?

- Czarną owcą rodziny LaCroix. Wylądował w Maroku, ponieważ rodzina wygnała go z Francji. - Jego twarz pociemniała, kiedy sięgnął do starych wspomnień i zobaczył je w nowym świetle. - Czułem się jak człowiek światowy, jak wybraniec. Podziwiałem syna marnotrawnego rodziny, kiedy od kryłem, jak bogatym człowiekiem się stał i gdy zaznałem jego fałszywej gościnności. Jedzenie, alkohol, hazard, kobiety... Zapewniał mi to wszystko, aż do tej nocy w barze...

- Którą prawdopodobnie zaplanował. Nic dziwnego, że nie odpowiadał na twoje wołanie z więzienia o pomoc. Chciał cię usunąć ze swojej drogi - powiedziała Abigail. - Pewnie już wtedy myślał o powrocie do Francji.

- Myślał, że albo zginę w jakiejś walce, albo umrę na jedną z wielu paskudnych chorób, których można było się nabawić w armii. Tylko że ja nie umarłem. Nic dziwnego, że był za szokowany, kiedy pojawiłem się u niego w Marrakeszu. - Wy pił łyk whisky. - Jeśli wszyscy pozostali krewni nie żyją, to podejrzewam, że gdzieś we Francji musiała zostać jakaś rudera albo zamek lub ziemie... prawdopodobnie mocno zadłużone. Tutaj dorobił się wielkich pieniędzy. Może zamierza wrócić i odzyskać starą posiadłość?

- Albo musi być we Francji coś cennego, co odziedziczyła twoja matka, a teraz to coś należy do ciebie. Lecz ważniejsze jest to, że kiedy on się dowie, że nadal żyjesz... To przecież złodziej i morderca, który nie cofnie się przed niczym, żeby tylko się ciebie pozbyć. Do czasu, kiedy umrze, albo zostanie wtrącony do więzienia, nie będziesz bezpieczny. Musisz coś zrobić.

- Jak? Z czym? Z armią moich białych rycerzy?

Wychylił resztę drinka jednym haustem. Nigdy wcześniej nie

widziała go tak zdesperowanego i zniechęconego. Pozwalała, żeby jego wcześniejsze zachowanie powstrzymało go przed...

- Wiesz... - z gorzkim uśmiechem spojrzał na dno szklanki
- gdybym nadal był w legii, zamówiłbym teraz kilka następnych butelek whisky i razem z kolegami upiłbym się w sztok i zaczął...

Nagle wytrzeźwiał, wpatrując się w pustą szklankę. Potem gwałtownie się wyprostował.

- Legia... - powiedział, stawiając szklankę na stole i rzucając kilka monet za drinka.

- Dokąd idziemy? - dopytywała się, gdy chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Mam jeszcze kilku przyjaciół w Marrakeszu, pamiętasz? Może nie są rycerzami, ale rzeczywiście noszą białe czapki.

Kwatera główna francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Marrakeszu była kamienną budowlą ozdobioną dziwną mieszanką arabskich stiuków i francuskich upiększeń, która w całości wyglądała zupełnie nie militarnie i w ogóle nie pasowała do otoczenia. Dokładnie tak ją sobie zapamiętał, powiedział, zatrzymując się, żeby wziąć głęboki wdech, zanim wprowadził Abigail przez bramę na dziedziniec utworzony z biur i baraków. Był wczesny wieczór i mężczyźni z garnizonu siedzieli przy stołach pod brudnym płóciennym zadaszeniem, jedząc kolację.

Nie od razu zauważyli Smitha, ale Abigail natychmiast przykuła wzrok wszystkich. Pomruki w stylu „lalunia” albo „niezła panusia” dobiegły jej uszu, ale starała się nie reagować. Kiedy Apollo wziął ją pod rękę, ktoś z hinduskim melodyjnym akcentem rozpoznał go i wykrzyknął jego imię.

- Smiiith! Apollo!

Natychmiast otoczyli ich legioniści, chcący powitać starego druha i dopraszający się przedstawienia ich kobiecie u jego boku.

Po chwili Abigail i Apollo siedzieli przy stole, a przed nimi

stały kubki z „koszarowym piwem”, i opowiadali o swoich przygodach od czasu opuszczenia Marrakeszu. Po krótkiej przerwie na złapanie oddechu Apollo powiedział, co tak naprawdę sprowadziło go do nich, i wyjawiał, że przybył tu po pomoc w ściganiu swego podłego wuja.

- Wchodzę w to! - zadeklarował jako pierwszy pomoc Crocker. - Jadę z wami. Tutaj są same nudy. Moglibyśmy w końcu zorganizować sobie jakąś bitkę, no nie, chłopaki? - Zaczął boksować powietrze gołymi pięściami. ^ Chętnie dokopałbym paru typkom.

- Ja też jadę - oznajmił Ryan Flynn. - Właśnie mówiliśmy o tym, że już najwyższy czas rozprawić się z niegodziwymi sukinsynami opływającymi w kasę.

- Niestety nie mogę obiecać wam zapłaty... poza moją dozonną wdzięcznością i wyżywieniem - wyjaśnił Smith.

- Cokolwiek, co da się przetrwać - powiedział Ravi Phant, kładąc dłonie na brzuchu - będzie i tak lepsze od tego, czym nas tu faszerują.

- Apollo, oni chyba nie mogą tak po prostu opuścić koszar? — zaniepokoiła się Abigail, widząc ogromny zapal jego towarzyszy do pomocy i trochę obawiając się, że tym samym wpędzą się w nowe kłopoty. — Czy nie zostanie to potraktowane jako dezercja? Wiesz, jak legia karze dezertów.

- Miło z twojej strony, że się o nas martwisz — stwierdził Crocker - ale nie ma obawy. Legia jest jak kochana babunia, czasami surowa, ale zawsze chętna przyjąć cię z powrotem z otwartymi ramionami.

- Pod warunkiem, że wrócisz w ciągu sześciu dni - dodał Ravi.

- Widać nawet kochane babunie mają swoje granice tolerancji - zauważył Flynn z uśmiechem.

Wszyscy byli zgodni i decyzja została gremialnie podjęta. Szóstka mężczyzn oddaliła się, żeby zabrać swój rynsztunek wojskowy, i zorganizować „pożyczkę” paru najlepszych osłów ze stajni legii.

Apollo i Abigail szli już w kierunku głównej bramy, kiedy żyłasty mały człowiek z białymi mankietami pracownika biurowego wyszedł z pobliskiego biura wprost na nich.

- Smith!

- Gilly - Apollo podał dłoń mężczyźnie.

- Tak myślałem, że to ty — powiedział Gilly z irlandzkim akcentem. - Kapitan kazał coś dla ciebie zatrzymać, na wypadek gdybyś wrócił. Poczekaj tutaj.

Po chwili był już z powrotem. Wręczył Smithowi kopertę, którą ten, przyjrzawszy się jej, z uśmiechem schował do kieszeni koszuli.

- A któż to taki? - spytał Gilly, przypatrując się ciekawie Abigail.

- Abigail, to jest Gilly Farquar, prowadzi biuro w kompanii. Gilly, pozwól, że przedstawię ci moją narzeczoną, pannę Abigail Merchant.

Abigail była zaskoczona tym stwierdzeniem, ale skrętnie ukryła odczucia i wyciągnęła dłoń do mężczyzny, wypowiadając jakieś banalne, ale uprzejme słowa. Gilly zarumienił się i szybko cofnął dłoń, chowając ją za siebie.

- Powiedz kapitanowi, że mu dziękuję - powiedział Apollo.

Przyjaciele Smitha zebrali się pod hotelem Raissouli, więc Apollo i Abigail wprowadzili ich do środka i, ku wyraźnemu niezadowoleniu obsługi, nalegali, żeby wynająć dla nich na noc pokój. Żołnierze twierdzili, że nie ma takiej potrzeby, bo będzie im równie wygodnie z osłami w stajni, ale Apollo nie ustąpił i ostatecznie dostali duży pokój na tyłach hotelu. Był on jak pałac w porównaniu z ich dotychczasowym zakwaterowaniem, więc po zdjęciu butów zaczęli spacerować po pokoju, oglądając meble i obrazy.

Apollo polecił, żeby jedzenie zostało dostarczone do ich pokoju, i sam dołączył do przyjaciół z dwiema butelkami wybornej whisky. Napili się wspólnie jak za dawnych dobrych czasów.

Ale to nie były dawne czasy. W innym pokoju tego hotelu czekała na niego kobieta dzieląca z nim łożo. Kończąc drinka, poradził przyjaciółom, żeby się dobrze wyspali, bo następnego dnia czeka ich ciężka i pospieszna podróż.

- To samo moglibyśmy i tobie poradzić, stary. - Flynn mrugnął okiem do towarzyszy.

W tym ich mruganiu i naśmiewaniu się było coś, co złościło Smitha. Wiedzieli doskonale, że Abigail była jego... kim? Wspólniczką? Kobieta? Kochanką? Ukim dla niego będzie, kiedy dojadą do Casablanki, a ona zarezerwuje sobie pierwszy rejs do Portsmouth lub Londynu? Ta myśl zatrzymała go w pół drogi do jej pokoju.

Po chwili jednak wyprostował plecy i ruszył zdecydowanie. Będzie jeszcze czas, żeby o tym pomyśleć, kiedy już rozprawi się z LaCroix.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał Abigail leżącą w marmurowej wannie, zanurzoną w aromatycznej kąpieli i wyglądającą na rozgrzaną i zrelaksowaną. Podeszedł do wanny i uklęknął obok niej.

- Położyli się już spać? - spytała Abigail, otwierając oczy. Zaśmiał się.

- Powinnaś ich zobaczyć. Są potulni jak baranki.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Usiadła i sięgnęła do najwyższego guzika jego koszuli. - Zdejmuj to ubranie i przyłącz się do mnie.

Nie trzeba go było dwa razy prosić. Po chwili był już w wannie i usadowił się między jej nogami, a ona zmyła z niego całodzienny kurz.

- To może być nasza ostatnia samotna noc, na jakiś czas - powiedziała, gładząc dłońmi jego ramiona i plecy. - A skoro mamy wannę i mnóstwo wody do kąpieli, pomyślałam, że to może być nasza szansa na wypróbowanie czwartej rozkoszy.

- Czytałaś księgę? - Spojrzał na nią przez ramię. - Beze mnie?

- Czwartą rozkoszą jest Smakowanie.

Odwrócił się i spojrzał na nią, a potem na pełną tacę stojącą na stoliku przy łóżku.

—Aha, to wyjaśnia obecność cynamonu, olejków, miodu i owoców...

—„Na początku musisz poznać smak pocałunków ukochanego” - zacytowała i przysunęła się do niego, przyciągnęła jego głowę i złożyła na jego ustach długi namiętny pocałunek. - Mhm. Lekko słodki, jak ciepła whisky. „Potem przejdź do smakowania skóry swojego ukochanego we wszystkich jej miejscach”. - Przeciągnęła łagodnie dłońmi po jego bolących jeszcze żebrach, a potem zaczęła składać pocałunki i delikatnie kasać jego ciało, posuwając się w górę. - Słonawy, trochę octowy smak, bardzo... męski - stwierdziła. - „Kontynuuj smakowanie, aż poznasz smak łez i potu swojego ukochanego i...”

Ta rozkosz była bardzo intymna. Abigail nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że kobieta i mężczyzna mogą być ze sobą tak blisko. Okazało się, że Smakowanie przerodziło się w nieskrepowane zabawy z użyciem słodkich olejków, perfum, miodu i śmietany, wina i brzoskwiń. Zjadali z siebie nawzajem kawałki owoców, zlizywali słodkie syropy.

Później, kiedy wzięła drugą kąpiel tej nocy, a Apollo właśnie wszedł do wanny, podniosła z podłogi kopertę, która wypadła z kieszeni jego koszuli. Bez wahania otworzyła ją i wyciągnęła dwa listy, obydwie napisane po francusku. Podąła je Smithowi.

—Czytaj i tłumacz - poleciła.

—Jest zaadresowany do dowódcy legii w Tangerze. „W związku z pomyłką w raporcie o śmierci żołnierza Apollodorusa Smitha z czwartej kompanii konnej, wysłanym do Casablanki, którego niesłusznie wciągnięto na listę ofiar śmiertelnych. Moim obowiązkiem jest doniesienie, że faktycznie żołnierz ten nie zginął i pojawił się w moim biurze dzisiejszego popołudnia, przedstawiając mi własny akt zgonu, który został wysłany do prawnika jego rodziny w Anglii.

Okoliczności tej pomyłki i jej zgłoszenie po potyczce wojennej w Ati Tinehir, na granicy z Algierią, są wyjątkowo podejrzone. Wspomniany list kondolencyjny do rodziny żołnierza faktycznie wyprzedza datą bitwę, w której miał zginąć pan Smith. Nieprawidłowy raport z jego śmierci wydaje się celowym działaniem jego bezpośredniego zwierzchnika, sierżanta Emile'a Gastona. Ten sam sierżant, podczas wyżej wspomnianej potyczki wojennej, zlecił skierowanie wystrzałów prosto na budynek, do którego wysłał Smitha i Sijzech innych ludzi z jego oddziału. Z czterech żołnierzy tylko Smith przeżył.

Równie podejrzana jest kwestia transferu żołnierza Smitha z dziewiątej kompanii piechoty w Marrakeszu, do czwartej kompanii konnej w Casablance. Postanowiłem osobiście skontaktować się z komendantem garnizonu w Casablance. Oświadczył on, że nie otrzymał ani też nie wydał rozkazu takiego transferu. Zeznał także, że w czasie ostatnich miesięcy nie było tego rodzaju transferów.

Niniejszym zgłaszam żądanie, żeby dowództwo wszczęło dochodzenie wyjaśniające te fałszywe rozkazy i raporty złożone z potyczki wojennej w Ati Tinehir, aby ustalić, czy będzie konieczne wyciągnięcie dyscyplinarnych konsekwencji.

Drugi list był skierowany do dowództwa komendy w Marsylii.

- „Nastąpił błąd w raporcie dotyczącym śmierci legionisty Apollodorusa Smitha z czwartej kompanii konnej stacjonującej w Casablance. Żołnierz Smith żyje i w rzeczywistości wypełnił kontrakt tuż przed datą, wskazującą fałszywie na jego zgon. W związku z tym uprasza się o wydanie honorowego zwolnienia Smitha ze służby w legii.”

- Czyli pokazałeś kapitanowi akt zgonu, który i mnie pokazałeś - powiedziała Abigail, kojarząc fakty.

- Tak, kiedy byliśmy poprzednio w Marrakeszu. Kapitan był zawsze uczciwym i przyzwoitym człowiekiem. Poprosiłem go, żeby przyjrzał się sprawie i najwyraźniej to zrobił.

- Świetnie. - Westchnęła z irytacją. - A co to za list, na który się powołuje w tym piśmie?

Apollo wstał, owinął się ręcznikiem i podszedł do torby bagażowej, którą woził pod siodłem, i wyciągnął z niej wymiętą kopertę.

Oprócz jego aktu zgonu były w niej jeszcze dwa listy. Jeden z nich był zaadresowany do Jeanne Marie Smith, i był to list kondolencyjny, podpisany przez Ferdineaux LaCroix. Drugi był listem od prawnika rodziny w Londynie, potwierdzającym tożsamość Apollodorusa Smitha i stwierdzającym, że akt zgonu oraz list kondolencyjny od F. LaCroix dotarły do domu jego klienta mniej więcej w tym samym czasie.

- Twój wuj napisał do twojej matki list z wyrazami żalu z powodu twojej śmierci, kiedy to on sam był za nią odpowiedzialny? Ten człowiek to potwór!

- To nie wszystko - powiedział Smith, dochodząc do sedna sprawy. - Spójrz na datę mojej rzekomej śmierci i na datę listu LaCroix.

- Dobry Boże... Napisał do twojej matki, zanim oficjalnie uznano cię za zmarłego!

- Ten szczegół nie umknął uwagi naszego bystrego prawnika, który zachował obydwie listy i przekazał je mnie, kiedy przyjechałem do Anglii.

- Więc wiedziałeś, że LaCroix był w to zamieszany? - Abigail miała zamęt w głowie.

- Domyślałem się. Ale nie wiedziałem, dlaczego ani kto jeszcze w legii mu pomagał.

- Oprócz Gastona? - powiedziała.

Pokiwał głową.

- Zdaje się, że tylko on jeden. Reszta to tylko zwykła biurokracja w legii. On i LaCroix sfalszowali rozkazy, zgodnie z którymi przeniesiono mnie do kompanii konnej, w której na mojego zwierzchnika wyznaczono sierżanta Gastona. Kiedy te rozkazy dotarły do odbiorców, reszta potoczyła się już automatycznie.

Obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów, pieszcząc wzrokiem jego silne od ciężkiej pracy i opalone słońcem pustyni ciało, zatrzymując wzrok na starych bliznach i świeżych sińcach, myśląc o wszystkim, co przeżył i przetrwał, oraz o tym, kim się przez to stał. Miał za sobą ciężką przeprawę jak na młodego, aroganckiego człowieka, dysponującego zbyt dużą ilością wolnego czasu i wieloma błędnymi wyobrażeniami na temat świata. Ale los okazał się dla niego bardziej pouczający niż mściwy. Przeszedł szkołę prawdziwego życia i poznał wartość lojalności i miłości. Naprawdę nauczył się tego, co jest w życiu najważniejsze, a ona miała to szczęście poznać go już po tym fakcie.

- Nie mogę uwierzyć, że nie powiedziałeś mi, że twój konflikt z legią zakończył się pomyślnie, że nie byłeś już uważany za martwego i że zostałeś honorowo zwolniony ze służby. Powinnam być na ciebie wściekła.

Ale zamiast się złościć, w oczach miała łąy radości.

Ona też się uczyła.

Rozłożyła ręce, a on podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

Po trzech dniach uciążliwej jazdy od świtu do nocy głównymi drogami Abigail i Smith wraz z towarzyszami dotarli późnym wieczorem do wschodniej bramy Casablanki. Apollo i Abigail ubrani w burnusy, z pochylonymi głowami wmieszali się w tłum przybyszów i kupców wchodzących do miasta przez Bab Marrakesz. Crocker, Flynn i reszta legionistów jechali grupą w pewnej odległości, sprawiając tym samym wrażenie oddziału na służbie, przewożącego rozkazy. Stanowili więc rutynowy widok o tej porze dnia i na tej drodze.

Obie grupy skierowały się do samego centrum miasta, do hotelu Exeter, w którym Abigail planowała nocleg, kiedy to LaCroix przekonał ją do zmiany decyzji i zawiózł do Marrata. Abigail i Apollo wynajęli pokój w Exeter i przy pomocy portierów rozładowali ekwipunek i umieścili w pokoju amfory bezpiecznie owinięte w koce.

- Czyli to jest to, co mnie ominęło ostatnim razem - powie działa Abigail, oglądając wygodne mosiężne łoża, grube dywany i pięknie oświetloną lodżię ciągnącą się na całej długości pokoju. Kiedy już ostatnie bagaże zostały przyniesione do pokoju, a portierzy oddalili się, sięgnęła po małą podręczną torbę i wyjęła z niej broń.

- Co ty robisz? - Apollo obserwował, jak zręcznie wkłada naboje, i zaczął mieć złe przeczucia.

- Ładuję broń - powiedziała spokojnie. - Ty masz broń. Crocker, Flynn, Ravi i Sanchez, wszyscy oni są uzbrojeni. Nie zamierzam wychodzić na ulicę bez zabezpieczenia.

- Wolałbym, żebyś w ogóle nie wychodziła sama na ulicę - oznajmił Apollo i sięgnął po jej rewolwer, ale mu umknęła.

Oczy jej się zwięziły, kiedy wkładała broń za pasek na plecach. Znał już ten wyraz twarzy. - Posłuchaj, LaCroix ma oczy i uszy wszędzie i Bóg jeden wie, ilu zbirów na usługach.

- Tym bardziej powinnam być uzbrojona i bez przerwy przy tobie.

- Daj spokój, Abigail! - Spojrzał na nią gniewnie.

- Nawet nie próbuj mnie przekonywać - odparła zirytowana.

- To ty dołączyłeś do mojej ekspedycji, a ja uratowałam ci tyłek więcej niż raz. Więc nawet nie myśl o tym, żeby mi wskazywać, gdzie moje miejsce i zmuszać do zachowywania się jak przy stało na damę. Jestem w pełni twoją współpracowniczką w tej wyprawie i cholernie dobrym strzelcem.

Z tym nie mógł dyskutować.

- Do diabła! - zaklął. - Przysięknij mi, że nie zrobisz niczego głupiego.

- Na przykład czego? Tego? - Przyciągnęła jego głowę i pocałowała go namiętnie.

- Raczej myślałem o tym, że mogłabyś wymierzyć broń w LaCroix i zastrzelić go, nie dając mi szansy, żebym to zrobił osobiście.

Uśmiechnęła się.

- Jeśli go pierwsza zobaczę, to przysięgam, że będę trzymać go na muszce aż do twojego przyjścia.

Z balustrady na dachu legionista nazywany Bananem mógł z łatwością obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących na ogrodzony murem teren posiadłości Ferdineaux LaCroix. Zwykle, w tej części miasta, gdzie domy były duże, a bramy grube i szerokie, nie było zbyt dużego ruchu. Ale legionista zauważył dwie grupy ludzi, które podeszły do bramy i zaczęły w nią walić, nie wiedząc, że dom jest pusty, i odeszły rozczarowane. Jedna z nich wydała mu się bardziej podejrzana. Druga wykrzykiwała, że LaCroix jest winien pieniądze i że żądają ich zwrotu.

LaCroix zwracający pieniądze? Banan zachichotał na myśl o tym. Sam się dobrze zabezpieczył, wymuszając częściową wypłatę należności z góry za swoje usługi szpiegowskie.

Jak na razie niewiele z tej jego pracy wynikało. Nie było śladów protestujących, rozwścieczonych inwestorów, klientów ani niegdysiejszych współników, ani tym bardziej lokalnych policjantów czy osobistej straży sułtana. Tym lepiej, bo przybycie ludzi sułtana oznaczałoby większe kłopoty dla LaCroix, który w tej chwili opuszczał miasto i zabierał ze sobą wszystko, co tylko dało się wywieźć. Nie miał skrupułów nawet przed obrabowaniem na odchodnym samego władcy miasta.

Banan ziewnął i odsunął się od balustrady, żeby trochę popspacerować i poprawić krążenie w nogach. Przeszedł się dokoła po dachu i zatrzymał się przy jego części znajdującej się obok sypialni skąd rozciągał się widok na ogród. Wychylił się przez barierkę, żeby spojrzeć na zacienioną uliczkę, i nagle jakiś ruch przykuł jego uwagę.

Cofnął się, żeby nie być widocznym, przeczekał chwilę, a potem znów się wychylił i zobaczył już wyraźnie czterech mężczyzn. Dwóch było ubranych w coś, co wyglądało jak mundury legionistów, a dwóch pozostałych miało na sobie dżelaby, spod których wystawały europejskie spodnie i buty. Wyższy z tych dwóch nosił na twarzy przepaskę zasłaniającą jedno oko. Banan zmrużył oczy, wyteżając wzrok, żeby lepiej przyjrzeć się tej grupie ludzi, która próbowała otworzyć drzwi do kuchni i zamknięte okiennice okien wychodzących na ulicę. Nie znajdując żadnego wejścia, zadarli głowy do góry i dostrzegli kamienne wykończenie muru i wystający róg balustrady. Wkrótce w powietrzu śmignęła lina.

Musieli znać drogę, wiedzieli, którędy dostać się do środka, gdyż schody z dachu były najsłabiej chronione.

Banan cofnął się od balustrady, zebrał swoje rzeczy i ukrył się w cieniu sypialni za jedną z wielu zasłon. Kiedy dostrzegł pierwszego mężczyznę wspinającego się przez balustradę, od-

razu go rozpoznał. Uśmiechał się do siebie, skradając się w dół po schodach do opuszczonych pokoi, a potem do okna, które zostawił sobie otwarte. Ta informacja powinna być sporo warta.

- Nikt z pałacu, tak? - powiedział Ferdineaux LaCroix, zatrzymując się w samym centrum chaosu w jednym ze swoich mniej znanych magazynów.

Dokoła niego mężczyźni ładowali na drewniane platformy skrzynie, beczki i meble, przygotowując wszystko do przetransportowania na oczekujący niedaleko statek. Sam LaCroix sortował dokumenty leżące na kartonach i wrzucał niektóre z nich do ognia płonącego w dużym metalowym pojemniku.

- Tylko Duńczyk i Arab - odparł Banan, zostawiając na później ważniejszą wiadomość. - Ale tego wieczoru przyszedł ktoś jeszcze. Ktoś, kogo imię będzie warte kilka drachm więcej. — Francuz spojrział na niego ze zniecierpliwieniem, które przeodziło się w groźbę. Na ten widok Banan zaczął na nowo rozważać swoją prośbę. - Apollo Smith.

Dokumenty wyleciały z ręki LaCroix i wpadły do kartonu, z którego je zaraz wyciągnął. Wyglądał tak, jakby zobaczył diabła.

- Smith? Apollo Smith żyje? - Jego twarz poczerwieniała z wściekłości. Okrążył metalowy pojemnik i chwycił za koszulę informatora. - Jesteś pewien, że to był on? Na sto procent?

Banan z trudem przełknął ślinę.

- Spałem na pryczy obok niego przez parę miesięcy. Znam go. Wiem, jak wygląda.

LaCroix uwolnił go, odpychając od siebie.

- Cholerny Gaston! Niech go piekło pochłonie! Miał śledzić jego i tę Angielkę, i odebrać im skarb, którego poszukiwała. A potem miał zabić Smitha... po raz drugi. - Odszedł parę kroków w głąb magazynu i chodził w tę i z powrotem, rozmyślając, aż wreszcie złość przeszła mu na tyle, żeby mógł się skoncentrować na nowym planie działania. - Powinienem był

wiedzieć, że jeśli chcesz, żeby coś było dobrze zrobione, musisz to zrobić samemu. Mówisz zatem, że Smith przyszedł do mojego domu - zwrócił się do Banana. - Wszedł do środka?

- Byli już na dachu, kiedy stamtąd wyszedłem. Tam na górze są otwarte drzwi.

- A więc już wie, że opuściłem dom. Jeśli poszukuje mnie, prawdopodobnie spróbuje jeszcze przeszukać moje biura, a potem główne magazyny w dokach. - Zacisnął dłoń, gdy pewien plan zaczął świtać mu w głowie.

- Wy tam! Zostawcie to! - zawołał do dwóch dokerów, którzy ładowali skrzynie na platformy. - Znajdźcie moich ochroniarzy, Belangera i Patela. Są gdzieś na statku. Powiedzcie im, żeby do mnie natychmiast przyszli. - A potem odwrócił się do Banana z lodowatym uśmiechem.

- Wiele czasu minęło od ostatniego spotkania rodzinnego — powiedział. — Zdaje się, że już najwyższy czas na następne.

Abigail i Apollo spotkali się z Crockerem, Flynnem i resztą przy bocznym wyjściu z hotelu, gdzie podzielili się na dwie grupy: jedna udała się do domu LaCroix, a druga do doków, żeby sprawdzić, czy ktoś nie wie czegoś na temat jego wyjazdu z Casablanki i wynajmu statku. Apollo nalegał, żeby Abigail towarzyszyła mu do domu LaCroix, głównie po to, żeby mieć ją cały czas na oku. Nie protestowała, głównie dlatego, żeby mieć go na oku.

Chociaż, kiedy dotarli na miejsce był już zmierzch, w oknach nie było widać żadnych świateł, nie było też śladu paleniska w kuchni czy odgłosów wykonującej swe obowiązki domowej służby. Próbowali otworzyć drzwi na dole lub włamać się przez okna na parterze, ale nie było to takie łatwe. Crocker wyciągnął z plecaka linę i przerzucił jej koniec przez sterczącą barierkę okalającą krawędź dachu. Apollo nalegał, żeby wciągnąć się jako pierwszy, a za nim wszedł Ravi. Obaj mieli otworzyć drzwi dla reszty, jeśli tylko wewnątrz wszystko pójdzie dobrze.

Pięć minut po tym, jak wśliznęli się na dach, Abigail i Crocker usłyszeli trzask zasuw w drzwiach wychodzących na boczną alejkę. Wymierzili z broni i czekali, aż drzwi się otworzą. Opuścili ją na widok Smitha.

- Wyjechał. - Apollo wpuścił ich do środka i zaprowadził na piętro, gdzie sprawdzili wszystkie pokoje, w których znaleźli jedynie śmieci i kilka połamanych i zniszczonych mebli.

- Wszystko zabrał. Musimy się pospieszyć.

Biura firmy przewozowej LaCroi znajdowały się w pobliżu Bab el-Marsa, wrót zewnętrznych basenu portowego, w rozpadającym się baraku z biurami floty handlowej i warsztatami różnych rzemieślników i ze sklepami zaopatrującymi pracowników portu. Kiedy przybyli na miejsce, zastali grupę ludzi krzyczących i wymachujących pięściami przed zamkniętymi i zabitymi deskami drzwiami firmy. Ravi przetłumaczył ich okrzyki jako: „Ty parszywy sukinsynu!” i „Oddawaj pieniądze albo mój towar, złodzieju!” oraz „Sułtan utnie ci za to rękę!”

- Co się stało? - spytał ich Ravi w dialekcie berberyjskim. Początkowo wystraszeni i zdziwieni faktem, że ktoś we francuskim mundurze posługuje się ich językiem, zaczęli jednak wyrzucać z siebie żale i pretensje, o to, jak potraktował ich LaCroix. Nazywali go złodziejem, kłamcą i podłym ścierwem.

- Wiecie, gdzie on może być? — spytał Ravi.

Gdyby wiedzieli, odparli, sięgając po długie zakrzywione miecze zatknięte za paski, łajdak nie dożyłby świtu.

Na stwierdzenie jednego z mężczyzn, że wybiera się ze skargą do pałacu sułtana, reszta natychmiast zareagowała głośnym poparciem, wykrzykując, że sprawiedliwość musi dopaść tego francuskiego sukinsyna. Ruszyli wszyscy razem do pałacu.

- Pewnie byli najlepszymi przyjaciółmi, kiedy interes się kręcił - zauważył Crocker z pogardą. - Teraz zostali wystawieni do wiatru i plują na łotra. - Spojrzał do góry na prosty dach.

— Nie ma o co zaczepić liny. Jak się dostaniemy do środka?

- Nie jestem pewien, czy jest sens wchodzić - powiedział

Apollo, przyglądając się zatrzaśniętym okiennicom i zabitym deskami drzwiom. - Najwyraźniej nie zamierza tu już wracać, żeby się nie spotykać z takimi jak ci, co tu przed chwilą byli. A to oznacza, że prawdopodobnie zabrał z biur wszystko, co miało jakąś wartość.

- A więc możliwe, że właśnie w tej chwili wyjeżdża z miasta. - Abigail rozejrzała się wokół po domach i budynkach stojących wzdłuż doku. - Jak będzie podróżował? Statkiem?

- Jeśli rzeczywiście wybiera się do Francji, to tylko w ten sposób.

Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do doków.

- Musimy *znaleźć* Flynna i resztę.

Tuż za Bab el-Marsa weszli na niestrzeżony teren pospiesznie wzniesionych magazynów i nielegalnych barów, burdeli, wątpliwej jakości hoteli, czyli całego zaplecza portowego ciągnącego się do samej wody. Jedyne światło na uliczki padało z otwartych drzwi lokali, które zapraszały szukających rozrywki marynarzy po wypłacie.

Szli szybko ulicą, przyglądając się fasadom budynków, potrącani przez nietrzeźwych marynarzy, kieszonkowców i żebraków, a od czasu do czasu także przez...

- Hej! - Apollo zatrzymał się i przyjrzał się mężczyźnie, który na niego wpadł. Ubrany w mundur legionisty, mały, żyłasty facet z groteskowo zakrzywionym nosem wyglądał znajomo. Banan! Członek oddziału przeszukującego port, którego widział w dokach w dniu przybicia jego statku do portu w Casablance. Jeśli ktokolwiek mógł mieć dostęp do informacji na temat miejsca ukrycia starego oszusta, to najprawdopodobniej właśnie ten konus. Zdobywanie i handlowanie informacjami to był jego chleb powszedni.

- B anan! - zawołał Apollo. - Poczekaj, chcę z tobą pogadać!

Legionista zatrzymał się na dźwięk swojego przezwiska i obejrzał się za siebie. Kiedy dostrzegł Smitha, widać było, że go rozpoznał, ale na jego twarzy pojawił się strach. Błyskawicz-

nie odwrócił się i zaczął uciekać ulicą. Musi coś wiedzieć! pomyślał Apollo, inaczej widok dawnego towarzysza z armii nie zrobiłby na nim takiego wrażenia.

- Dopadnę go! - Apollo ruszył pędem za legionistą, alei wkrótce zaczął żałować, że uległ temu impulsowi. Przy każdym kroku czuł boleśnie swe nadal nie zaleczone żebra i po krótkim czasie miał wrażenie, że ktoś tłucze młotkiem w jego płuca. Banan pędził na złamanie karku i wymykał mu się, jak węgorz z mokrych rąk. Zaciskają zęby, Apollo przyspieszył. Nagle zobaczył, że Banan gwałtownie skręca w boczną uliczkę. Kiedy do niej dobiegł, i również skręcił, ujrzał Banana, który znowu z maksymalną prędkością skręcał w kolejną przecznicę. Ciężko dysząc dobiegł do tej przecznicy i z ulgą zauważył Banana, który oglądał się za siebie, i zmieniając kierunek, pędził wprost na grupę marynarzy wychodzących z tawerny.

Wpadł na nich z impetem i odbił się najpierw od jednego, a potem od drugiego z mężczyzn, zanim wreszcie upadł jak długi na zakurzonej drodze. Natychmiast się podniósł i zaczął biec dalej, ale to opóźnienie dało Smithowi czas na zmniejszenie dystansu, więc gdy znaleźli się na terenie ceglanych i drewnianych magazynów, Apollo zaczął go doganiać. Kolejny rzut oka za siebie powiedział Bananowi, że zaraz zostanie schwytany, więc strach dodał mu sił i przyspieszył.

Nie widząc innej możliwości, Apollo rzucił się na niego i powalił go na twardo ubitą ziemię. Przez chwilę obaj leżeli, starając się złapać oddech. Potem, zwalczając ból w klatce piersiowej, Apollo podniósł się i popchnął Banana na plecy tak, żeby widzieć jego twarz.

- Szukam człowieka... - wyksztusił. - Francuza, o nazwisku LaCroix. Znasz go? - Banan tak dyszał, że mógł tylko skinąć głową. - Wiesz, gdzie on teraz jest?

Banan pokręcił głową, ale w jego zaprzeczeniu było więcej

provokacji niż prawdziwej niewiedzy. Apollo przysunął pięść
Mojego szczęki.

- Mów! - warknął. - Wiesz gdzie on jest?

- On... on mnie zabije, jeśli powiem - wychrypiął Banan.

- Ja cię zabiję, jeśli mi nie powiesz.

Po chwili poczuł, że Banan mięknie.

- Nie umiem powiedzieć, jak się tam dostać. Ale poznam
te miejsce, kiedy je zobaczę.

Apollo wstał i pociągnął Banana do góry za koszulę.

- Zaprowadź mnie - rozkazał, wyciągając broń z kabury
i popychając Banana przed sobą, wciąż trzymając go za koszulę.

Czuł, że dawny towarzysz trzęsie się jak osika i nawet
w świetle księżyca wyraźnie widział, że jest śmiertelnie błady.
Dwa razy skręcili w ciemne uliczki, zanim doszli do pustej
ulicy, na której Banan wreszcie oświadczył, że są we właściwym
miejscu. Rozejrzał się po fasadach ceglanych budynków
i podszedł do jednego z nich z numerem namalowanym na
drzwiach.

- To tutaj? - spytał Apollo.

- Tak... tak myślę - odparł Banan, dygocząc.

Apollo podszedł do drzwi, złapał za klamkę i stwierdził, że są
zamknięte.

- Jest tu jakieś inne wejście?

Banan odwrócił się do niego z przerażoną miną, ale spotkał
się nos w nos z lufą pistoletu. Z trudem przełknął ślinę, przytak-
nął i zaprowadził Smitha na tyły budynku, gdzie wejście zasła-
niały dwie płyty z dykty, które można było bez trudu odstawić.

- Ty pierwszy - powiedział Apollo, popychając legionistę
do wejścia. Kiedy stopy Banana znikły w wejściu, Smith przy-
klęknął, żeby się samemu przecisnąć. Wewnątrz było ciemno
i panował typowy dla magazynu zapach sprzętu okrętowego,
lin, smoły, terpentyny...

- Są drzwi. Znalazłem klamkę - szepnął Banan. - Mogę już
odejść?

- Otwórz je - zażądał Apollo.

Drzwi ustąpiły lekko i otworzyły się na słabo oświetlony magazyn. Wszędzie dokoła stały skrzynie z ładunkiem, a przyćmione światło dobiegało zza nich.

- Idź dalej. - Apollo pchnął Banana naprzód wzdłuż stosu skrzyń, ale w pewnym momencie ten rzucił się do biegu, znikając z pola widzenia. Apollo zaklął pod nosem i ruszył za legionistą.

Sylwetka Banana mignęła mu za następną stertą załadowanych palet. W sposobie, w jaki się poruszał, było coś dziwnego, jakby nagle wstąpił w niego nowy duch...

Apollo przyczajony przeszedł wokół ostatniej sterty ładunku i nagle usłyszał zaciąganie kurków w przynajmniej sześciu pistoletach. Zamarł i podniósł wzrok. Zobaczył muskularnych dokerów, każdego z bronią w ręku. Popatrzył przed siebie.

Na końcu pustego magazynu, na platformie, siedział Ferdineaux LaCroix z pistoletem wymierzonym prosto w jego serce. W kierunku LaCroix zuchwałym krokiem i z szyderczym uśmiechem *zbliżał* się Banan. LaCroix rzucił mu małą sakiewkę.

- No proszę. Mój ukochany siostrzeniec - odezwał się, uśmiechając się cynicznie. - Wróciłeś, by jeszcze raz zasmakować mej gościnności, nieprawdaż?

Abigail, Crocker i Ravi widzieli, jak Apollo popędził za legionistą. Myśleli, że przyprowadzi go do nich, gdy tylko go dopadnie. Czekali więc. Minęła jedna minuta, potem druga. Popatrzeli po sobie z niepokojem. Po trzech minutach ruszyli jego śladami, przeszukując pobliskie uliczki.

Nie znaleźli Smitha, ale spotkali Josepha Flynna i Cruza Sancheza, którzy mieli nowe wieści. Dowiedzieli się, że najpóźniej za dwa dni odpływa z portu statek do Marsylii. Franks i Johnson zostali, by obserwować załadunek. Śledzili puste wozy przeładunkowe, które kierowały się do magazynu na samym końcu doków, i postanowili poczekać z dalszymi decyzjami na Smitha, Abigail, Crockera i Ravięgo.

- On może tam być - powiedziała Abigail, spoglądając na Crockera i Ravięgo. Pokiwali głowami.

- Kto taki? - spytał Flynn. A po chwili otworzył szeroko oczy. - Smith?

Kwadrans zajęło im dotarcie do magazynu i znalezienie sposobu, żeby zajrzeć do środka. Musieli wspiąć się do otworu wentylacyjnego na szczycie jednej ze ścian, gdzie dało się słyszeć głosy, ale nie można było zrozumieć poszczególnych słów. Nie było też nic widać oprócz stert skrzyń czekających na załadunek.

Wtem jedne z głównych drzwi otworzyły się i pewnym krokiem wyszła przez nie drobna postać legionisty w mundurze koloru khaki. Abigail, która wdrapała się na stertę starych palet opartych o ścianę magazynu, rozpoznała w mężczyźnie tego, którego gonił Apollo. Pomachała więc do Joego Flynna, żeby zwrócić jego uwagę. Irlandczyk dostrzegł legionistę i rzucił się na niego ze stosu skrzyń.

Szybko i sprawnie zaciągnęli żołnierza za stertę drewna i spytali, czy Apollo jest w środku z LaCroix.

Banan wyglądał na solidnie wystraszonego, ale przytaknął. Potem spytali go, czy jest jakieś inne, mniej rzucające się w oczy wejście do magazynu. Znowu przytaknął.

- I ta śliczna panna Merchant... - powiedział LaCroix, obserwując, jak jego ludzie wiążą liny wokół rąk Smitha i przy wiązują je do haka podnośnika przeładunkowego. Naciągnęli łańcuch mechanizmu i ręce Apolla rozciągnęły się nad jego głową, wywołując potworny ból w nadwierzonych żebrach. - Sprzątnąłeś mi ją sprzed nosa! Chociaż użyłeś sobie z nią tam, na pustyni, co?

- Idź do diabła! - warknął Apollo.

- O! Nie jesteś zbyt towarzyski... - LaCroix odstawił kieliszek z winem, które powoli sączył. - Znalazła swój skarb? - zaśmiał się. - A może znalazła twój skarb?

- A co z twoim skarbem, LaCroix? - odezwał się Apollo.

- Co takiego znalazłeś we Francji, co jest warte mordowania członków własnej rodziny?

- Zapominasz, że nie mam rodziny. - LaCroix wstał z krzesła, purpurowy ze złości. - Wyrzekli się mnie, kiedy miałem dziewiętnaście lat, byłem młodszy niż ty, kiedy przyjechałeś do mojego domu. Kupili mi bilet z Marsylii do Tangem i powie dzieli, że mam cały kontynent, żeby zniknąć. Nie chcieli mnie już widzieć na oczy.

- A co takiego zrobiłeś, żeby sobie na to zasłużyć? - spytał Apollo, czując, że traci czucie w rękach. - Ich także okradłeś ze wszystkiego?

LaCroix zawahał się, ale po chwili ukrył złość pod chłodną maską.

- To by było doprawdy bardzo trudne, zwłaszcza że ktoś mnie już uprzedził. Ich czcigodni sąsiedzi wzięli sobie od nich ziemię w dożywotnią dzierżawę, a oni nie potrafili jej odzyskać.

Połowa rodzinnej ziemi, całe wzgórze upraw oliwek i winorośli zostały im wykradzione. Łącznie z udziałami w przedsiębiorstwie przewozowym i cennymi nieruchomościami na Majorce. Czasami tak jest, że to złodziej łapie złodzieja - zaśmiał się lodowato. - Czasami oczywiście robią to prawnicy.

- Więc odnalazłeś wystarczająco dużo dłużników, żeby stać się bogatym człowiekiem - podsumował Apollo.

- Ja już jestem bogaty. To, co znalazłem, to tylko zachęta do powrotu do domu i do zrobienia tego, co powinno zostać wykonane. Odrobina trucizny tutaj, upadek ze schodów tam. Mój ojciec i jego brat byli starzy i słabi... i żaden z nich nie był za mądry.

- A twoja siostra?

- Ach, tak, Jeanne Marie. Nie biorę odpowiedzialności za jej śmierć.

- Zabiłeś ją tak samo jak pozostałych. - Apollo splunął, odczuwając przyływ energii, która zrodziła się pod wpływem wściekłości. - Pisząc do niej, że zginąłem, parę miesięcy po śmierci mojego ojca... Szok sprawił, że jej serce stanęło.

- Zawsze była taka delikatna... - LaCroix nie krył nienawiści. - Ulubienica wszystkich. Ale mała dziwka nie potrafiła się zamknąć, nie mogła się doczekać, żeby na mnie naskarżyć. Nigdy by się nie dowiedzieli o tej głupiej dziewczynie, gdyby nie ona ... - Znowu przerwał, starając się opanować nerwy i odzyskać kontrolę nad sytuacją. - Moja siostra mnie zdradziła. Zasłużyła na to, by umrzeć, myśląc, że jej syn nie żyje. - Zlizął ślinę, która zebrała mu się na ustach. - Jak widzisz, to tylko kwestia paru miesięcy różnicy. Zaraz będziesz martwy, tak jak miało się stać wcześniej.

- Niekoniecznie. - Głos Abigail odbił się echem po magazynie, a LaCroix odskoczył do tyłu, rozglądając się dokoła z niepokojem.

- Boston? - Apollo podążył za spojrzeniem LaCroix i do-

strzegł ją wychodzącą zza sterty ładunku, z bronią w ręku. - Co ty tu robisz?

- Przyszłam, żeby zaproponować ci układ — odezwała się do LaCroix.

- Nie bądź śmieszna. - LaCroix rozglądał się nerwowo po magazynie, wypatrując obcych, ale nikogo nie zobaczył. - Już się spóźniłaś. On musi umrzeć, żebym mógł przejąć spadek. Niestety wygląda na to, że teraz i ty będziesz musiała zginąć.

- Wykonał gest i pojawili się jego ludzie, którzy natychmiast rozbili Abigail i rzucili jej broń na podłogę.

- Nic ci nie jest? - spytała Smitha.

- Dam radę - odparł.

LaCroix wybuchnął śmiechem.

- Powiedziałam, że przyszłam złożyć ci ofertę - zwróciła się ponownie do LaCroix. - Znalazłam skarb.

- Doprawdy? Udało ci się? Jak miło.

— Jest bezcenny. Każde muzeum zapłaci za niego fortunę, żeby mieć go w swojej kolekcji.

- Abigail, nie... - odezwał się ze złością Apollo.

- Nie wspominając już o skrzyniach ze złotem i dziełami sztuki - ciągnęła. - To wszystko może być twoje...

LaCroix przyglądał się jej badawczo, ale po chwili zdawał się odsunąć od siebie myśli o tym skarbie.

- Rozumiem, że odczuwasz ogromną potrzebę uratowania go, panno Merchant. Ale doprawdy... - skrzywił się z nie smakiem - takimi oczywistymi kłamstwami?

- Nie kłamię. Mam sześć amfor ze skarbem w moim pokoju w hotelu Exeter. Jedyne, co musisz zrobić, to wysłać po nie swoich ludzi. Skarb będzie twój. - Wyciągnęła z kieszeni klucz, wiszący na kółku przytwierdzonym do grawerowanego emblematu hotelu.

- Powiedziałaś wszystko, żeby go ocalić, prawda? Jakież to wzruszające. - LaCroix podszedł do swojego krzesła, podniósł kieliszek z winem i wychylił do dna. — Daremne wysiłki.

- On mi nie wierzy - zwróciła się do Smitha. - Nie do wiary,

że znowu będę musiała to zrobić. - Spojrzała na LaCroix z lodowatym wyrazem twarzy. - Chcesz dowodu?

- Nie, Abigail... - Apollo omal się nie zakrztusił własną śliną.

- Dam ci dowód.

Zdjęła żakiet i odrzuciła go na podłogę w pobliże rewolweru. Potem zaczęła powoli rozpinać bluzkę. LaCroix zerknął na nią, a wreszcie odwrócił się i zaczął ją obserwować z zaciekawieniem.

- Pojechałam na pustynię w poszukiwaniu ksiąg.

Odpięła jeden guzik.

- Ale zamiast nich znalazłam całe antyczne miasto i świątynię.

Drugi guzik.

- Dzieła sztuki ze szczerego złota. Kielichy, patery, biżuterię.

Trzeci guzik.

- Nie wierzysz mi LaCroix? - Rozdarła bluzkę i krzyknęła:

- No to patrz!

Na minutę zapanowała grobowa cisza, gdy LaCroix i jego ludzie wbili wzrok w parę zdobionych złotych piersi osadzonych na siatce ze złotych łusek, kobiecych piersi, wykonanych z wielką precyzją i wiernością, ze szczerego, błyszczącego złota...

Stała z rozchyłoną bluzką i z wysoko uniesioną głową, zachęcając wyzywająco LaCroix, by podszedł i sprawdził ten niepowtarzalny skarb. Lecz jej wzrok był skupiony na Smisie, któremu dawała wyraźne sygnały, że teraz albo nigdy...

LaCroix wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej złotych piersi, a w jego oczach płonął nowy rodzaj pożądania i chciwości. Apollo cofnął się o parę centymetrów i niezauważony przez nikogo naciągnął sznur, do którego miał przywiązane ręce. Oczy wszystkich obecnych w magazynie były utkwione w biust Abigail, kiedy Apollo wziął głęboki oddech i podciągnął do

góry nogi, by z impetem rzucić się stopami do przodu na grube cielsko LaCroix, przewracając go na ziemię.

Abigail jednym susem rzuciła się po swój rewolwer, ludzie LaCroix wyciągnęli broń, a on sam zaczął się podnosić ciężko, wspierając się na jednym ze swoich bandziorów.

- Nie ruszać się! Zostań, gdzie jesteś, LaCroix! Reszta, rzućcie broń! - krzyknął Joe Flynn w chwili, gdy legionieści wyłonili się zza skrzyń, mierząc z karabinów w ludzi LaCroix.

Wszyscy zamarli, oprócz Abigail, która ponaglana przez Smitha, zaczęła poluzowywać łańcuch, który naciągał podnośnik i sznur, pętający mu ręce. W chwili, kiedy objęła go w pasie i pomagała usiąść na skrzyni, LaCroix chwycił najbliższej leżącej pistolet.

Legionieści zauważyli ten ruch i zaczęli strzelać, mierząc w pistolet, i wytrącając go z rąk LaCroix. Tym samym spowodowali strzelaninę i zewsząd zaczął się sypać grad kul. Legionieści padli na ziemię, a ludzie LaCroix pochowali się za skrzyniami i na ślepo się ostrzeliwali.

Abigail i Apollo wczołgali się za rząd beczek.

- Nic ci nie jest? Nie jesteś ranny? - dopytywała się.

- Nie, w porządku - odparł, krzywiąc się z bólu, który wywoływało zwykłe oddychanie. - Gdzie jest LaCroix?

Wychyliła głowę zza beczek i zauważyła go czołgającego się do schodów prowadzących na piętro.

- Tam - wskazała - ucieka po schodach.

- Zostań tu. - Apollo przyczał się i zaczął na czworaka chodzić dokoła palety z towarem.

- Jak to mam tu zostać? On ma broń, Apollo! - krzyknęła, spoglądając raz jeszcze ponad beczkami i oddając strzał w stronę jednego z ludzi LaCroix, który mierzył właśnie do Smitha. Mężczyzna ukrył się znowu za towarem, a Abigail ruszyła za Smithem, starając się biec i jednocześnie trzymać jak najniższej głowę.

Strzelanina uspokoiła się trochę, słychać już było tylko pojedyncze strzały. Po chwili ponownie odezwał się Flynn.

- Odłóżcie broń i wyjdźcie z podniesionymi rękami.

W odpowiedzi zagrzmiało kilka kolejnych wystrzałów i znowu zapanowała cisza. Flynn dał znać legionistom, żeby wykorzystali ten moment na przeładowanie broni, licząc na to, że ludzie LaCroix nie mają przy sobie dodatkowej amunicji i wkrótce będą musieli się poddać albo wycofać. Gdyby zaczęli uciekać, przerodziłoby się to w polowanie na kaczki.

Ale ich pracodawca już uciekał, wspinał się po schodach prowadzących na piętro magazynu. Kiedy był w połowie schodów, ktoś oddał do niego dwa strzały i Francuz skulił się z przerażenia. Zdał sobie jednak sprawę, że nie został trafiony, więc popędził przed siebie jak oszalały, potykając się o uszkodzony stopień schodów.

Zanim znowu się pozbierał, Smithowi udało się zbliżyć do niego na tyle, by chwycić go za kostkę. LaCroix kopnął go i rzucił się do drzwi. Najwyraźniej chciał zabrać coś z biura i miotał się po pomieszczeniu, szukając jakichś dokumentów wśród porozrzucanych na biurkach papierów. Zbyt dużo czasu mu to zajęło. Kiedy się odwrócił do wyjścia, stał przed nim Smith.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział.

- Powinienem być zabić cię tamtej pierwszej nocy... – Francuz dostrzegł na biurku nóż służący do otwierania korespondencji, chwycił go i zaczął nim wymachiwać - zamiast wtrącać cię do więzienia.

Apollo poczuł, że grunt pod nogami LaCroix się osuwa, i zaśmiał się głośno.

- Więzienie.... Zanim umrzesz, powinien ci za to podziękować.

Reakcja siostrzeńca zaskoczyła na chwilę LaCroix i w pewnym sensie rozbroiła. Te sekundy wystarczyły, żeby Smithowi udało się na niego rzucić i chwycić za rękę z nożem. Przez jakiś

czas zmagali się ze sobą, LaCroix, mimo swojego wymuszanego wyglądu grubasa, był zaskakująco silny, a jego waga pozwalała na odpieranie ataku Smitha. Lecz Apollo był od niego wyższy i wreszcie powalił go na biurko i tak długo uderzał jego ręką o krawędź, że wreszcie wytrącił mu nóż.

LaCroix wyczuł, że jego jedyną szansą na zdominowanie siostrzeńca, jest przygniecenie go swoim wielkim cielskiem. Stoczył się z biurka, pociągając go za sobą. Wylądowali na podłodze, szamocząc się i okładając się pięściami, aż wreszcie Apollo raptownie cofnął ramię i zaskoczył LaCroix ciosem w skroń.

Francuz o sekundę spóźnił się z odpowiedzią na kolejny cios i szala przechyliła się na korzyść Smitha. Po chwili Apollo był już nad nim i zakleszczył dłonie w uścisku na jego czerwonej, grubej szyi.

Do głosu doszła wściekłość wywołana dniami spędzonymi w metalowej klatce w więzieniu, niekończącymi się nocami na pustyni. Oczy Smitha zwięzły się. Pamięć spadających na niego nieszczęść i utraty bliskich utkwiała w nim głęboko. Ojciec, matka, rodzina, młodość, niewinność, marzenia i perspektywy, przyjaciele i lata, których nigdy nie odzyska, czas i możliwości, które zostały mu skradzione...

Nie myślał teraz, nie zdawał sobie sprawy z tego, że wykrzykuje te wszystkie zarzuty wprost w czerwoną twarz człowieka, którego dusi, a który jest za to wszystko odpowiedzialny.

- Wszystko zabrałeś! - na wpół warczał, na wpół szlochał.
- Zabrałeś mi całe życie! Zabrałeś mi życie, zabrałeś mi życie...

- Apollo! Przestań! Zabijesz go! -Przez wściekle pulsująca w głowie krew ledwie dotarły do niego słowa Abigail. Ak ich chłodny rozsądek powoli przenikał do jego rozgorączkowanego umysłu i zaczął przywracać mu świadomość. - Przestań! Błagam cię! Na Boga... - Chwyliła go za nadgarstki

ale nie mogła odciągnąć jego dłoni - nie możesz tego zrobić!
Apollo, przestań!

Powoli rozluźnił uścisk na grubej szyi LaCroix. Ale i tak Abigail, Flynn i Crocker musieli się nieźle natrudzić, żeby odciągnąć go od bezwładnego ciała Francuza. Zagubiony w odmętach emocji, Smith usiadł na podłodze, czując się zdezorientowany i powtarzając bez przerwy: „zabrał mi moje życie...”, dopóki nie poczuł uspokajającej i dodającej otuchy obecności Abigail.

Ona była przy nim, cała jego. Otoczyła go ramionami i pocieszała. Głaskała jego włosy i szeptała uspokajająco. Spojrzał w jej gołębioszare oczy przepełnione miłością, dzielące jego cierpienie.

- On zabrał moje życie - powiedział, odczuwając prawdę tych słów bardziej niż kiedykolwiek - ale ty mi je zwróciłaś.

Przyciągnął ją do siebie w niepohamowanym odruchu wdzięczności i w duchu odmówił modlitwę dziękczynną. W tym momencie zrozumiał siłę więzi między dwiema duszami, która była prawdziwym początkiem mądrości i całego nowego życia.

Abigail zauważyła, że Crocker przyklęka przy LaCroix i sprawdza jego puls.

- Czy on...?

- Żyje - odparł i w jego głosie zabrzmiała nuta rozczarowania.

- Szkoda. - Flynn wymierzył kopniaka w bezwładne ciało.

Crocker zauważył księgę rachunkową leżącą na podłodze obok Francuza i podniósł ją, a potem odwrócił się i rozejrzał po stosach papierów piętrzących się dokoła.

- Każdy dokument to historia jakiegoś okradzionego biedaka.

- Co z nim zrobimy? - spytał Flynn. - I z nimi? - ruchem ręki wskazał mężczyzn leżących na podłodze magazynu ze skrepowanymi rękoma i nogami.

- Szkoda, że nie możemy tak zwyczajnie wystawić go na

łaskę tych ludzi, co tak wrzeszczeli pod siedzibą jego firmy - powiedział Ravi. - Już oni by dopilnowali, żeby otrzymał odpowiednią karę.

Apollo podniósł się z podłogi wspierając się na ramieniu; Abigail.

- Dobry pomysł - rzekł. - Oddamy go sułtanowi. - Poklepał Ravię po plecach. - Ty mówisz ich dialektem. Idź do pałacu i wyjaśnij dowódcy straży sułtana naszą sytuację. Podejrzewam, że już sporo usłyszeli na temat Ferdineaux LaCroix i będą zainteresowani.

Biuro rzeczywiście było pełne dokumentów dowodzących złodziejskiej działalności LaCroix. Kiedy przejrzyli papiery i rachunki dotyczące majątku we Francji, stało się jasne, że LaCroix podawał się za pośrednika w interesach między koncernami europejskimi a władcami marokańskimi, wśród nich i sułtanem. Udawało mu się oszukiwać obydwie strony. Od każdej wymuszał „prezenty”, windował ceny i oszukiwał na podatkach, żeby zgarniać największe profity dla siebie.

Gdy przybyli ludzie sułtana, LaCroix zaczął się słabo poruszać. Kapitan wylał na niego wiadro wody i rozkazał podwładnym, by go podnieśli z podłogi. Początkowo Francuz był kompletnie zamroczony i dopiero po paru minutach dotarło do niego, co się z dzieje. Spojrzał na ludzi trzymających go za ręce, na mundur kapitana z sułtańskiej straży i wreszcie zrozumiał, że spełnia się jego najgorszy koszmar.

- Nie możecie mi tego zrobić! - krzyknął. - Jestem ważnym biznesmenem, obywatelem Francji! Nie macie nade mną prawa! Nie macie prawa!

- Mam wrażenie, że dał pan im to prawo, sir - powiedział z uśmiechem Flynn - kiedy zachciało się panu utrzyć nosa samemu sułtanowi.

- Proszę popatrzeć na to z lepszej strony - powiedział Crocker, kiedy strażnicy związali LaCroix ręce. - Prawdopodobnie to ostatni raz, kiedy pana związują.

- O, tak - odezwał się przeciągle Ravi. - W drodze tutaj kapitan mówił mi, że sułtan ma szczególne zamiłowanie do egzekucji i z tego powodu nawet ustalił, że jeden dzień w tygodniu poświęca na ich oglądanie.

LaCroix na przemian zastraszał i próbował się targować, prosząc o uwolnienie, a potem błagając o litość, kiedy wyprawdzali go z magazynu w marokańską noc.

Sułtan Casablanki był tak wdzięczny za to, że żołnierze francuskiej Legii Cudzoziemskiej pomogli jego męźnym strażnikom w schwytaniu złodzieja i przestępcy Ferdineaux LaCroix, że podarował każdemu z nich piękny miecz ze złotą rękojeścią. Starzy kumple Smitha prosto z audiencji u sułtana poszli do najbliższego sprzedawcy mieczy, żeby zamienić nagrody na gotówkę, którą mogli wydać na przedłużenie pobytu w Casablance, dzięki uprzejmości dumnej z nich i wdzięcznej im legii.

Apollo i Abigail dostali najlepsze pokoje, jakie miał hotel Exeter, podziękowania i słowa uznania od sułtana i paru ważniejszych marokańskich kupców. Wypali się porządnie i najedli. Żebra Apolla goiły się coraz lepiej i nocami był w stanie, i to nawet bardzo ochoczo, pomagać Abigail w ocenie wartości Księgi Siedmiu Rozkoszy.

Jedyną osobą, która poniosła stratę z tytułu pojmania LaCroix, oczywiście poza nim samym, był kapitan francuskiego statku Maintenon, który został zmuszony do opóźnienia o kilka dni wypłynięcia do Marsylii. Jego jedyny pasażer i właściciel większości załadunku statku zniknął, a sułtan nalegał na sporządzenie dokładnego spisu wszystkich przedmiotów, które zostały już wniesione na statek, żeby zapobiec ich kradzieży i by żadne dobra ziemi marokańskiej nie opuściły Casablanki.

Parę dni później Apollo wpadł jak burza do pokoju z nowiną, że statek został już sprawdzony i będzie mógł wypłynąć do Marsylii.

- Wypływa jutro rano - powiedział, rozglądając się po pokojach, które zajmowali przez większą część tygodnia i szukając

wzrokiem swojej torby, a potem kładąc ją otwartą na łóżku. Kiedy chwilę później podniósł wzrok na Abigail, zobaczył, że patrzy na niego, jakby właśnie oznajmił jej, że wyrusza na biegun północny .

- A kiedy wypływa następny statek do Londynu? - spytała, patrząc na amfory stojące pod ścianą, a potem na swoje torby podróżne, czując nagle, że coś traci. Po tym wszystkim, przez co przeszli razem, ona i Apollo...

Odwrócił się od łóżka i wyprostował, patrząc na nią.

- Jedź ze mną do Marsylii - powiedział. - To zajmie tylko parę tygodni. Muszę załatwić kilka spraw i zobaczyć, co zostało po mojej rodzinie. No i jeszcze spadek... - Abigail złączyła dłonie i zaczęła pocierać jedną o drugą, odwracając wzrok w stronę amfor, a on ciągnął dalej: - Potem złapiemy statek do Londynu i razem rzucimy na kolana tych twoich zrzędliwych naukowców.

Podniosła na niego wzrok, a w oczach miała łzy.

- Naprawdę chcesz ze mną pojechać? Nie mówisz tego tak tylko teraz?

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona, uświadomił sobie jej niepewność i swoje własne rozpaczliwe pragnienie bezpieczeństwa i nadziei na przyszłość.

- W życiu nie chciałbym przepuścić takiej okazji - powiedział, pragnąc, by rozplynęła się w jego ramionach i dała mu dowód, że to, co oboje odkryli, jest dla niej tak samo ważne jak jej inne marzenia. - Jesteśmy współnikami, pamiętasz? - A po chwili dodał: - Poza tym mamy jeszcze dwie rozkosze do przeanalizowania. A już z samych ich nazw mogę wywnioskować, że mogą być bardzo interesujące. Kontrola i Uległość.

I wtedy to się stało, poczuł, jak rozplywa się w jego ramionach i łączy się z nim tak, jak tego pragnął. Ponad jej głową uśmiechnął się, czując, że i jego ciało rozluźnia się. Jest jego. Należy tylko do niego.

Kiedy przywarła mocno do jego piersi, usłyszała przyspie-

szone bicie serca, a po chwili jego równy i pewny puls. Wsłuchiwała się w rytm jego serca w ten sposób od prawie trzech tygodni. I cokolwiek będzie się między nimi działo, to ten najważniejszy rytm pozostanie już na zawsze częścią niej.

- Jest tylko jeden warunek... - powiedział Apollo, a w jego głosie wyczuwała uśmiech. Wiedziała, że cokolwiek jej teraz powie, będzie to jego gierka.

- Tak? - Przygryzła wargę, czekając i wiedząc, że i tak pewnie się zgodzi, nieważne, jak skandaliczna by była ta propozycja.

- Następnym razem, kiedy będziemy się meldować w hotelu jako pan i pani Smith, musi to być prawdą.

A systemt Jonas Pratt biegł klusem po szerokich schodach londyńskiego hotelu Savoy, tuż za dyrektorem British Museum, Maunde Thompsonem. Ledwie zdołał złapać oddech i poprawić węzeł krawata, kiedy dołączył do niezwyklego grona mężczyzn, wszystkich związanych w jakiś sposób ze słowem pisaniem bądź archeologią, w sławnej sali Pinafore. Stał przez chwilę, gapiąc się jak wiejski głupek na luksusowe umeblowanie i odświętną iluminację spotkania najbardziej świątecznych umysłów Wielkiej Brytanii.

Niektórych rozpoznawał, gdyż odwiedzili kiedyś British Museum i dyrektora Thompsona. Lord Edmund Drinkwater z Royal Society, sir Amos Greenley z Instytutu Archeologicznego w Cambridge, sir Chester Edgerton, uczony z Oksfordu, B.P. Grenfell, jeden z dyrektorów wykopalisk w Egipcie w Oxyrhynchus, Simon Cresswell, jeden z najważniejszych klasycystów na świecie, profesor Bertrand Hall z Quinn College i sir Henry Merchant z Christ College w Oksfordzie. Potem dostrzegł jeszcze Waltera deGray Bircha, specjalistę od pieczęci w British Museum, który zdawał się nigdy nie mieć dla niego czasu, chociaż - jak uważał Pratt - był człowiekiem, przynoszącym najmniej sławy muzeum i chyba nikt nie uważał jego pracy za istotną. W końcu to tylko pieczęcie. Kompletnie wymarła specjalizacja.

Gdy zauważył, że dyrektor Thompson zaczyna witać się z pozostałymi dostojnikami, podbiegł do niego w nadziei, że zostanie przedstawiony... wielkie nieba, samemu Pierre'owi Monteneau z departamentu antyku w Luwrze. Szykowny mężczyzna spojrział na Pratta niewidzącym wzrokiem, kiedy dyrek-

tor Thompson go przedstawiał. Przekłety Francuz. Asystent spojrział w dół na jego eleganckie buty, a potem w górę na głupawo przystrzyżone jak pędzelki włosy. Oni zawsze uważają się za lepszych.

Otworzyły się drzwi i do środka weszło trzech mężczyzn, poruszających się agresywnie i zdecydowanie wkraczających na sam środek sali, jakby chcieli przejąć dowodzenie w całym zgromadzeniu. Obrzucili wszystkich zimnym, uważnym spojrzeniem i natychmiast spostrzegli Pierre'a Monteneau i dyrektora Thompsona.

- Wielkie nieba. Amerykanie. - mruknął pod nosem lord Amos Greenly, kierując się w stronę tacy z kruchymi ciasteczkami, które właśnie wniesiono i postawiono nieopodal.

- Harrison Evans. - Dyrektor Thompson wyciągnął dłoń do zbliżającego się w jego stronę mężczyzny, który wykazywał się typową dla Amerykanów swobodą i pewnością siebie. Evans? Ten z Metropolitan Museum? Pratt wyprostował się i wypiął pierś. To rzeczywiście dziwne spotkanie.

- Ta Smith to ma tupet! - usłyszał Pratt słowa Evansa.
- Zaprasza trzy największe i najbardziej prestiżowe muzea w świecie zachodnim, żeby pokazać im swoje odkrycie. – Amerykanin miał wyjątkowo równe i zdumiewająco białe zęby.
- A panowie dżentelmeni mają już przygotowane portfele?
Zanim Thompson czy Monteneau zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, główne drzwi stanęły otworem i młoda kobieta w świetnie skrojonym aksamitnym żakiecie, doskonale podkreślający kolor jej oczu, weszła do sali, trzymając pod rękę wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę z opaską na oku. Zatrzymali się, a kiedy oczy wszystkich zwróciły się na nich, uśmiechnęła się.

- Dzień dobry panom. Dziękuję za przybycie.

Za nimi, ubrani w liberie, portierzy hotelowi pchali wózki osłonięte lnianym płótnem, na których leżało sześć amfor w kształcie urn. Na polecenie jednookiego mężczyzny portierzy

ustawili wózki w jednej linii w końcu sali i odeszli. Kustosze i uczeni spoglądali z -zaciekawieniem po sobie, na przybyłą parę i na amfory, mruczając coś pod nosem i wymieniając uwagi.

- Jestem A.M. Smith - oznajmiła kobieta, wywołując tym samym kolejną falę pomruków w sali. Uśmiechnęła się chłodno. - Oto mój mąż, Apollo Smith. - Wysoki brunet skłonił się lekko. - Parę miesięcy temu zorganizowaliśmy ekspedycję na pustynię Maroka, podążając według wskazówek zawartych w pracy profesora Thaddeusa Chiltona, nieżyjącego już badacza z Quinn College w Oksfordzie. Mamy zaszczyt zaprezentować państwu owoce naszej wyprawy - ruchem ręki wskazała na amfory.

- Na pustyni zlokalizowaliśmy te sześć amfor zawierających rękopisy, które, jak wierzymy, są datowane od pierwszego do szóstego stulecia naszej ery.

Wśród naukowców podniósł się krótki zgiełk i w ciszy, która potem zapadła, dał się słyszeć głos z głębi sali.

- Thaddeus Chilton? Dobry Boże, nie słyszałem tego nazwiska od lat.

- Profesor Chilton, tak jak mówiłam, niestety już nie żyje - powiedziała Abigail, spoglądając na twarze zgromadzonych i wypatrując wśród nich tej jednej, podobnej do twarzy mężczyzny ze zdjęcia ślubnego, które wiozła ze sobą do Maroka i z powrotem. - Po przeanalizowaniu jego prac zdałam sobie sprawę, że jego teorie są obiecujące, a wszystkie badania bardzo drobiazgowo. Zdecydowałam się dokończyć jego badania.

I wreszcie go wypatrzyła.

Sir Henry Merchant, klasycysta. Wysoki, pięknie wyglądający dżentelmen. Siwiejący, ale nadal żywotny przy swoich pięćdziesięciu kilku latach. W jego spojrzeniu była bystrość, a postawa wyrażała powagę i obie te cechy przesłaniało zmęczenie, które dostrzegła w jego oczach. Z trudem oderwała od niego wzrok. - Nasza ekspedycja wyruszyła z Casablanki do Marrakeszu,

Ouarzazate, a potem dalej na południe na Saharę, gdzie odnaleźliśmy te amfory i księgi, które są w nich ukryte.

Usłyszała czyjeś chrząknięcie i wreszcie dyrektor British Museum, Maunde Thompson, odezwał się.

- Proszę mi wybaczyć, pani Smith, ale skąd pani wie, że w tych amforach są rękopisy i do tego tak wartościowe, jak pani twierdzi?

- Powiedzieli mi to ludzie, którzy się nimi opiekowali. Rękopisy te zostały wybrane przez radę antycznych uczonych i umieszczone w świątyni wiedzy, którą ukryto na całej tysiąc lecia na dalekiej pustyni. W świątyni poświęconej bogini mądrości, Atenie.

Szmer stał się głośniejszy. Część głosów wyrażała zaskoczenie, a część oburzenie. Widziała ich twarze. Znała dobrze ich sposób myślenia i zdawała sobie sprawę z tego, jak to musi dla nich brzmieć. Będą potrzebowali trochę czasu, żeby się z tym oswoić.

- A skąd pochodzą te księgi? - spytał Pierre Monteneau, - Mówiła pani, że zostały wybrane, prawda? Wybrane spośród jakiego księgozbioru?

Abigail poczuła rękę Smitha, szukającą jej dłoni i ścisnęła ją z wdzięcznością. Tej części wystąpienia najbardziej się obawiała

- Z księgozbioru Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej.

Po tych słowach, przez salę przetoczyła się fala wyraźnego niedowierzania, a Abigail uniosła wysoko głowę i podniesionym głosem próbowała przywołać wszystkich do porządku i odzyskać kontrolę nad zebranymi.

- Profesor Chilton w ciągu całej swojej działalności akademickiej, odkrywał i badał teorię mówiącą, że przed ostatecznym zniszczeniem Wielkiej Biblioteki część jej księgozbioru została potajemnie wywieziona z miasta na pustynię, żeby tam bezpiecznie przeczekać do momentu, kiedy będzie można jej bezcenne zbiory znowu oddać światu. Staję tu dzisiaj przed wami, żeby powiedzieć, że ta teoria potwierdziła się w pełni. Wiem to.

ponieważ odkryłam to pustynne repozytorium, jak również świątynię, którą wybudowała sekta ludzi wybranych, by przez setki lat chronić wiedzę i mądrość w niej ukrytą.

- Znalazła pani Wielką Bibliotekę Aleksandryjską? - wykrztusił otyły, o wieprzowatej twarzy mężczyzna. - To niedorzeczne! Panowie, zostaliśmy tu ściągnięci, żeby stać się ofiarą mi głupiego żartu! Miłego dnia, młoda kobieto! - Ruszył do drzwi, pociągając swoim przykładem dwóch innych, zanim zdążyła wyjawić zgromadzonym to, co uważała, że będzie stanowić dla nich nieodpartą pokusę i wyzwanie.

- Zaprosiłam panów tutaj nie tylko po to, żeby ogłosić to znalezisko, ale także po to, żeby zaangażować panów bystre umysły do testu. By poprosić o sprawdzenie amfor oraz zbada nie dzienników profesora Chiltona i jego map, a więc by pomóc mi w rozpoczęciu procesu potwierdzenia autentyczności tego znaleziska.

- Potwierdzić autentyczność? - Grubas, który już wychodził, poczuł się rozdarty pomiędzy chęcią umycia rąk od tego wszystkiego a pragnieniem zdemaskowania jej jako zwykłej oszustki. - Na Boga! Ależ ma pani tupet, żeby odciągać tych wszystkich dżentelmenów od ich ważnej pracy...

- Zanim panowie podejmą ostateczne decyzje, mam nadzieję, że zechcą skosztować szampana i poczęstują się lekkimi przekąskami - powiedziała Abigail, uśmiechając się nieśmiało.

- O co chodzi z tym szampanem? - mruknął Apollo, kiedy mężczyźni odwrócili się, by zobaczyć kelnerów wchodzących między nich i roznoszących na tacach kieliszki. - Chcesz nieco ułagodzić dzikie bestie?

Lecz Abigail prawie go nie słyszała. Była cała pochłonięta obserwowaniem reakcji ojca, który stał nieporuszony. Nie mogła oderwać od niego oczu. Czy zauważył w niej coś znajomego? Czy przypominała mu jej matkę? Czy miał pojęcie, że ten dzień był tak samo ważny z powodu owoców niezwyklej ekspedycji, jak i z powodu spotkania z nim?

Wyglądał na nieugiętego i niewzruszonego. Czyżby dwadzieścia lat pracy naukowej i braku miłości zrobiło z niego zimnego, obojętnego człowieka? Zamieniło jego serce w kamień?

- Ja osobiście nie zamierzam uczestniczyć w tej szaradzie!
- powiedział grubas przy drzwiach i wyszedł z sali, pociągając za sobą dwóch innych.

Co ciekawe, większość naukowców i dyrektorów muzeów została, dyskutując między sobą, przyglądając się amforom i parze ludzi, którzy twierdzili, że są ich odkrywcami. Abigail zaczęła wyciągać dzienniki Thaddeusa Chiltona z torby i układać je w pewnych odstępach na stołach przyniesionych tu właśnie w tym celu. Kiedy Apollo zaczął rozkładać na stołach szkła powiększające, Abigail wyczuła zmianę nastroju na sali.

- Panie Birch, może pan zechciałby zaspokoić ciekawość - powiedziała, wręczając specjalistę od pieczęci szkło powiększające i zachęcając go, by podszedł do amfory.

- O tak, z wielką przyjemnością, pani Smith. - Walter deGray Birch skorzystał z okazji, by poddać pieczęcie na amforze wnikliwej analizie i zaraz też spytał, czy może przesunąć wózek, na którym została umieszczona, bliżej okna, gdzie światło jest dużo lepsze.

To było jak pierwszy strumyk, który przelewa się przez groblę. Naukowcy ruszyli do dzienników, map i zaczęli rozdawać sobie szkła powiększające i wymieniać profesjonalne spostrzeżenia. Szybko poziom hałasu i podniecenia podniósł się, uczeni dzielnie stawiali czoło wyzwaniu, które przed nimi stało - zbadania małej tajemnicy, która mogła mieć ogromne konsekwencje.

Filologowie klasyczni zgromadzili się wokół dzienników Thaddeusa Chiltona, podnieceni faktem, że zostały one spisane greką i zaszokowani tym, jak sprytnie ich kolega poradził sobie z tłumaczeniami. W tym czasie pozostali podeszli do amfor. Podnosili je, pukali w nie, mierzyli i porównywali ich styl i konstrukcję ze znanymi im dziełami sztuki, których tak wiele mieli we własnych kolekcjach.

Obserwując to, Abigail poczuła ulgę, że jednak potraktowali ją poważnie i postanowili zbadać jej znalezisko. Przechadzała się po sali, przysłuchując się komentarzom i odpowiadając na pytania, jeśli tylko była w stanie im sprostać. Ale przez cały czas jej wzrok powracał do wysokiego, dystyngowanego mężczyzny, który był jej ojcem, a który pochylał się teraz nad jednym z dzienników.

Kiedy już nie mogła dłużej wytrzymać, podeszła do stolika, przy którym on, przysunawszy sobie krzesło, wczytywał się w pracę Chiltona, i zobaczyła, że studiował stronę z jej własnym tłumaczeniem. Zupełnie zapomniała, że włożyła ją między kartki dzienników profesora. Podniósł na nią wzrok, a potem wstał i odłożył dziennik.

- Sir Henry Merchant, prawda? - spytała, mając nadzieję, że nie zauważy drżenia w jej głosie.

- Tak - odparł i odchrząknął. - Mogę spytać, co kryje się pod pani inicjałami A. M., pani Smith?

- Abigail Merchant, sir - odparła, czując, jakby właśnie otworzyła puszkę Pandory.

- Abigail Merchant? - powtórzył jakiś wysoki, nieprzyjemny głos. - Znam to nazwisko. - Ziemista twarz Jonasa Pratta zarumieniła się, kiedy przyjrzał jej się uważniej. - Znam cię! Jesteś zatrudniona przez British Museum! - powiedział, wskazując ją palcem, nieświadomy swego braku manier. - Albo byłaś. Pracowałaś w... - Odwrócił się, żeby znaleźć dyrektora Maunde'a Thompsona i zobaczył go przy jednej z amfor. - Dyrektorze Thompson... Już wiem, gdzie ją wcześniej widziałem. Ona jest tą kobietą, która pracowała w naszych piwnicach!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszyscy zwrócili oczy na Abigail.

Nie potrafiła opanować rumieńca, słysząc te złośliwe słowa demaskujące ją, ale mogła jeszcze zachować się w taki sposób, żeby trochę złagodzić ten cios.

- Tak, to prawda - odparła spokojnym, chłodnym głosem,

obdarzając Pratta spojrzeniem bazyliuszka. - Przez krótki czas byłam zatrudniona przez British Museum przy gromadzeniu zbiorów. Uważam ten okres za najbardziej pouczające, chociaż niezbyt przyjemne doświadczenie.

Maunde Thompson wyprostował się i podszedł bliżej.

- Gromadzenie zbiorów, tak? - Wydawało się, że nie czuł się zbyt komfortowo, gdy zauważył spojrzenie sir Henry'ego.

- Dziwny wybór jak na młodą kobietę.

- Nie pamięta pan, dyrektorze Thompson? - Pratt wyczuł, że to jego moment, że teraz będzie mógł zrobić wrażenie na dyrektorze, jeśli tylko sprowadzi tę wywyższającą się kobietę na właściwe dla niej miejsce. - Wszyscy gadali o tym, czy rzeczywiście w piwnicach pracuje jakaś kobieta i robili o to zakłady. - Jego śmiech zabrzmiał trochę za bardzo jak chichot, ale i tak parę osób poszło jego śladem.

Na chwilę zapanowało całkowite milczenie. Potem dyrektor Thompson wyciągnął z kieszonki kamizelki zegarek i spojrzął na niego z zakłopotaniem.

- Naprawdę... muszę już... Mam pilne spotkanie...

- Ja także powinienem już iść - powiedział lord Amos Greenlay, odkładając szkło powiększające z wyraźnym uczuciem ulgi.

Abigail poczuła, że Apollo staje przy jej boku. Zobaczyła jego pięści zaciśnięte i gotowe w każdej chwili do użycia w jej obronie. Szybko położyła chłodną dłoń na jego ręce, prosząc w ten sposób, by powstrzymał gniew.

- A zatem, sir Henry... - Thompson spojrzął na jej ojca z niesmakiem, przypominając sobie właśnie, za czyją sprawą Abigail została zatrudniona w muzeum. - To musi być pańska córka... To znaczy... chciałem spytać..., co pan myśli o... - gadatliwemu dyrektorowi nagle zabrakło słów, więc szerokim gestem wskazał na dzienniki i amfory.

Abigail nie mogła oddychać. Nie mogła nawet mrugnąć powieką.

Stała przed ojcem, którego w ogóle nie znała, przywołując w pamięci te wszystkie lata i decyzje, które wytworzyły między nimi taki dystans. I były to te same decyzje, które kiedyś złamały serca i zburzyły rodzinę, a teraz los stawiał ich ponownie przed takim samym wyborem, jakby dla zabawy... A może dając im drugą szansę...

Dawno temu ojciec został zmuszony do zaprzeczenia znakomitym osiągnięciom żony i wybrał wtedy, choć nie bez wahania, bezpieczniejszą drogę, taką, jakiej od niego oczekiwano, czyli drogę męskiej dominacji, ukrytej pod hasłami „surowości” i „czystości”. Wybrał własną karierę i ambicje, stawiając je ponad miłością, żoną i w końcu nawet córką.

Czy zrobi znowu to samo?

Czy pragnienie bycia szanowanym w środowisku sprawi, że wyprze się własnej córki, której nie zna, i jej osiągnąć, jakiegokolwiek one są?

- Tak, to moja córka - powiedział sir Henry, wyglądając przy tym tak, jakby każde słowo kosztowało go bardzo wiele.

Abigail poczuła, że robi jej się słabo. Nie.

Proszę cię, Boże. Tylko nie to samo...

- Ale była mi zupełnie obca - ciągnął, mówiąc bardziej dobitnie. - Nadal mam zamiar przyjrzeć się jej pracy i zajrzeć do środka tych amfor. Jeśli to, co mówi, jest prawdą, a na razie nie mam żadnych powodów, by w to wątpić, to, na Boga, pomyślcie tylko! Wielka Biblioteka Aleksandryjska!

Przez salę przeszło westchnienie, a sir Henry zwrócił się do Pratta.

- Wydaje mi się, że nie usłyszałem pańskiego nazwiska, sir. A, proszę być pewnym, chcę je sobie dobrze zapamiętać - powiedział, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

- Pratt. - Mała gnida z trudem przełknęła ślinę. - Asystent dyrektora, Jonas Pratt.

- Pratt. - Sir Henry powtórzył nazwisko w taki sposób, jakby sfluwał. A potem zwrócił się do Thompsona, który właśnie

zmierzał do drzwi wyjściowych i jego także obrzucił wrogim spojrzeniem. - A więc wsadziłeś ją do piwnicy, tak? - Uniósł jedną brew, a cała sala wstrzymała oddech. - Cóż, każdy musi gdzieś zacząć, prawda, Maunde? Nawet w cholernej piwnicy. Spodziewałem się jednak, że mojej córce zostanie dana szansa...

- spojrział na nią i zobaczył jej oczy pełne łez i drżący uśmiech
- ale także miałem nadzieję, że sama do czegoś dojdzie. I, na Boga, myślę, że jej się udało!

Nie była nawet świadoma tego, że zaczęła iść w jego kierunku, z rozpostartymi rękoma i mokrymi od łez oczami. Chwytał jej dłoń, ścisnął mocno i trzymał długi czas w milczeniu.

- A teraz przyjrzyjmy się tym amforom!

Na zewnątrz było już ciemno i trzeba było zapalić światła w salonie, zanim wyszli ostatni z zaproszonych gości i Abigail mogła wreszcie zwrócić się do ojca na osobności. Jej serce było przepełnione miłością, a oczy wyrażały więcej, niż myślała.

- Wiesz, jak bardzo jesteś podobna do swojej matki? - po wiedział sir Henry, i jego oczy także się zaszkliły.

Nie mogła wykrztusić słowa, więc tylko kiwnęła głową.

Ale słowa nie były potrzebne, kiedy rozłożył ramiona, a ona rzuciła się w nie.

Dziś stanął w jej obronie, żądając szacunku dla niej i dla jej osiągnięć, i sam okazał jej respekt. Odczuwał ból w sercu, że już nigdy nie będzie miał szansy wynagrodzić krzywdy, jaką wyrządził młodej żonie wiele lat temu. Zapłakał na wieść o jej śmierci. Abigail i Apollo zaprowadzili go do swojego apartamentu hotelowego. Abigail opowiedziała ojcu całą prawdziwą historię ich „ekspedycji” oraz ich związku, który przerodził się w małżeństwo.

Rozmawiali do późna, nalegała, żeby ojciec został u nich na noc. Następnego ranka przy śniadaniu poruszyli najważniejszy teraz temat.

- Musisz być bardzo ostrożna i nie przyjmować pierwszej

oferowanej ci ceny - radził sir Henry. - Muzea są z natury bardzo skąpe... tak jak; ten Maunde Thompson, który nadal nosi tę samą parę skarpet, którą mu matka zrobiła na drutach. Każ im trochę poczekać. I zażądaj, żeby przedstawili ci swoje plany co do organizacji wystawy związanej z dziennikami i całym znaleziskiem... W ten sposób z nimi postępuj.

- Wygląda to, na dobrą radę - powiedział Apollo, mrugając do Abigail, która promieniała szczęściem po nocnym sprawdzaniu dwóch ostatnich rozkoszy: Kontroli i Uległości, z małym dodatkiem szampana i rozkoszy Smakowania.

- Zamierzamy zorganizować kolejną ekspedycję, żeby odzyskać dzieła sztuki, które zostały przysypane w tunelu - powiedziała Abigail z błyszczącymi oczami. Sięgnęła przez stół po dłoń męża. - Apollo i ja przedyskutowaliśmy tę kwestię i... chcielibyśmy, żebyś z nami pojechał.

- Ja? Na ekspedycję? - Sir Henry wyglądał bardziej na zde gustowanego niż zaintrygowanego tą propozycją. — Nie. Ja jestem typem badacza siedzącego wyłącznie wśród książek i rękopisów. Nie ma we mnie tego pragnienia i zacięcia, jakie mają badacze terenowi.

- Nie żartuj. Masz mnóstwo zacięcia - powiedziała stanowczo Abigail.

- I wigoru - dodał Apollo.

- Co masz do stracenia? Musisz żyć pełnią życia — Abigail usłyszała siebie samą mówiącą te słowa i pomyślała, że brzmi tak zaskakująco znajomo. - Jesteś za młody, żeby się zamykać z książkami i dokumentami na całe lata. Musisz zrobić coś szalonego i pięknego. Coś odważnego i takiego, co będziesz wspominał. Musisz przeżyć przygodę!

- Dobry Boże - zwrócił się sir Henry do Apolla z miną wyrażającą przerażenie i fascynację. - Ona mówi tak samo jak jej matka!

I taka była ich historia - powiedziała Leigh Merchant Smith, zamykając książkę, którą czytała na głos narzeczonemu. - Przygody mojej praprababki i prapradziadka. Co o tym sądzisz?

- Trochę naciągane - odparł młody mężczyzna, wyraźnie starając się być dyplomata.

- To prawdziwa historia, Michael. No, może trochę upięk-szona tu i ówdzie na potrzeby rynku, ale zasadniczo właśnie tak było. Takie były początki rodziny Merchant-Smith i ich dzie-dzictwu

Siedzieli razem na skórzanej sofie w gabinecie jej ojca peł-nym regałów z książkami, ubrani w dżinsy i swetry. To był relaksujący weekend, o ile może taki być, jeśli spotykasz się po raz pierwszy z przyszłymi teściami.

Odłożyła na bok książkę i przytuliła się do niego.

- Dlatego kobiety w naszej rodzinie zostają bibliotekarkami i zawsze zakochują się w poszukiwaczach przygód.

- Przedsiębiorcach - poprawił ją. - Pamiętasz, że pracuję dla firmy zajmującej się spekulacjami kapitałowymi? I odwalam czarną robotę na zapleczu... badania rynkowe, projekty finan-sowe, same nudy.

- Och, tak. Przepraszam. Podróże do Singapuru, Berlina i Paryża, które wyskakują ci nagle w grafiku, sprawiają czasem, że zapominam jak nudną masz pracę.

- Skoro ta historia jest prawdziwa - powiedział patrząc na zdobioną ornamentami książkę, którą odłożyła na stolik - to gdzie są teraz te wspaniałe rękopisy z Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej? Dlaczego ich odkrycie nie zmieniło świata?

To znaczy, skoro były takim niezwykłym odkryciem, które miało wstrząsnąć światem, to dlaczego nie uczyliśmy się o nich w szkole albo chociaż nie dowiedzieliśmy się tego z Discovery?

- No tak. Po aukcji, którą wygrało Metropolitan Museum, amfory z rękopisami zostały przewiezione statkiem do Nowego Jorku, gdzie otwarto je w obecności znakomitych uczonych i badaczy.

- I? - Michael odsunął się na krawędź sofy.

- Rękopisy wyciągnięto i zakonserwowano, oczywiście po wcześniejszym przeczytaniu. Okazało się, że są to księgi najślawniejszych antycznych myślicieli: Arystotelesa, Epikura, Ptolemeusza...

- I?

- I - westchnęła - okazało się, że większość z nich była już znana światu. Dotarły do nas z innych źródeł. Kilka z rękopisów zawierało nieznaną część dzieł bądź ich tekst był inaczej sformułowany niż wcześniejsze wersje. „O naturze rzeczy” Epikura, „Ustrój polityczny Aten” Arystotelesa, „Sztuka lekarska” Galena...

- Tylko tyle?

- Niestety. Praprababka Abigail była bardzo zawiedziona. Ale prapradziadek Apollo, będąc pragmatykiem, wyciągnął z tej sytuacji jedyny sensowny wniosek i napisał książkę o ich przygodach i zdecydował się na dalsze poszukiwania.

- Jaki był jego wniosek?

Leigh podsunęła się do niego i usiadła mu na kolanach, a w jej oczach pojawiły się isierki.

- Że czas, tak jak wiedza, idzie naprzód. Bez względu na wysiłki niektórych, by ją gromadzić, ograniczać do niej dostęp albo nawet niszczyć jej owoce, wiedza nie tylko przetrwa, ale będzie rozkwitać. Mądrość zawsze znajdzie jakąś drogę dla siebie. Ona żyje własnym życiem i nie da się jej uwięzić, zabronić czy ukryć gdzieś na odludziu. Wiedza, wyrwana z nurtu idei, nawet po to, żeby zostać ocaloną dla potomnych, powoli

wiednie i robi się przestarzała. — Zaśmiała się na widok wyrazu jego twarzy, który zmieniał się pod wpływem jej monologu. I zdało jej się, że ta teoria trafia na podatny grunt.

- Wielka szkoda, że dziadkowie nie mogą tu być, by zobaczyć Internet - ciągnęła dalej. - Spodobałoby im się, gdyby się przekonali, jak przełamuje on bariery i rozpowszechnia wiedzę, zmieniając w ten sposób cały świat.

- Czyli to jest to dziedzictwo rodzinne, o którym mówiłaś? Ta miłość do mądrości i nauki? Ta pasja zdobywania wiedzy? I biblioteki.

- Jego część.

Leigh przyglądała się twarzy i bruzdkom, które powstały pomiędzy brwiami Michaela, a które pojawiały się zawsze wtedy, kiedy w coś wątpił. Michael Phillips byłby fatalnym graczem pokerowym.

- Nadal w to wszystko nie wierzysz, prawda? - spytała.

- Skoro mówisz, że tak było, wierzę ci na słowo - odparł i bruzdka wygładziła się, a na jego twarzy pojawił się pełen uroku chłopięcy uśmiech.

- Zaraz uwierzysz naprawdę - powiedziała, podnosząc się z jego kolan i podchodząc do szafy stojącej za mahoniowym biurkiem ojca. Za ciężkimi drewnianymi drzwiami był ukryty okazały sejf. Otworzyła go i wyciągnęła z niego prostokątne drewniane pudełko, które położyła na biurku.

- Co to takiego? - Wstał z sofy i podszedł do niej.

Siądmy rękopis.

- Spojrzał na książkę leżącą na stoliku. Mówiłaś przecież, że wszystkie rękopisy wywieziono do Metropolitan Museum?

- To prawda. Wszystkie, oprócz tego jednego. Ten rękopis moi prapradziadkowie postanowili zachować dla siebie. Jest z nich wszystkich najbardziej rewolucyjny. Nie chcieli pozwolić, żeby został gdzieś zamknięty na klucz w jakimś podziemiu muzeum i nigdy nie ujrzał światła dziennego.

Uprzątnęła biurko, włożyła bawełniane rękawiczki, otworzyła hermetyczne pudełko i wyciągnęła z niego pergaminowy zwój owinięty w owczą skórę. Potem bardzo ostrożnie rozwinęła rękopis i zaczęła go czytać. Najpierw po grecku, a potem tłumacząc na angielski...

„Księga Siedmiu Rozkoszy”

Michael patrzył w osłupieniu na nią, a potem na ewidentnie antyczny dokument.

- Zachowali sobie jeden zwój? Czyli naprawdę znaleźli Wielką Bibliotekę Aleksandryjską?

- Dokładnie tak, jak to opisali. Nie wspomnieli w swojej książce o tym, że zachowali dla siebie jeden rękopis. Woleli po cichu dzielić się jego mądrością z innymi. Zwój ten od pięciu pokoleń przechodzi w naszej rodzinie z matki na córkę.

Widziała, że Michael zastanawia się teraz nad jej słowami.

- A więc to jest ten sekret rodzinny i dziedzictwo? Antyczny rękopis z Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej. Ta Księga Siedmiu...

- Rozkoszy - dokończyła. - Jest ona przewodnikiem na drodze do mądrości, którą można osiągnąć poprzez połączenie dwóch płci w akcie rozkoszy.

- Książka o seksie? - Otworzył usta ze zdziwienia. - Masz na myśli coś takiego jak Kamasutra?

- To księga mądrości, która, tak się składa, wykorzystuje seks jako metodę osiągnięcia oświecenia. - Uśmiechnęła się szeroko. - I wierz mi, jest dużo lepsza niż Kamasutra. Kiedy zostaniemy małżeństwem, dostaniesz swój własny egzemplarz tłumaczenia. Ale to jeszcze nie wszystko.

Kiedy on wpatrywał się w rękopis, ona zaczęła rozpinać guziki swetra i bluzki. A gdy podniósł wzrok, rozchyliła bluzkę, ukazując mu coś na kształt metalowego stanika, całego w ornamentach, z prowokacyjnie sterczącymi sutkami, otoczonego rzędami łańcuszków, pokrytych łuskami, które najwyraźniej były zrobione ze szczerzego złota. Nie mógł wyksztusić słowa.

Wreszcie zdołał oderwać wzrok od tej dziwnej zbroi i spojrzał jej w oczy. Leigh uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli będziesz bardzo, ale to bardzo grzeczny, panie Phillips, to pokażę ci, jak się odpina klamerki.